

C H R I S
BUNCH

**PIĘTNO
CZASU**



DEBIS

BUNCH CHRIS

Ostatni Legion 04: Pietno

czasu

(Homefall)

CHRIS BUNCH

Ostatni Legion 4

Przekład Radosław Kot

Dla

Warrena Lapine'a i Angeli Kessler

Dziękuję za pomoc Ringling Bros i Barnum & Bailey Circus... no i jeszcze pomniejsze podziękowania dla

Bertolda Brechta.

–CRB

1

Było ich dziesięcioro, wszyscy w plamiastych mundurach i uzbrojeni po zęby. Brudni i spoceni śmierdzieli dżunglą, w której spędzili ostatnie cztery dni.

Tkwiąc na metr w bloku, obserwowali przechodzący skrajem mokradeł patrol wartowniczy. Materiał, z którego zrobiono ich mundury, był niewidoczny dla termowizorów, poza tym chyba nikomu normalnemu nie przyszłoby do głowy szukać kogokolwiek w tym cuchnącym trzęsawisku.

Prowadzący obejrzał się na dowódcę, wskazał pół tuzina kopulastych zabudowań rysujących się w odległości stu metrów i narysował w powietrzu znak zapytania. Dowodząca drużyną kobieta pokiwała głową. Prowadzący uniósł jeden palec. Zdjąć jednego? Kobieta potrząsnęła głową. Nie, dwóch. Wskazała drugiego wartownika, który siedł w pewnym oddaleniu za pierwszym.

Wyzaczyła dwóch ludzi i dotknęła rękojeści noża. Jeden z nich uśmiechnął się lekko, wyciągnął własny nóż i ruszył ostrożnie przed siebie. Drugi pospieszył za nim.

Haut Njangu Yoshitaro uniósł kubek z herbatą, upił łyk i skrzywił się z niesmakiem. To nie była jego ulubiona mieszanka. Potem znów spojrział na ekran.

–Problem polega na tym, szefie – powiedział – że tutaj... oraz tutaj mają baterie rakiet przeciwlotniczych i gotów jestem się założyć, że gdzieś w okolicy kryją się kolejne wyrzutnie. Nie wydaje mi się, aby udało się tam wprowadzić griersony, a bez nich nici z ataku.

Caud Garvin Jaansma, dowódca 2. pułku, przyjrzał się projekcji i obrócił ją kilka razy w różne strony.

–A gdybyśmy tak zasypali ich najpierw rakietami i rzucili maszyny, zanim opadnie kurz?

–Nie da się – powiedział Njangu, obecnie zastępca Garvina. – Tutaj mamy kompanię Nan, kompania Rast jest zaraz za nią jako wsparcie. Obie są za blisko, aby uniknąć ofiar od własnego ognia.

Garvin Jaansma był żołnierzem w każdym calu: wysoki, muskularny, jasnowłosy, błękitnooki, a do tego miał kwadratową szczękę. Wszyscy się zgadzali, że jak nic nadawałby się na plakat rekrutacyjny. Wszyscy oprócz samego Jaansmy, co tylko dodawało mu uroku. Niewielu wiedziało, jaki to człowiek kryje się naprawdę pod tą nienaganną ogólnowojskową prezencją.

Prawie wszyscy byli natomiast pewni, że Njangu Yoshitaro jest dokładnie tym, na kogo wygląda. Niebezpiecznym i zwinnym drapieżnikiem. Smukły, o ciemnej karnacji i czarnowłosy, trafił do armii z mroków dzielnicy slumsów przymuszony do tego wyrokiem sądowym.

–Cholera – mruknął Garvin. – Co za dupek wyznaczył nasze pozycje tuż przy okopach złych chłopaków?

–Ty sam.

–A niech mnie. Domyślam się, że ostrzelanie własnych oddziałów nie spotkałoby się z przychylną reakcją?

–Wczoraj jeszcze może by uszło, ale dzisiaj już nie – stwierdził Njangu. – Na dodatek wszystkie aksaie są uwiązane przy brygadzie. Ale pomyśl: gdybyśmy wyprowadzili ze trzy pary zhukovów ponad pułap skutecznego rażenia rakiet Shadow i kazali im zanurkować prosto na... – Przerwał, usłyszawszy ciche chrząknięcie. – Do diabła – powiedział, przeciskając się przez zawalony sprzętem kopulasty namiot sztabowy ku uprzęży z uzbrojeniem. Ledwie dotknął kolby pistoletu, gdy do środka wskoczyły trzy niemilosiernie utyłane postaci.

Mimo wszystko próbował wyciągnąć pistolet, jednak napastnicy byli szybsi. Dwa ich blastery zagdały jednocześnie. Njangu jęknął, spojrzął na swoją pierś, która zmieniła kolor na krwistoczerwony, upadł na twarz i już się nie podniósł.

Garvin zdążył unieść blaster, ale dowodząca napastnikami kobieta strzeliła mu w twarz. Poleciał do tyłu przez holograficzny obraz i upadł, strącając ze stołu projektor.

–Dobra robota – powiedziała cent Monique Lir. – Rozproszyc się i zająć się resztą

sztabu. Nie dać się zabić. I nie brać jeńców, po co nam korowody z przesłuchaniami.

Jej ludzie z kompanii zwiadu zniknęli na zewnątrz. Po chwili w okolicy rozległy się kolejne strzały.

Lir przysiadła na jednym składanym krześle, na drugim położyła nogi.

–Piękna śmierć, szefie. Nowym bardzo przyda się odrobina realizmu.

Garvin usiadł i stał z twarzy czerwoną farbę.

–Dzięki. Jak wam się udało tu przekraść?

–Poszukaliśmy największego bagna i zanurkowaliśmy. Njangu wstał i spojrzał z niesmakiem na swój mundur.

–Mam nadzieję, że to się da wyprać.

–Na pewno. A teraz proszę o wybaczenie, ale muszę wykończyć resztę waszej ekipy.

Wyszła z namiotu.

–Fitzgerald jaja mi urwie za to, że dałem się zabić – mruknął Garvin.

–W tej chwili ma pewnie dość własnych zmartwień – odparł Njangu. – Ostatni raz, gdy ją widziałem, miała koszarne sny o desancie. – Podszedł do zamaskowanej jako szafka lodówki i wyciągnął dwa piwa. – Skoro oficjalnie zostaliśmy zabici, to chyba możemy sobie pozwolić?

–Dlaczego nie? – odparł Garvin i upił tęgi łyk. – Dla nas ta gra już się skończyła, prawda?

–Od początku była niepotrzebna. Stwierdziliśmy tylko, że atakując okopaną brygadę, ponosi się ciężkie straty. Dokładnie jak w podręcznikach.

–Nie wspominając o tym, że kilka dobrze wyszkolonych drużyn zwiadu może przeniknąć na teren przeciwnika i wyłączyć jego dowództwo. Co nam się właśnie przydarzyło.

–Nigdy w to nie wątpiłem – mruknął Garvin, znowu sięgając po piwo. – Wiesz, o wiele lepiej się bawiłem, kiedy to my byliśmy złymi chłopakami i mieszaliśmy innym szyki.

–Aha. Tyle że się człowiek naganiał. Dlatego właśnie dostałem napadu ambicji i zacząłem się wspinać po łańcuchu dowodzenia.

–Przy okazji można też więcej zarobić.

–Owszem. Ale w czasie pokoju jest wtedy nudniej – dodał Garvin.

–Żebyś tylko czegoś nie wykrakał.

–No to zobaczymy, czy uda nam się jakoś posprzątać ten bałagan. A potem poszukamy prysznicu i flaszki.

–Gdy tylko zbierzemy baty za przegraną.

–Uff... – mruknął Garvin, masując wyimaginowane siniaki. – Zapomniałem, że przy awansach na wysokie stopnie kierują się tym, jak kto ma gadane. Już bym wolał, żeby to caud Fitzgerald nas sztorcowała, a nie dant Angara.

Odprawy po manewrach dobiegły końca dopiero późnym popołudniem następnego dnia. Wojsko mogło się wreszcie wykąpać, najeść i urwać na dwa dni zasłużonego urlopu.

–Płacz i zgrzytanie zębów – westchnął Njangu. – Jak on to powiedział? Po amatorsku zaplanowane, beztrosko poprowadzone i głupio zakończone?

–Ja oberwałem jeszcze gorzej. Niedostateczny nadzór nad pracą wywiadu i personelu sztabowego. Ponadto brak mi pomysłu i w ogóle zasłużyłem na to, że mnie zabili. Praca mojego sztabu jasno dowodzi, że ćwiczenia odbywane w czasie pokoju uważam za marnowanie sił i środków.

–Stary potrafi dopiec – zgodził się Njangu, odruchowo odsalutowując aspirantowi truchtającemu na czele plutonu. Weszli na schodki prowadzące do kasyna oficerskiego. – O której Jasith ma cię zabrać?

–O wpół do siódmej czy jakoś tak. Powiedziała, że nie pozwoli, żebyś upił mnie w sztok.

–Ciekawe – mruknął Njangu. – Maev mówiła to samo o tobie.

–Wielkie umysły zawsze podążają tym samym tropem – powiedział Garvin. – Nawet jeśli wiedzie na manowce. – Zachichotał. – Ale na pewno dobrze będzie się wykąpać.

–Miękniesz – rzucił Njangu. – Co z ciebie za żołnierz? Nie możesz wytrzymać trzech dni bez prysznicu? I ty chciałeś mierzyć się z Lir? Dziadziejesz. Na który ci idzie? Dwudziesty szósty? Jesteś tylko o rok starszy ode mnie.

–Może i dziadzieję, ale mam doświadczenie, którego wam, szczeniakom, brakuje. Ale, ale, popatrz tylko. – Wskazał na stół w głębi kasyna, gdzie siedział rosły i

przedwcześnie wyłysiały mężczyzna w kombinezonie lotniczym. Gapił się tępo w opróżniony do połowy kufel piwa.

–Co mu jest? – mruknął Njangu. – Nie może być aż tak splukany, żeby nie miał za co pić. Płacili nam ledwie tydzień temu.

–Nie wiem – odparł Garvin, podchodząc do baru. Wziął dwa piwa oraz dwie szklanki i ruszyli z Njangu do stolika Bena Dilla.

–Coś nie gra? – przywitał go Njangu. – Dostałeś po nosie za przegapienie tych dwóch aksaiów?

–Gorzej – mruknął Diii. – O wiele gorzej. Ulubiony syn pani Diii kopnął dziś w kalendarz.

–I co z tego? – powiedział Njangu. – My też.

–Nie myślę o głupich grach wojennych. Naprawdę dałem się załatwić.

–Jak na ducha wyglądasz całkiem nieźle.

–Nie o to chodzi.

–Nie rozumiem – powiedział Garvin.

–Dobra, łknij sobie i powiedz cioci Yoshitaro, w czym rzecz – rzucił Njangu.

–Nie da się. Jaki macie stopień dostępu?

–CQ – odpowiedzieli obaj. – Nie ma wyższego – dodał Njangu.

–Tak? – prychnął Ben. – A słyszeliście kryptonim Centrum?

Jaansma i Yoshitaro spojrzeli po sobie z głupim wyrazem twarzy.

–No cóż – powiedział Ben. – Jeśli nie słyszeliście, to nie mamy o czym rozmawiać.

–Racja, musisz zachować ostrożność – sarknął Njangu. – W tym naszym gnieździe szpiegów nigdy nic nie wiadomo.

–Odpuść mu – odezwał się Garvin. – Ostrożności nigdy za wiele.

–Owszem, ale wobec obcych – stwierdził Njangu. – A teraz pozwól, że dokonamy analizy znanych faktów, sącząc piwo, które sobie przynieśliśmy – powiedział do Billa. – Po pierwsze, od czasu, gdy przestałem prowadzić Angarze wywiad, Sekcja II cienko przędzie. Pierwsze skrzypce zaczęły grać głąby, które nadają operacjom kryptonimy

wyraźnie mówiące, o co w nich chodzi. Możemy zatem przypuszczać... – Njangu ściszył głos i rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy ktoś niepowołany nie nastawia ucha. – Możemy przypuszczać, że kryptonim Centrum oznacza operację, która ma wyjaśnić, co się stało z tak zwaną Konfederacją, dlaczego tak nagle zniknęła, a my zostaliśmy jak te sieroty ze łzami w oczach i fujarą w dłoni.

Diii ledwie opanował śmiech.

–Jezu, robisz się elokwentny jak Jaansma.

–To zapewne skutek przenikania kulturowego – zasugerował Njangu.

–Na szczęście jednostronnego, bo on na mnie nie działa – powiedział Garvin. – Njangu jest dobry w zgadywaniu. No i wie, że wszyscy lepsi piloci zostali niedawno oddelegowani do jakiegoś specjalnego zadania. Między innymi ty, Alikhan i Boursier. A skoro jesteś taki podłamany, to chyba nie czeka was nic łatwego.

–Ale więcej się nie domyślimy, jeśli będziesz nam skąpił detali – dodał Njangu.

Diii pokiwał głową.

–Powiedzmy, że wpakowałem się nie w to, co trzeba, i nieco przycięło mi paluchy.

Konfederacja była trwającym od wieków związkiem światów leżących w kilku galaktykach. Miewała przy tym dość mocarstwowe zapędy, aby niektórzy nazywali ją imperium. Do jej sił zbrojnych należała Grupa Uderzeniowa, niekiedy nazywana Legionem, przypisana do pogranicznego układu Cumbre. Dalej rozciągała się już tylko przestrzeń kontrolowana przez wrogą, rasę musthów, najbliższe zaś zamieszkane przez ludzi układy Lariksa i Kury opanowała agresywna dyktatura.

Garvin i Njangu trafili do Cumbre jako rekruci. Należeli do ostatniego uzupełnienia, które wysłano ze Świata Centralnego. Ich statek został jednak przejęty przez patrol z Lariksa i obu bohaterom ledwie udało się uciec na Cumbre. Zaraz potem urwała się łączność z Konfederacją i przestały przybywać statki z innych układów Konfederacji.

Odizolowana Grupa Uderzeniowa musiała najpierw uśmierzyć wojnę domową z tubylczymi mieszkańcami Cumbre, Raumami, którzy zaczęli terroryzować napływową klasę panującą. Potem przyszła wojna z musthami, a niecały rok temu doszło do krótkiej, ale brutalnej kampanii przeciwko Lariksowi i Kurze.

Obecnie panował pokój. Wiadomo było jednak, że wcześniej czy później Grupa będzie musiała podjąć próbę nawiązania kontaktu z Konfederacją. Albo tym, co po niej pozostało.

Po cichu naukowcy Grupy zaczęli prace nad bezzałogowymi sondami sterowanymi

w czasie rzeczywistym z planety Cumbre D. Polecenia były przekazywane łańcuchem satelitów, podczas gdy sondy wykonywały kolejne skoki przez nadprzestrzeń. W ten sposób mogły dotrzeć praktycznie wszędzie.

–Chyba domyślam się, co zaszło – powiedział Njangu. – Pilotowałeś sondę i coś cię załatwiło. Przykro mi.

–Dobrze, że sam nią nie leciałeś – dodał Garvin.

–Ale i tak krew mnie zalewa – mruknął Ben, dopijając piwo prosto z butelki. – I żadnego umoralniania. To moje piwo, kupiłem je za swoje i mogę pić, ile chcę. Zgadza się? – Spojrzał ze złością na Garvina, który pospiesznie pokiwał głową. Ben był pogodnym człowiekiem, ale miewał gorsze dni i wtedy lepiej było mu nie wchodzić w drogę. Nikt nie potrafił przewidzieć, kiedy taki dzień nadejdzie.

Jaansma skinął na barmana w kwestii następnej kolejki.

–Wiesz, może czas, żebym włączył się do sprawy? – spytał z namysłem Njangu. – Z moimi możliwościami...

–Do jakiej sprawy? – spytał Diii, łapiąc jedną z trzech nowych butelek.

–Tej, która ci leży na wątrobie.

Diii już miał odpowiedzieć, gdy ujrzał wchodzącego do kasyna potwora, postać żywcem wyjętą z najmroczniejszych snów. Stworzenie miało ze dwa metry wzrostu, prążkowaną żółto-brązową sierść oraz małą głowę osadzoną na długiej szyi. Czujnie rozglądając się dokoła, szło wyprostowane na tylnych łapach, z przednich zaś wysuwało pazury. Całości dopełniały krótki ogon i uprząż bojowa w błękitno-białych barwach Konfederacji.

–Ej, Alikhan! – zawołał Ben do mustha. – Dawaj tu i pomóż mi zwalczać doła!

Obcy podszedł do ich stolika.

–Co jest? – spytał Diii. – Nie wyglądasz dobrze.

Ben był jednym z nielicznych ludzi, którzy twierdzili, że potrafią odgadnąć stan ducha musthów.

–Nie mogę powiedzieć – mruknął Alikhan. W odróżnieniu od większości musthów, którzy mieli kłopoty z wymową sykliwych ludzkich głosek, mówił płynnym wspólnym. – Ale byłem tam gdzie ty i dlatego jestem tutaj.

–Aha... – stwierdził Ben. – To zamów sobie trochę zgniętego mięsa i siadaj z nami.

Mamy tu ogólną stypę.

–Właśnie – powiedział z namysłem Njangu. – Najwyższy czas zająć się tym całym bałaganem po Konfederacji.

Jasith Mellusin spojrzała na posiniaczony nos Garvina i zachichotała.

–Mówiłam ci, że do zabawy z falami trzeba urodzić się na Cumbre D albo innym świecie, gdzie jest mnóstwo wody.

–Nonsens – powiedział Garvin, patrząc na swoją równie ciężko doświadczoną pierś.
– Niemal mi się udało, ale nie uprzedziłaś mnie, że z fali można spaść.

–Bo nie myślałam, że ktokolwiek mógłby spróbować tego, co zrobiłeś.

Jasith Mellusin, obecnie dwudziestotrzyletnia, była jedną z najbogatszych kobiet układu Cumbre. Należała do niej całe Mellusin Mining oraz spowinowacone korporacje stworzone przez jej ojca i dziadka. Była niegdyś kochanką Garvina, potem z nim zerwała i ponownie się związała, gdy tylko okupacja musthów dobiegła końca.

–Tylko chwilę poleżę na słoneczku i spróbuję jeszcze raz – jęknął Garvin. – Daj mi drinka, z łaski swojej.

Jasith sięgnęła w cień parasola i podała Gandnowi schłodzoną w przenośnym barku szklankę z alkoholem. Za nimi stała na pustej plaży limuzyna Jasith. Jeszcze dalej wielkie fale załamywały się z hukiem na czarnym piasku.

–No, po tym może przeżyję – westchnął Garvin, łyknąwszy potężnie ze szklanki, i przeciągnął się. – Wiesz, jakimś cudem udało ci się sprawić, że zapomniałem o jutrzejszym powrocie do jednostki.

–O to chodziło – zamruczała Jasith. – Skoro zaś o tym mowa... – Urwała. – Może wciągnąłbyś spodnie i podał mi ręcznik? Słyszę jakąś muzykę.

–No tak. Koniec laby – sapnął Garvin, ale posłuchał, widząc, że w ich kierunku zmierza Njangu Yoshitaro w towarzystwie Maev Stiofan, dziewczyny wyrwanej nie tak dawno z szeregów armii Lariksa, obecnie szefowej bezpośredniej ochrony danta Angary.

Maev trzymała pomalowane na jaskrawe kolory pudełko z korbką, którą ciągle kręciła, Njangu zaś dźwigał przenośną lodówkę i coś sporego owiniętego w papier.

–Witamy plażowiczów! – zawołał, gdy byli już blisko. – Przynosimy bogate dary! Czy mój nieustraszony wódz mnie słyszy?!

–Jak, do diabła, nas znaleźliście? – warknął Garvin. – To prywatna plaża i nie

mówiliśmy nikomu, gdzie jedziemy.

–Hm... – mruknął Yoshitaro z tajemniczą miną. – Jeszcze się nie zorientowałeś, że ja zawsze wiem o wszystkim?

–Cześć, Jasith – powiedziała Maev. – To był jego pomysł i nie mam pojęcia, o co mu właściwie chodzi.

–Z nimi tak zawsze – odparła Jasith. – Bierz ręcznik, siadaj i napij się.

–Czy powiedziałem, żebyś przestała grać? – spytał Njangu, na co Maev posłusznie zakręciła korbką i znów popłynęła muzyka.

–Co to jest, na Boga? – spytał Garvin.

–Ha! I ty twierdzisz, że wychowałeś się w cyrku?

–Katarynka... – powiedział Garvin, przyjrzawszy się bliżej pudełku. – Niech mnie... To prawdziwa, działająca katarynka. I do tego gra Piosenkę słonia.

–Marsz słoni – poprawił go Njangu. – Maev znalazła ją w sklepie ze starzyzną, co podsunęło mi pewien pomysł. Proszę. – Podał przyjacielowi paczkę.

–Nie mam dziś urodzin – powiedział podejrzliwie Garvin.

–Wiem – zgodził się Njangu. – To tylko coś, co ma cię przekonać do mojego kolejnego genialnego pomysłu.

Garvin rozerwał papier. W środku było coś płaskiego i okrągłego z kilkoma drobnymi figurkami na wierzchu. Przedstawiały mężczyznę w za dużym o kilka numerów ubraniu, tancerkę na grzbiecie czworonożnego stworzenia, inną jeszcze kobietę w rajtuzach i kogoś w staromodnym garniturze. Wszystko było zrobione z plastiku i tak stare, że miejscami poodpadała już farba.

–Musiałem wymienić silniczek, żeby zadziało – powiedział Njangu. – Naciśnij tamten guzik.

Garvin odszukał przycisk i nagle łachmaniarz zaczął skakać tu i tam, koń ruszył wkoło, tancerka stanęła na rękach, kobieta w rajtuzach zaczęła fikać koziołki, a postać w garniturze wyciągać ręce w różnych kierunkach.

–Niech mnie... – powiedział Garvin, któremu zwilgotniały oczy.

–Co to jest? – spytała Jasith.

–Arena cyrkowa – odparł Jaansma. – Bardzo stara arena cyrkowa. Dziękuję, Njangu.

–Widzicie? Działa – powiedział Yoshitaro. – Prawie się popłakał. Jak dziecko. Zmięczyłem go.

Garvin wyłączył urządzenie.

–Robi wrażenie.

–Tak jak cały mój plan – stwierdził Njangu. – Po pierwsze, zastanówmy się, co dotąd robiliśmy nie tak. Przeczując, że protektor Redruth sprawi nam kłopoty, wysłaliśmy zwiad, żeby przewąchał sprawy, tak? W ten sposób ściągnęliśmy sobie dodatkowe nieszczęścia na głowę, prawda? Szanowne panie, mam nadzieję, że teraz zatkacie uszy, aby nie słyszeć, w co się znowu zaangażowaliśmy i co z tego wynika.

–Myślisz o tych traconych sondach? – spytała Maev. – Nie powinienesz nic o nich wiedzieć. Nie masz dostępu do materiałów operacji Centrum.

Njangu uniósł brwi.

–Ani ty, szanowna goryliczko.

–Ja tak – odparła Maev. – Jak myślisz, skąd Angara bierze kurierów? Mam dostęp do Centrum od dobrego miesiąca.

–I nic mi nie powiedziałaś?

–Nie powinienesz o tym wiedzieć, kochany.

–Jak rany... – jęknął Njangu. – Sama widzisz, Jasith, dlaczego lepiej trzymać się z dala od armii. Sieje rozkład nawet w najbardziej zgodnym związku.

–Wiem – mruknęła Jasith. – Też mi się nie podoba, że nie mogłam powiedzieć Garwinowi o sondach, które moje stocznie budują na zlecenie armii.

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie z osłupieniem.

–Dzięki niech będą bogom, w których nie wierzymy, że nie ma tu żadnych szpiegów – powiedział w końcu Garvin. – Tutaj chyba każdy zna jakąś tajemnicę...

–Jacy szpiedzy? Przecież nawet nie wiemy, dla kogo mieliby szpiegować – stwierdził Njangu, po czym dopił piwo i wziął następne z lodówki.

–Wcale mi nie wadzi, że ich nie znam – odparł Garvin. – Ale cóż... Jasith, kochanie, słońce mego życia, czy byłabyś skłonna pożyczyć mi statek?

–Jaki statek?

–Duży i masywny. Oczywiście z napędem międzygwiazdowym. Ale nie musi być przesadnie szybki ani zwrotny.

–W jakim stanie zamierzasz mi go zwrócić?

–Nie wiem. Może idealnym, może w częściach. Może wcale, chociaż w takim wypadku nic mi nie zrobisz, bo ja też nie wrócę. Zamierzam nim polecieć.

Jasith uśmiechnęła się krzywo.

–Chyba mam coś takiego. Transportowiec wprowadzony do eksploatacji zaraz po wojnie. Zaprojektowany do przenoszenia na zaczepach maszyn górniczych, takich naprawdę wielkich, jak kroczące koparki czy zespoły wiertnicze. Kursuje między Cumbre D i E, czasem też poza układ. Jest długi prawie na trzy kilometry i potwornie brzydki: ma wąski kadłub, wielkie podpory ładownicze i mnóstwo poutykanych bez ładunku i składu kopulek i wypustek. Ponieważ został przeznaczony do ciężkiej roboty i miał dać solidny odpis podatkowy, wyposażyliśmy go w napęd międzygwiazdowy. Mogłoby zabrać garść patrolowców i kilka aksaiów. Nie potrzebuje licznej załogi, chociaż ilu ludzi dokładnie, teraz nie pamiętam. Ma sporą przestrzeń mieszkalną, którą można dowolnie skonfigurować. Mogłoby nim podróżować nawet sto pięćdziesiąt osób, i to całkiem wygodnie i spokojnie, bo kto miałby ochotę podlatywać do czegoś tak szpetnego. Ładownie też można podzielić dowolnie, wszystkie mają potrójone układy antygravitacyjne. Wynajmę HH VI flocie za... powiedzmy... dziesięć kredytów na rok. W końcu jestem patriotką.

–No to jedno mamy już z głowy – powiedział Njangu. – Przy okazji, wesołe nazwy dajecie swoim statkom.

–Przepraszam, ale co to ma wspólnego z cyrkiem? – spytał Garvin.

–Przecież potrzebujemy transportu dla naszego cyrku, prawda?

–Naszego cyrku?

–Ale z ciebie cymbał, caudzie Jaansma. A o czym to niby mówię od iluś minut? Sam ciągle powtarzasz, na trzeźwo i po pijaku, że chciałbyś rzucić to wszystko i przyłączyć się do jakiegoś cyrku. I wędrować z nim, jak to niegdyś robiła twoja rodzina.

–Hm... – mruknął zamyślony Garvin.

–Musimy tylko zebrać trupę – ciągnął Njangu, coraz bardziej zapalając się do pomysłu. – Sam znalazłem to słowo. Będą do niej należeć ludzie z Grupy. Wyruszymy w trasę, ukrywając, kim naprawdę jesteśmy. Będziemy dawać przedstawienia tu i tam, cały czas zbliżając się do układu Capelli i Świata

Centralnego. Wcale nie musimy być świetni, wystarczy, jeśli będziemy wyglądać na zainteresowanych szybkim zarobkiem. Byłoby też dobrze, gdybyśmy czasem włączali się w jakieś szemrane interesy. Po pierwsze, nikt nie oczekuje tego po żołnierzach Konfederacji, po drugie, mielibyśmy pretekst, gdyby trzeba było szybko zniknąć. A kiedy już się dowiemy, co stało się z Konfederacją, wrócimy na Cumbre, zameldujemy o wszystkim i niech dant Angara martwi się co dalej. Cokolwiek wymyśli, tyle dobrego z naszej wyprawy, że już będziemy wiedzieli.

Maev pokiwała głową, ale ona też pochodziła z innego układu gwiazdowego. Jasith, która w życiu nie wyściubiła nosa poza Cumbre, tylko wzruszyła ramionami.

–Ciekawe – powiedział Garvin po dłuższej chwili ciszy. – Bardzo ciekawe.

–Chcesz się zabrać? – spytał Njangu.

–W zasadzie tak – odparł Garvin, udając, że mu to obojętne. – Miałbym kilka pomysłów.

–Gdy ostatnim razem miałeś pomysły, omal nie dałeś głowy, pamiętasz? – mruknął Njangu. – Ja będę mózgiem tej operacji, zgoda?

Maev zaniósła się śmiechem.

–To prawda, obaj nadajecie się na kłownów.

–Kłowni – powtórzył rozmarzony Garvin. – Zawsze chciałem mieć arenę pełną kłownów. – Spojrzał na przyjaciela. – Świetnie byś się nadał, Njangu.

–Ja? Hm... Zamierzam prowadzić przedstawienia.

–Nie wiem, czy masz do tego talent – powiedział z udawaną troską Garvin.

–Zaraz, zaraz – odezwała się Jasith. – Tak o tym rozmawiacie, jakby chodziło o zabawę.

–O nie, będzie też wielkie ryzyko – odparł Njangu. – Robimy tylko dobrą minę do złej gry.

–Świetnie – powiedziała Jasith. – No to pierwsza zmiana planów. Skoro chcecie mój statek, musicie mnie zabrać.

–Hę? – Garvina zatkało.

–Jak dotąd przygody zdarzały się tylko tobie. Dość tego.

–A co będziesz robiła?

–Na pewno przydadzą się wam tancerki.

–Jasne – odparł Garvin. – Co to byłby za cyrk bez odrobiny erotyzmu. W dobrym guście, rzecz jasna – dodał pospiesznie.

–W moim wykonaniu na pewno – stwierdziła Jasith.

–Nauczyłem się z nią nie spierać, gdy mówi tym tonem – rzucił Garvin pod adresem Njangu.

–Dobra – powiedział Yoshitaro. – Jasith leci z nami. To pomoże ci utrzymać pion. Poza tym zajmie się kasą i księgami rachunkowymi. Do tego też ma przygotowanie.

–A ja zajmę się tobą – oznajmiła Maev. – Mówiłeś, że będziecie przyjmować ludzi z Grupy.

Njangu uśmiechnął się i pocałował ją.

–Jeśli tylko dant Angara pogodzi się z utratą szefowej ochrony, to dlaczego nie?

–Jeszcze lwy i konie, może nawet niedźwiedzie – powiedział Garvin, który wybiegł już myślami sporo naprzód.

–Taaa... Jasne – zgodził się Njangu. – Tylko gdzie znajdziesz je na Cumbre?

Garvin uśmiechnął się tajemniczo i wstał.

–Chodźmy. Musimy zarazić Angarę naszym szaleństwem.

Dant Grig Angara, dowódca Grupy Uderzeniowej, przyjrzał się holo przedstawiającemu ciężki transportowiec kosmiczny HH VI płynący przez przestrzeń z opuszczonymi rampami i otwartymi lukami ładowni. Jednak można było odnieść wrażenie, że tak naprawdę oficer nie widzi statku.

–Rodzice zabrali mnie raz do cyrku, gdy byłem dzieckiem – powiedział cicho. – Była tam najpiękniejsza kobieta świata w białych rajstopach, która dała mi cukierka. Gdy go nadgryzłem, zmienił się w chmurę różowej waty.

–Widzicie? – spytał Garvin. – Wszyscy uwielbiają cyrk. I dmuchane cukierki.

Angara przywołał się do porządku.

–Ciekawy pomysł – mruknął. – Oczywiście wybierzeć taką trasę, żeby nijak nie można was było skojarzyć z Cumbre.

–Oczywiście, sir.

–Możemy przejrzeć holo z pokazów podczas ostatniego święta Grupy. Wybralibyście sobie atletów.

–Chętniej ogłosilibyśmy otwarty nabór – powiedział Njangu. – Tego przecież nie musimy trzymać w tajemnicy.

–Nie wiem, czy mi się to podoba – skrzywił się Angara. – Nie lubię, gdy zbyt wiele osób wie o naszych sprawach. Ale może masz rację.

–Może mam, może nie. Nie musimy wszystkiego aż tak nagłaśniać. Przynajmniej tutaj – zgodził się Garvin. – Ale naszym pierwszym przystankiem będzie jeden ze światów cyrkowych.

–Światów cyrkowych?– zdumiał się Angara.

–Tak, sir. Sam znam trzy. Ludzie cyrku muszą mieć jakieś miejsce, w którym mogliby się schronić przed publiką... przed tłumem. Nawet w dawnych czasach istniały osady cyrkowe, w których trupy spędzały czas poza sezonem. Angażowano tam nowych ludzi, zmieniano kwalifikacje, zbierano ploteczki.

–Co wam to da?

–Zwierzęta i treserów. Akrobatów trapezowych. I innych, którzy zadbają o otoczkę.

–Jak za to zapłacicie? – spytał Angara. – Mamy czas pokoju i rząd pilnuje budżetu. Wolałbym nie namawiać ministrów do wydawania pieniędzy na coś, czego nigdy nie zobaczą.

–Mellusin Mining zobowiązało się finansować operację – odparł Garvin. – Poza tym kompania zwiadu ma mnóstwo pieniędzy na tajnym koncie założonym przez Mellusin Mining jeszcze w czasie wojny z musthami.

–Bardzo mi się podoba ten pomysł – oznajmił cent Erik Penwyth, obecnie jeden z adiutantów Angary, w cywilu należący do elity finansowej Cumbre, tak zwanych rentierów. Wcześniej służył w kompanii zwiadu i bywał uznawany za największego przystojniaka w całej Grupie.

–My zaś chętnie cię przyjmiemy – powiedział Garvin. – Może jako prowadzącego przedstawienia.

–Myślałem, że to będzie moja fucha! – zaprotestował Njangu.

–Mowy nie ma. Nie żartowałem, mówiąc, że potrzebujemy kłownów. Poza tym – dodał z namysłem – chcę, żeby ktoś zadbał o bezpieczeństwo trupy.

–No dobrze. To co innego – mruknął nieco udobruchany Njangu.

–I tak dochodzimy do kolejnego problemu – powiedział Angara. – To niby niewielka wyprawa, ale ogołoci Grupę z najlepszych ludzi. Muszę przyjąć najgorszy wariant, w którym napotkacie kłopoty. Zgadzam się, że zadanie jest ważne, ale nie aż tak, aby dopuścić do strat. Macie wszyscy wrócić.

Garvin pokiwał głową.

–Nasz plan też to zakłada. Poza tym może się okazać, że nie wszyscy, którzy są najlepsi dla pana, będą równie dobrzy dla mnie.

–Słuszna uwaga – zgodził się Angara po chwili namysłu. – Zwiad nie składa się z samych wzorowych żołnierzy. Zakładam, że przede wszystkim będziecie brać ludzi ze swojej dawnej kompanii.

–Za pańskim przyzwoleniem, sir. W tych spokojnych czasach to oszczędzi im tylko kłopotów.

–Szczególnie tych większych – zauważył Angara. – Zbierzecie zatem zespół... trupe, jak to nazywasz, i zaczniecie szukać rzetelnych informacji. Dla zachowania minimum bezpieczeństwa proponuję nazwać tę operację Centrum, tak jak nazywa się ta, którą obecnie prowadzimy. Dzięki temu ewentualni ciekawscy będą zdezorientowani. Ale wróćmy do sprawy. Co będzie, jeśli pojawią się trudności?

–Uzbroimy statek po zęby – odparł Garvin. – Weźmiemy co tylko się da i dobrze to zamaskujemy. Chętnie pożyczylibyśmy też kilka aksaiów oraz patrolowców klasy Nana, które zostały nam po flocie Redrutha.

–Czy to nie wzbudzi podejrzeń?

–Jeśli Konfederacja naprawdę się rozpadła, co wydaje się bardzo prawdopodobne, skoro sondy znikają jedna po drugiej, teraz zapewne wszyscy latają uzbrojeni.

–Dobrze. Przypuszczam, że masz rację.

–Przy okazji, chciałbym zmienić nazwę naszego statku z HH VI na Gruba Berta.

–Ale romantycznie – mruknął z sarkazmem Penwyth.

–Tak nazywał się największy cyrk w dziejach – powiedział Garvin. – Powstał jeszcze na Ziemi. Bracia Ringling, Bailey i Barnum.

–Jak chcesz – stwierdził Angara.

–Jest jeszcze coś – powiedział Garvin. – Nasze zadanie może się okazać... dość

złożone, ja zaś jestem tylko młodym żołnierzem. Może dobrze byłoby wziąć też jakiegoś dyplomatę? Na wszelki wypadek, żeby uniknąć pewnych błędów. Żołnierze miewają skłonność do...

–Do zbyt szybkiego pociągania za spust – dokończył za niego Angara.

–Właśnie, sir.

Angara zastanowił się przelotnie.

–Pomysł niezły, ale nie przychodzi mi do głowy żaden dyplomata z tego układu, który miałby wystarczająco wysokie kwalifikacje. Jacyś kandydaci?

Garvin pokręcił głową i spojrzał na Njangu.

–Niestety, też nie.

–Tego się obawiałem – mruknął Angara. – Będziecie musieli się zdać na własną ocenę sytuacji. Jak daleko chcecie dolecieć?

–Jak daleko się da, sir – stwierdził zdecydowanie Garvin. – Mam nadzieję, że do samego Świata Centralnego.

–W tej chwili nie zaliczasz się do moich ulubionych podkomendnych – powiedziała Fitzgerald do stojącego przed nią na baczność Garvina.

–Rozumiem, pani caud.

–Ty, haucie Yoshitaro, jesteś na tej samej czarnej liście.

–Tak jest, pani caud – odparł wyprężony jak struna Njangu.

–Przypominam wam raz jeszcze: w Grupie istnieje coś takiego jak łańcuch dowodzenia. To znaczy, że jeśli wpadniecie na dowolny pomysł, najpierw powinniście przyjść z nim do mnie, żebym go zaakceptowała. I dopiero wówczas, uzyskawszy moją zgodę, zwrócić się do danta Angary. Wy zaś zlekceważyliście tę zasadę, jakbyście ciągle byli w zwiadzie... Tylko cichociemne operacje wam w głowie.

–Przepraszamy, pani caud – powiedział Garvin. – Zapomniałem...

–Trudno pozbyć się starych nawyków, pani caud – dodał pospiesznie Njangu.

–Wielka szkoda, że dant Angara nie zezwala stosować kar, które były kiedyś popularne w wojsku. Jak na przykład rozstrzelanie.

Garvin przyjrzał się pani caud. Wcale nie był pewny, czy żartuje, ale nic nie powiedział.

–Ale trudno – powiedziała Fitzgerald. – Skoro Angara się zgodził, mogę tylko oddelegować was do nowych zadań. Nie zawiedźcie. Gdyby jednak, to lepiej wracajcie na tarczy, bo inaczej pogadamy. A teraz się wynoście. I... powodzenia.

Ben Diii wtoczył się do maleńkiego biura Garvina, klitki z budującym widokiem na park maszyn 2. pułku. Zasalutował i nie czekając, aż Jaansma odda honory, klapnął na krzesło.

–Witam – warknął. – Najpierw ty mi powiesz, po co organizujecie tę swoją wycieczkę, a potem ja powiem tobie, dlaczego z wami lecę.

–Oszczędź sobie, Ben – poradził Garvin. – Już jesteś na liście.

Diii zamrugał oczami.

–Jakim cudem, skoro nie uciekałem się do szantażu ani do gróźb karalnych?

–Potrzebujemy dobrego pilota i postanowiłem, że to będziesz ty. Weźmiemy na

pokład trzy aksaie magazyn części zamiennych. O ile wiem, już się zorientowałeś, gdzie toto ma dziób, a gdzie ogon.

–Jestem najlepszym pilotem aksaiów w całym kosmosie i nieważne, co o tym sądzą musthowie, dumni i bladzi, że zbudowali te cacka.

–Dlatego właśnie cię dopisałem. Zaraz po Alikhanie i Boursier.

–Co do Alikhana, to rozumiem – odparł Ben. – Ale Boursier? Trzy razy oblecę jej tyłek, zanim mnie zauważy.

–Nada się na arenę. Poza tym byłem ciekaw, jak szybko przybiegniesz z protestami – odparł Garvin, tłumiąc uśmiech. – Chcesz może znać swoje drugie zajęcie? Potrzebujemy siłacza.

–Takiego jak w holo? Naoliwionego, gołego do pasa i prężącego mięśnie?

–I w gorsecie, z uwagi na twój brzuch.

–Cholera – mruknął Ben. – Będę musiał schudnąć.

–W granicach rozsądku.

–Ale mam świetny pomysł. Skoro zdecydowałeś się już na Alikhana, trzeba tylko ukryć to, że on mówi wspólnym...

–I mógłby występować na arenie jako zwierzak – dokończył Garvin. – Panie i panowie, oto największy wróg człowieka! Podziwiajcie potwora z głębin kosmosu, bestię żywiącą się zepsutym mięsem! – zapalił się do pomysłu Jaansma. – I każdy, kto podejdzie do jego klatki, będzie mówił swobodnie, nie wiedząc, że musth wszystko rozumie.

Diii zachichotał.

–Chciałbym go zobaczyć w tej roli.

–I poobrzucać orzeszkami? – spytał Garvin.

–Mam nadzieję, że to tylko z powodu naszej tradycji zgłaszania się na ochotnika do wszystkiego – powiedział Njangu, wskazując stojące przed nim szeregi kandydatów na cyrkowca. – Czy kogoś brakuje?

–Tylko jednego, sir – odparła Monique Lir. – Nieszczęśnika, który leży w szpitalu i nie wyjdzie przed naszym odlotem.

–No tak... Jestem z was dumny – dodał, podnosząc głos. – Wasza odwaga robi na

mnie wrażenie. I wasza głupota też. A teraz po kolei. Podałem listę konkretnych umiejętności, które są oczekiwane. Kto spełnia wymogi, zostaje na liście. Ci, którzy tylko szukają przygód, jak niegdyś ja, odpadają i wracają na kompanię.

Odczekał chwilę, aż ze zgromadzonych stu trzydziestu ludzi zostało tylko sześć dziesiątek.

–Dobra. Możemy zaczynać – powiedział i spojrzał na kandydatów. – Strzelec Fleam... Co dokładacie do wspólnej puli? Poza groźną miną, ma się rozumieć.

Surowolicy Fleam, który od lat odrzucał wszystkie propozycje awansu, choć był jednym z najlepszych żołnierzy zwiadu, a tym samym jednym z najlepszych żołnierzy Grupy, teraz uśmiechnął się lekko.

–Węzły, sir.

–Słucham?

–Umiem wiązać węzły. Różne węzły. Jedną ręką, zębami, do góry nogami, przez sen i po pijaku.

–Nie mieliśmy kogoś takiego na liście – powiedział Njangu, chociaż coraz bardziej mu się to podobało.

–Tak, sir, ale sprawdziłem, jak to jest z cyrkami, i okazuje się, że we wszystkich mają masę lin i wyciągów.

–W porządku, bierzemy was – oznajmił Njangu. – A co z tobą, cent Lir?

–Byłam kiedyś tancerką w balecie.

–Dobrze, potrzeba nam kogoś, kto ustawi girlsy. A wy, alt Montagna?

–Umiem pływać, sir. I pokazowo skaczę z trampoliny. Myślę, że z moją praktyką wspinaczkową zdołam opanować trapez.

–A pomyślałyście, co się stanie z kompanią zwiadu, gdy zabraknie i dowódcy, i jego zastępcy?

–Już się tym zajęliśmy, sir – odparła Lir. – Dowództwo do naszego powrotu obejmie Lav Huran. A gdybyśmy nie wróciły, mogłaby je wziąć na stałe. Abana Cafalo pełniłaby obowiązki zastępcy z tymczasowo podniesionym stopniem pasującym do etatu. Caud Jaansma już to zaaprobował.

–Hm... – mruknął Njangu i spoważniał. Lir była niezwykle kompetentnym żołnierzem, a ze swoją baletową przeszłością – o której notabene pierwszy raz usłyszał – bardzo

by im się przydała.

Co innego Darod Montagna. Mimo że Garvin od dawna był związany z Jasith Mellusin, interesował się też tą młodą ciemnowłosą snajperką. Njangu wpadł na nich raz w kasynie, akurat gdy się całowali. Byli wprawdzie nieco wstawieni, gdyż opijali zakończenie wojny z Lariksem, ale jednak. Więcej o tym nie myślał, bo nawet gdyby posunęli się dalej, tradycyjny zakaz utrzymywania tego rodzaju stosunków przez oficerów nie miałyby tu zastosowania. Montagna zaciągnęła się w czasie wojny, co oznaczało, że nie musi się stosować do zwyczajów okresu pokoju.

Niemniej... Jasith też miała wziąć udział w wyprawie. Ale czy jestem stróżem brata mego Garvina? pomyślał Njangu.

–Dobra – mruknął. – A teraz zobaczymy, co z pozostałymi.

–Wpuścić – powiedział Garvin i wyprostował zeszywniały grzbiet. Miał za sobą bardzo długi i ciężki tydzień pracy, wypełniony rozmowami kwalifikacyjnymi i użeraniem się z dowódcami kompanii, którzy próbowali wcisnąć mu do cyrku co większe zakłady oraz wyreklamować najlepszych ludzi, których im podebrał. A teraz jeszcze to.

Doktor Danfin Froude był jednym z najbardziej szanowanych matematyków Grupy, a nie ograniczał się do tej jednej nauki. Na dodatek, mimo nikczemnej postury i ponad sześciu krzyżyków na karku, parę razy zabierał się na ryzykowne misje, podczas których okazało się, że ma wiele ikry. Podczas wojny z Lariksem zakochał się, i to na poważnie, jak to bywa w tym wieku, w Ho Kang, pani oficer z Grupy. Gdy zginęła, świat mu się zawalił. Nadal wykonywał wszystkie swe obowiązki analityka, ale trzymał się wobec ludzi na dystans, jakby coś w nim umarło wraz z nią.

Otworzyły się drzwi i Garvin aż podskoczył. Przed nim stał mężczyzna w przesadnym jaskrawym makijażu, z paskudnym, długim nosem, a smutny przy tym jak nieszczęście. Miał na sobie workowate spodnie, za duże i dziurawe buty, podartą kamizelkę i archaiczny kapelusz.

–Cześć, Garvin – powiedział Froude. – Dobrze wyglądasz. – Siąknął nosem. – Nie to co ja. – Zaczął wyciągać z rękawa okazałą chustkę do nosa, która z jakiegoś powodu długo nie chciała się skończyć, w końcu jednak trzymał w rękach płachtę rozmiarów prześcieradła. Nagle coś się w niej zakotłowało i na biurko zeskoczył sator, dwunoga jaszczurka z Cumbre D. Zwierzak syknął na Garvina i czmychnął z gabinetu.

–Przepraszam – mruknął Froude przygnębionym tonem i z kącika oka spłynęła mu łza. Otarł ją, a gdy odjął chustę od twarzy, jego nos zmienił się w czerwoną gumową piłkę. Podrapał ją, zdjął, odbił od ściany i wzruszył ramionami. – I co, wciąż mnie nie

chcecie? – spytał.

–Nauczyłeś się tego w dwa dni?

Froude pokiwał głową i opadły mu spodnie.

–No cóż, teraz nie mogę odmówić – powiedział Garvin.

Froude siąknął nosem i podciągnął spodnie.

–Nie mówisz tak tylko po to, żeby mnie pocieszyć? – Uniósł kapelusz. Coś pod nim zakrakało i wyleciało z biura.

–Zostałeś przyjęty – rzekł Garvin i w końcu się roześmiał. – A teraz wynoś się, zanim jakiś tygrys wyskoczy ci ze spodni.

–Dziękuję panu, dziękuję panu, dziękuję panu – zaczął powtarzać Froude, wciąż głuchym i ponurym głosem. Kłaniał się przy tym i drapał. – Jednak prosiłbym o jeszcze jedno, drobiazg zaprawdę. Tak się składa, że Ann Heiser wychodzi właśnie za Jona Hedleya i przez jakiś czas będzie wolała pozostać w domu, co oznacza, że nie mam nikogo, kto by kontrował moje genialne pomysły.

Garvin zauważył, że naukowcowi zadrżał głos, gdy wspomniał o małżeństwie koleżanki.

Froude otworzył drzwi i wciągnął za rękaw jakiegoś nijakiego, przygarbionego mężczyznę. Przybysz miał może półtora metra wzrostu i nosił sfatygowane ubranie pasujące najbiedniejszemu z biednych urzędników.

–To mój kolega, Jabish Ristori – oznajmił Froude.

Ristori wyciągnął rękę. Garvin odpowiedział tym samym, ale gość wywinął koziółka w powietrzu. Gdy stanął w pozycji wyjściowej, Garvin znowu wyciągnął dłoń, ale wtedy Ristori skoczył na ścianę, stamtąd na biurko, a z niego na przeciwległą ścianę i na koniec zgrabnie wylądował na podłodze. Uścisnął dłoń Garvina.

–Miło poznać, miło poznać – powiedział i kolejnym koziółkiem dał dowód, jak bardzo mu miło.

–Profesor Jabish Ristori to niezwykle miły człowiek. Znamy się od lat, chociaż uprawia dziedzinę, którą trudno nazwać nauką.

–Czyli socjologię – rzucił Ristori, stając na rękach, po czym oderwał jedną dłoń od podłogi.

–Jakieś dziesięć lat temu zainteresował się środowiskiem wędrownych artystów i

postanowił nauczyć się ich sztuczek – wyjaśnił Froude.

–I nigdy już nie wróciłem na uniwersytet – dodał Ristori z zaraźliwym chichotem. – Nudno tam i trudno. – Odbiwszy się jedną ręką, znów stanął na nogach.

–Witamy w cyrku – powiedział Garvin. – Przyda nam się akrobata.

–Akrobata bez bata na kata – rzucił Ristori. – Proszę, to chyba pańskie. – Podał mu plaketkę identyfikacyjną, która przed chwilą na pewno była przypięta to koszuli Jaansmy.

–Jak pan...? Przepraszam – powiedział Garvin. – Wiem, że nie należy pytać o takie rzeczy.

–I to chyba też – mruknął Ristori, oddając Garwinowi zegarek. – I to. – Ostatnim teleportowanym obiektem był portfel Garvina, zwykle spoczywający bezpiecznie w zapinanej tylnej kieszeni spodni.

–Ma pan angaż, proszę tylko nie podchodzić do mnie bliżej niż na metr! – warknął Garvin.

–Przecież nie podszedłem – zaprotestował basowo urażony Ristori. – Gdybym to zrobił, wziąłbym też te kredyty, które trzyma pan w lewej przedniej kieszeni.

–Wynosić się obaj! – rzucił Garvin, który rzeczywiście tam właśnie nosił gotówkę. – Zameldować się u Njangu i pobrać wyposażenie. Postarajcie się nie zostawić go bez spodni.

Wysoki mężczyzna w zatłuszczonym kombinezonie wyczołgał się spod zhuksa z kluczem prawie tak długim jak jego ramię. Gdy tylko wstał, Njangu zaszalował mu sprężyscie.

Mil Taf Liskeard oddał honory, ale dopiero gdy zauważył, że Yoshitaro ma przypięte na piersi skrzydełka pilota.

–Nie sądziłem, że ktokolwiek z was będzie o mnie pamiętał – powiedział z wyczuwalną goryczą.

Njangu uznał, że lepiej nie rozwijać tematu publicznie. – Chciałbym porozmawiać z panem na osobności, sir. Liskeard spojrzął na dwóch mechaników, którzy ostentacyjnie nie zwracali na nich najmniejszej uwagi.

–No to chodźmy do tej nory, w której mam biuro – powiedział.

Njangu ruszył za nim.

–Dobra, czego chcesz, Yoshitaro? – spytał Liskeard, gdy zamknął drzwi. – Nie jesteś ostatnio zbyt zajęty, żeby marnować czas na starego cykora, który wymiękł pod ogniem?

–Chciałbym, żeby został pan jednym z naszych pilotów, sir...

–Kiepski żart – uciał Liskeard. – Nie pamiętasz, jak było? Nie dałem rady i Angara mnie uziemił. A może o tym nie słyszałeś? Nie umiem zabijać ludzi.

–Wiem. Ale i tak pana chcemy. Ktoś musi poprowadzić tego cudaka, którym polecimy. Przejrzałem pańskie akta. Przed przejściem na griersony wylatał pan ponad dwa tysiące godzin na przerobionych cywilnych frachtowcach, a nam bardzo brakuje ludzi, którzy czują duże jednostki.

–Owszem, trochę na nich latałem – przyznał Liskeard. – Powinienem znać swoje możliwości i pozostać na nich. Ale nie o to chodzi. Nie mogę, po prostu nie mogę. Angara jasno zapowiedział, że nie dopuści, abym kiedykolwiek jeszcze zasiadł za sterami jakiegokolwiek wojskowej maszyny. Jeśli spróbuję, wyrzuci mnie z Grupy. Teraz, odkąd jestem w tym parku maszyn, chyba po prostu już o mnie zapomniał. Wolałbym nie przypominać mu o sobie. – Potarł czoło, zostawiając na nim smugę smaru. – Nie, Yoshitaro. Chyba miałeś na myśli coś innego niż rehabilitacja tchórza. Może mam być waszym kozłem ofiarnym? Słyszałem, że słyniecie z podobnych pomysłów.

–Potrzebujemy pana – powiedział Njangu, dla dobra sprawy starając się trzymać nerwy na wodzy. Ale nie było mu łatwo. – Główny powód jest taki, że chyba pana rozumiem. Jakiś miesiąc po pańskim uziemieniu też przytrafiło mi się coś podobnego. I też się załamalem.

–Ale wyszedłeś z tego. W przeciwnym razie leżałbyś teraz ze mną pod tamtym zhukovem.

–Owszem, wyszedłem. Może dlatego, że nie starczyło mi odwagi, aby komukolwiek o tym powiedzieć.

Liskeard zmierzył Njangu takim spojrzeniem, jakby dopiero teraz go zobaczył.

–Więc jednak to ma być rehabilitacja. Chcecie dać mi szansę?

–Nie wybieramy się na Grubej Bercie na wojnę. Nie zamierzamy strzelać do ludzi. Mamy się tylko rozejrzeć i wracać z informacjami.

–Ale to nie znaczy, że na pewno nie robi się gorąco. Wtedy może być ze mną różnie.

–Wtedy zajmę pańskie miejsce za sterami, sir – rzucił Njangu, zaciskając dłoń w pięść.

Liskeard dostrzegł to i zaśmiał się głośno.

–Czy Angara wie, że próbujesz mnie zwerbować?

–Owszem. Gdy o tym usłyszał, mruknął tylko coś w stylu „mam nadzieję, że wiesz, co robisz”.

–To ostatnia kwestia, której oczekiwałbym po tym zimnym draniu – stwierdził zdumiony Liskeard i głęboko westchnął. – Dobra, dla was znowu przypnę skrzydełka. A jeśli znów zawiodę... to sam się sobą zajmę. I dziękuję. Jestem ci winien bardzo duże piwo.

Njangu, który nie przepadał za ckliwymi scenami, wstał, zasalutował i odwrócił się ku drzwiom.

–Proszę się więc ładować do Grubej Berty – rzucił jeszcze przez ramię. – Za dwie godziny przyleci tu ze stoczni i będzie można zapoznać się z przyrządami. Sir.

–Jesteś pewien, że ten taniec jest autentyczny? – spytał z niedowierzaniem Garvin.

Dec Biegący Niedźwiedź wyglądał imponująco. Odziany był w tradycyjny strój indiański z naszyjnikiem z długich kłków, miał umalowaną twarz, a na głowę nasadził pióropusz.

–Tak mówiła matka matki mojej matki – odparł z uśmiechem. – Oraz ojciec ojca mojego ojca, gdyby dla kogoś to było ważniejsze. A gdyby jeszcze ktoś wątpił, mogę zapowiedzieć, że przekłuję sobie piersi kościanymi igłami i odtąnczę pradawny taniec słońca.

–No nie wiem... – mruknął sceptycznie Garvin.

–Będę zobowiązany, sir. Rozpaczliwie potrzebuję jakiejś odmiany. Nudzi mnie to wożenie w kółko danta Angary. Chcę jakiejś strzelaniny, na Wielkiego Ducha, choćby niewielkiej. – Biegący Niedźwiedź bezwiednie potarł poblížnione ramię. Był jednym z niewielu żywych kawalerów Krzyża Konfederacji, który zdobył za, jak to nazwał, „chwilę kompletnego szaleństwa”. – Potańczę więc trochę, opowiem kilka historii... tych prawdziwych, z przeszłości, może jeszcze ziemskiej. Znam je od dziadka. Zapalę fajkę, zaśpiewam, odegram groźnego wojownika. To chyba niezły sposób, żeby poznać jakieś babki, prawda?

–Brzmi niezłe – powiedział Garvin. – Poza tym przyda nam się jeszcze jeden wariat z papierami. Sam Ben Diii to może być za mało. No i jesteś pilotem.

–Mam licencje na wszystko poza zhukovami. Potrafię przelecieć pod każdym mostem.

–I tak już wkurzyliśmy danta Angarę, zabierając mu najlepszych ludzi, więc jeden więcej nie robi różnicy – uznał Garvin.

–To może być zabawne – powiedział Erik Penwyth. – Wałęsać się tu i tam zgraną paczką i robić ludzi w balona...

–Nie myśl tylko, że ze mną też ci się to uda – warknął Njangu.

–Nie jęcz – odezwał się Garvin. – Klownem byłeś, klownem pozostaniesz. Dasz mi wreszcie tę flaszkę?

Njangu pchnął butelkę po blacie, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi.

–Wejść.

W progu stanęła kobieta w szpitalnej bieli.

–No proszę, alt Mahim – powiedział Garvin. – Siadaj. Wydawało mi się, że zostałam wysłana na akademię medyczną.

Dziewczyna przysiadła ostrożnie na skraju jednego z krzeseł.

–Owszem... zostałam, sir. Ale trzy dni temu skończył się semestr i wzięłam urlop dziekański.

–Aha – mruknął Njangu. – Komuś marzą się przygody...

–Słuchaj, Jill – powiedział Garvin. – Po pierwsze, daj spokój z tym „sir”. Chyba jeszcze nie zapomniałaś, jak to było w zwiadzie?

–Nie zapomniałam, szefie. Chciałam spytać, czy nie potrzebujecie dobrego lekarza pokładowego.

–Niech mnie – rzucił Penwyth. – Co się dzieje z całą tą kompanią zwiadu? Człowiek upycha ich gdzieś, gdzie nie będą nadstawiać karku i mogliby się nauczyć czegoś pożytecznego, jak położnictwo albo neurochirurgia, dzięki czemu znaleźliby sobie uczciwe zajęcia, a oni...

–Wystarczy – uciął Garvin i zwrócił się do Jill: – Owszem, potrzebujemy dobrego lekarza wojskowego. Proszę, nalej sobie.

–Nie teraz, szefie – odparła Mahim i wstała. – Najpierw muszę zorganizować trochę wyposażenia medycznego. Ale dziękuję. – Zasalutowała i wyszła.

Penwyth pokręcił głową.

–Nigdy się nie nauczymy, co?

Garvin wysiadł ze ślizgacza i ruszył schodami ku posiadłości Mellusinów. Był już przy drzwiach, gdy z domu dobiegł go huk. Otworzył drzwi na czas, żeby usłyszeć kolejny łoskot i kilka wyrazów powszechnie uznawanych za wulgarne.

–Dupki! – wrzasnęła Jasith Mellusin.

Znowu coś huknęło.

Garvin ruszył ostrożnie w stronę, z której dobiegały hałasy. Po chwili stał na ruinach kuchni.

Jasith spojrzała na szczątki komunikatora, podeszła do szafki, wybrała półmisek i cisnęła go w kierunku jadalni.

–Zasrańce!

Wzięła w każdą dłoń po talerzu.

–Kochanie, wróciłem... – nieśmiało odezwał się Garvin. Spojrzała na niego ze złością i rzuciła talerzami o ścianę.

–Sukinsyny!

–Używasz liczby mnogiej, ale mam nadzieję, że nie myślisz o mnie?

–Nie o tobie!

–Więc czy mogę cię pocałować?

Jasith zacisnęła wargi. Garvin przeszedł nad stłuczką, która kiedyś była serwisem obiadowym, i pocałował dziewczynę. Oderwali się od siebie po dłuższej chwili.

–Już mi lepiej – powiedziała Jasith. – Ale wciąż chce mi się bluzgać.

Garvin uniósł brwi.

–Na moją pieprzoną radę dyrektorów, po trzykroć przeklętych akcjonariuszy i porąbanych ze szczętem zastępców.

–Imponująca lista.

–Zaraz ironia ci przejdzie. Nie pozwalają mi lecieć!

–Ale... Mellusin Mining to ty. Ty i tylko ty – powiedział zdumiony. – Możesz przecież robić, co chcesz, prawda?

–Nie – odparła, posapując ze złości. – Nie wtedy, kiedy może to mieć wpływ na wartość akcji albo zaufanie akcjonariuszy, które na pewno legnie w gruzach, jeśli właścicielka firmy wypuści się gdzie pieprz rośnie i być może nawet zginie. Cała ta cholerna rada jest tego samego zdania. Przegłosowali, że jeśli z tobą polecę, oni podadzą się do dymisji. Zrzucili mi, że nie szanuję własnego przedsiębiorstwa, biorąc się do czegoś, do czego wcale brać się nie muszę, że niepotrzebnie chcę się narażać, bo to robota dla prawdziwych żołnierzy, nie małej dziewczynki, za którą ciągle mnie uważają! Świnie!

Wielka kryształowa patera, która nawet podobała się Garwinowi, przeleciała przez pokój i zmieniła się w rój kryształowych odłamków.

–Och! – jęknął Garvin.

–Też chcesz czymś rzucić?

–Niekoniecznie.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

–Nie jest ci przykro, że nie polecę?

–Jasne, że jest – odparł pospiesznie Garvin. – Jak możesz myśleć, że nie? Naprawdę, Jasith.

–Niech to wszystko... – jęknęła i rozplakała się.

Garvin objął ją ostrożnie.

–Dlaczego nigdy nie pozwalają mi się zabawić? – powiedziała wtulona w niego Jasith.

–Zawsze myślałem, że naprawdę bogaci ludzie mogą robić to, na co mają ochotę.

–Jacy tam wolni, cholera! Może dopiero po śmierci...

–Co o tym myślisz? – spytała Maev i zanuciła: – Cukierki, balony, napoje i wata cukrowa, każdy, kto kupi, wygra nagrodę!

–Myślę, że nikt nie zwróci uwagi na te dobra – odparł Njangu, patrząc na skąpo ubraną dziewczynę. – W każdym razie nie te na tacy.

–Nie martw się. Dzieciaki mnie uwielbiają.

–A co za napoje będziesz sprzedawać? Jakies poprawiacze nastroju?

–Tak, ale nic uzależniającego. A jeśli będą się gapić na moje cycki, to tym lepiej, przynajmniej nie zauważą tego...

Sięgnęła pod szarfę, na której miała zawieszoną tacę, i wyjęła mały pistolet.

–Z piętnastu metrów trafiam prosto między oczy. A co do mniej śmiercionośnych narzędzi... – Przesunęła dłonią pod tacę i pokazała niewielki cylinder. – Gaz. Pół godziny konwulsji, godzina wymiotów i dwie godziny ślepoty.

–Na wypadek, gdyby ktoś chciał się z tobą bliżej zaprzyjaźnić?

–Ale ty nie musisz się obawiać – dodała i zdjęła tacę. – A teraz się napiję. Te przygotowania kosztowały mnie sporo wysiłku.

–Już o tym pomyślałem, kochanie – powiedział Njangu. – Czeka na stoliku przy łóżku.

Wprawdzie nie było to najtańsze rozwiązanie, ale Njangu postanowił wynająć mieszkanie nad zatoką naprzeciwko obozu Mahan, na obrzeżach Leggett, stolicy Cumbre D. Było to idealne miejsce, aby zrzucić czasem mundur, szczególnie wtedy, gdy wojskowe porządki nazbyt zachodziły za skórę.

–Szkoda mi Jasith – powiedziała Maev.

–A co się stało?

Maev opowiedziała mu o wrzeniu pośród wyższej kadry zarządzającej Mellusin Mining.

–No tak, wypadła z interesu.

–Hm... – mruknął Njangu, odruchowo kierując myśli w stronę Darod Montagni.

–Co?

–Nic.

–Coś ukrywasz.

–Z całą pewnością.

–Jakie to przykre – powiedziała Darod Montagna. – Biedna Jasith Mellusin. Taka zabawa się szykowała, a tu musi zostać w domu i pilnować swoich pieniędzy.

Monique Lir podejrzliwie spojrzała na swoją zastępczynię.

–Mam nadzieję, że okażesz się dobrą dziewczynką.

–Będę bardzo dobra – odparła słodkim głosem Darod. – Nigdy jeszcze nikt nie widział równie dobrej dziewczynki.

–Aha... – mruknęła Lir.

Ostatecznie wybrano do operacji ponad stu pięćdziesięciu ochotników, w tym paru cywili, którzy precyzyjnie przeszli przez gęste sito bezpieczeństwa danta Angary.

Wszyscy oni zwalili się na Grubą Bertę i porozkładali w przydzielonych im kabinach. Wyjadacze po raz któryś odgrzewali stare dowcipy, nowi zastanawiali się, co ich właściwie opętało, że zatrudnili się w cyrku.

Garvin Jaansma ucałował Jasith Mellusin.

–Pamiętaj, masz wrócić – powiedziała, uciekając spojrzeniem.

–Traktujcie to jak rozkaz – wsparł ją Angara. – Oczekuję jednak, że nie wrócicie z pustymi rękami. Nie możemy przecież ciągnąć tego wszystkiego, nie wiedząc, co jest grane!

–Wrócę – obiecał Garvin. – Wrócę i wszystko opowiem, szefie. – Zasalutował Angarze, raz jeszcze ucałował Jasith i ruszył po rampie, która zaczęła się zamykać.

–Do wszystkich! – rozległo się z głośników. – Start za trzy minuty!

–Chodźmy – powiedział Angara, podając ramię Jasith. Przeszli razem do terminalu i stanęli na oszklonym tarasie.

Zatrzęsła się ziemia i Gruba Berta uniosła się na modułach antygravitacyjnych. Chwilę potem włączył się napęd pomocniczy. Na pozór niezgrabny statek wdzięcznym manewrem przeszedł na strome wznoszenie i zniknął w górnych warstwach atmosfery.

Jasith długo jeszcze stała przy szybie i wpatrywała się w pustkę.

Nadprzestrzeń

Njangu i Garvin postanowili, że tym razem nie poprzestaną na maskowaniu i ucieczce. Wiedzieli, że na pewno pojawią się kłopoty i lepiej będzie prowadzić aktywne rozpoznanie.

–Dość mam wpadania w zasadzkę za każdym razem, gdy wychodzę z nadprzestrzeni – powiedział Yoshitaro, patrząc na trójkę pilotów aksaiów. – Zamierzam więc wykorzystać was jako nasz system wczesnego ostrzegania. Mam nadzieję, że w razie czego nie dacie się zabić i wróćcie z ostrzeżeniem.

Aksaie były podstawowymi maszynami bojowymi musthów w czasie konfliktu z Cumbre. Teraz, gdy nastał pokój, budowano je także dla Grupy, w wersji przystosowanej do ludzkiej anatomii i techniki pilotażu. Zaprojektowane w układzie latającego skrzydła, miały rozpiętość prawie dwudziestu pięciu metrów i mogły przenosić rozliczne rodzaje uzbrojenia. Z zasady jednomiejscowe, po dodaniu kolejnych, mocowanych na krawędzi natarcia modułów kokpitu pozwalały na zwiększenie załogi nawet do trzech osób. Były nieprawdopodobnie szybkie i zdaniem niektórych bardzo trudne w pilotażu.

W atmosferze miały skłonność do przepadania, toteż cały czas trzeba było pilnować szybkości. Przechodzenie z napędu antygravitacyjnego na pomocniczy, a potem na nadprzestrzenny wymagało sporego wyczucia. W próżni cechowało je tak wielkie przyspieszenie, że mniej wprawnego pilota mogło rozmazać po kokpicie.

Niemniej ci, którzy nauczyli się latać na aksaiach, byli w nich wręcz zakochani. Zapewne nigdy nie zbudowano maszyny zdolnej do podobnych akrobacji, chyba że w pradawnych czasach, gdy samoloty miały jeszcze śmigła.

Pomysł Garvina i Njangu był całkiem prosty: po wykonaniu skoku do zadanego punktu Gruba Berta nie miała od razu wychodzić z nadprzestrzeni, tylko czekać, aż wystrzelone aksaie zlokalizują pułapki, szaleńców albo czekające z kwiatami dziewice i wróć, aby o wszystkim zameldować.

W razie trafienia do wrogiego układu statek miał poczekać na aksaie. Gdyby musiał uciekać, piloci myśliwców winni wykonać skok do uzgodnionego punktu, wzywać pomocy i mieć nadzieję, że ta nadciągnie, zanim skończy się im powietrze.

Jednak nikt nie wierzył, aby kiedykolwiek mogło dojść do czegoś takiego.

Koniec końców latali na aksaiach...

Zabrzączały głośniki i wszechobecny syntetyczny głos, którego Garvin nie zdążył jeszcze zastąpić czymś ciekawszym, wezwał dyżurnego pilota aksaia, żeby zameldował się na mostku.

Zaintrygowany Alikhan odłożył karty i zastrzygł okrągłymi uszami.

Mostek Grubej Berty był równie niezwykły jak cały statek. Miał pókolisty kształt i mieścił się na szczycie przedziałów pasażerskich. Przednią ścianę zapełniały ekrany, z boku ciągnęły się moduły łączności i nawigacyjne, z tyłu zaś dobudowano rezerwowe stanowisko dowodzenia z widokiem na grzbiet olbrzymiego kadłuba.

Garvin uważał, że gdyby przebić tu jeszcze trochę okien, byłoby to idealne stanowisko dla reżysera cyrkowych efektów specjalnych.

Alikhan odebrał instrukcje i przeszedł zabudowaną kładką do ładowni, gdzie pod stropem, niczym nietoperze, wisiały trzy niezbyt już nowoczesne patrolowce klasy Nana i cztery aksaie.

Nogami do przodu wsunął się do wanny pod brzuchem myśliwca, po czym zamknął przezroczystą osłonę. Włączył zasilanie, sprawdził kontrolki, odczekał, aż pojawi się komunikat o gotowości wszystkich układów, i zameldował, że jest gotów do startu.

–Tu mostek – powiedział Garvin. – Koordynaty i plan lotu masz już w kompie pokładowym. Start wedle uznania.

Pokrywa luku odjechała na bok i ramię manipulatora wysunęło aksaia z ładowni. Alikhan wpatrywał się w przyrządy i starał się przekonać sam siebie, że rozmazane migotanie nadprzestrzeni dokoła nie może być powodem do mdłości, szczególnie gdy chodzi o mustha z bogatym doświadczeniem bojowym.

Na chwilę pojawiło się ciążenie i Alikhan zostawił Grubą Bertę daleko za sobą. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Gandna na temat układu, do którego właśnie wchodził. Trzy planety zasiedlone ponad dwieście standardowych lat temu, żadnych danych na temat ustroju politycznego, sił zbrojnych czy nastawienia wobec przybyszów. Wybrali ten układ na pierwszy przystanek na trasie, ponieważ był dość odległy od Lariksa i Kury, toteż zapewne Redruth tu nie namieszał i była nadzieja, że nie spotkają się z wrogim przyjęciem.

Aksai wyszedł z nadprzestrzeni, w ekranach pojawiły się gwiazdy i względnie bliskie planety. Alikhan ruszył z pełną szybkością w kierunku drugiej, która podobno pierwsza została skolonizowana. Wziął się też do przeszukiwania częstotliwości radiowych.

Zanim upłynęła godzina, wysłał na transportowiec meldunek o braku wrogiej reakcji.

Gruba Berta wyszła z nadprzestrzeni i kierując się sygnałem nadawanym przez myśliwiec Alikhana, wypuściła dwie nany pod dowództwem Chaki, a następnie sama ruszyła ich śladem.

Diii był na pokładzie jednego z patrolowców.

–I jak tam, mały przyjacielu? – spytał na standardowej częstotliwości, gdy byli już blisko.

–Ogólnie dobrze, ale dane macie do kitu.

–Jedynka, podaj szczegóły – rozległ się silniejszy głos z pokładu Grubej Berty.

–Tu jedynka, podaję. Tutaj nie ma nic i chyba nigdy nie było. Żadnych osad, budynków, mieszkańców.

I tak było naprawdę. W rzeczywistości żadna z trzech planet nie została nigdy zasiedlona, chociaż wszystkie znakomicie się do tego nadawały.

–To nie ma sensu – warknął Njangu. – Chyba że te gadki o pionierach z namiotami były tylko zasłoną dymną biurokratów, którzy położyli łapy na funduszach kolonizacyjnych. Ale że nikt tego nie sprawdzał? Przed dwieście lat?

Garvin potrząsnął głową.

–I jakim cudem nasza pieprzona Konfederacja przetrwała tyle lat przy takim natężeniu fikcji? Może wszystko to były tylko pozory?

–Mało prawdopodobne – wtrącił półgłosem Froude.

–No to może ty jakoś to wyjaśnisz!

Froude rozłożył bezradnie ręce.

–Mniejsza z tym – powiedział Garvin. – Ściągniemy rozpoznanie i spróbujemy raz jeszcze. Mnie też się to nie podoba. Nie lubię sytuacji, których nie potrafię wyjaśnić.

Froude spojrzał na niego.

–Może w poprzednim życiu byłeś naukowcem?

–Raczej kamieniem na plaży. Wrastałem w piasek i gapiłem się na gołe kobitki. Przygotować się do kolejnego skoku.

Garvin zdobył się na jedno poważne odstępstwo od tradycji marynarki. Postarał się, żeby mesa oficerska na Grubej Bercie była otwarta dla wszystkich. Njangu zgodził

się na to, jako że obaj woleli towarzystwo podoficerów i szeregowców niż wyższych szarż.

Na uwagi, że taki podział ma umożliwić dowódcom swobodną rozmowę, niemożliwą raczej w obecności podwładnych, odparł krótko, że wszyscy chętni do narzekań i obgadywania innych mogą to robić we własnych kabinach.

Usiadł w kącie z kuflem piwa, myśląc o tych koloniach, które nigdy nie powstały, gdy dostrzegł Darod Montagnę, także z kuflem w dłoni.

–Cześć, szefie – powiedziała. – Wolisz samotnie tonąć w myślach czy można się przysiąc?

–Klapnij sobie. Nie jest najgorzej, poza tym za chwilę powinien się tu zjawić Njangu.

Usiadła i upiła piwa.

–Dziękuję.

–Nie ma za co – odparł.

Przez kilka minut nic nie mówili. Garvin z jakiegoś powodu nie odczuwał potrzeby, aby chociaż udawać miłego kompana. Ogarnął go dziwny spokój.

W końcu zobaczył, że przez dość zatłoczone pomieszczenie przepycha się Njangu.

–Lepiej sobie pójdę – powiedziała Darod. – Pewnie macie masę wspólnych tajemnic.

Wstała, akurat gdy Gruba Berta lekko się zatrzęsła, wykonując następny skok nadprzestrzenny. Dziewczyna straciła równowagę i siadła Garwinowi na kolanach.

–Cholera! – warknęła, wstając. – Nigdy do tego nie przywyknę.

Garvin tylko się uśmiechnął. Chwilowy kontakt z jej krągłościami odebrał jako raczej przyjemny.

–Jak wszyscy – powiedział Njangu, zajmując jej miejsce. – Każę przeciągnąć pod kilem wachtowego, który nie uprzedził nas o skoku.

–To nie całkiem jego wina – powiedziała Montagna. – Nagłośnienie padło. Jeden z techników usiłuje coś z tym zrobić.

Niemal w tej samej chwili głośniki ożyły.

–Następny skok za trzy godziny czasu pokładowego. Był to ciągle ten sam, z głębi serca znenawidzony syntetyczny głos.

–Uwielbiam nowoczesną technikę – powiedział Njangu. – Zaraz poszukam siekiery i przejdziemy na rury głosowe. Albo flagi sygnałowe.

–Dobranoc, panowie – rzuciła Darod i odeszła. Njangu odprowadził ją spojrzeniem.

–W sumie niebrzydka – ocenił.

–W sumie tak – przyznał Garvin z udawaną obojętnością.

–Próbowała pomówić z tobą o czymś szczególnym?

–Niespecjalnie.

–W każdym razie uważaj – mruknął Njangu.

–Na co?

Njangu przyjrzał mu się uważnie.

–Żeby nie rozlać piwa, sir.

–Na wszystkie święte mamuśki – szepnął Garvin, patrząc na ekran.

–Aha – mruknął Njangu. – Ktoś poszedł na całość.

Wedle informacji, z jakimi tu przybyli, planeta w dole miała być zamieszкана i silnie ufortyfikowana. To jednak, co widzieli, było jedną radioaktywną ruiną. Nie inaczej wyglądały jej bliźniacze księżycy.

–Jakieś transmisje? – odezwał się Garvin, spoglądając na łącznościowca.

–Tylko szum, sir. Silniejszy w rejonie lejów po bombach. Przez chwilę wydawało się nam, że odbieramy coś z jednego z księżyców, ale to tylko przypadkowe sekwencje. Nic więcej, sir.

Njangu podrapał się w podbródek.

–Cały układ poszedł w diabły – mruknął. – Podobno mieszkało tu pięć miliardów ludzi. – Wzdrygnął się. – Wygląda na to, że są gorsze rzeczy niż skorumpowane imperium.

–Może i tak – powiedział Garvin. – Chyba że to właśnie Konfederacja zerwała z pokojową polityką. Wachtowy!

–Sir!

–Zabieramy się stąd. Wprowadź koordynaty następnego układu.

–Mam pewne pytanie – odezwała się Maev.

–A ja znam odpowiedź – odparł Njangu i ziewnął. – Swoją drogą miło tak leżeć, z twoją głową na mojej piersi.

–Pamiętam, że chcieliście kiedyś z Garvinem zdezerterować przy pierwszej nadarzającej się okazji. Meliście tylko poczekać na dogodny po temu świat.

–To było dawno, w czasach naszej szczeniackiej młodości – odparł Njangu. – Zanim jeszcze poznaliśmy, co to honor i jak słodko jest służyć Konfederacji.

–Tymczasem to wszystko – powiedziała Maev, zataczając krąg ledwie widoczną w półmroku ręką – nie wydaje się obliczone jedynie na osobiste korzyści. Chyba że zamierzacie urwać się z tym statkiem.

–No nie, to akurat nawet nie przyszło mi do głowy – stwierdził Njangu i usiadł.

Maev też usiadła.

–Mam wrażenie, że mówisz prawdę.

–Owszem, mówię prawdę. Rzadko kłamię, a już nigdy kobiecie, z którą jestem.

–Dobrze. Skoro więc teraz nie kłamiesz, co będzie, jeśli jednak trafimy na jakiś rajski zakątek, o którym nikt nigdy nie słyszał? Co wtedy?

–Ciekawa ewentualność – mruknął Njangu. – Gdyby cokolwiek takiego istniało, dawno już zostałyby zajęte. Jeśli jednak nie... przy moim szczęściu zaraz gdybyśmy się osiedlili w tym rajcu, zjawiłaby się tam jakaś paskudna, uzbrojona po zęby banda. Nie, moja kochana. Obawiam się, że zadałaś się z uczciwym głupcem. Przynajmniej obecnie.

–Obecnie głupcem czy obecnie uczciwym?

–Chyba jedno i drugie. A teraz bądź tak dobra i podaj rzemienie. Zróbmy jeszcze jeden numerek, zanim podejmiemy obowiązki obrońców Konfederacji.

Następny układ był zamieszkany.

Diii wyprowadził aksaia z nadprzestrzeni i na tablicy przyrządów zaraz zapłonęły alarmy. Z materiałów, które dostał na odprawie, wynikało, że powinny tu być cztery zasiedlone planety. W katalogu gwiazdowym tutejsze słońce nosiło oznaczenie R897Q33, niegdyś zaś 2345554, układ natomiast nazywał się Carroll.

Trzy... nie, aż pięć jednostek szło ku niemu kursem zbliżeniowym, przy czym dwa próbowały już ustalić, na jakiej częstotliwości nawiązać z nim kontakt.

Ułatwił im robotę, odzywając się na standardowym kanale alarmowym.

–Do nieznanych jednostek... mówi patrolowiec... Diii. – Musiał sobie pozwolić na inicjatywę, jako że nikt nigdy nie wpadł na pomysł, żeby jakoś ponazywać aksaie, a przedstawiać się jako jedynka czy dwójka było mu głupio.

–Patrolowiec Diii, tutaj niszczyciel Łopat. Właśnie wszedłeś w przestrzeń Konfederacji.

Diii spojrzął zdumiony na ekran i czym prędzej przekazał tę nowinę na Grubą Bertę.

Na dodatkowym wyświetlaczu, który zamontowano jeszcze przed opuszczeniem Cumbre, pojawił się komunikat:

Identyfikacja pozytywna. Według Janes trzy z zaobserwowanych jednostek należą do konfederackiej klasy Diaz. Gdy redagowano to wydanie katalogu, znajdowały się w końcowej fazie przygotowań do produkcji seryjnej.

Diii nie czytał już, jakie mają uzbrojenie i załogi.

Jestem w domu, pomyślał z radością, ignorując uparcie wracające pytanie, czym właściwie jest dla niego dom.

Chciał się już przedstawić, ale coś go powstrzymało. Ostatecznie każdy może powiedzieć, że ma coś wspólnego z Konfederacją.

–Mówi Diii – rzucił do mikrofonu. – O ile zrozumiałem ostatni przekaz, ten obszar należy do Konfederacji. Skoro tak, jestem z tego bardzo zadowolony.

W pobliżu pojawiła się kolejna, nieco większa jednostka. Czujny Jane's podpowiedział, że jest to przestarzały lekki krążownik klasy Daant, zapewne Quiroga.

–Mówi admirał von Hayn – odezwał się ktoś z drugiej strony. – Nie znamy klasy dwóch jednostek prowadzących. Nie powstały w stoczniach Konfederacji. Trzecia jest typowym patrolowcem układowym. Czekam na wyjaśnienia.

–Mówi DUL Moja jednostka jest lokalnej produkcji. Ostatnia identyfikacja poprawna.

–Nie wyglądacie na zespół zdolny do lotów dalekodystansowych. Przypuszczam, że jesteście strażą przednią większych jednostek. Podajcie, z jakiego układu wyruszyliście.

–Erwhon – odparł Diii, żałując, że na jego miejscu nie siedzi Garvin albo Froude. –

Reszta formacji jest jeszcze w nadprzestrzeni, czeka na wyniki rozpoznania.

–Nie znamy układu, którego nazwę podałeś.

–Został skolonizowany na krótko przed utratą łączności z Konfederacją, ale myślałem, że wymieniono go w jakichś biuletynach. A swoją drogą, co się stało z naszym imperium? – Diii nie mógł się powstrzymać przez zadaniem tego pytania.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

–Mówi admirał von Hayn. Nie mamy kontaktu ze światami macierzystymi, ale własnymi siłami utrzymujemy tutaj ład i porządek.

–To tak jak my – odparł Diii. – A teraz próbujemy nawiązać kontakt.

Znowu zapadła cisza.

–Skomunikowaliśmy się z przelożonymi – odezwał się w końcu admirał von Hayn. – Nie dostaliście zgody na wejście do układu Carroll. Macie go opuścić, w przeciwnym razie otworzymy ogień. Jeśli z nadprzestrzeni wyjdą kolejne jednostki, zostaną uznane za wrogie i ostrzelane. Powtarzam, nie macie zgody na wejście. Opuśćcie natychmiast nasz układ albo zostaniecie zniszczeni.

–Ale paranoja – mruknął pod nosem Diii i włączył mikrofon. – Von Hayn, mówi Diii. Przybywamy w pokoju, chcemy tylko uzupełnić prowiant i tak dalej.

W odpowiedzi Quiroga wystrzelił dwie rakiety w kierunku aksaia Dilla.

Ben chętnie odpowiedziałby tym samym, ale stosując się do rozkazów, czym prędzej uciekł w nadprzestrzeń. Pozostałe jednostki poszły w jego ślady.

Wprowadził maszynę do ładowni i posapując ze złości, pomaszerował na mostek.

Garvin, Froude i Njangu już na niego czekali.

–I co zrobić z takimi draniami? – warknął od progu.

–Wszystko słyszeliśmy – powiedział Froude. – Cały czas byliśmy na nasłuchu.

–No to co dalej? – spytał Diii.

–Wykonamy następny skok, byle dalej stąd – odparł Garvin. – Podsluchaliśmy też trochę transmisji z ich głównej planety. Chcesz posłuchać?

Włączył odtwarzacz.

– „Pora posiłków dla obywateli klas Z, E i H została przesunięta o piętnaście minut” – rozległ się twardy męski głos. – „W ciągu czterech zmian roboczych pod groźbą kary należy wyrazić wdzięczność za tę modyfikację. Ponadto...” – Chwila szumów i tym razem odezwała się kobieta: – „Z powodu spadku zaciągu ochotniczego do pracy wprowadzamy przymusowy pobór, który zostanie przeprowadzony w dystryktach Alf, Mass...”

– O rany... mówią, kiedy jeść i gdzie pracować. Jak myślicie, można by z nimi zrobić porządek?

– Na razie nie trzeba nam nowych kłopotów – powiedział Froude. – Ale kiedyś tu wrócimy i porozmawiamy z gospodarzami o ładzie i porządku.

Troje pilotów aksaiów siedziało w dyżurce i czekało na wezwanie do mesy albo rozkaz startu.

– Przychodzi mi do głowy, że wszechświat być może nie jest dla nas przyjazny – powiedział Ben.

– A kiedykolwiek taki był? – spytała Boursier. – Czyżbyś nie uważał na lekcjach astronomii?

– Nie myślę o czarnych dziurach, pulsarach i tak dalej. Chodzi mi o ludzi. Nie trafiliśmy jeszcze na żaden w miarę normalny układ.

– Nie przesadzaj – odezwał się Alikhan. – Pamiętam opowieść o wielkim wojowniku musthów, który zgubił się kiedyś w puszczy. Nie zrażał się jednak i starał się wydostać z matni. Wierzył, że „któraś z tysiąca dróg na pewno prowadzi do domu”.

Diii spojrzał z zastanowieniem na obcego.

– Niech mnie. Nigdy nie myślałem, że musth będzie mnie pocieszał.

– Ja też nie – dodała Boursier. – I co, ile trwało, nim temu wojownikowi udało się znaleźć drogę do domu?

– Nie udało mu się – powiedział Alikhan. – Te słowa znaleziono wyryte na drzewie, pod którym umarł z głodu.

Salamonsky

–Podejdź bliżej, Ben – powiedział beznamiętnie Garvin.

–Tak jest – odparł Diii i zanurkował w atmosferę planety o nazwie Salamonsky.

Garvin odwrócił się od ekranu.

–Co za dranie zaatakowali planetę cyrkową? – rzucił w przestrzeń. – Nigdy nikogo nie skrzywdziliśmy... Przecież tylko zabawialiśmy ludzi i pozwalaliśmy im wracać do domu z uśmiechem...

–A słyszał pan kiedyś o Żydach? – spytała nagle młoda kobieta siedząca przy ekranie jednego z radarów.

Garvin spojrzął na nią, ale zaraz odwrócił spojrzenie. Tysiąc kilometrów niżej Diii namierzał niegdysiejsze lądowisko.

–Kapitanie Liskeard, zechce pan wejść w atmosferę – rozkazał Garvin. – Może uda nam się ustalić, kim byli agresorzy. Proszę wysłać dwa patrolowce jako ubezpieczenie.

–Tak jest.

–Gdy zejdziemy pod stratosferę, będzie pan tak dobry i wyśle jeszcze dwa aksaie oraz jeden patrolowiec. Niech mają na oku okolicę.

Njangu podszedł bliżej.

–Masz jakieś przeczucie?

–Nie całkiem. Ale wolę się przygotować na ewentualną strzelaninę.

Diii zszedł na dwieście metrów nad płytę lądowiska, które nosiło ślady metodycznego nalotu. Wieża została zburzona, hangary i budynki administracyjne spłonęły. Tu i ówdzie widać było wraki statków, zarówno nowoczesnych, jak i całkiem przestarzałych. Wszystkie były pomalowane na jaskrawe, cyrkowe kolory, nieco już wyblakłe.

–Ktokolwiek ich zaatakował, stało się to chyba niecały rok temu – powiedział Njangu. Leje po bombach nie zdążyły zarosnąć, a tamten stary poduszkowiec nawet jeszcze nie całkiem oklapł.

Na ekranie przesuwano się teraz miasteczko przy lądowisku. Miało z paręnaście kilometrów kwadratowych, zabudowa była raczej rzadka.

–Zastanawia mnie, czy któryś z tych domów należał do mojej znajomej rodziny karłów – powiedział cicho Garvin. – Jeździliśmy do nich w gości, gdy byłem dzieckiem. Wszystko w domu mieli dostosowane do swoich rozmiarów. Byli mniejsi niż ja i czułem się przy nich jak olbrzym. Tylko ich córka była inna. Miała chyba trzynaście lat i była piękna. Zakochałem się w niej, ale ona oczywiście nawet nie zauważała dziewięciolatka.

Ujrzeni centrum biznesowe zmienione w otoczony ruinami wielki lej.

–Mam nadzieję, że próbowali walczyć... – powiedział Garvin.

Odezwał się oficer łączności:

–Sir, mamy transmisję we wspólnym, na standardowym kanale Konfederacji. Puścić na głośniki?

–Tak – powiedział Garvin. – I ustalić miejsce nadawania.

Jakość sygnału była słaba, głos zaś obojętny, jakby kobieta, która mówiła, powtarzała tę samą kwestię już tysiące razy.

–Do nieznanego statku... zaobserwowaliśmy wasze wejście do atmosfery. Jesteśmy uchodźcami ze zniszczonych osiedli. Nasz świat został złupiony. Ocaliliśmy tylko my. Na Allaha, niech to będzie statek, nie meteoryt... Proszę. – Urwała na chwilę i zaczęła powtarzać swoje błaganie o pomoc.

Garvin sięgnął do mikrofonu, ale Njangu go powstrzymał.

–Niech sobie trochę pogada. Nie zawadzi.

–Dlaczego?

–Zaraz będziemy wiedzieli, skąd nadaje. Nie zaszkodzi chyba posłać tam najpierw bezzałogową sondę. Mamy tylko jedną Bertę i nie ma co ryzykować.

Garvin zacisnął usta, ale zaraz się opanował.

–Masz rację.

Njangu rozkazał jednemu z patrolowców, żeby wystrzelił sondę atmosferyczną. Chwilę później otrzymali koordynaty nadajnika.

–Nisko nad ziemią – poleciał Garvin pilotowi. – Chcę mieć wszystko na ekranie.

Włącznie z odczytami wykrywaczy metalu.

Technik dał na ekran obraz z kamer sondy. Mknęła nad porośniętymi lasem wzgórzami, minęła jezioro, potem małą dolinę. I znowu ujrzeli lasy.

–To tutaj – powiedział Liskeard. – Niczego nie widać. Ci biedacy pewnie kryją się w ziemiankach.

–Proszę spojrzeć na ten ekran, sir – odezwał się do niego technik.

Garvin też zerknął. Ujrzał wyraźne zygzakowate linie.

–Krzaki, drzewa... i cała masa metalu – rzekł Njangu. – Statki pod siatką kamuflażową?

–Cholera! – zaklął ktoś, widząc wspinającą się w niebo smugę siwego dymu.

–Biedacy z ziemianek nie mają zwykle rakiet przeciwlotniczych... a w każdym razie nie sięgają po nie, gdy przybywa ratunek – powiedział Liskeard.

–Zaiste – stwierdził Garvin. – Łączyć ze wszystkimi.

–Tak jest, sir. Już.

–Do wszystkich. Przekazuję namiar celu. Mamy tu kilka ukrytych statków. Ostrzelały nas rakietami, pewnie mają też działka. Nany wzniosą się na dziesięć tysięcy metrów, odejdą dwa kilometry i wystrzelą goddardy. Odpalenie na rozkaz. Akksaie, odsunąć się, potem będziemy mieli dla was robotę. Chwila... przerwać. – Garvin dojrzał startującą spomiędzy drzew jednostkę. – Nany... zająć się tym na dole.

–Tak jest – odparł alt Rad Draf. – Dwójka, macie go na oku?

–Mam, sir.

–Dwa razy shadow. Na mój rozkaz... ognia! Metrowe pociski przeciwokrętowe typu Shadow wysunęły się z zasobników.

–Posłali antyrakiety i wabiki – zameldował dyżurny elektronik. – Jeden zszedł z kursu... drugi... Trafił! Trafił!

Kula ognia, która jeszcze przed chwilą była małym okrętem kosmicznym, runęła na las.

–Nany... wrócić do odpalania goddardów! – rozkazał Garvin.

–Na mój rozkaz – powiedział spokojnym głosem Draf. – Namiar celu według danych z Berty... Każdy po jednym pocisku. Ognia!

Goddardy, ciężkie rakiety o długości sześciu metrów i zasięgu pięciuset kilometrów, runęły ku dolince.

Działka przeciwlotnicze na dole plunęły ogniem, ale chybiły.

Wszystkie cztery rakiety trafiły w odległości piętnastu metrów od siebie i przeorały las. Ziemia zakołysała się, podmuch zerwał siatki maskujące ze stanowisk artylerii i dwóch okrętów, które zaraz zajęły się płomieniami. Przez las przetoczyły się ogniste fale wtórnych eksplozji.

–Aksaie – odezwał się Garvin – jeśli coś tam jeszcze zostało... zniszczyć.

Myśliwce zanurkowały ku pożarom. Boursier oddała dwie krótkie serie z działek.

–Zdjęłam kilku ludzi z bronią – zameldowała. – To już wszyscy.

–To by było na tyle – powiedział Garvin. – Do wszystkich, wracajcie.

Spojrzał na ekran ukazujący płonącą dolinę, potem na Njangu.

–Mam nadzieję, że tych porwanych nie było tam naprawdę – bąknął Yoshitaro.

Garvin zazgrzytał zębami.

–Nawet jeśli... próbowali nas wciągnąć w pułapkę! – warknął.

–Cóż, racja. Przepraszam, szefie.

–Nie, to ja cię przepraszam. Trochę mnie poniosło.

–Mniejsza z tym – powiedział Njangu. – Chyba zostały jeszcze jakieś miejsca, w którym możemy poszukać słoni?

–Owszem. Nawet dwa, gdyby było trzeba.

–No to jeśli nie masz zamiaru robić śledztwa, skąd przylecieli ci dranie, i odpłacić ich mocodawcom, proponowałbym zbierać się jak najszybciej.

–Tak – mruknął Garvin. – Nic tu po nas.

Dwa z siedmiu kolejnych układów, w których wyszli z nadprzestrzeni, były zamieszkane, jednak wysłane na zwiad aksaie ustaliły, że oba od dawna już nie mają kontaktu z Konfederacją i obecnie tracą kolejne zdobycze cywilizacji.

Boursier zameldowała, że w tym drugim używano nawet prymitywnych elektrowni jądrowych.

–Chyba nie ma sensu prosić ich o pomoc, skoro radzą sobie jeszcze gorzej niż my – zasugerował Njangu.

–Jasne – zgodził się Garvin. – Poza tym czeka na nas piękny i wesoły Grimaldi.

–Oby...

Langnes 4567/Grimaldi

–Tu kontrola przestrzeni Grimaldi – rozległ się kobiecy głos. – Przejdźcie na kanał pięć-pięć-cztery-kropka-osiem-siedem. Macie zgodę na lądowanie. Możecie zejść pionowo z obecnej pozycji, potem obrać kurs nan jedenaście i przelecieć nim dwadzieścia dwa kilometry. Widoczność jest dobra, więc wtedy gdzieś pewnie zobaczycie lądowisko Joey. Podajcie hasło jedenaście teng, to podświetlą wam stanowisko.

Kobieta zamilkła na chwilę i podjęła nieco innym tonem:

–Jesteśmy pokojowo nastawionym światem i chętnie was powitamy. Jednak jeśli macie inne zamiary niż zadeklarowane, wiedzcie, że jesteście śledzeni przez rozmaite systemy uzbrojenia, których wolelibyśmy nie używać. Odbiór.

–Mówi Gruba Berta – odezwał się Liskeard. – Jesteśmy tymi, za których się podaliśmy. Potwierdzam, kurs nan jedenaście przez dwadzieścia dwa kilometry, potem podać hasło jedenaście teng i lądować po podświetleniu stanowiska. Kanał łączności pięć-pięć-cztery-kropka-osiem-siedem. Odbiór.

–Zakładam, że wiecie, co znaczy nazwa waszego statku, pozwolę więc sobie powiedzieć: Witajcie w domu. Bez odbioru.

Njangu spojrział na Garvina i mógłby przysiąc, że przyjacielowi szklą się oczy. Po raz pierwszy zastanowił się, co on sam mógłby nazwać swoim domem. Na pewno nie slumsy planety Ross 248, na której się urodził.

–Sir, zaczynamy podejście – powiedział Liskeard. – Chciałby pan może przemówić do załogi?

Garvin, który już miał zejść z mostka, cofnął się.

–Tak, dzięki. – Wziął mikrofon.

–Mówi gaffer Jaansma. – Zdecydował się używać tego starego tytułu, zanim jeszcze weszli do układu Grimaldi. Chciał, żeby wszyscy zdążyli przywyknąć do nowej sytuacji. – Od tej chwili wszyscy jesteśmy cywilami. Niech nikt się nie waży salutować ani trzaskać kopytami. Wiecie, za kogo macie się podawać. Za amatorską trupę cyrkową, która nieźle się dorobiła i chce szerzyć pokój, zabawiając ludzi, a przy okazji dowiedzieć się, co z Konfederacją. Nie musicie udawać, że poszaleliście, skoro macie takie pomysły. Ludzie, których spotkamy, już uważają, że szukamy kłopotów. Od teraz zacznijcie się najciekawsze. – Wyłączył mikrofon i spojrział na

Njangu. – Ale cyrk.

Garvin mógł czasem folgować sentymentom, ale nie był głupcem. Aż do samego przyziemienia za Bertą podążały dwa aksaie skryte w jej cieniu radarowym. Nany były gotowe do natychmiastowego wystrzelenia, zostały obsadzone ukryte stanowiska bojowe. Przede wszystkim dotyczyło to szybkostrzelnych działek kalibru trzydzieści pięć milimetrów strzelających pociskami ze zubożonego uranu oraz wyrzutni zdalnie naprowadzanych pocisków Shrike, które nadawały się do rażenia każdego celu.

Nie stało się jednak nic niepokojącego i niebawem wszyscy ruszyli ku rampom.

Na zewnątrz czekał już co najmniej tuzin ślizgaczy antygravitacyjnych. Niektóre były w cyrkowych barwach, dwa zaś nosiły znaki miejscowych stacji holo.

Obok stały ze cztery dziesiątki ludzi. Byli równie podnieceni jak Garvin. Lir zauważyła, że ich wygląd odbiega od normy. Troje miało ramiona pokryte tatuażami, jeden był prawie tak samo rosły jak Ben Diii. Stawiła się też kobieta z pokaźną brodą oraz dwie karlice, przy czym jedna chyba jako reporterka.

Przed grupę wyszła wytworna długowłosa kobieta ubrana w same skóry.

–Witaj, Gruba Berto – powiedziała oficjalnie. – Mam nadzieję, że znajdziecie u nas wszystko, czego szukacie. Jestem Agar-Robertes, ludzie nadali mi tytuł gaffera, jednego z kilku na tym świecie. To starożytne słowo, oznacza...

–Wiem, co oznacza – przerwał jej Garvin. – Jestem gaffer Jaansma.

Kobieta uniosła brwi.

–Z tych Jaansmów?

–Jestem Garvin. Moja matka miała na imię Clyte, ojciec Frahnk, stryjek Hahrl. Zanim...

–Nie trzeba. Robisz w tym fachu dłużej niż my wszyscy.

Garvin pochylił głowę.

–Sukinsyn – szepnął Njangu do Dilla. – On wcale nie kłamał z tym cyrkiem.

–Macie imponujący statek – powiedziała kobieta. – Czy mogę spytać o ładunek?

–Na razie lecimy prawie na pusto. Dlatego przybyliśmy na Grimaldiego. Chcemy stworzyć prawdziwy cyrk. Szukamy ludzi, nieludzi i zwierząt.

–Zatem wreszcie zmienia się na lepsze – powiedziała Agar-Robertes, przekrzykując

wybuchły nagle zgiełk. – Gdy cyrki ruszają w drogę, znaczy to, że robi się bezpiecznie.

Garvin skrzywił się lekko.

–Chciałbym, żebyś miała rację, ale przygody, które mieliśmy w drodze, świadczą, że jeszcze nie jest najlepiej.

–Niemniej to już coś. Nie zabraknie wam chętnych. Ostatnio tak upadliśmy, że zaczęliśmy zabawiać jedni drugich. Niektórzy nawet przyjęli posady! – szepnęła zbulwersowana.

Mieszkańcy Grimaldiego przywitali ludzi z Grubej Berty jak swoich. Statek stanął w rogu lądowiska, aksaie i patrolowce trafiły do warsztatów na przegląd, wkoło zaś rozłożył się prawdziwy cyrk.

Przed statkiem rozbito główny namiot, obok zaś pozostałe, jak kantyny czy kłownów. Te ostatnie z prefabrykatów.

Część trupy zdecydowała, że na jakiś czas ma dość statkowych kabin, i przeprowadziła się do miasta. Garvin nie protestował, ale pilnował, żeby wszyscy stawiali się na wachty.

Pomyślał też, że nie zaszkodzi, jeśli Cumbryjczycy poznają jakiś inny świat. Dotąd nie mieli po temu żadnej okazji, Grimaldianie zaś byli doprawdy niezwykłym narodem.

Spora część tej populacji, tak jak pierwsi osadnicy, była ludźmi cyrku. Do nich doszłusowali potem maniacy religijni, informatycy, aktorzy i muzycy. Było też trochę urlopowiczów uwięzionych na planecie po rozpadzie Konfederacji, nieco fanów cyrku oraz ludzi, którzy trafili tu i zostali czystym przypadkiem.

Wszyscy żywili uwielbienie dla wolności osobistej, chociaż, jak zaznaczył jeden z miejscowych, uważali, że nie może ona sięgać „dalej mojego nosa”.

Niemniej bardzo brakowało im Konfederacji. Ktoś tak to wyjaśnił Njangu: „Gdy prawo jest prawem, łatwiej się podróżuje. Łatwiej też uniknąć kłopotów, kiedy pora wyjechać z utargiem”.

Njangu zaczynał z wolna rozumieć, czego brakowało Garwinowi przez te wszystkie lata. I tym bardziej nie pojmował, co jego przyjaciel robi w wojsku.

Co prawda sam też nie potrafił powiedzieć, co go trzyma w mundurze.

–A cóż to takiego, na święte pierwiastki? – spytał Njangu, patrząc podejrzliwie na

stos białej tkaniny ze skórzanymi obszyciami, żelaznymi oczkami i zwojami grubej liny.

–To namiot – odparł Garvin. – Prawdziwy namiot.

–A do czego służy taki namiot?

–Będziemy najlepszym cyrkiem, jaki kiedykolwiek... no, najlepszym obecnie w tej galaktyce. Na ile więc to możliwe, będziemy występować pod brezentowym dachem.

–Po co? Mamy świetny statek z wymarzonym dachem. Jest bezpieczny, szczelny i nie trzeba go stawiać. Po co więc?

–Bo nic bardziej nie pachnie cyrkiem niż płótno cyrkowego namiotu – odrzekł Garvin. – I jeszcze prażone orzeszki i popcorn. I słoniowe kupy.

–Będę musiał powiedzieć Jasith, jakie są twoje ulubione zapachy – zaśmiał się Njangu. – Pewnie ją to zainspiruje i wypuści nową serię perfum.

–Mamy poważny problem – powiedział któregoś dnia Garvin. – Siadaj, nalej sobie i pomóż mi coś z tym zrobić.

–Dawno nie słyszałem lepszego zaproszenia – stwierdził Njangu, po czym opadł na krzesło przed biurkiem Jaansmy, sięgnął po butelkę, napełnił szklaneczkę i łyknął.

–Uff... Co to jest? Płyn do czyszczenia dysz?

–Blisko. Chłopcy z siłowni podrzucili. Trzykrotnie destylowany. Za którymś łykiem nabiera smaku.

–Nie wątpię – mruknął Njangu. – A teraz mów, jaki to problem.

–Každy cyrk powinien mieć coś, co będzie nadawało mu charakter. Jakiś motyw przewodni, akcent przewijający się na kostiumach, określony styl...

–Hmmm...

–Dobrze, jeśli jest to coś sentymentalnego.

–A, to coś się wymyśli. Nalej.

Garvin napełnił jego szklaneczkę.

–Łykam, a nie staje się lepsze – stwierdził kwaśno Njangu, opróżniwszy ją. – Może lepiej byłoby podawać ten trunek dożylnie? Szkoda gardła. Ale chciałeś jakiś motyw przewodni. Mam coś takiego. Będzie nawet pasowało do charakteru naszej tajnej

misji. Związek Wszystkich Światów. Możemy wykorzystać to, że ludziom cni się za Konfederacją, i ubrać naszych w kostiumy typowe dla rozmaitych planet. Najlepsze byłyby ze świata nudystów, jeśli jest taki...

–No proszę. Od dawna podejrzewałem, że jesteś geniuszem – powiedział Garvin.

–Podejrzewałeś?! To tego nie widać?!

–Co jest grane, szefie? – spytała Darod Montagna. Stali przed Grubą Bertą, tuż obok wysokiego kolistego ogrodzenia opartego o jeden ze wsporników ładowniczych statku. W zagrodzie widać było Garvina i Bena Dilla.

–Nasz nieustraszony wódz będzie pertraktował w sprawie niedźwiedzia – odpowiedział Njangu.

–Czego?

–Takiego wielkiego włochatego zwierzęcia. Podobno wywodzi się jeszcze z Ziemi. Piszą o nim, że zwykle nikogo nie zaczepia, ale jeśli kto zaczepi je, to nie ma co zbierać. Garvin uważa, że bardzo by się nam przydało.

–Po co? Co chcą z nim zrobić? A może mamy w programie pożeranie widzów?

–Po dobrej tresurze taki niedźwiedź potrafi podobno jeździć na rowerze, tańczyć, fikać koziołki... Całkiem jak przeciętnie głupi człowiek.

–Ale po co nam coś takiego?

–Bo jesteśmy w cyrku... – odparł Njangu.

–...a co to za cyrk bez niedźwiedzia – dokończyła za niego Montagna. Ostatnio bardzo często słyszeli tę argumentację, czy to chodziło o żonglerów, czy o kolejne zwierzę.

–Sama widzisz. Okazało się, że na wzgórzach mieszkają goście, którzy hodują prawdziwe niedźwiedzie. Agar-Robertes sugerowała wprawdzie, żebyśmy kupili parę robotów przebranych za te zwierzaki, ale Garvin stanął okoniem. On chce mieć autentyk. Popatrz. To chyba ten hodowca.

Unoszący się nad lądowiskiem ślizgacz wyglądał jak ofiara cotygodniowych stłuczek. W otwartej ładowni miał zamocowaną klatkę, w klatce zaś krążyło wielkie zwierzę z brunatną sierścią, potężnymi kłami i pazurami.

–Jezu – mruknęła Darod. – Na sam widok można się wystraszyć. Czy ktoś ma blaster?

–Garvin wspominał, że wedle hodowcy tenniedźwiedź jest łagodny jak dziecko.

Bestia ryknęła tak głośno, że aż pręty klatki wpadły w rezonans.

–Jakie dziecko? – spytała Darod.

–A o tym nie było mowy.

Pojazd wylądował i wysiadł z niego jakiś kudłaty mężczyzna. Przywitał się z Garvinem, przedstawił się jako Eneas i pokuśtykał do klatki.

–To Li’l Doni – powiedział. – Najpiękniejsza niedźwiedzica, jaką widziałem. Mam jeszcze dwa miśki podobne do niej, gdybyście potrzebowali zespołu.

Njangu stłumił parsknięcie.

–Zespołu... – powtórzył półgłosem.

–Mówiłeś, że jest łagodna – powiedział Garvin, spoglądając na szramę na przedramieniu mężczyzny.

–To była robota jej matki – wyjaśnił Eneas. – Doni raz tylko złamała mi nogę, ale to była moja wina. Zwykle to moja wina. Proszę, sami ją zobaczcie.

Dopiero teraz Garvin zauważył, że Li’l Doni jest trzymana nie tylko za kratami, ale i w łańcuchach, które nałożono jej na przednie łapy. Eneas otworzył klatkę i niedźwiedzica wytoczyła się ze środka. Parsknęła, stanęła na dwóch łapach i zerwała łańcuchy, po czym warcząc, zamierzyła się na Eneasa, który przytomnie zanurkował pod ślizgacz.

Straciwszy go z oczu, Doni obróciła wzrok na Bena Dilla, który zaraz poszedł w ślady hodowcy. Niedźwiedzica nie miała wyboru – musiała zająć się Garvinem. Pod ślizgaczem nie było już miejsca, Yaansma wskoczył zatem na klatkę.

Zostawszy samotnie na placu boju, Doni okrążyła trzy razy ogrodzenie, przyjrzała się oknu ślizgacza i wybiła je od niechcienia.

Njangu dostał ataku śmiechu. Aby ustać na nogach, musiał się oprzeć o wspornik ładowniczy Berty.

Doni zauważyła go w końcu i pognała na wesołka. Uderzyła w ogrodzenie, odbiła się od niego i pozbierawszy się, przeszła górą jak po drabinie. Njangu jednak równie sprawnie jak ona wspiał się po wsporniku.

Darod Montagna przypomniała sobie, że ma coś pilnego do załatwienia na pokładzie. Na wszelki wypadek zamknęła za sobą drzwi śluzy.

W końcu Eneas wyszedł spod ślizgacza, znalazł nowe łańcuchy i Li'I Doni zniknęła z życia cyrku.

Trzy dni później Njangu zamówił dwa automatyczne niedźwiedzie. Bardzo nalegał, aby jednego z nich nazwać Li'I Doni.

Dyrygent nazywał się Raf Aterton i zdaniem Njangu musiał być inkarnacją co najmniej sześciu generałów i dwóch dyktatorów. Miał srebrzyste włosy, zdecydowaną postawę i nie pozwalał na żadne dyskusje żadnemu z czterdziestu muzyków, których zaangażowali. Mówił niby cicho, ale jakimś cudem słyhać go było nawet na drugim końcu lądowiska.

–Słuchajcie teraz uważnie. Wszyscy macie przed sobą po partyturze. Utwór nazywa się Konfederacki marsz pokoju. Nauczycie się go grać tak dobrze, że będziecie mogli odtworzyć swoją partię nawet przez sen – notabene część z was mogłaby się wreszcie obudzić. To najważniejszy element przedstawienia. Jeśli zagramy Marsz pokoju, będzie to znak, że mamy kłopoty. Pożar. Koty poza wybiegiem. Cokolwiek. Gdy pracownicy cyrku usłyszą, co gramy, zaczną się bacznie rozglądać, aby zażegnać niebezpieczeństwo. Jeśli będziemy w namiocie, wyprowadzą zwierzęta i kogo się da. My zostaniemy do końca i dołączymy do reszty dopiero wtedy, gdy wykonamy swoje zadanie.

–Mam pytanie, maestro – odezwał się klawiszowiec. – A jeśli będziemy akurat na statku?

–Robić swoje, potem ewakuować się spokojnie. Albo wykonywać polecenia gaffera Jaansmy.

–A w próżni?

–To już chyba nie nasze zmartwienie.

Gdy mężczyzna puścił trapez, kobieta zrobiła dwa powolne obroty nad siatką i wyleciała wysoko w górę, gdzie stwór wysunął swoje długie macki i złapawszy oboje, wyrzucił ich jeszcze wyżej, aż wrócili na pomost, z którego skoczyli.

–Pięknie – powiedział Ben. – Połowa trupy to ludzie, połowa niekoniecznie. Jak nazywają się te ośmiornicowate stworzenia?

–Mówią na siebie raTelan – wyjaśnił Garvin. – Szef grupy twierdzi, że dorównują inteligencją przeciętnemu, niezbyt rozgarniętemu człowiekowi.

–Ciekawe – mruknął Erik Penwyth. – Z tyloma kończynami i takim rozumem powinny być raczej pilotami.

–Uważaj – ostrzegł go Ben Diii.

RaTelanie mieli cylindryczne ciała z osadzonymi w regularnych odstępach mackami. Ich oczy łypały złowieszczo ze szczytu głowy.

–Umieją mówić? – spytał Ben.

–Jeśli uprzejmię zagadnąć, to tak – odparł Garvin.

–Dzisiaj jesteście szczególnie uprzejmi – warknął Diii.

–Rozumiem, że ich zaangażowałeś? – spytał Erik, ignorując Bena.

Jakiś raTelan rozbijał się na trapezie, potem skoczył w górę i złapał linę rozciągniętą między dwoma masztami. Przeszedł po niej z jednego końca na drugi, odwiązał kolejny trapez, spłynął na nim niżej, puścił się i po wykonaniu salta wylądował na siatce. Wylądował albo wylądowała – Njangu nie potrafił określić płci tych istot, nie był nawet pewien, czy mają jakieś płcie.

–Jasne, że tak – odparł z zapalem Garvin. – Szkoda, że nie było cię tutaj kilka minut temu, gdy rzucali ludźmi niczym papierowymi samolocikami.

–Czy będą pracować za ryby? – spytał Ben. – Widzisz, zniżam się do twojego poziomu.

–Muszę przyznać, że myliłem się co do pilotów – powiedział Erik. – Ich inteligencja jest znacznie niższa, niż mi się zdawało.

–Muzyka, maestro! Otwieramy drzwi i tłum wlewa się do środka! – krzyknął Garvin. Wyglądał imponująco w antycznym białym stroju z wysokim białym kapeluszem, w czarnych butach i z czarnym biczem w dłoni.

Aterton machnął batutą i w ładowni zabrzmiała muzyka. Garvin dotknął laryngofonu.

–Panie i panowie, dzieci w każdym wieku... Witajcie witajcie, witajcie w Cyrku Galaktycznych Radości. Jestem waszym konferansjerem. Zapraszam na pierwszy numer...

Wkoło pojawiło się sześciu kłownów, którzy zaczęli na różne sposoby napastować Garvina. Próbowali oblać go wodą, pchnąć na jednego, który stanął na czworakach tuż za nim, trafić rzucanymi co rusz warzywami. Ciągłe jednak im się nie udawało, Garvin zaś oganiał się przed nimi biczem.

–Przepraszam, ale załęgło nam się ostatnio trochę takich i nie zawsze możemy nad nimi zapanować. – Garvin ściszył głos. – Gdy będziemy mieli już wszystkich, pojawią

się kłowni na widowni, dojdzie wołyżerka na koniach i słoniach, o ile skądś wytrzaśniemy słonie, będą sprzedawcy cukierków, wielkie koty... Przepraszam, maestro, że nalegam, ale będziemy potrzebowali osobnego kawałka na wejście każdej grupy.

–Oczywiście – odparł z nutą wyższości Aterton. – W odróżnieniu od niektórych ja znam się na swojej robocie.

Garvin zignorował przytyk.

–Gdy cała ta menażeria wyjdzie tylnymi drzwiami z namiotu, ładowni czy z amfiteatru, bo nie mam pojęcia, gdzie będziemy występować, damy pierwszy numer. Nie zdecydowałem na razie, czy będą to akrobaci, czy karły, czy jeszcze ktoś inny...

Wyglądało na to, że Garvin całkiem dobrze odnajduje się pośród tego zamieszania.

–To ziemskie koty? – spytał Garvin.

–Poniekąd – odparł z lekkim żalem nerwowo przysadzisty mężczyzna z wąsami. – Pochodzą od ziemskich, ale trochę zmutowały. Występujemy jako Fantastyczne Koty Doktora Emtona. Świetna zabawa dla całej rodziny, takie mamy hasło.

Garvin spojrział sceptycznie na sześć smukłych i starannie wyszczotkowanych stworzeń siedzących na jego biurku. Nie wydawały się nim specjalnie zainteresowane.

–Ticonderoga – powiedział Enton. – Owad. Na obrazku. Złap – wydał polecenie i wskazał na Garvina.

Jeden z kotów skoczył nagle na holo Jasith, złapał coś małego i skrzydlatego, zgryzł i położył przed Garvinem.

–Ciekawe – mruknął Jaansma. – Ale to dobre raczej na małą scenę, której nie mamy.

–Piramida – powiedział Enton i trzy koty stanęły obok siebie, dwa wskoczyły im na grzbiety, trzeci wszedł na samą górę.

–Piłka. – Opiekun zwierząt wyjął z kieszeni małą czerwoną piłkę i rzucił ją na biurko. Piramida błyskawicznie się rozpadła i koty, ustawivszy się w krąg, zaczęły odbijać do siebie piłkę.

–Hm... – mruknął Garvin. – Będziemy chyba musieli zamontować duży ekran, żeby ludzie coś widzieli. Chociaż może gdyby razem z kłownami...?

–Kłowni – powiedział Enton i sześć kotów stanęło na tylnych łapach. Przeszły kilka

kroków, zrobili przewrót do tyłu i znowu stanęły normalnie.

–Obawiam się, że nie – stwierdził Garvin.

–Och. Trudno – powiedział Emtton i wstał. Jego koty same wskoczyły do dwóch kontenerków. – I jeszcze jedno. Czy kandydaci do pracy są mile widziani w waszej kantine?

–Oczywiście – odparł Garvin, zauważywszy w spojrzeniu mężczyzny błysk desperacji. Może mu się zdawało, ale miał wrażenie, że to samo maluje się w ślepiach kotów. – Chętnie pana ugościmy. Zwierzęta też.

–Dziękuję. Za to i za czas, który mi pan poświęcił – powiedział Emtton i zaczął zamykać kontenerki.

Garvin poczuł się trochę nieswojo.

–Chwileczkę... Mogę zadać pytanie osobiste? Emtton spojrzał nań jakby chłodno, ale nie zaprotestował.

–Proszę.

–Kiedy ostatni raz występowaliście? Mężczyzna wyraźnie posmutniał.

–Ostatni raz... to właściwie nie były prawdziwe występy, tylko trochę ćwiczeń, żeby nie zardzewieć. Prawie rok temu.

Garvin pokiwał głową.

–Wspomniałem o kłownach. Czy nie ma pan nic przeciwko pracy razem z nimi?

–Oczywiście, że nie – odparł z zapalem Emtton.

–Nie widziałem wszystkiego, co potraficie, może jeszcze dodacie nowy materiał... Zobaczymy. Zaraz zawiadomię profesora Ristoriego, aby czekał na was przed główną służą za... powiedzmy pół godziny. Przepraszam, godzinę – poprawił się, widząc głodny wyraz twarzy Emttona.

–Dziękuję – powiedział radośnie Emtton. – Obiecuję, że nie będzie pan żałował.

–Jestem tego pewien – stwierdził Garvin, myśląc, że Jasith chyba nie miałyby nic przeciwko takiemu wydawaniu swoich pieniędzy.

Poza tym te stworzenia mogły naprawdę okazać się użyteczne.

Kłowni nadciągali na statek wartkim strumieniem, aż w końcu mieli ich ponad

trzydziestu. Garvin oddał ich wszystkich pod opiekę Ristoriego, a Njangu skierował do innych obowiązków.

–Dobra, przerywamy! – krzyknął Garvin. Operator automatycznych niedźwiedzi spojrział na niego sennie, a akrobaci wrócili na swoje podesty. – W tym wszystkim musi być rytm. Wracamy do miejsca, w którym wchodzi niedźwiedzie.

–Tak jest lepiej – powiedział RaTelan do Monique Lir. – Kiedyś stosowano sieci splecione z lin. Jakies zabezpieczenia muszą być. Jeśli człowiek wyląduje na plecach albo na głowie... może być bardzo źle.

Cyrkowa „sieć” składała się z szeregu emiterów pola anty grawitacyjnego skierowanych w górę i tak nastrojonych, aby zwalniały każdego spadającego i zatrzymywały go dwa metry nad ziemią. Była o tyle lepsza od tradycyjnej sieci, że praktycznie niewidoczna, jeśli nie liczyć lekkiego i trudno zauważalnego migotania nad emiterami. Publiczność mogła więc myśleć, że artyści ryzykują na arenie życia.

Stworzenie spojrzało na Lir.

–Dlaczego chcesz się nauczyć numeru z żelaznymi szczękami?

–A dlaczego nie miałabym się go nauczyć? Ra’felan sięgnął macką i ściągnął na dół linę z kawałkiem metalu na końcu.

–Dobrze. Weź go do ust i zaciśnij zęby. Teraz nauczymy cię, jak wirować i obracać się na linie, i... wyglądasz na silną kobietę, więc może i czegoś więcej.

Njangu sceptycznie spojrział na zwierzęta. One przyjrzały mu się z wyraźnym zainteresowaniem. Możliwe, że na tle spożywczym.

Był ich prawie tuzin. Trener przedstawiał je kolejno jako lwy, tygrysy, lamparty i pantery.

–Czułbym się o wiele lepiej, gdyby między mną a twoimi przyjaciółmi były jakieś kraty – powiedział Yoshitaro.

–Nie ma się czego bać – odparł przystojny mężczyzna ze szramą na obliczu.

Njangu pamiętał, że Garvin opowiedział mu kiedyś, jak to podczas zamieszek, gdy ktoś podpalił zagrodę koni, wypuścił wielkie koty na tłum. To dlatego wstąpił do armii.

–Aha – odparł z powątpiewaniem.

–Niemniej publiczność nigdy się nie dowie, jak łagodne są moje kociaczki. – Strzelił

z bicza i wielka, niemal dwudziestometrowej średnicy klatka wypełniła się futrzaną aktywnością. Zwierzęta ryczały, stawały na tylnych łapach, wymachiwały przednimi, pokazując pazury, skakały z jednego podwyższenia na drugie, treser zaś strzelał ze straszaka w powietrze i rzucał w górę płonące koła. Koty przeskakiwały przez nie bez oporów.

Potem nagle znowu zapanował spokój.

Treser, który przedstawił się jako sir Douglas, uśmiechnął się radośnie. Jego blizna odznaczała się wyraźnie na tle jasnej karnacji.

–Rozumie pan, o co chodzi?

–Chyba tak – odrzekł Njangu. – Ale... jeśli można spytać... skąd wzięła się ta pańska szrama?

–To robota Muldoona... tego czarnego lamparta z lewej. Rano miewa humory, a ja byłem nieco natarczywy. – Machnął ręką. – Wypadki chodzą po ludziach.

–Owszem – mruknął Njangu, przesuwając się do wyjścia z klatki. – Przy okazji, co jedzą pańscy przyjaciele?

–Mięso – odparł z uśmiechem sir Douglas. – Zjedzą każdą ilość mięsa, jaką im dostarczę.

–A czy wiedzą, że my też nadajemy się dla nich do jedzenia?

–Nie. Ale starają się dowiedzieć.

Njangu zauważył, że zwyczaje Garvina zaczęły ulegać pewnym zmianom. Obecnie sypiał raczej za dnia, wstawał o zmroku, wrzucał na ząb coś lekkiego i pracował przez całą noc, czasem wizytując różne grupy przeprowadzające próby na statku. O świcie zjadał porządny obiad, popijał go połową butelki wina i szedł spać.

Njangu widział, jak jego przyjaciel przyglądał się parę razy Montagni, ale uznał, że na razie do niczego nie doszło.

Na razie.

Poza tym Njangu miał jeszcze inne sprawy na głowie. Wraz z dwoma zastępcami z wywiadu próbował mimochodem wypytywać wszystkich, którzy dołączali do ekipy. Interesowało go, skąd przybyli, czy słyszeli, co się dzieje z Konfederacją, i jakie mają wrażenia z podróży.

Niestety, cyrkowcy nie palili się do zwierzeń. Niechętnie wyjawiali, gdzie przebywali

poprzednio, i ograniczali wyjaśnienia do stwierdzeń w rodzaju „Byłem z trupą Zymecasów” albo „Ostatnio pracowałem dla Butlera i Córki”.

Jak dotąd zebrali więc niewiele informacji, niemniej z tego, co usłyszeli, można było wnosić, że dawne obszary Konfederacji pogrążają się w coraz większym chaosie. Niektóre planety i układy, a nawet całe sektory ogłosiły niepodległość i nikt nie wiedział, co się stało z urzędującymi tam przedstawicielami Konfederacji.

Z innymi światami stracono po prostu kontakt. Ich frachtowce odleciały zgodnie z rozkładem, ale nie wróciły. Zamówione towary nie dotarły na miejsce, zapowiedziane uzupełnienia nie przybyły, oczekiwani krewni czy znajomi nie przylecieli.

Wszystko wskazywało na to, że Konfederacja nie upadła nagle i gwałtownie, ale doprowadził do tego ciąg drobnych zdarzeń.

Njangu na razie nie potrafił tego w żaden sposób wytłumaczyć.

–Ale one wielkie! – zawołał Diii.

–Nikt nie pojmuje, jak wielki jest słoń, póki nie zobaczy jakiegoś z bliska – stwierdził sentencjonalnie Garvin.

–Dla nas to normalne – powiedział jeden ze śniadych mężczyzn.

Drugi skinął głową.

–Wychowujemy się z nimi od dnia narodzin – nadmienił.

Pierwszy nazywał się Sunya Thanon, drugi Phraphas Phanon. Mieli szesnaście dorosłych słoń i dwa roczne podrostki, Imp i Loti.

–Chcesz, żebyśmy pokazali, co potrafią nasi przyjaciele? – zwrócił się Sunya do Garvina.

–Nie trzeba. Obejrzałem holo, które mi przysłaliście. Z przyjemnością powitam was w zespole.

–Dobrze – powiedział Sunya. – Trudno nam wyżywić całą gromadkę przy naszym skromnym budżecie. – Podobnie jak Phraphas mówił wspólnym z pewnym wysiłkiem i obcym akcentem, jakby na co dzień posługiwał się innym językiem.

–Musimy jednak ostrzec, że szukamy pewnego miejsca – wtrącił Phraphas. – Jeśli tam trafimy, będziemy chcieli natychmiast odłączyć się od zespołu.

–Chyba mogę na to przystać – odparł Garvin. – A jakie to miejsce?

–Słyszał pan kiedyś o planecie Coando? – spytał Sunya.

–Nie. Co jednak wiele nie znaczy, bo nie jestem astrogatorem.

Mężczyźni wyglądali na rozczarowanych.

–Też nie wiemy, gdzie ona jest. Słyszeliśmy jednak o niej i postanowiliśmy, że nie spoczniemy, aż znajdziemy się tam z naszymi przyjaciółmi.

–A co w niej jest takiego szczególnego?

–Legenda powiada, że kiedyś nasz lud opuścił starą Ziemię i zabrał ze sobą słonie, z którymi pracował, aby znaleźć porośniętą dżunglami planetę, na której mógłby się osiedlić. Taką, na której nikt nie polowałby na jego przyjaciół dla skóry, kości słoniowej czy kłów. Albo dla samej potwornej przyjemności zabijania czegoś tak dużego. Powiadają, że udało im się znaleźć w końcu taki świat i nazwali go Coando. Był dziki i nie zepsuty, oni zaś bardzo się starali, żeby taki pozostał. W końcu wysłali wyprawę na Ziemię po dzikie słonie. Podobno dlatego obecnie są tak rzadkie i widuje się je tylko w cyrkach. Tego właśnie świata szukamy, tak samo jak nasi rodzice i ich rodzice przed nami.

Diii chciał już im udzielić oczywistej rady, ale ugryzł się w język. W końcu nie był aż tak gruboskórny. Wymienił spojrzenie z Garvinem.

–Przypuszczam, że pytaliście już o tę planetę na Grimaldim?

–Tak, studiowaliśmy też mapy nieba – przyznał Sunya. – Ale nic to nie dało.

–Nie szkodzi – powiedział Diii, zdumiewając i Garvina, i siebie samego. – Ta planeta musi gdzieś być i znajdziemy ją. Może gdy dotrzemy na Centralny, uda nam się przejrzeć stare zapisy Konfederacji. O ile jeszcze istnieją.

Sunya spojrział na kompana.

–Widzisz? Gdy tylko dostrzegłem ten statek opuszczający się z nieba, zaraz wiedziałem, że szczęście się do nas uśmiechnie.

Garvin i Diii przekazali opiekunów słoni pod opiekę Lir i ruszyli do statku.

–Czy ktoś mówił ci kiedyś, że jesteś sentymentalny? – spytał Garvin.

–Oczywiście. A ty nie jesteś?

Garvin i Montagna przyglądali się koniom. Zwierzęta skakały i biegały wkoło areny tak wdzięcznie, jakby płynęły w powietrzu. Na ich białych grzbietach wyprawiało różne sztuki troje ludzi: dwie długowłose kobiety i jeden równie długowłosy

mężczyzna z okazałymi wusami.

–Zamierzam się tego nauczyć – powiedziała stanowczo Montagna. – Nieważne, jakie to jest trudne.

–Dasz sobie radę – rzucił odruchowo Garvin. Darod uśmiechnęła się do niego i przysunęła nieco bliżej. Niemal się dotknęli i równocześnie odsunęli.

Wąsaty mężczyzna wybił się z grzbietu wierzchowca, wykonał dwa salta w powietrzu i zeskoczył tuż przed nimi. Nazywał się Rudi Kwiek.

–Czyż te vrai nie są wspaniałe?

–Zaiste – przyznał Garvin. – A na czym polega sztuczka? Kwiek spojrzał na niego z urazą.

–Nie ma żadnych sztuczek. Moje konie, moje vrai, pochodzą z najlepszej rasy hodowanej tylko na kilku odległych światach Romów. Mało kto je widział. A te są najlepsze i tak dobrze wyszkolone, że wasz cyrk miał wielkie szczęście, że na nas trafił. Dzięki nam zarobicie dwa, a nawet trzy razy więcej.

–Tak – odparł, siląc się na obojętność, Garvin.

–Może – powiedziała powątpiewająco Montagna. – Czy któryś z pańskich koni mógłby unieść kopyto?

–Ach. – Kwiek się uśmiechnął. – Pani jest nie tylko piękna, ale i spostrzegawcza.

–Po prostu zobaczyłam błysk metalu, gdy wskakiwały na podwyższenie. I nie chodzi mi o podkowy.

–Widzę, że muszę jeszcze popracować z moimi końmi. Przyznaję, że nieco ułatwiłem zadanie tym biednym stworzeniom.

–Jak? – spytał Garvin. – Dodając mały moduł antygravitacyjny pod każdym kopytem?

Kwiek skłonił głowę.

–Cóż, nie ma przed panem tajemnic, gaffer. Może przejdziemy do pańskiego gabinetu i skosztujemy rakii, którą przyniosłem? A przy okazji pomówilibyśmy o tym, na jakich warunkach mógłbym z moimi żonami dla was pracować.

Garvin kiwnął głową.

–Przepraszam, Darod, ale zaproszenie na obiad w mieście jest nieaktualne. Czeka

mnie długa noc targów.

–Nie zamierzam usiąść na tej bestii – gwałtownie zaprotestowała młoda kobieta.

–A to dlaczego, kochanieńka? – spytał cyrkowy choreograf, drobny i nieco rachityczny mężczyzna nazwiskiem Knox. – Powiedziano mi, że nie jada ludzi.

–Ponieważ... ma sztywną sierść i nie chcę sobie pokłuć pupy.

–Wszystkie one są takie – mruknęła do Garvina stojąca obok trapu Monique Lir. – Wszystkie co do jednej, całe trzydzieści dziewczyn z baletu. Tego nie mogą, tamtego nie chcą i nieważne, co było w umowie. W kajutach im za gorąco albo za zimno, konie podchodzą za blisko... wrr... Szefie, proszę, daj mi je na tydzień, a obiecuję, że te, które zostaną, nawet nie pisną.

–Spokojnie – powiedział Garvin, uśmiechając się półgębkiem. – Musimy brać poprawkę na artystyczny temperament.

–Mam gdzieś ich temperament – parsknęła Lir. – One mają tylko kręcić tyłkami, uśmiechać się i robić za kukielki dla kłownów.

–Właśnie, przypomniałaś mi o czymś.

–Adele, nie chciałbym być natrętny, ale jeśli nie weźmiesz tego numeru, dostaniesz inny – powiedział spokojnie Knox.

–Každy! Cokolwiek, tylko nie to! – krzyknęła blondynka.

–Cokolwiek? – odezwał się nagle profesor Ristori, który wszedł cichcem odziany w długi czarny płaszcz i kapelusz. – No to mam pewien pomysł na numer. – Wysunął spod płaszcza nogę w workowatych spodniach. Potem po-

‘ kazał drugą i nagle okazało się, że spodnie zamieniły się w kawałki nogawek na podwiązkach. – Numer będzie bardzo śmieszny, chociaż może raczej zbyt dorosły dla takiej młodej artystki. Zacznie się od naszego ślubu, moja miła, na dobre i na złe. Potem wtoczę na scenę łożę małżeńskie i kiedy już znajdziemy się w pościeli i przystąpimy do czułości, nagle okaże się, że pod kołdrą kryje się kilkoro moich przyjaciół karłów zaproszonych na...

–Dość. – Adele wzdrygnęła się z obrzydzeniem. – Wystarczy. Dobra, Knox. Wejść na tego kolczastego słonia!

–Widzisz? – szepnął Garvin do Lir. – Jest wiele sposobów, aby postawić na baczność artystkę.

Trzej mężczyźni zaczęli rzucać kobiecie krzesła, potem poszedł stolik. Qi Fen sprawnie łapała meble i ustawiała w piramidę. Potem jeden z mężczyzn, Jiang Yuan Fong, skoczył na górę i stanął na szczycie.

Po chwili dołączył do niego drugi.

Na końcu na piramidę wspięła się Jia Yin Fong. Dziewczynka znikąd wyciągnęła tuzin pałeczek i zaczęła nimi żonglować.

Trzeci mężczyzna skinął głową i akrobaci zeskoczyli na ziemię.

–Oczywiście chętnie was przyjmę – powiedział Garvin, który jeszcze walczył z kacem po rakii.

–To dobrze – powiedział Fong. – Słyszeliśmy, że zamierzacie dotrzeć do Centralnego. Stamtąd mielibyśmy bliżej z całą rodziną i kuzynami do celu naszej podróży.

–A można wiedzieć, co nim jest? – spytał Garvin. – Mamy już jedną grupę, która tak właśnie się z nami zabrała.

–Słyszałem – powiedział ze smutkiem mężczyzna. – Wiem, o kim pan mówi, i obawiam się, że poszukiwana planeta to tylko miraż, chociaż mam nadzieję, że jest inaczej. Nasz cel jest jednak jak najbardziej konkretny. Wracamy na Ziemię, do naszego ojczystego kraju zwanego Chiną, gdzie wszyscy Chińczycy prędzej czy później trafią. Od dziesiątków pokoleń wędrowaliśmy po tej galaktyce, ale teraz pora wrócić do naszego domu w wiosce Tai Sheng i odrodzić dusze.

Garvin uścisnął mu dłoń i zastanowił się, czy Ken Fong z Cumbre mógł być jakimś krewniakiem akrobaty, a potem wrócił do swojego biura, żeby splukać kaca piwem i porozmyślać trochę nad tym, z jakich to powodów ludzie dołączają do jego trupy.

Byli już prawie w komplecie, próby odbywały się dwa razy dziennie. Garvin ustalił datę startu i atmosfera robiła się coraz bardziej nerwowa.

Wielkie koty prychały na każdego, kto podszedł do ich klatek, włączając w to sir Douglasa. Trąbienie słoni niosło się po całym statku. Akrobaci warczeli na siebie, skoczkowie tylko zaciskali usta. Co zapalczywsi artyści umawiali się za statkiem, aby tam, na ubitej ziemi, rozstrzygać spory.

Tylko ci najbardziej doświadczeni byli zadowoleni. Wiedzieli, że tak jest zawsze przed trasą. Byliby poważnie zaniepokojeni, gdyby wszystko odbywało się spokojnie i bez swarów.

Garvin wziął strzelbę, starannie wycelował i ściągnął język spustowy. Stara broń

zdrowo kopnęła go w ramię, ale cel pozostał nietknięty.

–Proszę spróbować raz jeszcze, proszę spróbować, a wygra pan laleczkę dla swojej pani – odezwał się człowiek za kontuarem.

–Sopi, nieładnie korzystać z tego, że wszyscy mają cię za głupola, który do dziesięciu nie zliczy – powiedział Njangu.

Otyły mężczyzna o pogodnej twarzy spróbował się zezłościć, ale jakoś mu nie wyszło.

–Uważa pan, że oszukuję? – spytał piskliwie.

–Przede wszystkim lufa tej strzelby została wygięta i ściąga w bok – powiedział Garvin. – W kole fortuny są zamontowane magnesy, które możesz włączać stopą. Nie wspomnę już nawet o ruletce, która ledwie się obraca.

–No cóż, prawda – mruknął Sopi Midt. – Będę musiał coś z tym zrobić.

–Kula do rzucania jest ciężka jak z ołowiu – wyliczał Garvin. – Butelki na skrzyni stoją tak ciasno, że pierścień nie może opaść na szyjkę jak należy.

–Ale co pan sądzi o całości?

–Że nie warta rzutu kości – odparł Garvin. – Myślę też o twoich dziewczynach. Wiem, że seks dobrze się sprzedaje, ale nie chcemy kłopotów.

–Nie będzie kłopotów. Nie przekraczamy granicy dobrego smaku i smarujemy gdzie trzeba. No i od czasu do czasu dajemy wygrać.

–Niemniej został jeden problem – rzekł Garvin. – Za bardzo zależy ci na kredytach. Tyle że ja też mam problem. Powinniśmy ruszyć w trasę już wczoraj, a jesteśmy dopiero w połowie przygotowań. Ty masz aż dwanaście stanowisk, dziewczyn nie licząc, ale nie ma w tym nic naprawdę ciekawego. Przydałby się nam jakiś olbrzym. Albo dwaj.

–Wiem, gdzie ich szukać, będą do rana – powiedział Midt.

–Zamknij się na chwilę i posłuchaj. Zamiast podziału sześćdziesiąt dla ciebie i czterdzieści dla mnie proponuję siedemdziesiąt do trzydziestu.

–Dlaczego miałby pan sobie odejmować? – spytał podejrzliwie Midt.

–Bo chcę uczciwych numerów. No, w miarę uczciwych. Dam ci więcej, a w zamian ty zrobisz u siebie porządek. Po drugie, masz ze mną grać uczciwie. Jeśli nie, zostawię cię i całą twoją ekipę z całym tym bałaganem, którego narobisz, i radź sobie sam.

Midt zastanawiał się przez chwilę.

–Cholera... Gdyby była jeszcze jakaś trupa w okolicy... Nie jestem pewien, czy potrafię być uczciwy.

–To się naucz – powiedział Njangu, coraz bardziej rozbawiony całą tą sytuacją.

Midt wyciągnął tłustą dłoń.

–Zgoda. Twarde warunki, ale przyjmuję.

–No to do roboty. Wyprostuj lufy, zdejmij magnesy i tak dalej – zakończył sprawę Garvin i ruszył w stronę statku.

–Niezlą mamy ekipę – powiedział Njangu. – Złodzieje, nieładzie, Cyganie, tygrysy ludojady i jeszcze ten Midt.

–Wreszcie zaczynamy przypominać cyrk – odparł radośnie Garvin. – Jak powiedziałaś kiedyś na Cumbre, nikt nie będzie podejrzewał takiej bandy o szpiegostwo.

Nadeszła pora na próbę kostiumową.

Mimo romantycznych ciągot Garvin na razie zrezygnował z namiotu i wszystko odbyło się w głównej ładowni statku.

Wnętrze zostało wyposażone w przesuwane ściany, które można było tak ustawiać, aby zawsze wyglądało na to, że na widowni jest komplet widzów.

Chociaż Garvin był przywiązany do tradycyjnych rozwiązań, zdecydował się na trzy areny. Każda miała dwadzieścia pięć metrów średnicy i można je było zsuwać i rozsuwać, znowu zależnie od liczby widzów.

Przy prowadzącej na lądowisko alei niestrudzenie pracowali naganiacze. Garvin zaprosił na próbę wszystkich, którzy tylko mieli ochotę popatrzeć. Wszystkie miejsca zostały zajęte i trzeba było nawet sięgnąć po dostawki.

A potem się zaczęło. Kłowni zaatakowali mistrza ceremonii i Garvin odgonił ich akurat na początek występu akrobatów.

Później pojawiły się słonie, znowu weszli kłowni, po nich kolejni akrobaci, wielkie koty, a nawet prawdziwe ziemskie koty ze swoim opiekunem. Kłowni byli już teraz na arenach prawie przez cały czas.

Gdy po numerze z końmi dzieci zaczęły ziewać, na widowni pojawili się sprzedawcy cukierków.

–Nieźle – mruknął Garvin.

–Całkiem nieźle – zgodził się Njangu i roześmiał się. – Chyba już pora ruszać na wojnę.

–Sir – odezwał się Liskeard. – Wszystkie stanowiska meldują gotowość do startu. Statek jest szczelny, wszystkie systemy w normie.

–No to ruszamy w trasę, panie Liskeard – powiedział Garvin.

Kapitan uśmiechnął się i sięgnął do sterów. Gruba Berta uniosła się z lądowiska i wzleciała ku gwiazdom.

Nadprzestrzeń

Wprawdzie mogliby wziąć kurs od razu na Świat Centralny, ale Garvin uznał, że nie byłby to najlepszy pomysł. Njangu nabrał bowiem pewności, że cokolwiek przytrafiło się Konfederacji, nie była to jedna wielka katastrofa w samym jej sercu, ale cała seria drobniejszych zdarzeń rozrzuconych na wielkim obszarze. Lepiej było zatem pokręcić się najpierw po peryferiach i zasięgnąć języka.

Pierwszym celem były zjednoczone układy Tiborg. Pierwotnie nawet o nich nie myśleli, ale nie planowali też, że przeprowadzą nabór trupy na Grimaldim. Tiborg należał do grupy celów rezerwowych wybranych z tajnych zapisków Konfederacji. Określano go w nich jako „ciekawym przez swoje podejście do dyplomacji”.

–Co oznacza zapewne, że byli dla Konfederacji cierniem w boku – powiedział Garvin. – Może warto z nimi porozmawiać.

–Najpewniej – mruknął Njangu. – Dawny wróg mojego przyjaciela może być cennym źródłem informacji. Z doświadczenia wiem, że każdy, kto ma zasady, wcześniej czy później staje się czyimś wrogiem, a wszyscy mają z nim kłopoty.

Przy kolejnych skokach zahaczyli o pięć innych układów, z których cztery były zamieszkane, ale nigdzie nie lądowali ani nawet z nikim się nie kontaktowali. Penwyth, Lir, Diii i Froude poszli w tej sprawie do Yoshitara. Garvin nie chciał ich przyjąć – skorzystał z wyższego stopnia i zwyczaju, że jeśli przełożony odmawia odpowiedzi, to znaczy „nie” i lepiej się nie upierać przy swoim. Grupa chciała zaproponować, żeby Berta mimo wszystko lądowała na zamieszkanym planetach.

–To coś da tamtym ludziom – powiedział Penwyth. – Świadomość, że kogoś jednak obchodzi los Konfederacji, podniesie ich na duchu.

–Wzruszające – stwierdził Njangu. – Naprawdę. Szczególnie, że i ty o to prosisz, Ben. Jak myślicie, ile planet należało do Konfederacji według ostatniego spisu? Sto tysięcy? Milion? Nie wydaje się wam, że jeśli pofolgujemy miłosierdziu i będziemy lądować na wszystkich, życia nam nie starczy, aby dotrzeć do celu? Zapomnieliście, po co wyruszyliśmy?

Penwyth i Ben gotowi byli jeszcze argumentować, ale Froude zdał sobie sprawę, że Yoshitaro ma rację. Nie mieli tyle czasu. Lir zaś wiedziała, że jeśli szef mówi coś z takim jak teraz przekonaniem, nie ma sensu się z nim spierać.

Gdy wychodzili, Njangu poprosił ją, aby jeszcze została.

–Serce nam mięknie? – spytał bez śladu sarkazmu. Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę.

–Nie, szefie. Nie wydaje mi się.

–To dobrze. Mamy już dość miłosiernych dusz na pokładzie i minie jeszcze sporo czasu, zanim znowu zajrzemy do baru w Shelbourne.

Tiborg

–Boursier jeden, mówi kontrola Tiborg Alfa Delta – rozległo się w słuchawkach. – Macie zgodę na lądowanie, podejście na przyrządach, kanał trzy-cztery-trzy. Widoczność dobra, możecie więc też lądować z optyczną obserwacją terenu, zostawiamy to waszemu uznaniu. Odbiór.

–Tu Boursier jeden – powiedziała Jacqueline. Używając swojego nazwiska jako sygnału wywoławczego, Ben zapoczątkował coś w rodzaju tradycji. – Potwierdzam odbiór waszych instrukcji na kanale trzy-cztery-trzy. Informuję, że moja jednostka pilotuje frachtowiec Gruba Berta, który wejdzie niebawem do waszego układu.

Na chwilę zapadła cisza.

–Boursier jeden, mówi kontrola. Uprzedzamy, że mamy w rejonie patrolowce, ale... nazwa tego statku jest wręcz rozbijająca.

Niestety, Boursier w zasadzie nie miała poczucia humoru.

–Potwierdzam ostatecznie. Nie mamy złych zamiarów. Gruba Berta jest statkiem cyrkowym.

–Czy możesz powtórzyć?

–Jesteśmy cyrkiem. To rodzaj firmy rozrywkowej.

Znowu zapadła cisza.

–Mówi kontrola, musieliśmy sięgnąć do słownika. Moi przełożeni utrzymują instrukcje w mocy.

–Potwierdzam... i dziękuję. Zmieniam kanał.

Boursier przesłała sygnał na Grubą Bertą.

Kilka minut później z nadprzestrzeni wyszedł patrolowiec z Jaansmą na pokładzie.

–Boursier jeden, mówi Jaansma. Żadnych problemów?

–Na razie raczej nie.

–No to lądujemy i... zobaczymy, co dalej.

–Potwierdzam. Zmieniam kanał. – Dotknęła przełączników. – Kontrola Tiborg Alfa Delta, mówi Boursier jeden, podchodzimy do lądowania. Pozostałe dwa statki zejdą za mną.

Nana zniknęła na chwilę w nadprzestrzeni i wróciła, prowadząc Bertę. Obie jednostki razem podeszły do planety.

–Alfa Delta. Ciekawe – powiedział Garvin. – Podobno to demokratyczne światy, ale nazwy mają takie, jakby rządziła tu armia.

–Może tylko im się wydaje, że żyją w demokracji? – mruknął technik.

–To też możliwe.

–Cel wizyty? – spytał funkcjonariusz straży granicznej.

–Zabawianie ludzi... no i może jeszcze uda nam się nieco zarobić – odparł Garvin.

Funkcjonariusz spojrział na masyw Berty i nagle się uśmiechnął.

–Wiecie, po raz pierwszy odprawiam kogoś spoza naszych układów. Witam serdecznie.

–Panie i panowie, dzieci w każdym wieku, obywatele Konfederacji, witajcie w Cyrku Jaansma! – zawołał Garvin i strzelił z biczem.

Główna ładownia statku była w połowie pełna. Garvin uznał, że pierwsze przedstawienie na nieznanym świecie lepiej będzie dać właśnie tutaj. Później rozstawią namiot.

–Przedstawimy wam cuda z innych planet, nawet z samej Ziemi, ze światów, których nie zna człowiek. Zobaczycie przedziwnych obcych, potwory i groźne bestie, krew mrozące akrobacje...

Garvin przerwał, bo właśnie zaatakowali go kłowni. Zaczął się od nich opędzać, aż wpadali jeden na drugiego, z talentem odgrywając kompletnych durniów. Nagle jeden wskazał na coś palcem i krzyknął.

W wejściu pojawił się Alikhan. Warczał i parskął na swojego strażnika, czyli Bena Dilla ubranego tylko w spodenki i żelazne bransolety na bicepsach.

Rozległy się piski przerażenia, głównie dziecięce. Niektórzy dorośli zdawali się

wiedzieć, kim są musthowie, ale nie mieli pewności, czy ten tutaj będzie przyjazny.

Za Alikhanem wylała się na arenę cała reszta: akrobaci na ślizgaczach, atleci, koty w klatkach, słonie i konie. Na grzbiecie jednego z tych ostatnich stała nieco drżąca, ale dumna z siebie Darod Montagna. Zaczęło się przedstawienie.

Przez następne cztery dni występowali co wieczór i nabrali nieco rutyny.

Njangu nie pojawiał się w namiocie. Przez większość czasu buszował po bibliotekach. Próbował się czegoś dowiedzieć na temat tego, co się stało z Konfederacją, jednak bez większego powodzenia.

Tiborg stracił kontakt z Konfederacją „w zasadzie” dziesięć lat temu, czyli wcześniej niż Cumbre. Holo z tamtego okresu sugerowały, że mało kto tym się przejął.

Yoshitaro próbował kopać jeszcze głębiej, ale dowiedział się tylko tyle, że mieszkańcy układów Tiborg byli cali szczęśliwi, że Konfederacja zostawiła ich w spokoju. Nie udało mu się ustalić, co właściwie oznaczał zwrot „w zasadzie”.

Potem postarał się dowiedzieć czegoś o miejscowych strukturach wojskowych, ale jak to zwykle bywa, jego ciekawość w tej materii nie spotkała się ze zrozumieniem. Wywęszył jednak, że w stolicy działa coś, co się nazywa Klub Sił Zbrojnych, i uznał, że może tam trafi na coś więcej.

Biegnący Niedźwiedź przestępował z nogi na nogę i w takt nuconej pieśni obchodził powoli wszystkie trzy areny.

Coraz bardziej żałował, że nie ma obok ojca albo dziadka, którzy mogliby powiedzieć, czy dobrze zapamiętał wszystkie rytuały. Nie wierzył przesadnie w pamięć plemienną, ale starał się jak mógł, pocąc się pod warstwą farby i szminki.

Myślał o czasach, kiedy nie było jeszcze białych i jego lud władał rozległymi preriami, gdy podeszła do niego mała dziewczynka, która dotąd pilnie wbijała w niego spojrzenie.

–Jesteś prawdziwy? – spytała.

–Nie – odparł. – Jestem widmem. Tańczę widmowy taniec.

–O, a po co to robisz?

–Aby przywołać deszcz dla mojego ludu – oparł śpiewnie Biegnący Niedźwiedź, ledwie powstrzymując się od śmiechu.

–Aha. – Dziewczynka pokiwała głową i chciała wrócić na miejsce, ale jeszcze się

odwróciła.

–To dobry taniec – powiedziała. – Gdy wchodziliśmy, właśnie zaczęło padać.

Biegący Niedźwiedź chrząknął, jak na poważnego Indianina przystało, ale dreszcz przebiegł mu po grzbiecie. Wcale nie zamierzał mieszać się do spraw przynależnych bogom.

–Bez wątpienia przybyliśmy tu w ciekawej chwili – powiedział Ristori do Froudego. – Zauważyłeś zapewne, że trwa akurat kampania wyborcza kandydatów na premiera planety?

–Widziałem coś w holo – przyznał Froude. – Niestety, próbowałem właśnie nauczyć się przewrotu w przód. Twierdziłeś, że tyle moje stare kości jakoś zniosą.

–Wstyd, doktorze. Wilki powinny zwracać uwagę na to, co robią owce. W przeciwnym razie mogą przeoczyć, że ich obiadu zaczął pilnować niebezpieczny pasterz. Albo stado owczarków.

–Jest nawet gorzej – bąknął Froude. – Nie wiem nawet, jaki właściwie mają tu ustrój.

–Najprostszy z prostych – powiedział Ristori. – Podstawą są wolne wybory premiera i jego zastępcy oraz całego szeregu ich sekretarzy. To oni rządzą potem ponad dwudziestoma planetami w czterech układach.

–Ciekawy pomysł. Można odnieść wrażenie, że to powinno wyłonić dość reprezentatywną ekipę.

–Może i tak – stwierdził powątpiewającym tonem Ristori. – Zorientowałem się jednak, że jakiś udział we władzy ma też ponadtrzydziestoosobowe ciało zwane Dyrektoriatem. Niewiele pojawia się o nim w holo, ale wydaje się, że to zgromadzenie polityków pełniących niegdyś najwyższe funkcje państwowe, którzy, tutaj cytuję: „doradzają premierowi, korzystając ze zdobytego przez lata doświadczenia”.

–Hm... Ile władzy naprawdę mają?

–Nikt nie chce o tym mówić, więc zapewne sporo.

–Zatem premier jest tylko marionetką.

–W pewnej wierze. Niemniej jeśli okaże się skłonny do współpracy, może z czasem liczyć na stanowisko dyrektora.

–Ach, ludzie – westchnął Froude. – Dlaczego ciągle wynajdujemy tak skomplikowane sposoby załatwiania tego, co proste?

–Szczególnie na Delcie. Wydaje się, że rząd jest przeżarty korupcją. Mimo to trzyma się od ponad ośmiu lat. Delta wydaje się otwartym światem, ale nie wypuszczaliśmy się zbyt daleko na miasto. Jednak inni obywatele Tiborgu bardzo chętnie spędzają tu wakacje. Niemniej w obecnych wyborach kandyduje na premiera młody reformator nazwiskiem Dorn Fili, który zaklina się, że wyrzuci złodziei, będzie walczył o uczciwość, prawdę, sprawiedliwość i tym podobne. Świetnie wypada w holo.

–Tak?

–Najciekawsze zaś, że kilkanaście lat temu premierem był jego ojciec. Stracił stanowisko na rzecz zapalczywych reformatorów.

–Aha – mruknął znacząco Froude.

–Właśnie. Nowi złodzieje rugują starych, żeby też dorwać się do koryta.

–Jeszcze trochę, a zarabianie wejdzie mi w krew – powiedział z zadowoleniem Garvin.

–Chcesz powiedzieć, że jesteśmy na plusie? – spytał Njangu.

–O ile pominiemy wkład Jasith. No i koszt statku. Radzimy sobie całkiem nieźle.

–Przychody zawsze wyglądają ładnie, gdy obetnie się koszty – powiedział Njangu. – Dlatego zostałem kiedyś złodziejem.

–Właśnie, skoro o tym mowa. Mam zamiar na ten Klub Sił Zbrojnych. Mieści się w sporym budynku w centrum. Są tam pokoje dla członków, bar, sale konferencyjne, jakieś muzeum. Mają też restaurację, w której podają pewnie rozgotowane warzywa z zylastą sztuką mięsa. No i są dumni ze swojej działalności charytatywnej.

–Aha.

–Właśnie – powiedział Njangu. – Myślę wysłać tam Penwytha. Niech powie, że też chcielibyśmy wspomóc tutejsze wdowy i sieroty.

–Co nam to da?

–A tyle, że Erik zostanie być może tymczasowym członkiem klubu.

–I będzie nam donosił, jak strasznie tam karmią. A poza tym?

–Poza tym trzeba pamiętać, że żołnierze zawsze ciągną do innych żołnierzy – wyjaśnił Njangu.

–Powinienem się domyślić – mruknął Garvin. – Chyba nie dość wsiąknęłam w to

towarzystwo. Co innego ty. Na przykład na Lariksie...

–Daj spokój. Chodzi o to, że dzięki temu możemy się dowiedzieć, czy Tiborg miał jeszcze jakieś kontakty poza tymi, które ustały „w zasadzie” dziesięć lat temu. A może i coś więcej.

–Może – powiedział Garvin. – Niewiele tego, mój ty opalony od urodzenia przyjacielu, ale zgadzam się.

Ktoś zastukał do drzwi.

–Otwarte! – zawołał Garvin i w progu stanął jeden ze strażników pełniących służbę przy trapie. Zza jego pleców wyglądał przystojny mężczyzna około trzydziestki i jakiś mocno zbudowany gość w średnim wieku. Obaj nosili stroje wizytowe, które wedle tutejszych standardów musiały sporo kosztować.

Młodszy miał na twarzy uśmiech, wyglądał na serdecznego, otwartego i wzbudzał zaufanie.

Njangu uznał, że bardzo mu się ten facet nie podoba.

–Dobry wieczór, panowie – powiedział ten starszy. – Chciałbym, żebyście poznali Dorna Filego, przyszłego premiera Deltę. Czy moglibyśmy porozmawiać? Chodzi o sprawy, które wszystkim nam przyniosłyby pewne korzyści.

–Jeszcze nie wygrałem wyborów, Sam’1 – z uśmiechem przystopował go Fili.

–Ludzie są za nami, Dorn – stwierdził Sam’1. – Mają dość skorumpowanych władz.

–Mam nadzieję – rzekł Fili. – Jednak to nie miejsce na kampanię, chociaż mam nadzieję, że znajdziemy tu pomoc. Mój przyjaciel nazywa się Sam’1 Brek. Jest moim doradcą, opiekuje się mną, od kiedy przyszedłem na świat, wcześniej zaś był jednym z zaufanych ludzi mojego ojca.

–Dziękuję – powiedział Brek.

–Słyszę, że chodzi o pomoc – odezwał się Garvin. – Jakiego rodzaju?

–Zaraz wyjaśnię... Czy mogę usiąść? – spytał Fili.

Garvin wskazał mu krzesło. Przy czterech osobach w kabinie zrobiło się raczej tłoczno. Brek stanął pod ścianą z taką miną, jakby naprawdę był ciekaw, co powie szef.

Njangu obserwował obu bardzo uważnie.

–Jak wspomniał Sam’l, kandyduję na premiera – zaczął Fili. – Szczęśliwie jestem w miarę bogaty z domu, dzięki czemu miałem za co przeciwstawić się tej machinie władzy, która przez ostatnie osiem lat wstrzymywała rozwój Deltę. Korzystam przy tym ze wszystkich okazji, aby podważyć pozycję rządzących Konstytucjonalistów. Dotyczy to również waszego cyrku, w którym byłem wczoraj gościem. Wspaniałe przedstawienie!

–Dziękujemy – powiedział Garvin.

–Chciałbym włączyć was do mojego zespołu kampanijnego, a jeśli zostanę wybrany, nie zapomnę o waszej pomocy.

–Dziękuję za propozycję. Niestety, my nie jesteśmy zbyt bogaci i nie stać nas na wolontariat.

–Poza tym jesteśmy z zewnątrz – dodał Njangu – a nikt nie lubi, gdy jacyś obcy wtrącają się w jego sprawy.

–Chyba się nie zrozumieliśmy – powiedział Fili, marszcząc czoło. Brek zaraz powtórzył ten gest. – Nie chcę, żebyście ponosili koszty udzielenia mi pomocy. Nie zależy mi też na szerokim rozpropagowaniu sprawy. Zapłacę za wszystko. Jak przypuszczam, obecnie macie około trzydziestu tysięcy kredytów za wieczór.

Garvin ukrył zdziwienie. W kasie było tylko siedem tysięcy więcej.

–Chciałbym wykupić w całości jedno albo dwa przedstawienia. Może trzy. Zapłacę pięćdziesiąt tysięcy za każde.

Garvin i Njangu spojrzeli na niego z wyraźnym zainteresowaniem.

–Poza tym prowadzę akcje dobroczynne na rzecz chorych dzieci i w związku z tym w przyszłym tygodniu chciałbym wynająć część waszej ekipy. Myślę o paradzie słoń i może paru koniach przed szpitalami. Trzy albo cztery razy.

–A jak to będzie powiązane z pańską kampanią? – spytał sceptycznie Njangu. – Słonie będą trzymały transparenty w trąbach?

–Nic tak nachalnego – wtrącił Brek. – Wspomnimy jedynie na plakatach, że wasz cyrk występuje pod auspicjami któregoś z komitetów Dorna. Niech wyborcy sami wyciągną z tego wnioski.

Garvin zastanowił się. Wydawało mu się, że propozycja jest do przyjęcia.

–Ale nie będziemy mogli zwolnić nikogo ze zwykłych obowiązków w dniu przedstawienia – powiedział.

–Oczywiście, że nie – odparł z pełnym zrozumieniem Fili. – Dostarczymy też wolontariuszy, którzy zajmą się wszystkim, co wykracza poza waszą zwykłą działalność.

–Na przykład zapewnią bezpieczeństwo – dodał Brek.

Garvin spojrzał na Njangu, który ledwo dostrzegalnie skinął głową.

–Chyba coś da się zrobić – powiedział Jaansma.

Fili wstał natychmiast.

–To wspaniała wiadomość. Nie będziecie, panowie, tego żałować i jestem głęboko przekonany, że spodoba wam się udział w mojej kampanii.

Wymienili jeszcze numery i adresy, aby we właściwej chwili dopracować szczegóły, i goście wyszli.

–Dodatkowa forsa – powiedział ironicznie Garvin, zacierając dłonie.

–Tak jakby – zgodził się Njangu. – Szkoda tylko, że nie podoba mi się ten gość.

–A co z nim?

–Mam uczulenie na przystojnych sukinsynów.

–To dlaczego jesteś moim przyjacielem? – spytał Garvin. Njangu parsknął śmiechem.

–Może dlatego, że słuchasz tego, co ci mówię.

Njangu i Maev wytoczyli się z łóżka z pistoletami w dłoniach. Obudziło ich wycie syren i syntetyczny głos:

–Alarm! Alarm! Zagrożenie w rejonie... wielkich kotów! Uwaga na rejon wielkich kotów!

Njangu wskoczył w spodnie, Maev złapała podomkę i już biegli korytarzami w kierunku ładowni. Za nimi gnali inni obudzeni.

Przepchnęli się przez tłumek zgromadzony przed pomieszczeniem wielkich kotów. W środku nie było wesoło.

Muldoon powarkiwał groźnie nad jakimś poszarpanym i zakrwawionym mężczyzną. Pod jedną z klitek leżał półprzytomny i pojękujący sir Douglas.

–Co się dzieje?! – zawołał Njangu.

–Usłyszałam jakiś hałas – wyjąkała drobna akrobatka. – Otworzyłam drzwi w chwili, gdy zjawił się sir Douglas. Ten czarny potwór trzymał tamtego człowieka, a drzwi klatki były otwarte. Inne koty wychodziły już ze swoich legowisk. Sir Douglas wszedł do głównej klatki, ale nawet bez bata. Zamknął drzwi za sobą i wtedy jeden z tych pasiastych kotów ruszył za nim. Sir Douglas krzyknął na niego i zwierzę się cofnęło, ale potem uderzyło go, wystraszone. To chyba był tylko wypadek, nic innego... – Kobieta rozplakała się.

–Kim jest ten mężczyzna? – spytał Njangu.

Nikt nie wiedział. Njangu pomyślał, że powinien zastrzelić Muldoona, ale miał jedynie lekki pistolet i pewnie tylko by go rozdrażnił.

Do środka wpadł prawie nagi Garvin. Szybko zrozumiał, co się dzieje.

–Przynieść blastery. Musimy zabić tego kota.

–Chwilę – powiedział Alikhan. Za nim stał Ben Diii z metrową sztabą ze stali, grubą jak ramię. – Najpierw ja spróbuję.

Garvin potrząsnął głową. Wiedział, co chodzi po głowie Alikhanowi, i skoczył ku niemu, ale za późno. Musth otworzył już klatkę i wszedł do środka.

–Ale głupi są ci obcy – mruknął Diii, odciągając Jaansmę.

Muldoon warknął ostrzegawczo, ale Alikhan nie zwrócił na to uwagi. Szedł pewnym krokiem prosto na niego. Lampart pochylił łeb, jakby zamierzał skoczyć, ale po chwili złapał woń obcego. Warknął raz jeszcze, ale odsunął się od półprzytomnej ofiary i niechętnie wrócił do legowiska.

Alikhan zatrzaskał drzwi między klatkami.

–Gotowe – powiedział.

Główne wejście zostało otwarte i Jill Mahim przyklękała już przy rannym.

–Niech mnie diabli, jeśli wiem, co to za jeden... Zalany w trupa – stwierdziła. – Pewnie jakiś pijak, który ukrył się po przedstawieniu i chciał się pobawić z kociakami.

–Wezwałem ambulans! – krzyknął ktoś od drzwi.

–I dobrze – mruknęła Mahim, przeszukując zestaw medyczny. Po chwili sprawnie nacięła poszarpaną tchawicę mężczyzny i wstawiła rurkę, żeby mu ułatwić oddychanie, dała trzy zastrzyki przeciwbólowe, jeden przeciwzakrzepowy i

podłączyła kroplówkę z substytutem krwi. – Przynieście nosze z korytarza – poleciła.

Pojękająca ofiara została wyniesiona z klatki. Sir Douglas wreszcie pozbiierał się na nogi. Chwiał się i potrząsał głową.

– Nawet nie widziałem, który mnie dopadł – mruknął. – Czy to znowu Muldoon?

– Jeden z tygrysów – powiedział ktoś.

– Byłem zbyt nieostrożny, a przecież powinienem zauważyć, że są podniecone.

– Nie wiń się, to przez tego idiotę na noszach! – krzyknął ktoś.

– Na nieszczęście ten idiota przeżyje i spłodzi mnóstwo idiotów – powiedziała Mahim. – Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

– Dobra, wszyscy! – zawołał Garvin. – Przedstawienie skończone!

– Akurat – zaśmiał się Njangu, przyglądając się przyjacielowi.

Garvin spojrzał na siebie i stwierdził, że jest praktycznie nagi. Spłonął się jak panienka, szczególnie że Darod Montagna bezwstydnie korzystała z okazji, żeby go sobie pooglądać.

– No, no – mruknęła pod nosem i Jaansma umknął czym prędzej do swojej kabiny.

– Oto uroki życia w cyrku – powiedział Njangu. – Człowiek nigdy się nie nudzi.

– Czym mogę służyć? – spytał Phraphas Phanon, widząc, że podchodzi doń sir Douglas.

– Zastanawiam się, czy bylibyście skłonni rozbudować swój numer – powiedział treser.

– Zawsze jesteśmy otwarci na nowości – odparł Sunya Thanon. – Co pan ma na myśli?

– Wspólny numer waszych olbrzymów i moich kociaków.

– Aha... Pańskie wielkie koty i nasi przyjaciele. Ciekawy pomysł.

– A na czym miałyby polegać ten numer? – zapytał Phraphas.

– Koty mogłyby skakać z jednego słonia na drugiego. Albo paradować razem z nimi.

– Hm... – mruknął Phanon. – Chyba moglibyśmy wymyślić coś bardziej

widowiskowego.

Njangu stał w kolejce do kantyny zwanej potocznie namiotem kucharza. Obok niego przeszedł Biegający Niedźwiedź z pełnym talerzem.

–Lepiej tu żywią niż u nas – powiedział.

–Uważaj, co mówisz – ostrzegł go Njangu.

–Mam na myśli inne cyrki, w których pracowaliśmy – odparł niewinnie Indianin i poszukał sobie miejsca.

Wkoło panował wielojęzyczny gwar. Niektórzy posługiwali się wspólnym, inni przestawali na ojczystej mowie. Garvin siedział u szczytu jednego ze stołów i konwersował z ożywieniem, wymachując rękami jak jedna z tych małp, których tak nie cierpiał.

Całkiem tu miło, pomyślał Njangu. Prawie jak w rodzinie. Ale co ja wiem o rodzinie? zastanowił się. Jak dotąd jedyną rodziną była dla niego Grupa i nie był pewien, czy to się liczy.

–Chciał mnie pan widzieć? – spytał Garvin. Właśnie zszedł lekko spocony z areny, ustąpiwszy pola rozrabiającym kłownom.

Mężczyzna, który na niego czekał, miał już swoje lata i wyglądał jak ucieleśnienie marzeń o dobrym dziadku. Takim bogatym i dobrze, chociaż tradycyjnie, ubranym.

–Istotnie.

–Może więc przejdziemy do mojego biura, chociaż musimy się śpieszyć. Za pół godziny wracam na arenę.

–Może i tak, gafferze Jaansma – odparł starszy pan. Mówił łagodnym, ale znamionującym pewność siebie głosem. Ruszył za Garvinem przez zakulisowe zamieszanie. Jaansma dostrzegł po drodze Njangu i dyskretnie skinął nań głową.

Gdy znaleźli się w biurze, mężczyzna grzecznie odmówił drinka i usiadł na krześle.

–Jeśli pan pozwoli – powiedział. – Obawiam się, że moje stare kości wymagają odrobiny odpoczynku. Zresztą zabiorę panu tylko kilka minut. Jestem Fen Bertl, obecnie członek Dyrektoriatu. Znalazłem się akurat na Delcie w związku z obecną kampanią i przy okazji wybrałem się na wasze przedstawienie. Muszę przyznać, że zrobiło na mnie wrażenie. Fantastyczne widowisko. Dla dzieci i nie tylko, bo sam poczułem się tak, jakby nagle ubyło mi lat. – Uśmiechnął się rozmarzony. – Mam nadzieję, że w rewanżu przyjmie pan dobrą radę, chociaż wiem, że większość ludzi za

tym nie przepada.

–Chętnie wysłucham wszelkich pańskich rad – szczerze powiedział Garvin.

–Wielu ludzi tak mówi, ale niewielu to robi. Jeśli należy pan do tej garstki wybrańców, jestem pod wrażeniem. Służył pan kiedyś w wojsku?

–Całe życie pracuję w cyrku.

Bertl pokiwał głową.

–Moja rada wiąże się z waszym zaangażowaniem w kampanię wyborczą Filego. Nie, proszę się nie dziwić, że o tym wiem. Niewiele ukryje się przed członkiem Dyrektoriatu, szczególnie gdy wspiera on Dorna, tak jak przed laty wspierał jego ojca. Chciałbym coś wyjaśnić: ludzie chętnie głosują na nowych, obiecujących wielkie zmiany, choć potem jeszcze chętniej ich rozliczają. Na tym właśnie opierają się rachuby Dorna. Tak samo kalkulował jego ojciec, który był ponadto dość inteligentny, aby we właściwej chwili wycofać się z tej krucjaty. Powinniście wiedzieć, że wybory w Tiborgu bywają czasem dość burzliwe, zwłaszcza gdy szykuje się zmiana ekipy. Obecnie może nawet dojść do rozlewu krwi. Wstyd mi to przyznać, ale to bardzo prawdopodobne.

–Zgodziłem się jedynie oddać Filemu parę przedstawień – powiedział Garvin. – Nie za darmo zresztą.

–Niestety, przeciwnicy polityczni zwykle wyolbrzymiają takie sprawy i obecnie może być tak samo, gdyż stara ekipa najwyraźniej straciła poczucie proporcji, co w polityce łatwo prowadzi do przegranej. Dlatego też nadeszła pora, aby władzę przejęła legalna opozycja.

–Wybaczy pan, ale niezbyt interesuję się polityką – stwierdził Garvin. – Rozumiem jednak, że tutaj tak to działa, iż po ekipie A przychodzi ekipa B, potem wraca A i tak dalej. Czy nie obawia się pan, że wcześniej czy później ludzie zażądadą prawdziwych zmian?

–Nie, mój romantyczny przyjacielu. Nie obawiam się. Nasze światy funkcjonują w ten sposób od blisko pięciuset lat, chociaż Konfederacja usiłowała nam przeszkadzać, domagając się nie tyle wolnych wyborów, ile wprowadzenia ekipy C, która reprezentowałaby jej interesy. Poza tym mamy sposoby, aby kontrolować sytuację. Niemniej jestem przekonany, że w przyszłości potrzebne nam będą prawdziwie wolne wybory. Ale dopiero wtedy, gdy wyborcy do nich dorosną. Na razie zaś... musi zostać tak, jak jest. – Wstał. – Wrócę jednak do celu mojej wizyty. Poza podziękowaniami za świetną rozrywkę, jaką zapewniacie mieszkańcom Delty, chciałbym was też ostrzec, że niezależnie od profitów, których oczekujecie, popełniacie poważny błąd.

–Nie wiem, jak miałbym wycofać się z zawartej już umowy – powiedział Garvin.

–Nie oczekuję tego, bo widzę, że jest pan uczciwym człowiekiem. Postaram się wybawić pana od tego kłopotu, jednak przede wszystkim chciałbym pana ostrzec. W zasadzie niewiele więcej mogę zaoferować. – Uśmiechnął się po ojcowsku, lekko skłonił głowę i wyszedł.

Po chwili w biurze Garvina zjawił się Njangu.

–Żadnych wyborów teraz, ale wnuki, proszę bardzo – parsknął. – Dlaczego takie dupki nigdy nie widzą, że właśnie nadeszła odpowiednia pora?

–Nie wiem. A dlaczego są wojny?

–Najbardziej niepokoją mnie ich możliwości kontrolowania sytuacji. Na przykład stan wyjątkowy, który mogłby zablokować nas na tej planecie.

Garvin nalał dwie szklanki pokładowych wyrobów spirytusowych. Jedną podał Njangu, drugą od ręki wychylił.

–Zaczynam się poważnie zastanawiać, czy jednak nie popełniliśmy błędu – powiedział półgłosem.

Dyrektor Fen Bertl wsiadł do swojej limuzyny.

–Wracamy na statek – poleciał i wóz wystartował.

–I jak poszło, szefie? – spytał mężczyzna siedzący za sterami.

–Ciekawy młody człowiek. Dość wyrobiony jak na swój wiek. Tylko dwa razy spojrzał na to miejsce w ścianie, gdzie jak sądzę był podsłuch. Ciekawy młody człowiek, który bawi się w politykę, a jego ludzie próbują się czegoś dowiedzieć o Konfederacji. Trzeba będzie się bliżej przyjrzeć jemu i jego cyrkowi.

–Nasi kucharze nie mają sobie równych w przeróbce surowców wtórnych, ale czasem miło jest zjeść coś świeżego – powiedziała Darod Montagna.

–Potrafisz poprawić apetyt – stwierdził Garvin i rozlał resztę wina do kieliszków, żeby kelner od trunków mógł przynieść nową butelkę.

–Chcesz jeszcze coś zamówić? – Darod spojrzała na ości pozostałe na talerzu Garvina.

–Teraz już nie.

–Myślałam, że nigdy cię nie wyciągnę na ten obiecany obiad.

–Zawsze dotrzymuję słowa. Tyle że czasem trochę to musi potrwać.

Rozejrzał się po restauracji. Był to całkiem miły lokal urządzony w oceanicznym drewnianym statku, który jakimś sposobem przetransportowano na jezioro w pobliżu lądowiska. Kelnerzy nosili białe rękawiczki, napoje podawano w kryształach, a na stołach były nawet czyste obrusy.

–Owszem, przyjemnie czasem gdzieś wyjść – powiedział. – Ostatnio wszystko załatywało mi słoniami.

–Ktoś tu mi zarzucał, że obrzydza mi jedzenie. – Darod położyła dłoń na rękę Garvina. – Bardzo mi się podobało, jak zaprezentowałeś się wczoraj rano.

Garvin prawie się roześmiał.

–Chciałaś, żebym się zarumienił.

–Och, nie. Rumieniec widziałam już wcześniej. Reszty nie – dodała z chichotem.

Garvin ziewnął i poderwał ślizgacz z parkingu przy statku restauracyjnym.

–Wracamy do szarej rzeczywistości? – zapytał.

–A czy musimy od razu? – powiedziała Darod. – Widzisz tamto miejsce? I te dwa... nie, trzy księżyce w górze? Możesz tam wylądować?

–Po takiej ilości wina mógłbym wylądować na główce od szpilki. I jeszcze zatańczyć.

–Wystarczy, jeśli posadzisz wóz obok tej wielkiej skały. Tańce zostawmy na później.

Garvin wylądował tak zgrabnie, że aż sam się zdziwił. Przez kilka minut siedzieli w ciszy i kontemplowali księżyce, srebrzyste jezioro w dole i światła statku.

–Z jakiegoś powodu mam ochotę cię pocałować – powiedział nagle Garvin. Zaskoczyło go, że ma lekką chrypkę.

–To da się zrobić – szepnęła Darod, podając mu usta.

Jakiś czas później wieczorowa suknia zsunęła się jej do pasa, a sama Darod prześlizgnęła się na szerokie tylne siedzenie i spojrzała wymownie na Garvina.

–Czy możesz unieść biodra? – spytał.

Zrobiła, o co prosił.

–Jak widzisz, nie mam bielizny, co oznacza, że liczyłam na to, iż do czegoś między

nami dojdzie – powiedziała i westchnęła.

–Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedziała Monique Lir, gdy Darod Montagna wróciła o świcie do kajuty.

–Tylko nadzieję? – spytała Darod.

–Proszę, proszę... – powiedział Njangu, podsuwając Garwinowi ekran holo. – Zgadnij, cóż to mówi prawy kandydat na szanowany urząd publiczny.

Garvin zignorował obraz i skupił się na tekście wiadomości. Donosiły, że kandydujący na premiera Dorn Fili ogłosił, iż Cyrk Jaansma włączył się do jego kampanii, uznawszy, że kandydat wart jest poparcia.

–To tyle, jeśli chodzi o prawo wyborców do własnego osądu – stwierdził Njangu.

–Czy to oznacza kłopoty?

–Patrz dalej. Szczególnie na nagłówki dwóch kolejnych materiałów.

Garvin przeczytał najpierw o bombie podłożonej przez „nieznanego terrorystę” w głównej siedzibie sztabu wyborczego Filego, potem o ciężkim pobiciu trzech ochotników roznoszących ulotki kandydata.

–Niedobrze – mruknął. – Jeśli wziąć pod uwagę to i tego durnia, który wszedł do wielkich kotów... Nawiasem mówiąc, przeżyje, jak wykrakała Jill... Chyba będziemy musieli zwrócić większą uwagę na bezpieczeństwo.

–Tak. Powinniśmy obarczyć tym ludzi z kompanii zwiadu – powiedział Njangu. – O ile nie są potrzebni na arenie, oczywiście. Trzeba będzie zdwoić... nie, potroić warty przy trapach i patrolować okolice statku. Zapomnij na razie o swoim pachnącym cyrkiem namiocie. Przez jakiś czas nie będzie niczego poza alejką z atrakcjami Sopiogo, a i tam wzmocnimy patrole. Najwyżej ten cwaniak straci paru klientów. Jeden aksai albo nana zawsze w gotowości startowej na wypadek, gdyby ktoś próbował poważniejszego ataku. Odtąd koniec z samotnymi wyprawami do miasta. Jeśli już, to tylko w grupach, najlepiej z ochroną. Tak więc wracamy do normalności.

Tego wieczoru w alejce z atrakcjami Sopiogo doszło do drobnej przepychanki, w którą zostali wciągnięci wszyscy strażnicy oprócz dwóch kobiet. Te dwie strażniczki zostały jednak wkrótce otoczone przez czterech życzliwych pijusów, którzy chcieli śpiewać im serenady.

W tym samym czasie do wspornika ładowniczego Berty niezauważenie zbliżyła się niepozorna postać, która przykleiła do niego jakiś przedmiot rozmiarów bardzo płaskiej aktówki, pomalowany na kolor poszycia statku. Klej związał natychmiast i

mężczyzna zniknął równie dyskretnie, jak się pojawił.

Monique Lir szła przez dzielnicę handlową za tuzinem piszczących dziewcząt i klęła na czym świat stoi. Gotowa była przysiąc, że Garvin albo Njangu chcieli sobie z niej zakpić, każąc jej pilnować stada wybierających się na zakupy pustogłowych siks.

Gdyby ktoś powiedział Lir, że nie zwraca niczyjej uwagi tylko dlatego, że wszyscy wpatrują się w trzpiotowate girlsy, zapewne naplułaby mu w oko. Albo złamała rękę. Nikt jej jednak tego nie powiedział, więc koncentrowała się na swoich obowiązkach. Nieustannie przepatrywała ulicę i trzymała rękę w pobliżu ukrytego pod długim płaszczem blastera.

Dziewczyny przystanęły, żeby popodziwiać holo nad wystawą butiku, gdy nagle Monique dostrzegła niepozornego i niedbale ubranego mężczyznę, który wyskoczył z bocznej alejki, wyciągnął blaster i strzelił.

Usłyszała krzyk bólu, ale nawet nie spojrzała, kogo trafiono. Wyciągnęła blaster, odwiodła bezpiecznik i wycelowała w zamachowca.

Mężczyzna obrócił się i chciał uciekać, gdy dostrzegł Lir.

–Stać! – krzyknęła, wiedząc, że powinna wziąć go żywcem.

Tamten jednak zaczął unosić broń. Strzelił.

Ładunek z blastera Lir trafił go w pierś i przerzucił przez betonową ławę.

Wkoło wybuchły wrzaski, ludzie biegali albo padali płasko na trotuar, wyły alarmy, Lir jednak nie zwracała na to uwagi. Podbiegła to ciała, szybko przeszukała kieszenie, wzięła wszystko, co znalazła, i uciekła, zostawiając broń denata na jego piersi.

–Dzięki – powiedział Njangu. Rozłączył się i spojrzał na Garvina. – Ta dziewczyna... nazywała się Chapu... właśnie zmarła.

–Dranie – westchnął Garvin, przeglądając to, co Lir wyciągnęła z kieszeni zamachowca.

Komunikator znowu zabrzączał. Njangu odebrał i po chwili przerwał połączenie.

–Dzwonił Fili. Złożył kondolencje, ale stwierdził, że to na pewno nie miało nic wspólnego z polityką i że zabójca musiał być niezrównoważony psychicznie.

–Tak – mruknął obojętnie Garvin.

Njangu przekazał do centrali łączności, żeby nie łączyli nikogo z zewnątrz, ale

odnotowywali, kto dzwonił, i podszedł do Garvina.

–Trochę za dużo pieniędzy – stwierdził. – Zwitek banknotów, przypadkowe numery. Facet do wynajęcia. A to co? Numer komunikatora?

–Zapomnieli wyczyścić go przed robotą? – zdziwił się Garvin, po czym sięgnął po komunikator i kazał centrali połączyć się z tym numerem. – To najpewniej stara sztuczka – dodał. – Spróbujcie od razu z podmianą ostatniej cyfry. – Odczekał. – Jeden w dół nic nie daje. Spróbujcie w górę. – Znowu odczekał, a potem szybko zerwał połączenie. – Jest. Biuro Konstytucjonalistów w Czwartej Dzielnicy.

–Fuszerka.

–Aha.

–W zwykłym demokratycznym kraju nie byłby to żaden dowód – zauważył Njangu.

–I dlatego bardzo się cieszę, że tym razem nie muszę się stosować do reguł demokracji.

–Przykro mi z powodu śmierci tej dziewczyny – powiedział Erikowi smukły mężczyzna ze starannie przyciętymi wąsami. Drogi, chociaż nieco niedopasowany garnitur nosił jak mundur.

–My, ludzie cyrku, nie myślimy jak żołnierze – odrzekł Erik. – Nie bierzemy pod uwagę tego, co wy nazywacie wkalkulowanym ryzykiem. Chociaż może powinniśmy. Nasza profesja też jest ryzykowna.

–Jednak ta kobieta zastrzelona przez szaleńca nie była kimś, kto wchodzi do klatki z drapieżnikiem – powiedział mężczyzna.

–Wszyscy wcześniej czy później umrzemy – stwierdził Erik. – Napije się pan ze mną?

–Chętnie – odparł mężczyzna i skinął na barmana. – Whiskey. I szklankę wody sodowej.

Penwyth zażyczył sobie brandy z piwem imbirowym. Chociaż nie przywykł jeszcze do miejscowych trunków, musiał przyznać, że brandy jest tu o wiele lepsza niż na Cumbre. Może tylko dolewali za wiele piwa imbirowego. Mężczyzna uniósł szklankę.

–Jak tu mawiamy... za krwawe wojny i szybkie awanse.

Erik uśmiechnął się i wypił.

–Chociaż po prawdzie żaden członek naszego klubu nigdy nie widział prawdziwej wojny – dodał wąsaty mężczyzna.

Na ścianach Klubu Sił Zbrojnych wisiała stara broń, sztandary pułkowe, hologramy wyprężonych na baczność mężczyzn.

–Jedynymi naszymi zadaniami było tłumienie zamieszek, zwalczanie piratów i pokazy siły, gdy komuś na jakiejś planecie zamarzyła się niepodległość i trzeba go było przywołać do porządku. Przy okazji, jestem Kuprin Freron, fousan w stanie spoczynku. Ostatni mój przydział to sztab generalny.

–Erik Penwyth, public relations cyrku.

–Wiem – stwierdził mężczyzna i chciał coś dodać, ale zmienił temat. – Co wasi ludzie zamierzają zrobić w sprawie tej tragedii?

–A co powinniśmy zrobić? – spytał ostrożnie Erik. – Szaleniec zabija jedną z dziewczyn z baletu, potem sam ginie zabity przez nieznanego cywila. Tyle tylko było

w waszych holo i tyle wiemy.

Freron uniósł brwi.

–Zastanawiam się, kim był ten nieznany cywil. Mamy tu bardzo surowe prawa ograniczające możliwość posiadania broni. Wprawdzie kryminaliści wciąż się zbroją, podobnie jak politycy, ale...

–Tacy ludzie nigdzie nie przejmują się prawem – zauważył Penwyth. – Nie wiem jednak, do czego pan zmierza.

–Pomyślałem tylko, że jako przybysze z zewnątrz macie może własne... sposoby radzenia sobie z takimi kłopotami. Byłoby dobrze, bo nasze władze nie zrobią nic, żeby osiągnąć tych, którzy stoją za tym mordem, chociaż powszechnie wiadomo, o kogo chodzi.

–Może i mamy, ale mnie nikt nie mówi o takich sprawach – powiedział Erik. – Przy okazji, stwierdził pan, że wie, kim jestem, chociaż nie pamiętam, abyśmy kiedyś się spotkali.

–To prawda – przyznał Freron. – Jednak słyszałem o waszym cyrku i o tym, że paracie się dobroczynnością. – Rozejrzał się na boki, sprawdzając, czy nikt nie siedzi za blisko, i zniżył głos do szeptu. – Słyszałem też, że rozpytujecie o Konfederację.

–Owszem – odparł spokojnie Penwyth, chociaż w głowie rozdzwoniły mu się alarmy. – Jesteśmy lojalnymi obywatelami Konfederacji, chociaż minęło nieco lat od czasu, kiedy mogliśmy okazywać to na co dzień. Poza tym sam też jestem ciekaw, jakim cudem coś tak wielkiego mogło ni z tego, ni z owego nagle zniknąć.

–Żołnierze też lubią porządek – powiedział Freron. – Wie pan, miałem to szczęście, że ukończyłem kiedyś kurs wywiadowczy na Centralnym. W sztabie generalnym zaś moim zadaniem było utrzymywanie kontaktu ze służbami Konfederacji. Zajmowałem się tym aż do czasu, gdy jakiś polityk uznał, niestety, że powinniśmy podążać własnym kursem.

–Ciekawe.

–Też tak kiedyś myślałem. Teraz zastanawiam się, czy nie zabrać się do pisania pamiętników. Zachowałem sporo notatek, w większości bardzo szczegółowych. Zapisywałem wszystko, co dotyczyło kontaktów z Konfederacją. Niestety, mam wrażenie, że w tych czasach tego rodzaju literatura nie wzbudzi zainteresowania.

–Ja w dzieciństwie zaczytywałem się w pamiętnikach – powiedział Penwyth. – Zawsze wydawały mi się o wiele bardziej interesujące niż to, co miały do powiedzenia inne dzieciaki. Ale wspomniał pan, że robił szczegółowe zapiski?

–Owszem, chociaż przypuszczam, że nie było to całkiem legalne, ponieważ sporo materiałów, które trafiały w moje ręce, miało status tajności. Teraz porastają kurzem, chociaż niektórzy pewnie uznaliby je za ciekawe.

–Na przykład kto? – spytał Penwyth, żałując, że nie może sprawdzić, czy Freron nie został podstawiony przez miejscowy kontrwywiad.

–Chociażby historycy badający dzieje Konfederacji. Ludzie z funduszami znacznie większymi niż moja emerytura.

–Tousenie Freron – powiedział Erik, machając na barmana. – Muszę przyznać, że wielce mnie pan zainteresował. Może poszukamy jakiegoś stolika i omówimy przy nim parę spraw?

–Mów mi Kuprin.

Garvin nawet się ucieszył, że prawie połowa ludzi dyskretnie go indagowała, czy planuje coś w związku z morderstwem Chapu, a jeśli tak, to czy mogą jakoś pomóc.

Garvin rzeczywiście coś zaplanował, ale do realizacji planu potrzebował tylko dwiętnastu osób z kompanii zwiadu. Późnym popołudniem załadowali się do jednego z cyrkowych ślizgaczy i polecili do stolicy. Wylądowali po cichu w Czwartej Dzielnicy, na dachu budynku górującego nad siedzibą Konstytucjonalistów i zeszli na ulicę. Wysoko w górze krążyły aksaie z Dillem i Alikhanem za sterami.

Czterech najlepszych strzelców zajęło stanowiska w zakamarkach wkoło gmachu. Mieli przerobione pociski Shrike ukryte w niewinnie wyglądających walizkach oraz własną broń. Sześciu innych, również z ciężką bronią, obstawiło pod dowództwem Lir wszystkie trzy wejścia.

Potem już tylko czekali w ukryciu, wstrzymując oddech, gdy w pobliżu pojawiały się ślizgacze policji.

Garvin i Njangu wybrali na lądowanie czas zaraz po zakończeniu pracy w obstawionym budynku.

–Niech niewinni urzędnicy pójdą sobie do domów – powiedział Garvin.

–A jeśli którejś sekretarce szef każe zostać po godzinach? – spytał Njangu.

Garvin spojrzał na niego chłodno.

–Przepraszam, nic nie mówiłem – mruknął Yoshitaro.

Zapadał już zmierzch, ale prawie w jednej trzeciej okien wciąż paliło się światło.

Garvin nawiązał łączność ze swoimi ludźmi.

–Grupa pierwsza, ognia.

Dwa pociski były wymierzone w trzecie piętro pięciokondygnacyjnego budynku, dwa w okolice pierwszego piętra.

Huk eksplozji wstrząsnął miastem. W promieniu paru przecznic szyby wyleciały z okien. Budynek zakołysał się, frontowa ściana runęła, zmuszając jeden z zespołów Garvina do ucieczki.

Trzy piętra stanęły w ogniu.

Rozległy się krzyki i lamenty, ocalali zaczęli wybiegać na ulicę.

–Grupa druga, ognia.

Być może polityką parali się na Delcie głównie młodzi ludzie, ale Garvin wiedział swoje. Wcześniej nakazał strzelcom wybierać tylko osoby w wieku średnim i raczej dobrze ubrane oraz tych, którzy wyglądali na ich ochroniarzy.

Zza rogu wyleciał policyjny ślizgacz. Dostał serię w silnik i wpadł na inny, zaparkowany wóz. Policjanci wyskoczyli z maszyny i zaraz uciekli. Nie byli głupcami, żeby pchać się z bronią boczną pod ogień ciężkich blasterów.

W słuchawkach Garvina zabrzmiał głos Diła:

–Szefie, pora się zbierać. Widzę coś jakby wozy strażackie i chyba kilka wojskowych ślizgaczy. Zmierzają w waszym kierunku.

Garvin przełączył się na kanał aksaiów.

–Zaraz znikamy. Poczekajcie w górze, aż odlecimy, potem wracajcie do domu. – Nie czekając na potwierdzenie, przeszedł na kanał obu grup. – Dobra, dzieciaki. Już nas tu nie ma.

Wszyscy czym prędzej wbiegli do budynku, na którym wylądowali, i na łeb, na szyję załadowali się do ślizgacza, który Njangu utrzymywał kilka centymetrów nad dachem. Maszyna wzniosła się trochę, zanurkowała w aleję i odleciała, kosząc czubki drzew.

Po kilku minutach byli z powrotem obok Grubej Berty.

–Dopadliście kogoś? – spytała Montagna, trochę zła, że nie wzięli jej na tę akcję.

–Paru owszem, ale to i tak za mało – odpowiedziała zdyszana Lir.

Garvin upił łyk soku owocowego.

–Dobrze, przyjaciele – powiedział do Liskearda, Lir i Yoshitara. – To trochę wyrównuje rachunki. A teraz powiadomcie wszystkich, którzy kwaterują w mieście, żeby się pakowali i zwijali budy. Startujemy o północy, a Tiborg Alfa Delta niech szuka własnej drogi do piekła.

–Zaraz zaraz, szefie – odezwał się Njangu. – Możemy zostać na chwilę sami?

Garvin zdziwił się, ale skinął głową. Pozostali wyszli.

–Owszem, powinniśmy się zbierać, tylko że właśnie wrócił Erik, odrobinę zalany, ale mówi, że ma coś ciekawego.

Yoshitaro opowiedział mu, że Penwyth poznał niejakiego Frerona, oficera w stanie spoczynku.

Garvin sięgnął po następny soczek, ale skrzywił się i cofnął dłoń.

–To wymaga czegoś nadającego się do picia.

–Bez wątpienia – przyznał Njangu i wydobył z lodówki dwa piwa.

Garvin łyknął potężnie.

–Co to jest, że ile razy próbuję poprzestać na czymś zdrowym, nabieram nieprzepartej ochoty na jakąś truciznę? – zastanowił się na głos. – Ale dobra. Mamy więc kogoś z pewną wiedzą na temat Konfederacji. Sprzed dziesięciu lat...

–Owszem, stare to nowiny, lecz całkiem innego kalibru niż wszystko, do czego dotąd dotarliśmy.

Garvin skinął głową.

–Ale to oznacza, że te dupki nadal będą próbowały nas dopaść – powiedział.

–Konstytucjoniści czy ci drudzy?

–A czy to ważne? – spytał Garvin. – Konstytucjoniści dostaną pewnie piany na pysku. A ci drudzy... jak nazywa się partia naszego chłoptasia? Socjaldemokraci, tak?

Zabrzączał komunikator. Njangu odebrał, posłuchał chwilę i odłożył słuchawkę.

–Skoro o nim mowa, właśnie dobija się do drzwi. Wpuścimy go?

–Dlaczego nie? – powiedział Garvin, dopijając piwo, i rzucił puszkę do kosza. – Mam wrażenie, że jednak nie uda nam się zwinąć interesu i uciec.

–Nie, póki się nie przekonamy, czy ten znajomy Erika jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje, czy może to raczej wtyczka – odparł Njangu. – Chociaż wizja pozostania tu jeszcze przez chwilę nie podoba mi się tak samo jak tobie.

Zapukano do drzwi. Garvin otworzył i do środka wpadł wyraźnie poruszony Fili w towarzystwie Breka.

–Na bogów! – zaczął polityk. – Ależ wy jesteście niebezpieczni!

–Słucham?

–Niebezpieczni i ostrożni – powiedział Brek. – Zapewne nie słyszeliście, że przed godziną wysadzono siedzibę Konstytucjonalistów?

–Podobno zginęło stu dwudziestu pięciu działaczy partyjnych, a napastnicy użyli rakiet i broni maszynowej, jak wojsko – dodał Fili. – Rozumiem dziesięciu za jednego, ale żeby tak...

–Naprawdę? A może mieli nieszczelną instalację gazową? – spytał Njangu.

–To całkiem możliwe – przytaknął Garvin.

–Zastanawialiśmy się właśnie, czy was nie stracimy – odezwał się Brek. – Zrozumielibyśmy, gdybyście się wycofali, chociaż mieliśmy zamiar zaproponować wam wzmocnienie ochrony.

–Wasz cyrk dodał mi parę punktów – rzekł Fili – a wstawki z nim w holo podniosły oglądalność naszych programów. Bardzo byśmy nie chcieli, żebyście odlecieli, dopóki nie uczcimy mojego zwycięstwa.

–Jeszcze nie odlatujemy – powiedział Garvin. – Zawarliśmy umowę i zamierzamy się z niej wywiązać.

–To wspaniale – ucieszył się Fili. – Szczególnie dla naszych działaczy. To doda im sił w ostatnim tygodniu kampanii.

–No i jak powiedziałem, dostaniecie pełną ochronę – dodał Brek.

–Chętnie skorzystamy – rzekł Njangu. – Ale tylko poza statkiem. Nie chcemy na nim nikogo z bronią.

–Macie pewność, że gdyby do czegoś doszło, obronicie się? – spytał z powątpiewaniem Fili.

–Owszem. Szczególnie jeśli zaczniesz się wiązać ten nieszczęśliwy wypadek z nami. To powinno nieco uspokoić nastroje.

–Nie byłbym tego taki pewny – stwierdził Brek. – Konstytucjoniści byli dość długo u władzy i na pewno będą się bardzo starali tak łatwo jej nie stracić.

Garvin przypomniał sobie, co mówił dyrektor Bertl o zaciętrzewieniu przeciwników. I że nie oddalili się jeszcze tak bardzo od Cumbre.

–Nie, zostajemy – powtórzył. – Ale chcielibyśmy jeszcze raz omówić sprawę naszego wynagrodzenia.

–Ależ ty jesteś namiętny po akcji – powiedziała zdyszana Montagna.

Zsiadła z Garvina i stoczyła się na bok.

–Naprawdę? – spytał Garvin, przesuwając palcem po jej piersi i brzuchu.

Wciągnęła gwałtownie powietrze.

–Mogę cię o coś zapytać?

–Pytaj.

–Trudno mi zebrać myśli, gdy całujesz moje sutki. Po pierwsze, chcę, abyś wiedział, że nie uważam, iż to, co robimy, jest czymś więcej niż tym, co robimy, rozumiesz?

–Jak dobrze, że wstąpiłaś do wojska, bo dzięki temu nauczyłaś się wyrażać naprawdę jasno i zwięźle – mruknął Garvin.

–Wiesz, co mam na myśli. A teraz pozwól, że zmienię temat, zanim zapalisz światło i zobaczysz, że potrafię się rumienić nie gorzej niż ty. Co zrobimy z tymi idiotami?

–Nic – odparł Garvin. – Dopełnimy umowy i ruszymy w drogę.

–Nie wiem, w co gracie z Njangu, to nie moja sprawa, ale wydaje mi się, że mieszkańcy Deltę nie mają nic lepszego niż te dwie partie, które wciąż zmieniają się przy korycie.

–Ja zaś uważam, że gdy ktoś naprawdę chce zmian, to zawsze znajdzie sposób. Jeśli wojsko wplątuje się w takie sprawy, może być tylko gorzej.

–A gdybyśmy tak przygotowali maszynę piekielną z zapalnikiem czasowym i podłożyli ją we właściwym miejscu? Znamy przecież datę i dokładną godzinę inauguracji, kiedy to stary drań będzie przekazywał władzę nowemu draniowi. Gdybyśmy usunęli ich obu, czy to by coś dało?

–Zapominasz o Dyrektoriacie, który zdaje się sprawować rzeczywistą władzę – powiedział Garvin. – Poza tym wolę się nie mieszać do polityki.

–Na pewno dałoby się coś wymyślić na ten cały Dyrektoriat – upierała się Montagna.

–Najpierw jedna bomba, potem druga i pewnie trzecia... ani się obejrzymy, jak zostaniemy zbawcami tego świata.

–Garvin, chciałabym coś na to poradzić, ale to jest takie miłe...

–O co chodzi? – spytał Garvin.

–Tym razem postaram się tak nie hałasować przy szczytowaniu.

–Możliwe, że jednak się pomyliliśmy – powiedział Bertl do swojego asystenta. – A ten mały nadajnik, który umieściliśmy na ich statku, podaje tylko aktualną pozycję. Chciałbym wiedzieć coś więcej o tych ludziach. Wydaje się, że są kimś więcej niż tylko radosnymi wędrowcami.

–Też się nad tym zastanawiałem – rzekł asystent. – I chyba mam coś... a raczej kogoś.

–Jak zwykle wyprzedzasz moje myśli – stwierdził z zadowoleniem Bertl.

–A teraz najważniejsze – powiedział Njangu do zebranych. – Cali ci Socjaldemokraci, z którymi nie powinniśmy wprawdzie nawiązywać romansu, ale trudno, stało się, zapewniają nam ochronę. Widziałem już tych ochroniarzy. Rośli jak małpy, w ciemnych okularach i z włosami w uszach. Typowi partyjni bojówkarze. Wszyscy lepsi pilnują pewnie tronu. Ale nie szkodzi – dodał, mrugając do Maev, która siedziała w pierwszym rzędzie. – Niech kręcą się po terenie i ściągają na siebie uwagę różnych bandytów. Nasi strzelcy mają jak zwykle pozostać niewidoczni. Chyba że coś się zacznie. Wtedy walcie bez wahania.

–Proszę – powiedział Garvin, podając Njangu jakiś przedmiot w kształcie guzika.

–Co to jest?

–Coś, co będzie mi meldowało o każdym twoim ruchu.

–Hm...

–Każdy VIP na pokładzie to dostaje. Ja też.

–Przewidujesz kolejne kłopoty?

–Może... a może dmucham na zimne – powiedział Garvin.

–Nie jestem pewien, czy chcę, aby ktokolwiek wiedział, gdzie się poruszam – mruknął Njangu.

–Trudno.

–Gdzie mam to nosić?

–W kieszeni, przyklejone do klapy, a nawet w zadku, jeśli uznasz, że tak będzie wygodniej.

–To bardzo ciekawe zapiski – powiedział Freron do Penwytha, stając pośrodku swojego salonu, w którym panował wybitnie zorganizowany bałagan.

–Tak?

–Chodzi o moje ukochane zadanie. Kazano mi je wykonać zaraz po tym, jak zostałem przyjęty na kurs wywiadu. Dziesięć lat temu, gdy składałem końcowy raport, zawierał on wyłącznie aktualne dane.

Penwyth czekał na ciąg dalszy.

–To jest wykaz – wyjaśnił Freron – kompletny lub prawie kompletny, jak sądzę, wszystkich czujników i automatycznych systemów obronnych oraz posterunków rozmieszczonych wkoło Centralnego i pozostałych trzech zamieszkałych światów Capelli. Oraz punktów nawigacyjnych prowadzących do układu. Myślę, że powinien zainteresować każdego historyka.

Penwyth zauważył, że Freron położył szczególny nacisk na słowo „historyk”.

–Historyk, bez wątpienia, byłby zainteresowany. Ile chcesz za ten materiał?

–Sto pięćdziesiąt tysięcy kredytów.

Penwyth stłumił chichot.

–Myślę, że to rozsądna kwota – powiedział z lekka urażony Freron. – Nie tylko dla historyka, ale i dla kogoś zainteresowanego obecnym stanem tych instalacji. Wszystkie one powstały w tej samej firmie i mają wbudowaną funkcję automodynkacji. Gdyby ktoś chciał, zdołałby na pewno odszukać świat producenta, może nawet konstruktorów tych urządzeń, i uzyskać informacje na temat kolejnych zmian.

Penwyth podrapał się po nosie i nalał sobie kolejną brandy, której butelkę przyniósł ze sobą.

–Jak to się stało, że mimo takich dokonań nie awansowałeś wyżej fousana, Kuprin?

Freron uśmiechnął się gorzko.

–W tamtych czasach nazbyt zajmował mnie hazard. Wyższe stopnie są u nas zarezerwowane tylko dla oficerów bez skazy, w każdym razie bez widocznej skazy. Ale do rzeczy. Wartościowym nabytkiem dla historyka badającego ostatnie dni Konfederacji mogłaby też być kompletna mapa Świata Centralnego z zaznaczonym położeniem różnych obiektów wojskowych. Nie wiem, jaka mogłaby być jej cena rynkowa. Przypuszczam, że jakieś sto tysięcy kredytów. Zresztą, gdybym spotkał jakiegoś bogatego kolekcjonera, zapewne oddałbym mu ten raport i mapę razem za dwieście tysięcy.

Zastanawiał się przez chwilę.

–Chociaż... gdyby znalazł się chętny na całość moich zbiorów, przekazałbym mu je chętnie za nie więcej niż pół miliona.

–Za kogo on nas ma? – jęknął Garvin.

–Może słyszał o Jasith? – zastanowił się Njangu.

–Daj spokój. Erik, mógłbyś się trochę potargować? – zapytał Jaansma.

–Nie sądzę, szefie – odparł Erik, rozbawiony jego reakcją – Facet wydaje się dość pewny siebie. I sprytny, bo w domu ma tylko trochę materiału, a resztę trzyma w sejfie banku, którego nazwy nie chciał wyjawić.

–Cwany drań, bez dwóch zdań – warknął Garvin. – I co nam zostaje? Mamy okraść złodzieja?

–Właśnie, myślałem już, czy nie poprosić Erika o plan mieszkania tego gościa. Ale ten bank...

–Trudno – westchnął Garvin. – Trzeba będzie wystawić wyższy rachunek Filemu. – Oparł głowę na rękach. – Najpierw pakujemy cyrk w środek politycznej zawieruchy, za co rodzina by mnie wydziedziczyła, a teraz kumamy się z bardzo drogim zdrajcą...

–Pociesz się – powiedział Njangu bez cienia współczucia – będzie jeszcze gorzej.

Kekri Katun nie tyle mówiła, ile mruczała, w każdym razie tak słyszał ją Garvin. Była najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widział. Wszystko było w niej doskonałe, począwszy od platynowych włosów, które wyglądały na naturalne, przez twarz o idealnych rysach, gładką skórę, obfity biust, po nieprawdopodobnie cienką talię. Zastanowił się, ile kredytów musiała wydać na chirurgów, żeby tak wyglądać.

–Tak, przez pół życia zajmowałam się akrobacją i mam nadzieję długo jeszcze pozostać w dobrej formie – powiedziała.

Pochyliła się, oparła jedną rękę na podłodze i stanęła na niej bez żadnego wysiłku. Obcisła sukienka zsunęła się niebezpiecznie, ukazując uda, i Garvin pomyślał z przerażeniem, że dziewczyna nie ma niczego pod spodem.

–Teraz mogę opowiadać dykteryjki, recytować wiersze czy śpiewać piosenki. Znam wiele piosenek, przez pięć lat jeździłam z pewną małą trupą i miałam czas na naukę.

Powoli oparła drugą rękę na podłodze, i odbiwszy się oburącz, wylądowała na równych nogach w tym samym miejscu, z którego się wybiła. Nie była ani odrobinę zdyszana.

–Wiem, że w cyrku przydają się też inne umiejętności poza tymi wykorzystywanymi na arenie, mogę więc dodać, że jestem świetną księgową, sekretarką, a w razie potrzeby mogę też pozować.

–Co robić?

–Pozowanie jest dość popularne w klubach Delt, szczególnie tam, gdzie zbierają się starsi panowie, którzy chcą po prostu popatrzeć na nagą kobietę.

Rozpięła sukienkę, która opadła na ziemię. Rzeczywiście nic pod nią nie nosiła. Garwinowi zaschło w ustach. Katun przyjęła wystudiowaną pozę.

–To pani dyrektor Randulf, jedna z naszych bohaterek, podczas nocy poślubnej.

–Aha...

–A to touses Merrist, gdy uciekła rebeliantom. Znam jeszcze z tuzin takich.

–Tak... rozumiem. Bardzo ciekawe – mruknął Garvin. – Może się pani ubrać. Nie mamy takich widowisk w programie.

–Gdy tu szłam, mijałam budy, w których były raczej mało ubrane dziewczyny...

–To interes Sopięgo Midta – odparł Garvin. – Stawia na najniższe instynkty i nie waha się przy tym nieco oszukiwać. Tak naprawdę jego dziewczyny nigdy nie rozstają się z bielizną. W każdym razie lepiej, żeby tego nie robiły, bo go zabiją.

–A komu przeszkadza publiczna nagość? – spytała Katun. – Szczególnie wśród przyjaciół. – Z uśmiechem na twarzy i lekko rozchylonymi ustami włożyła sukienkę.

Garvin uznał, że pora zmienić temat.

–Cały czas przyjmujemy artystów – powiedział. – Akurat teraz potrzebujemy nowej tancerki. Myślę, że akrobaci też byliby zainteresowani pani umiejętnościami.

–Widziałam w holo. Straszna sprawa z tą biedną dziewczyną...

–Musi się pani liczyć z tym, że minie trochę czasu, zanim znowu tutaj przylecimy.

Katun wzruszyła ramionami.

–Mój ojciec był komiwojażerem, matki prawie nie pamiętam. Przywykłam do wędrownego trybu życia. – Znowu uśmiechnęła się dwuznacznie. – Nigdy nie byłam poza tą planetą, ale dla dziewczyny takiej jak ja powrót to nie problem. Zresztą zawsze mogę znaleźć sobie nowy dom.

–Też racja... Widzę, że na podaniu zostawiłaś swój numer – powiedział Garvin, dziwnie naturalnie przechodząc na ty. – Zadzwonimy jutro albo pojutrze.

Kekri Katun wstała, podeszła do drzwi, odwróciła się i spojrzała na niego.

–Myślę, że praca z tobą... w twoim cyrku... będzie dla mnie czymś najciekawszym w całym życiu – powiedziała ze zmysłowym westchnieniem i wyszła.

–Fiu, fiu – mruknął Garvin i już sięgnął po piwo, ale uznał, że lepiej mu zrobi coś mocniejszego, i wybrał brandy.

–No, no... – powiedział Njangu. – Zauważyłeś, że goli się na gładko? – Też zajrzał do lodówki i wyjął piwo.

–No to co z nią robimy?

–Jestem tu tylko bezpieczniakiem – stwierdził Njangu – ale oczywiście angażujemy ją.

–Dlaczego oczywiście?

–Bo szpiega zawsze lepiej mieć na oku.

–Nie przesadzasz? Ona miałaby być szpiegiem?

–Przestań myśleć fiutem i wróć do rzeczywistości – powiedział Yoshitaro. – Kobiety w jej rodzaju nie rzucają się na facetów takich jak ty... czy ja... jakbyśmy byli królewiczami z bajki.

Garvin opadł na krzesło.

–Masz rację. Zupełnie zgłupiałem. Nie domyślasz się, kto mógł ją nasłać?

–Mogę tylko zgadywać. Skoro nie ma nic przeciwko opuszczeniu tej planety, zapewne pracuje dla kogoś myślącego w dłuższej perspektywie niż Fili czy jego konkurent z Konstytucjonalistów. A tak myślą tutaj jedynie...

–Dyrektorzy?

–Właśnie.

–No to dlaczego nie możemy powiedzieć jej po prostu, że nie mamy dla niej pracy?

–Bo wtedy spróbują raz jeszcze i możemy się nie zorientować – wyjaśnił Njangu. – O ile już tego nie zrobili. Dotąd zrezygnowały dwadzieścia trzy osoby, którym spodobało się na Delcie, i przyjęliśmy trzydzieści nowych. Jest ruch w interesie. Tak więc przyjmij ją. Chyba że gadasz przez sen?

–Nic mi o tym nie wiadomo.

–No to zrobimy z niej podwójnego agenta. Gdy będzie już cała w siniakach, na pewno się zgodzi. Możemy też dać jej zastrzyk w śliczną pupcię i wyśpiewa, o co chodzi Bertlowi, a rano nie będzie nic kojarzyć. Pamiętasz, jak nas wymaglowali, nim zostaliśmy przyjęci do wojska?

–Tak.

–Chociaż pierwszy sposób byłby zabawniejszy.

–Hm...

–Nic nie powiem Jasith – obiecał Njangu. – Bo przecież tu chodzi tylko o sprawę, prawda? – Uśmiechnął się krzywo.

Garvin poczerwieniał, pojmując, że Yoshitaro musiał się dowiedzieć o Darod. Pewnie cały cyrk już o tym wiedział.

–Gdy do nas dołączy – ciągnął Njangu – przetrząsnę jej rzeczy i zadbam, żeby jej nadajnik trochę się zepsuł... i przekazywał wszystko mnie. Ej, gdzie twój bojowy duch? Gdzie ten radosny Garvin z Grimaldiego, szczęśliwy, że znalazł się wśród karłów, akrobatów i treserów?

–W cyrkach zwykle nie ma szpiegów – mruknął Garvin.

–Masz coś przeciwko nowościom? Zainicjuj nową tradycję! Nie bądź taki skwaszony! Pomyśl o starej Randulf i jej nocy poślubnej.

–To sztuczka ze światłem – upierał się chłopiec.

–Oczywiście – zgodził się Jiang Fong.

–I... z lustrami.

–Jesteś bardzo bystry. Musisz przyjrzeć się temu bliżej.

Uniósł chłopca i rzucił go, krzyczącego, swojej żonie, która balansowała na trzymetrowej żerdzi. Kobieta złapała go na stopy, obróciła i połaskotała, aż przestał krzyczeć i zaczął się śmiać. Potem poprzetrzucała go z jednej ręki do drugiej i w końcu odrzuciła Gangowi.

Gang posadził go, zdyszanego, z powrotem na fotelu. Zaraz podeszła do niego wysoka ledwie na metr Jia Yin, balansując trzymaną na podbródku tacą z czterema czarkami, na której stała taca ze szklankami i jeszcze cztery inne przezroczyste tace z wazonikami, a na samym szczycie wazon prawie tak duży jak sama dziewczyna.

–Światła i lustro, powiadasz – pisnęła. – Chcesz, żebym skoczyła i żeby wszystkie te naczynia wylądowały na tobie? Uprzedzam, że potem i ty, i twój ruchomy fotel będziecie bardzo mokrzy.

–Nie, nie – zaprotestował chłopiec.

–Ale i tak to zrobię – powiedziała i skoczyła. Szkło posypało się kaskadą, ale wszystkie naczynia zostały wylapane. Rzucone w powietrze utworzyły po chwili kolejną piramidę, tyle że teraz to, co wcześniej było na górze, znalazło się na dole.

Chłopiec patrzył na to zafascynowany.

–Chciałbym się nauczyć żonglować – szepnął.

Jia Yin usłyszała to i pochyliła się, nie roniąc ani kropli z naczyń.

–Po przedstawieniu – obiecała. – Pokażę ci, jakie to łatwe.

–Nawet dla mnie, chociaż nie mogę chodzić?

–Szczególnie dla ciebie, bo jesteś uważniejszy niż inni.

Tysiąc metrów nad szpitalem krążył patrolowiec klasy Nana.

–Do wszystkich – powiedział haut Chaka, który postarał się, żeby zdegradowano go o trzy stopnie, byle tylko polecieć z cyrkiem. – Mam podejrzanego. Podświetlam go...

Załogi drugiej nany i dwóch aksaiów spojrzały na ekrany, gdzie pulsował punkt wskazywany przez laserowy znacznik.

–Kręci się w pobliżu szpitala, odkąd są tam nasi – powiedział Chaka. – Brak oznaczeń czy logo sieci, więc mu się przyjrzałem. To limuzyna pełna uzbrojonych typów. Jeden jest nawet tak głupi, że zaczął wymachiwać blasterem czy co tam ma. Odbiór.

–Do grupy ubezpieczenia, mówi szef – odezwał się Njangu. – Pewnie będzie chciał uderzyć po transmisji. Nieważne, czyj jest, zajmiemy się nim od razu. Lir... wystrasż go. Aksaie, wejdziecie mu dyskretnie na ogon. Chcę czegoś więcej niż paru martwych drani. Berta, wypuść trzeciego aksaia, niech dołączy do pozostałych.

Słuchający kliknęli przełącznikami, potwierdzając, że odebrali rozkazy.

Ukryta w kępie krzaków Lir sprawdziła celownik, ustawiła zapalnik rakiety na detonację w bliskości celu i wyłączyła samonaprowadzanie. Shrike wystrzelił w kierunku limuzyny i eksplodował w odległości dwudziestu metrów.

Pojazdem obróciło, ale pilot odzyskał panowanie nad sterami i na pełnej szybkości rzucił się do ucieczki.

–Śledzimy – rozkazał Chaka i aksaie ruszyły za limuzyną, tyle że na wysokim pułapie, nad chmurami.

Uciekinier okrążył miasto i skierował się na północ, ku skupisku wysepek.

–Podchodzi do lądowania – zameldował Chaka i przeszukał teren najpierw radarem, a potem termowizorem.

–Coś tam jest – powiedział. – Chyba małe cywilne lotnisko.

Trzy aksaie krążyły cały czas nieco poniżej pułapu nany.

–Mówi Boursier jeden. Trafiłam na okno w chmurach. Widzę lądowisko z dziesięcioma albo dwunastoma maszynami. Kilka wygląda na uzbrojone, być może policyjnego albo wojskowego przeznaczenia.

–Mówi szóstka – odezwał się Njangu. – Zdmuchnąć je. Stoją akurat jak do przeglądu. Budynki też załatwić. I wszystkich, którzy by do was strzelali. Bez odbioru.

Aksaie wykonały zwrot bojowy i zanurkowały ku ziemi. Prowadząca Boursier wystrzeliła od razu pół tuzina rakiet.

Pociski przeorały lądowisko. Zaraz potem Diii i Alikhan przeszli nad nim lotem koszącym, robiąc poprawki ogniem z działek. Slizgacze eksplodowały, jeden z trzech hangarów zajął się ogniem. Ludzie uciekali, szukając kryjówek, jedni w las, inni do

wody. Niewielu się udało.

Boursier wróciła, aby dokończyć hangary, a na koniec rozrzuciła z dwustu metrów małe bomby przeciwpiechotne.

Chaka także obniżył lot i uznawszy, że dwie maszyny na ziemi są w zbyt dobrym stanie, poprawił parą shrike'ów.

–Chyba już nic nie zostało – powiedział. – Cała grupa, wracamy do domu.

Garvin i Njangu uznali za symptomatyczne, że holo nie podały najmniejszej wzmianki o zniszczeniu lotniska.

–Chyba komuś nie zależy na rozgłosie – zauważył Njangu.

–Co wiele mówi o tutejszych strukturach władzy, prawda? – dodał nieco zde gustowany Garvin.

–Mężczyźni mają kutasy zamiast mózgów! – wybuchnęła od progu Darod Montagna.

–A to coś nowego? – zapytała uśmiechnięta Lir. – Czym nasz szef tak wkurzył cię tym razem?

–Zobaczyłam, jak spaceruje sobie wkoło statku z tą... lalunią, którą niedawno zatrudnił!

–Chyba ma prawo spacerować z kim chce?

–Ale nie z nią!

–Spokojnie – powiedziała Lir. – Jeśli jesteś zazdrosna teraz, gdy przechadza się z tą Katun, co będzie, gdy wrócimy na Cumbre i wskoczy do łóżka Jasith Mellusin?

–To co innego! Ona była pierwsza, zdobyła go przede mną!

–Rany...

–Zaangażowanie przez nas Cyrku Jaansma z pewnością już się opłaciło – powiedział Dorn Fili. – Naszym ludziom przyda się taki zastrzyk energii. Nie mówiąc o tym, jak ładnie wypadniemy w holo.

–Cudzoziemcy dobrze się sprawili – przyznał Sam'l Brek. – Jednak zbliża się już dzień wyborów i zaczynam się martwić o fundusze. To, co mamy im dać, bardzo przydałoby się w decydującej chwili.

–Skorzystaj ze środków odłożonych na później dla naszych zwolenników.

–Mógłbym tak zrobić, ale obawiam się, że nasi przyjaciele byliby potem nieco źli. Gdyby tylko można było uratować nieco z tych pieniędzy dla cyrku... hm... Chyba mam pewien pomysł.

–Nie zrobią nam potem koło pióra?

–Bardzo wątpliwe, jeśli zgrabnie to rozegram i dobiorę właściwych ludzi.

–Nie mów mi nic więcej – polecił Fili. – Po prostu to zrób.

–Mamy coś ciekawego – powiedział Njangu do Garvina. – Przeszukaliśmy rzeczy naszej dzidzi i zgadniesz, co znaleźliśmy?

–Mały nadajniczek?

–Nie.

–Moduł łączności międzygwiazdnej?

–Też nie.

–To nie wiem.

–Dosłownie nic... tyle że Kekri ma chyba nieco za wiele kosmetyków i osobliwy gust, jeśli chodzi o bieliznę.

–Nic? – spytał z niedowierzaniem Garvin. – Co to ma znaczyć? Że nie jest szpiegiem?

–Nie porzucaj nadziei – zasugerował Njangu. – To znaczy tylko, że jest nieco lepiej wyszkolna, niż mi się zdawało.

Penwyth przekazał komunikator Freronowi, który wysłuchał wypowiedzianego mechanicznym głosem komunikatu o przelaniu na jego konto pół miliona kredytów.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, wyjął z kieszeni komplet kluczy i przekazał go Erikowi.

–Schowek numer dziewięć, osiem, pięć, cztery w Banku Wojskowym. Jest całkiem spory, więc lepiej weź kogoś do pomocy. – Podał jeszcze adres i wyjaśnił, że wystarczy pojawić się tam z kluczami, a nikt nie będzie zadawał żadnych pytań.

Penwyth podszedł do drzwi, otworzył je i przekazał klucze oraz instrukcje Benowi, który czekał na schodach w towarzystwie dwóch osiłków.

–A teraz – powiedział Penwyth, siadając naprzeciwko oficera w stanie spoczynku –

poczekamy, aż mój przyjaciel zamelduje, że zawiózł wszystko bezpiecznie na statek.

Freron westchnął.

–Przypuszczam, że w tym interesie nie ma czegoś takiego jak zaufanie.

–Ależ ufam, ci, Kuprin. Chciałbym tylko, nim wyjdę, posłuchać jeszcze trochę o czasach, kiedy służyłeś Konfederacji.

–Dziś mamy oficjalną imprezę z politykami – powiedział Garvin. – Postaraj się nie gwałcić ich za bardzo.

–Ani o tym nie myślałem – odparł Midt. – Chociaż... Nie cierpię tych łobuzów. Wydaje im się, że są kimś lepszym, bo wiedzą, jak zrobić nas na szaro. Ciągłe nie rozumiem, dlaczego poszedł pan z nimi na układy.

Garvin zrobił tajemniczą minę.

–Powiedzmy, że nie chciałem, aby psuli nam interes. Bywa. Na pewno nie będę tego powtarzać przy każdej okazji.

–Rozumiem – mruknął ze współczuciem Midt. – Poza śmiercią tej biedaczki jak dotąd nic więcej się nie stało. Notabene podoba mi się, że przysłali nam swoich chłopców do ochrony. Wcześniej moi odebrali co najmniej tuzin sztuk broni różnym ludziom w alejce.

–Nie wiesz, kim byli? – spytał Garvin.

–Nie pytałem. Gdy ktoś płacze mi się tu z gnatem i nie pracuje dla mnie, to oznacza tylko kłopoty. Rozbrajaliśmy ich i szli swoją drogą. – Midt pochylił się i szepnął Garvinowi na ucho: – Jeśli można, gaffer, miałbym propozycję. Czy zamierza pan pozostać tu do dnia wyborów?

–Nie wiem. Wolałbym nie.

–To dobrze. Bardzo dobrze. Gdy tylko wszystko się wyjaśni, przegrani na pewno zaczną myśleć o zemście, przekonani, że to my przeważyliśmy szalę. Wygrani zaś będą starali się nam nie zapłacić.

–Od Socjaldemokratów wzięłem z góry.

–Bardzo dobrze – stwierdził Midt. – Ojciec byłby z pana dumny.

O zmroku zaczął się zjazd Socjaldemokratów z całej planety, zjawilo się nawet kilka statków z innych światów. Garvin patrzył na to z dziobowej części Grubej Berty, gdzie ledwie dochodziła muzyka z ładowni, i był wdzięczny Filemu za zewnętrzny

łańcuch straży. Własnymi siłami nigdy nie poradziłoby sobie z taką ciżbą.

Garvin spojrzął na swoje odbicie w lustrze, poprawił biały wysoki kapelusz, zwinął bicz i wsadził go pod pachę, a następnie dostojnym krokiem wszedł do windy mającej zawieźć go na arenę.

Nad nim śmigali akrobaci łapani przez ra'felana. Garvin dostrzegł wśród nich Lir. Wirując w powietrzu, omal nie minęła partnera, ale została złapana i ciśnięta na trapez.

Mężczyzna był wysoki i niemal chorobliwie chudy, miał krótkie włosy i starannie przystryżoną brodę. Włożył koszulkę z napisem FILI NA PREMIERA, więc bez problemów przeszedł przez zewnętrzny krąg ochroniarzy. Koszulka była na niego za duża, co pomagało ukryć broń i pochwę z nożem pod ramieniem. Wprawdzie nie miały być potrzebne do tego, do czego go wynajęto, ale później mogły ułatwić ucieczkę w rozgardiaszu.

Przy trapie zamontowano wykrywacz metalu, ale w panującym ścisku obejście go nie stanowiło problemu. Wraz z innymi chudzielec wkroczył do ładowni.

Phraphas Phanon nie rzucał słów na wiatr, mówiąc, że można wymyślić coś ciekawszego niż pierwszy pomysł sir Douglasa.

Kosztowało ich to wiele prób, ale w końcu mieli swój numer.

Najpierw lew zaczął się na Imp, roczną słończkę. Nim lew zdołał ją wystraszyć, trąba dorosłego przeniosła małą na grzbiet innego słonia. Lew stanął na tylnych łapach i ryknął rozczarowany.

Siedzący na trzecim słoniu sir Douglas strzelił z bicza, gdy spróbowwały do niego dołączyć dwa tygrysy. Koty umknęły na grzbiet innego olbrzyma. Przy kolejnej próbie podchodu drapieźników trzy słonie stanęły im na drodze na tylnych nogach, czwarty zasłonił malca, a wielkie koty miały się roześlone w centralnej części areny.

Publiczność patrzyła jak zaczarowana.

A to był dopiero początek.

Njangu Yoshitaro kręcił się po alejce i wypatrywał kłopotów, kiedy kłopoty znalazły jego.

Przemknął właśnie za kołem fortuny, aby nie przeciskając się przez tłum, wrócić skrótem na Grubą Bertę. Nagle dostrzegł idącą za nim kobietę i odwrócił się do niej, żeby spytać, czego chce, gdy w szyję trafiła go strzałka usypiająca. Zwiotczał, zanim

wyciągnął broń.

Za kobietą podążało dwóch mężczyzn ze zwiniętą brezentową płachtą. Wyglądali jak pracownicy cyrku.

Zawinęli Njangu w płachtę, unieśli rulon i niespiesznie ruszyli tyłami alejki na parking, gdzie wrzucili pakunek do ślizgacza.

Po chwili pojazd wystartował i poleciał w kierunku stolicy.

–Witajcie, Socjaldemokraci w każdym wieku! – zagał Garvin. – Zaraz ujrzycie najciekawsze przedstawienie w całej galaktyce. Mamy kłownów, niedźwiedzie, lwy, tygrysy, piękne kobiety i mężczyzn silniejszych niż bawoły... Wszystkich ich poznacie dzięki szczodrości Dorna Filego...

Tłum zaczął wiwatować i Garvin strzelił dwa razy z biczka. Zaraz obskoczyli go kłowni. Starał się skoncentrować na zwykłym toku przedstawienia, ale nie opuszczała go świadomość, że teraz, kupiwszy zbiór materiałów Frerona, mogą w każdej chwili wystartować i zostawić za sobą cały ten bałagan...

–Odwińcie go – poleciła kobieta. Jeden z dwóch mężczyzn siedzących w ślizgaczu wykonał rozkaz, po czym włączył mały czujnik, przesunął nim po karku Njangu i zbliżył do jego ust.

–Śpi jak dziecko – powiedział. – Funkcje życiowe w normie.

–Lepiej, żeby nic mu się nie stało – ostrzegła kobieta. – Jest dla nas coś wart tylko żywy. Poza tym gdyby umarł, byłoby z nami krucho.

–Kto to jest?

Kobieta wzruszyła ramionami.

–Jeden z tych obcych komediantów.

–Po co tamci go potrzebują?

–Nie wiem. Pewnie dla szantażu.

–A dla kogo właściwie pracujemy? Wiesz?

–Owszem – odparła kobieta. – Dlatego podwoiłam cenę. Politycy. Ci, którzy właśnie maczają paluchy w kampanii wyborczej.

–Ale to nie ma sensu – zauważył mężczyzna za sterami. – Przecież oni wynajęli ten cyrk.

–W polityce nic nigdy nie ma sensu – mruknął ten, który siedział przy Njangu. – Jak długo mamy go trzymać?

–Aż ktoś powie, gdzie mamy go zawieźć.

–I tam dostaniemy drugą połowę forsy, mam nadzieję?

–A jak myślisz?

–Orzeszki, popcorn, cukierki słodkie jak marzenie, wszystko dla starych i dla młodych – nuciła Maev, przesuwając się między rzędami i zerkając uważnie na wszystkie strony.

Jakiś starszy pan pomachał jej banknotem. Maev rzuciła mu torbę orzeszków, po chwili zaś dotarła do niej zapłata podawana z rąk do rąk. W ten sam sposób odesłała resztę.

W tłumie byli jeszcze inni z tacami, po części autentyczni sprzedawcy słodkości, w większości jednak – uzbrojona ochrona.

Operator niedźwiedzi odwrócił się, gdy chudzielec wszedł do małego boksu obok jednej z bram. Niedźwiednik zdążył tylko otworzyć szeroko usta, gdy stalowe ostrze trafiło go prosto w serce. Drugi operator zginął chwilę wcześniej przed progiem, a jego ciało zostało odciągnięte na bok.

Chudzielec wepchnął zwłoki pod konsolę i zbadał urządzenie. Przychodził na przedstawienia przez ostatnie osiem wieczorów, ale przyglądał się tylko robotom i obserwował, jak się nimi steruje.

Nałożywszy hełm operatora, stwierdził, że całość działa niemal tak samo jak znane mu moduły zdalnego sterowania. Mógł widzieć wszystko oczami niedźwiedzi. Nie powinien mieć trudności z wykonaniem zadania.

Dotknął kilku przełączników i ujrzał misie siedzące w całkiem niepotrzebnej klatce ustawionej tuż za kulisami. Poruszyły się po kolei.

Jeden nich wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem.

Chudzielec był gotów.

Przebrany za kłowna Danfin Froude spojrział tęsknie na Kekri Katun, która uśmiechnęła się do niego. Podeszedł ku niej i cały szczęśliwy ujął jej dłoń, ale nagle się potknął, upadł i wstał przewrotem.

Katun nie zauważyła Ristoriego, który wyrósł obok niej jak spod ziemi i zaszedł ją od tyłu. Zerkał przy tym na nią pożądliwie, nieustannie poruszając brwiami.

Wyciągnął rękę do jej pośladków, ale ona obróciła się na pięcie, złapała rozrabiakę za kołnierz (a ściślej za ukrytą pod nim uprząż) i cisnęła go wysoko w powietrze.

Jeszcze bardziej nieszczęśliwy Froude przysiadł na ławie. Katun podeszła do niego, usiadła obok i pocieszająco pogłaskała go po rękę.

Ristori opadł łagodnie przechwycony przez pole antygravitacyjne i podkradł się do zajętej sobą pary.

Tym razem Froude zadziałał pierwszy. Złapał Ristoriego i zaczęli tłuc się pięściami, pluszowymi pałkami, wielką piłką i wszystkim, co im wpadło w ręce.

Wkoło zebrali się inni klowni. Zagrzewali ich do boju. Wrzawę podsycaly tancerki.

Kekri dostrzegła przechodzącego obok Bena Dilla w stroju siłacza. Zmierzyła go uważnym spojrzeniem, ale zaraz zobaczyła Garvina, który zerkał na nią ze środka areny. Powoli, z rozmysłem, rozciągnęła usta w uśmiechu i polizała palec wskazujący. Garvin pospiesznie odwrócił oczy. Kekri zaśmiała się w duchu.

Skłonna była uważać, że trafiła między ogólnie miłych ludzi, uznała jednak, że nie są zbyt bystrzy. Uprzedzono ją, że ktoś na pewno przeszuka jej rzeczy, nie wzięła więc ze sobą niczego podejrzanego. Gdzieniegdzie rozsypała nieco pudru, dzięki czemu dowiedziała się, że jej rzeczy już przeszukano.

Tego wieczoru zgodnie z instrukcjami wyszła przed cyrk, gdzie w pewnej chwili zbliżył się do niej jakiś mężczyzna, wyszeptał właściwe hasło i podał jej niepozorną walizeczkę.

Walizeczka zawierała mały, ale bardzo sprawny moduł łączności pozwalający na odbiór i przesyłanie sygnałów w obrębie układu. Kekri nie wiedziała, na ile naprawdę okaże się użyteczny, ale żywiła nadzieję, że otrzyma za jego pośrednictwem sygnał od ekipy, która miała śledzić statek i we właściwej chwili ewakuować ją z pokładu. Ona z kolei miała przekazywać wszystko, czego tylko się dowie o zamiarach cyrkowców. Była już pewna, że w tym wszystkim jest coś podejrzanego. Koniec końców nikt o szczerych intencjach nie rewiduje cudzego bagażu.

Na razie Kekri skupiła się jednak na dopingowaniu swego błaznującego rycerza.

W końcu Froude obezwładnił Ristoriego, skacząc mu po piersi, wziął wysoką kobietę na ręce (w czym pomógł mu ukryty w workowatym odzieniu spadak) i ku radości widzów zniósł ją z areny.

Dyżurujący na mostku Berty technik spojrział na ekran i zmarszczył brwi. Punkt oznaczający jeden z lokalizatorów wywędrował daleko poza obszar cyrku.

Starając się ustalić jego dokładne położenie, wezwał wachtowego.

–Masz identyfikację? – spytała pani oficer. Technik włączył właściwą funkcję.

–Tak, to Yoshitaro.

–Lepiej powiedzmy szefowi... Nawet jeśli ten spryciarz próbuje właśnie załatwić coś, o czym nikt nie powinien wiedzieć.

Podeszła do innego technika i podała mu alarmowy kod wywoławczy komunikatora, który Garvin nosił w uchu.

–Czy zdoła to dźwignąć?! Nikt nigdy jeszcze nie uniósł tysiąca kilogramów, ale Wielki Ben spróbuje tego teraz i tutaj, dla was! – zaczął konferansjer. – Zagrzejmy go do walki, życzymy mu jak najlepiej, przelejmy w niego naszą energię!

Diii, w różowych rajtuzach, krótkiej koszuli i bransoletach na bicepsach, pochylił się nad sztangą i sprawdził, czy ukryte w olbrzymich kulach spadaki są włączone. Potem napiął mięśnie i dźwignąwszy żelastwo kilka centymetrów nad ziemię, upuścił je z wielkim hukiem. Znowu spróbował, a widzowie zawodzili, jakby wszyscy naprawdę mu pomagali.

W końcu uniósł sztangę w górę, z drgającymi spazmatycznie mięśniami zachwiał się do przodu i to tyłu i wyłączwszy spadaki, uskoczył przed tonowym ciężarem.

Żelaza runęły z łoskotem, który zagłuszył nawet wrzawę towarzyszącą temu, co działo się na głównej arenie.

Diii miał się już uklonić i przejść do finału swojego numeru, gdy mała słuchaweczka skryta w uchu zapiszczała sygnałem alarmowym.

Konferansjer patrzył z otwartymi ustami, jak siłacz znika z areny i biegnie ku jednemu z korytarzy wiodących w głąb statku, ale zaraz doszedł do siebie i zaczął improwizować, kierując uwagę publiczności na akrobatów ustawiających się na głównej arenie w piramidę.

Inni ludzie z kompanii zwiadu też porzucili swoje obowiązki i ruszyli za Benem.

Ochroniarze na całym statku czekali w gotowości na jakąkolwiek wiadomość, co właściwie się dzieje.

Darod Montagna też zastanawiała się nad tym samym, gdy stojąc chwiejnie na dwóch końskich grzbietach, wjechała na arenę.

Odruchowo pomachała gościowi siedzącemu w boksie sterowania misiami. Nie tak dawno pomagał jej z wielką uczynnością szczotkować konie. Ze zdumieniem stwierdziła, że operator nie siedzi w głębi, przy ekranach, tylko stoi prawie w wejściu. Zdziwiło ją też, że nie odwzajemnił pozdrowienia, ale pomyślała, że pewnie zajęty jest już niedźwiedziami, które miały się pojawić w następnym numerze.

–A teraz ten, kto sprowadził was wszystkich tutaj, człowiek dnia, miesiąca i roku,

przyszły premier Dorn Fili! – zawołał Garvin i wolontariusze wstali, klaszcząc. Garvin jednak nagle pochylił głowę i rozszerzyły mu się oczy. Usłyszał o zniknięciu Njangu.

Fili wyszedł na arenę rozpromieniony i zaczął machać do swoich wyborców. Wrzawa przybrała na sile.

Chudzielec musnął kontrolki i robot, którego Njangu nazwał Li'l Doni, wstał, otworzył klatkę i opadłszy na cztery łapy, poczłapał na główną arenę, gdzie stali Garvin i Fili.

–Moi przyjaciele – powiedział Fili i jego głos rozbrzmiał echem po ładowni. – Z pewnym wyprzedzeniem już dzisiaj świętujemy...

Lir kołysała się wysoko w górze i czekała na powrót akrobatów. Ziewnęła i nagle jej uwagę zwrócił niedźwiedź idący w kierunku Garvina i polityka.

Coś było nie tak i Lir zakłęta pod nosem, że skąpy kostium nie pozwolił jej ukryć broni. Ześliznęła się z trapezu w objęcia antygravitacyjnej sieci, ale wiedziała, że nie zdąży.

Mała dziewczynka wpatrywała się w tacę Maev i próbowała zdecydować się na coś, gdy Maev dostrzegła Li'l Doni.

–Weź wszystko, na co masz ochotę – powiedziała, zdejmując tacę.

Z bronią w ręku skoczyła do przejścia i pobiegła w dół, na arenę.

–...nasz sukces, bo jestem pewien, że odniesiemy zwycięstwo. Dzieli nas od niego ledwie tydzień i...

Niedźwiedź znalazł się w odległości dziesięciu metrów, gdy Garvin, który miał się już uklonić i pójść na mostek, ujrzał robota, który stanął na tylnych łapach, przednie zaś rozłożył, jakby chciał kogoś wziąć w miażdżący uścisk.

Garvin sięgnął pod marynarkę i wyjął mały pistolet. Strzelił misiowi dwa razy w głowę, co nie wywołało żadnego efektu, pchnął go więc z boku, zbijając z nóg.

Raf Aterton usłyszał krzyki i strzały, złapał więc czym prędzej trąbkę od najbliższego muzyka i zadął pierwsze tony Marsza pokoju.

Pozostali członkowie orkiestry zaraz podjęli melodię i wszyscy cyrkowcy na całym statku zrozumieli, że dzieje się coś bardzo złego.

Li'l Doni pozbierała się na łapy i ruszyła na Filego, który uciekł tymczasem pod maszt trapezu, złapał za szczeble i zaczął się wspinać, jednak robot chwycił go za

nogi i szarpiąc, spróbował ściągnąć na dół. Fili podniósł krzyk i publika ruszyła na niedźwiedzia z ławkami i wszystkim, co się dało oderwać od podłoża.

Maev stanęła za plecami fałszywego operatora niedźwiedzi i jednym strzałem zdmuchnęła mu z głowy hełm oraz sporą część czaszki.

Chudzielec zadrgał spazmatycznie i umarł.

Li'l Doni nagle znieruchomiała i oklapła. Fili spadł prosto na nią.

Garvin szybko się zorientował, że robot został wyłączony, pomógł więc politykowi wstać i upewnił się, że jego mikrofon działa.

–Mów do nich! – krzyknął. – Niech się uspokoją! Nie potrzebujemy paniki.

Przerażony Fili otworzył usta, zamknął je, znowu otworzył, ale nie wydał żadnego dźwięku.

Erik Penwyth wbiegł do ładowni, powiewając białą marynarką, którą włożył specjalnie na wizytę u Frerona. Przykleił laryngofon do szyi.

–Klowni, klowni, radość nasza i utrapienie! – wykrzyczał ustalone hasło. Za nim podążali wszyscy klowni cyrku. Rozbiegli się i ruszyli na widownię, żeby nie dopuścić do paniki. Akrobaci robili swoje sztuczki na obramowaniu areny.

Publiczność próbowała dojrzeć, co się właściwie dzieje. Ludzie obawiali się, czy Fili nie został ranny. Szczęśliwie polityk odzyskał w końcu mowę.

–Wszystko... w najlepszym porządku – powiedział piskliwie, ale po chwili zapanował nad głosem. – Doszło tu do małej awarii... Cóż, winienem pamiętać, że nie jestem człowiekiem cyrku, ale jak widzicie, nasi przyjaciele znają swe rzemiosło od podszewki.

Zaśmiał się, jakby naprawdę miał powody do radości, i tłum nieco się uspokoił. Klowni podprowadzili ślizgacz do Li'l Doni i usunęli mechaniczny zezwłok. Innym ślizgaczem dyskretnie wywieziono zwłoki chudzielca.

–Obiecałem klownów i macie klownów – powiedział Penwyth do publiczności. Aterton postukał batutą i orkiestra przestała grać Marsz pokoju. – Jeśli chcecie, możecie sobie wziąć jednego czy dwóch, przydadzą się w domu. A teraz wystąpią wspaniali artyści, dla których chodzenie po linie to jak spacer promenadą!

Dwoje akrobatów wystrzeliło w górę. RaTelan złapał oboje, obrócił i odesłał, skąd przybyli.

Lir wspięła się na trapez i rozkołysawszy go, przeskoczyła na najwyższe stanowisko. Przedstawienie toczyło się jakby nigdy nic.

–Mam ich – zameldowała Boursier z krążącego wysoko nad śródmieściem aksaia. – Lądują na dachu wieżowca. To chyba apartamentowiec. Dźwigają jakiś toból i chyba ktoś tam na nich czeka... Właśnie weszli do środka, ale zostawili strażnika na dachu.

–Kontynuuj patrol – usłyszała. – Wysłaliśmy cywilny ślizgacz z zespołem. To maszyna z otwartą kabiną, niebiesko-biała. Przyjrzą się temu z bliska.

W kabinie Jaansmy stłoczyli się ludzie z kompanii zwiadu.

–Dobra, załatwimy to szybko – powiedział Garvin. – Ktoś, nie wiem, czy ten, kto próbował załatwić Filego, czy ktoś inny, porwał Njangu. Wiemy, gdzie jest i jak tam wygląda, idziemy więc po niego.

Rozejrzył się po zwiadowcach.

–Biorę ze sobą Bena, Monique i Jill, bo może nam być potrzebny lekarz. Alikhan, ty lepiej nie. – Zawahał się, czując na sobie spojrzenie Darod. Wolałby tego uniknąć, ale cóż. – Montagna, ty też. No i ja. Co do...

–Szefie, ślizgacz dotarł na miejsce – rozległo się z głośnika.

–Słuchamy.

Lecieli z wizgiem nad ulicą, nieco poniżej poziomu dachów. W oknach pokazywały się twarze ludzi zaintrygowanych krzykami. Każdą witali toastem.

–Mam Njangu, a raczej jego lokalizator – szepnął do mikrofonu jeden z „pijaczków” ze ślizgacza. – Budynek ma sześćdziesiąt pięter, on jest na piątym od góry. Nie przemieszcza się i chyba jeszcze przez chwilę tu będzie.

–Zrozumiałem – nadeszła odpowiedź z centrum łączności Grubej Berty. – Wejdz na pięć-zero i czekaj na rozkazy. Chaka, gdyby ktokolwiek z zewnątrz próbował przeszkadzać, zajmij się nim. Powtarzam, ktokolwiek.

Rozległy się dwa kliknięcia i ślizgacz przeszedł na wznoszenie, aby dołączyć do krążącej w pobliżu nany.

–Wiemy zatem, że trzymają go na górze budynku i mają wartownika. Będziemy musieli lądować na dachu, zając się wartownikiem i jego ewentualnym towarzystwem, a potem...

–Przepraszam – rozległ się uprzejmy głos i Garvin zdumiał się, kto u licha wpuścił tu

cywila w osobie Jianga Yuana Fonga.

–O ile dobrze slyszalem, pan Yoshitaro znajduje sie gdziez wysoko. Skoro zamierzacie go ratowac, czy nie bylyby lepiej wejsc do budynku na przyklad przez jedno z okien, a nie przez dach? Ktos z talentami akrobaty moglby dokonac tego bez trudu. Na przyklad ja, byc moze z pomocą ktoregos ra'felana.

Garvin zastanowil sie nad tym i skinal glową.

–Dobrze. Czy umie pan poslugiwac sie bronia, panie Fong?

–Kilka razy musialem broniec swojej rodziny, wiec sie nauczylem.

–Swietnie. Niech ktos da blaster panu Fongowi i zlapie wolna osmiornice. Wezmiemy jeden z ciezarowych slizgaczy. Ruszamy!

Ostatni slon zniknal, trabiac, za kulisami i swiatla zaplonely pelnym blaskiem.

–I to by bylo na tyle! – zawolal Penwyth. – Dziekujemy wam za wspanialy wieczor, nigdy nie mieliśmy lepszej publiczności!

Orkiestra zagrała na wyjscie, ci sprzedawcy, ktorzy pozostali na widowni, ostro pracowali nad tłumem.

Matka malej dziewczynki zatrzymala jednego z przebiegajacych obok pracownikow cyrku.

–Przepraszam pana.

–Co? – spytal męzczyzna, ale zaraz przypomniał sobie o dobrych manierach. – Słucham panią?

–Jedna z waszych dziewczyn zostawila Marze calą tace slodyczy i powiedziala jej, zeby wziala sobie, co tylko chce. Ale my przeciez nie mozemy sobie tego przywlaszczyc, a ta kobieta juz do nas nie wrócila. Co mamy zrobic?

–Proszę to uznac za prezent – odparl męzczyzna, usmiechajac sie do dziewczynki.

–Och, dziekuje! – wykrzyknęla kobieta. – Jesteście wspaniali. Mam nadzieje, ze nikt nie ucierpial w tym wypadku.

–W zadnym razie, proszę pani.

Oczy dziewczynki zrobily sie wieksze niz u ra'felana. Ochroniarz sprawdzil odruchowo, czy broń jest na miejscu, i poszedl dalej.

Zespół załadował się do ślizgacza towarowego przez tylną rampę. Wielki ra'felan bez trudu znalazł sobie miejsce obok Alikhana, który miał na sobie pełne oporządzenie bojowe.

Garvin, dopinając uprząż, czym prędzej zajął miejsce z przodu.

–Startuj – rozkazał i Biegnący Niedźwiedź pokiwał głową. Włazy zostały zamknięte i ślizgacz, wymknąwszy się górnym lukiem z ładowni Berty, wziął kurs na stolicę.

–To może być dobra zabawa – mruknął Chaka. Na dachu wylądował kolejny ślizgacz, tym razem bardzo elegancki. Strażnik powitał jego pasażerów.

–Dwie osoby, weszły do środka.

Garvin ściszył głośnik w ślizgaczu.

–Słyszeliście. To albo spece od przesłuchań, albo ktoś, kto ma zabrać Njangu dalej. Musimy się spieszyć.

–Trzy minuty do celu – zameldował Biegnący Niedźwiedź.

Ciężki ślizgacz zatoczył koło nad wieżowcem.

–Jest dobrze – odezwał się Chaka. – Uważajcie, zaraz dam wam obraz z góry.

–Mam – odpowiedział Garvin.

–Dwa ślizgacze na dachu. W każdym dwóch pilotów plus strażnik. Nasz człowiek jest w czwartym mieszkaniu po lewej, zaraz za schodami.

–Tak.

–Jaki plan, sir?

Garvin dostrzegł za przeszkloną ścianą schody przeciwpożarowe.

–Poczekasz na nasz sygnał, żeby zająć się ślizgaczami. My wejdziemy z boku na tyle wysoko, aby hałas nie wzbudził podejrzeń nikogo na dole.

–Tak jest, sir.

Garvin nachylił się do Biegnącego Niedźwiedzia.

–Możesz otworzyć rampę i zbliżyć maszynę do schodów na wysokości pięćdziesiątego szóstego piętra?

–Jedną ręką i dłubiąc w nosie – mruknął pilot. – Muszę tylko uważać na prądy wznoszące.

–No to użyj obu rąk i ruszaj.

Indianin skinął głową. Ślizgacz opadł o kilkanaście pięter, szczęknęły zamki rampy.

Garvin wyjął z torby u pasa jakiś krążek i rozdarł opakowanie. Był w nim zgrabny płaski ładunek wybuchowy o średnicy piętnastu centymetrów.

–Panie Fong, czy może pan skoczyć na gzyms i przykleić ten przedmiot pośrodku największej szyby? To jest samoprzylepne.

–Mogę.

Ślizgacz zbliżył się do budynku i zawisł, lekko się kołysząc.

–Blżej – powiedział Garvin.

Biegnący Niedźwiedź zacisnął zęby i wykonał rozkaz. Fong chwycił się obramowania wjazdu.

–Teraz!

Akrobata skoczył i wylądował na wąziutkim gzymsie. Zachwiał się, złapał równowagę, przyklęknął i wolną ręką przykleił ładunek. Obejrzał się na ślizgacz, zebrał w sobie i skoczył.

Chybił, ale długa macka dopadła go w locie i wciągnęła do ślizgacza.

–Nie mówcie mojej żonie, jak to wyglądało – powiedział zasapany. – Wyraźnie potrzeba mi więcej ćwiczeń.

Bardziej od niego przejęty Garvin włączył zapalarkę i ładunek eksplodował z głuchym odgłosem. Na ulicę posypał się deszcz drobnych szklanych odłamków.

–Teraz! – rzucił Garvin do ra’felana. Zakotwiczwszy się pewnie we wnętrzu ślizgacza, obcy wychylił się i dwoma mackami złapawszy za framugę okna, dwoma innymi kolejno przeniósł zwiadowców do budynku.

Diii i Alikhan nie czekali na pozostałych, tylko od razu pobiegli piętro wyżej. Drzwi prowadzące na schody były zamknięte, jednak Ben wyrwał klamkę, pomajstrował przy zamku i już byli w korytarzu.

–Ciągłe nieprzytomny – powiedział dystyngowany mężczyzna w popielatym płaszczu. Njangu leżał na tapczanie, oczy miał zamknięte, oddychał spokojnie i

zdawał się lekko uśmiechać.

–Lada chwila się obudzi – stwierdziła kobieta, która dowodziła porywaczami. – Umiemy dawkować takie środki. Wie pan, robimy to dla chleba, a za trupy mało kto płaci.

–Jeśli zatem nie ma pani nic przeciwko temu, poczekamy.

Mężczyzna wyjął spod pachy grubą skórzaną teczkę. I on, i jego kompan trzymali broń w rękach.

Obaj partnerzy kobiety odsunęli się na bok. Ręce trzymali opuszczone, blisko kieszeni.

–Podczas gdy my będziemy czekać, wy moglibyście przeliczyć pieniądze – powiedział mężczyzna w popielatym płaszczu.

–Jak najbardziej. Wy zaś moglibyście odłożyć artylerię. Nie zrywamy u...

Nagle z trzaskiem otwarły się drzwi i do pokoju wskoczył kudłaty potwór z czerwonymi ślepiami i dziwną bronią w łapie. Wystrzelił i w klatce piersiowej dystyngowanego mężczyzny pojawił się poszarpany otwór, którego brzegi poruszały się, jakby coś pożerało mężczyznę od środka.

Za potworem wpadła kobieta w rajstopach, także uzbrojona. Pierwszym strzałem z blastera powaliła towarzysza dystyngowanego. Drugim strąciła kobiecie głowę z ramion.

Jeden z porywaczy chciał uciekać, ale nie miał dokąd. Potężnie zbudowany i łysiejący mężczyzna złapał go za ubranie i ze złością cisnął głową naprzód na ścianę. Coś trzasnęło i nieborak upadł bezwładnie na podłogę.

Ostatni z porywaczy uniósł ręce do góry i zaczął bełkotać, że się poddaje. Garvin strzelił mu dwa razy w pierś.

Z góry dobiegły odgłosy eksplozji. To Chaka niszczył pojazdy porywaczy i ich klientów.

Mahim przyklękła przy Njangu i poszukała pulsu. Pozostali przeszukiwali zwłoki.

–Chyba żyje...

Njangu otworzył oczy.

–Jasne, że żyję – powiedział trochę nieprzytomnie, ziewnął i rozejrzał się wkoło. – Co to za impreza?

Gdy wysiedli ze ślizgacza, Garvin wziął Darod na bok. Diii i Alikhan wynieśli nosze z Njangu. Razem z Mahim oddalili się do pokładowej izby chorych.

Prawie przez cały lot powrotny przeglądali to, co znaleźli w kieszeniach zabitych.

– Powiedziałaś kiedyś, że wpadłyście z Lir na pomysł, jak zmienić bieg historii tej planety. Żartowałyście sobie czy mówiłyście serio?

– Nie żartowałabym z takich spraw – odparła nieco urażona Montagna. – To Lir wszystko wymyśliła, przy mojej pomocy. Uważam, że nie zawadziłoby zrobić tu trochę miejsca.

– Ten facet, który wyglądał na najważniejszego, miał w kieszeni legitymację członkowską Socjaldemokratów.

– Mili ludzie – mruknęła Darod, udając, że wcale jej to nie zaskoczyło. – Czyli najpierw ich wynajęli, a teraz próbowali wyslizgać.

– Tak... Wspominałaś też, że wiesz, gdzie trzeba podłożyć maszynę piekielną i na kiedy ją nastawić.

– Tak. To łatwe.

– No to zróbcie, co trzeba. Dość mam tych idiotów. Nie chcę ich więcej oglądać.

Do rana zwinięto wszystkie budy przed wejściem i załadowano na statek całe wyposażenie.

Gruba Berta przez cały dzień stała na lądowisku z zamkniętymi włącznikami i nie odpowiadała na żadne wywołania. Trzy aksaie krążyły złowieszczo nad okolicą i pilnowały dwóch ślizgaczy z reporterami, które próbowaly podejść jak najbliżej.

Koło północy ze statku wyleciał mały ślizgacz. Z pełną szybkością zszedł poniżej pułapu radarowego i skierował się ku stolicy.

Tam zawisł na chwilę nad wielkim białym budynkiem na wzgórzu. Z maszyny wyskoczyły dwie kobiety w czarnych kombinezonach. Trzymając jakieś ciężkie pakunki, przebiegły po dachu, wyważyły okno i zniknęły w środku.

Wróciły godzinę później. Zaraz pojawił się ślizgacz, który czym prędzej odstawił je na Grubą Bertę.

Strażnicy Pałacu Władzy niczego nie zauważyli.

Godzinę przed świtem, nie prosząc wieży o zgodę ani nikogo nie powiadamiając, Gruba Berta wystartowała i na zawsze opuściła Tiborg.

Cayle/Cayle IV

Układ Cayle był niegdyś najważniejszym w Konfederacji ośrodkiem stoczniovym. Obecnie przypominał opuszczoną fabrykę.

Trzy z zewnętrznych planet dostarczały ze swoich kopalni surowce dla stołecznej Cayle IV, teraz jednak udało się wykryć słabą aktywność tylko na jednej z nich.

Cayle IV okazała się szara, a dokładniej szaro-zielona.

U podnóża okrytych śniegiem gór zieleńiały rozległe lasy, zapraszały zielone doliny. Większość zbudowanych z szarego kamienia miast rozłożyła się nad szerokimi rzekami planety.

Lądowiska i doki pełne były gotowych statków i nie ukończonych kadłubów jednostek wszelkich typów, które Konfederacja zamawiała kiedyś w tutejszych stoczniach. Niektóre były pokryte rdzą, która po latach przegryzła się przez zabezpieczenia antykorozyjne.

Gdy schodzili coraz niżej, Njangu przypomniał sobie pewien wiersz. Nie pamiętał, kiedy go słyszał ani kto był jego autorem.

Matka zabrała mnie do miast, gdy bytem jeszcze W jej łonie. I przez to chłód lasów
Towarzyszyć mi będzie do śmierci.

–Co tam mruoczesz? – spytał Garvin.

–Poezję.

–Brak rymów – zauważył podejrzliwie Jaansma. – To chyba kiepska poezja.

–Może.

Gruba Berta trzykrotnie okrążyła Cayle IV, nadając na wszystkich kanałach cyrkową muzykę, ryczenie wielkich kotów, trąbienie słoni i rozmaite kawały, aż w końcu tylko kompletnie głusi nie mieli pojęcia, że cyrk zawitał do miasta.

Nany rozrzuciły nad miastami ulotki, co zaraz spotkało się ze skargami władz. Garvin obiecał, że zapłaci kary za zaśmiecanie, najchętniej w biletach.

Aksaie dopełniły efektu. Ku wściekłości polityków i radości dzieci, zaczęły latać z transparentami, które po zapadnięciu ciemności rozjaśniły się napisami:

**LWY! NIEDŹWIEDZIE! TYGRYSY! SŁONIE! ZIEMSKIE KONIE! PIĘKNE PANIE!
PRZEDZIWNY OBCY! AKROBACI! SIŁACZE! KLOWNI! WIELKA UCZTA RADOŚCI!**

Zgodnie z tym, co przekazała pod koniec orbitowania, Berta zawisała nad stolicą planety i na pomocniczym napędzie powoli wylądowała w porcie Pendu.

Wydarzeniu temu przyglądały się tłumy gapiów i roje reporterów. Cywilne ślizgacze otoczyły wielki statek, co nie spotkało się z aprobatą kapitana Liskearda.

Opadła główna rampa i wysypali się po niej klowni i karły. Za nimi wyszedł Garvin, cały w bieli, z Kekri Katun w barwnym stroju, który zakrywał tylko to, co musiał. Podeszli do grupy zebranych naprędce dygnitarzy, wśród których czekał też władca planety, graav Ganeel, smutny mężczyzna w średnim wieku, z wydatnym brzuszkiem. Garvin pomyślał, że skoro się pokazała sama najgrubsza ryba, podróże międzygwiazdne musiały się tu stać prawdziwą rzadkością. Njangu zauważył zaś, że Ganeel pokazał się tylko z jednym ochroniarzem, który był też jego kierowcą. Albo nie praktykowali tu przesadnej autokracji, albo kontrolowali wszystko o wiele lepiej niż w Tiborgu.

Wszyscy przywitali się ze wszystkimi, Garvin zaś oznajmił, że bardzo się cieszą z przybycia na Cayle i na pewno sprawią, że mieszkańcy układu zapamiętają ich na wieki.

Jeszcze przed świtem Erik Penwyth wynajął spory teren na obrzeżach Pendu i ciężkie ślizgacze zaczęły przewozić namioty, budki i całe wyposażenie. Krążyły tam i z powrotem, robotnicy zaś ustawiali pierwsze rusztowania.

Rychło na trasie ich przejazdu zebrał się tłum rannych ptaszków. Garvin nie sprawdził nawet, czy to dzień roboczy, czy wolny od pracy, ale na ulicach pojawiło się mnóstwo dorosłych i chyba wszystkie dzieci na Cayle.

Ze ślizgaczy co rusz padały zapowiedzi Wielkiej Parady i w końcu parada ruszyła.

Drapieżniki jechały w klatkach, słonie majestatycznie sunęły na własnych nogach, a konie z Montagną, Kwikiem i jego dwiema żonami na grzbietach dźwięcznie stuknęły kopytami. Klowni i karły maszerowali albo jechali w staromodnych wehikułach z kołami, rzucając w tłum cukierki. Orkiestra Atertona przemieszczała się na dwóch platformach, poprzedzając Dilla, apetycznie pozujące dziewczyny i całą resztę. Garvin jechał na przedzie w odkrytej czarnej limuzynie. Stał z poważną twarzą i patrzył na ludzi, z tyłu zaś siedział Njangu i dwóch ukrytych ochroniarzy. Na wszelki wypadek.

Dotarli na miejsce bez przeszkód, w chwili, gdy skończono stawiać namioty.

Garvin wysiadł z limuzyny, skłonił się tłumowi i wciągnął powietrze.

–Lubię zapach cyrku o poranku – powiedział z uśmiechem.

Do późnego popołudnia wyprzedali bilety na tydzień naprzód. Zamówienia na kolejne przedstawienia spływały lawiną.

–Chyba od dawna nie działo się tu nic ciekawego – stwierdził Njangu, przyglądając się rządkom liczb na monitorach „czerwonego wozu”. Wprawdzie chodziło o pomieszczenie na statku, ale „czerwonym wozem” nazywano tradycyjnie to miejsce, gdzie skupiały się finanse cyrku.

–Też mi się tak wydaje – odparł z uśmiechem Sopi Midt. – Ale wpływy... Szkoda, że Jaansma nie pozwala mi porządnie ich oskubać. Wiesz, jacy bylibyśmy bogaci? – dodał, spoglądając z nadzieją na Yoshitara.

–Przykro mi, Sopi, ale na każdego przychodzi czasem taki czas, że musi być uczciwy.

–A teraz ujrzą państwo naszych znanych w całej galaktyce akrobatów oraz ich przedziwnych towarzyszy, którzy długo ćwiczyli swoje sztuki na mrocznych światach z dala od domeny człowieczej! – zapowiedział gromko Garvin.

Zagrała orkiestra i pod dachem namiotu pokazali się artyści trapezowi. Ich powiększone hologramy zajaśniały nad głowami widzów.

Garvin skłonił się i zszedł z areny, żeby zwilżyć gardło. Niestety, przeżywał wszystko niemal tak samo jak piejąca z zachwytu, tłumnie przybyła na widowisko dzieciarnia. Jego struny głosowe nie wychodziły na tym dobrze.

Zaraz za kulisami czekała na niego Darod.

–Lepiej nie odchodź za daleko – powiedziała, podając mu napój energetyzujący. – Monique chce dzisiaj wypróbować nowy numer, podobno dość niebezpieczny.

–Naprawdę niebezpieczny?

–Bardziej, niż się wydaje.

–Wspaniale – sapnął bezradnie Garvin. Wiedział, że nie powstrzyma Lir. Upił spory łyk i objął Montagnę, która przylgnęła do niego.

Orkiestra zagrała coś żywego i Monique wbiegła na arenę. Jeden z pomocników chwycił linę zamocowaną na samej górze centralnego masztu, inny wbił w ziemię kołek na skraju areny. Razem naciągnęli linę i przywiązali ją do kołka.

Aterton uciszył orkiestrę. Zawarczał samotny werbel, a reflektory skupiły się na Lir.

–Szkoda, że nie powiedziała mi, co szykuje – szepnął Garvin. – Wolę wiedzieć takie rzeczy.

–Nie chciała nikogo fatygować, zanim skończy przygotowania.

–Uwielbiam takie podejście. Jest poza siatką. Co jej chodzi po głowie?

Monique wzięła długi drąg i utrzymując za jego pomocą równowagę, zaczęła wchodzić po nachylonej linie, chwytając ją palcami stóp.

Garwinowi znowu zaschło w ustach i upił kolejny łyk.

Drąg zachwiał się i zachwiała się Lir. Złapała jednak równowagę. Była coraz wyżej i coraz bliżej głównego masztu. Gdy został jej tylko metr, dwa razy ugięła nogi, odrzuciła drąg i zeskoczyła z liny.

Tłum krzyknął, ale nagle gdzieś z góry wystrzeliła długa macka, która złapała Lir i cisnęła ją ku dachowi, gdzie kolejny obcy chwycił dziewczynę i zwiniętą w kłębek rzucił ku najwyższemu trapezowi.

Monique chwyciła go, puściła na chwilę, aby się obrócić, znowu złapała i usiadła na drążku.

Garvin dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez dłuższą chwilę w ogóle nie oddychał. Wciągnął głęboko powietrze.

–W tym musi być jakiś knyf – powiedział. – Szkoda, że nie wiem jaki. Mniej bym się denerwował. – Albo połamał jej te śliczne paluszki, żeby tak głupio nie ryzykowała, pomyślał.

–Mówiłam, że nie chciała robić szumu na wypadek, gdyby się nie udało – powiedziała Darod.

–A gdyby się nie udało? Co wtedy?

–Gdybyś spojrział tam obok stanowiska operatora niedźwiedzi, które może zostanie obsadzone, gdy wyszkolimy nowego, zauważyłbyś człowieka z emiterym antygravitacyjnym. Lir uznała, że w razie czego facet zdąży nakierować na nią wiązkę.

–Uważała, że zdąży... Dobra, narodziła nam się gwiazda. Ale przed następną próbą zamontujcie coś solidniejszego. Może duży emitery pod najbliższym stanowiskiem słońi. Nie życzę sobie żadnej mokrej plamy na arenie. Zrozumiano? Możesz jej powiedzieć, że to rozkaz. Ostatecznie jestem od niej starszy stopniem i wszyscy nadal służymy w Legionie.

Następnego ranka Garvin radośnie ruszył na obchód terenu. Sprawy bezpieczeństwa zostawił Njangu i cieszył się, że może wyjść poza statek z jego zamkniętym obiegiem powietrza. Nawet płótno namiotu lekko zaśmierdło w ładowni, wiedział jednak, że wystarczy tydzień, aby się wywietrzyło.

Przeszedł obok klatek z kotami. Muldoon, krwiożerczy lampart, leżał na grzbiecie i łapał latające jej nad głową owady.

Montagna, która spędziła noc w ramionach Garvina, pracowała z dwoma końmi nad nowym numerem, Ristori pocił się z tuzinem kłownów, próbując upchnąć ich do beczki, która na oko mogłaby pomieścić tylko jednego.

Garvin obszedł namiot i zauważył, że jakiś średniego wzrostu mężczyzna z brzuszkiem rozmawia z Phraphasem, jednym z opiekunów słoni. Sunya Thanon zajmował się szóstką zwierząt na wybiegu, szorując je szczotką na długim kijku, którą maczał w wiadrze z płynnym mydłem. Garvin podszedł do Phraphasa i rozpoznał w jego rozmówcy graava Ganeela, władcę Cayle.

Nie był pewien, jak go przywitać, więc szybko skinął mu głową.

–Nie, nie – powiedział Ganeel. – To nie ja powinienem się kłaniać. Z wielką fascynacją słucham opowieści mojego przyjaciela Phraphasa o świecie, którego szuka, Coando. Niestety, nie wiem, gdzie się on znajduje. Wypytam jednak moje sługi, może któryś z nich będzie mógł pomóc.

–Skoro mowa o pomocy – odezwał się Garvin – chciałbym poprosić waszą wysokość o przysługę. Mam nadzieję, że używam właściwego tytułu?

–W zasadzie, skoro pan sobie życzy tak mnie tytułować... – odrzekł Ganeel z lekkim niepokojem. – Proszę jednak pamiętać, że mamy tu monarchię konstytucyjną i nie mam zbyt wiele władzy. Jeśli chce pan zatem, żebym nakazał czyjaś egzekucję albo skazał kogoś na żelazną dziewicę, to będzie się pan musiał zwrócić do parlamentu.

Garvin uznał to za żart i roześmiał się, ale umilkł, widząc poważny wyraz twarzy Ganeela.

–Nie, nie chodzi o nic podobnego – zapewnił.

–Proszę panów o wybaczenie, ale powinienem pomóc mojemu partnerowi umyć naszych przyjaciół – powiedział Phraphas i oddalił się spieszenie, aby się nie mieszać do takich delikatnych spraw jak polityka.

Monarcha i Garvin ruszyli spacerkiem.

–Chciałbym prosić o pomoc w pewnej sprawie związanej z nawigacją – wyjaśnił

Jaansma. – Zamierzamy zakończyć naszą trasę na Centralnym.

–Ambitny plan – rzekł Ganeel ze szczerym podziwem.

–Możliwe. Ale to nie wszystko. I ja, i moja trupa chcielibyśmy się dowiedzieć, co takiego się wydarzyło, że ustała wszelka łączność z Konfederacją.

–Wy też... – mruknął Ganeel. – Widzieliście, co zostało z naszego przemysłu stoczniowego? Te wszystkie jednostki, które zostały zamówione przez Konfederację, ale nikt nigdy ich nie odebrał ani za nie nie zapłacił...

–Widzieliśmy. Ale dlaczego nie próbowaliście sprzedać ich gdzie indziej?

–Byliśmy związani kontraktami niemal wyłącznie z Konfederacją. Wysłaliśmy potem kilka statków, ale wrócił tylko jeden. Światy, na których wylądował, były pogrążone w chaosie i zbyt biedne, żeby cokolwiek od nas kupować.

–My widzieliśmy mniej więcej to samo – rzekł Garvin. – Bardzo chcielibyśmy przyczynić się jakoś do wznowienia komunikacji.

–Jako cyrk? – spytał Ganeel z lekkim niedowierzaniem. – Godne podziwu, ale czy nie nazbyt romantyczne?

–Mówiąc „my”, mam na myśli światy, z których przybyliśmy, oraz te, z którymi udało nam się nawiązać kontakt. Gdyby ludzie dowiedzieli się, co właściwie zaszło, skąd to nagle załamanie, może udałoby się jakoś zaradzić obecnemu bezkrólewiu.

–W części zapewne mogę to wyjaśnić – powiedział Ganeel. – Nim objąłem tron po ojcu, byłem historykiem. Przede wszystkim upadek nie nastąpił tak nagle, jak się powszechnie sądzi. Można nawet powiedzieć, że Konfederacja była nadzwyczaj długo utrzymywana sztucznie przy życiu dzięki swoim siłom zbrojnym, które okazały się nadzwyczaj sprawne. A także dzięki temu, że wiele rządów planetarnych składało na jej barki swoje kłopoty. Innym powodem było zapewne wyobrażenie o niezniszczalności Konfederacji żywione przez setki miliardów jej obywateli. Ludzie przyzwyczaili się do niej i pragnęli jej, nawet jeśli nie byli skłonni współuczestniczyć w procesie rządzenia i uchylali się od płacenia podatków. Konfederacja, w zasadzie już obumierająca, mogła w takiej sytuacji wegetować przez wiele dziesięcioleci, zapewne nawet przez cały wiek. Ale pewnego dnia zdarzyło się coś, co sprawiło, że się rozsypała.

–Co to było? – spytał Garvin.

–Sam chciałbym wiedzieć. – Ganeel wzruszył ramionami. – Może wówczas, jak pan powiedział, udałoby się coś na to zaradzić.

Obaj przypatrywali się przez chwilę chińskim akrobatom, po czym poszli dalej.

–Jak też nie wiem – powiedział Garvin. – I dlatego chcemy dotrzeć na Centralny. Może tam znajdziemy odpowiedź. I z tym właśnie wiąże się moja prośba.

–Słucham.

–Udało nam się ustalić, że właśnie Cayle wyprodukowała większość z automatycznych systemów obronnych Konfederacji.

–Owszem – przyznał niechętnie Ganeel.

–Nawet po jej upadku niektóre z tych systemów mogą być czynne i groźne, chociaż już bez ludzkiego nadzoru. Chciałbym pożyczyć... albo kupić, jeśli będzie trzeba... wasze zapiski na ten temat, aby ujść z życiem, gdyby doszło do spotkania z tymi systemami. Może uda nam się je przekonać, że jesteśmy „swoi”, i mimo wszystko dotrzemy do układu Capelli.

–To były wszystko ściśle tajne sprawy – zauważył Ganeel.

–Owszem, wasza wysokość. Dziesięć lat temu.

Ganeel nie wyglądał na przekonanego.

–Nie wiem – mruknął, lecz nagle pojaśniał. – Ale tak czy owak nie mógłbym wam ich przekazać. To nie jest własność państwa, tylko producenta. Ściślej, Berta Industries. Powiadają, że w dobrych czasach ten koncern był prawdziwym władcą Cayle – dodał z gorzkim śmiechem. – Może i mają rację.

–Czy zatem zechciałby wasza wysokość przekazać Berta Industries naszą prośbę, może ze swoją aprobatą? W zamian obiecuję, że o ile dotrzemy do Centralnego i dowiemy się czegoś, prześlemy wszystkie informacje, jakie zdobędziemy.

–Berta Industries – powtórzył Ganeel i jakiś cień przebiegł mu przez twarz. – Tak, zrobię to. Ostatecznie ta kobieta nie może mnie zabić.

Garvin zauważył, że Ganeel położył nacisk na „ta kobieta”, jednak jego wysokość zaraz zmienił temat i zaczął wypytywać, dlaczego w trupie nie ma innych naczelnych poza ludźmi. Garvin wyjaśnił, że ma uraz do śmierdzących, zapchlonych i niebezpiecznych małp, które wyglądają i zachowują się jak karykatury człowieka widzianego z najgorszej strony.

–Istotnie – przyznał Ganeel. – Zawsze się nimi interesowałem, chociaż muszę przyznać, że znam je tylko z holo. Ostatnia ziemską małpą padła w naszym ogrodzie zoologicznym prawie czterysta lat temu i z jakiegoś powodu nigdy nie sprowadzono

nowej.

–Zobacz tylko – powiedziała Monique, wskazując na wierszyk w osobnej ramce holo.

Legenda podaje bardzo dokładnie, że nogi jej, dłonie i ramiona wykuto ze stali niczym przekładnie, a wszystko to gdzieś na Pasię Oriona. Ta cud-dziewczyna w okolicy wpadnie i już tam zostanie, taka jest ona – nasza Monique, piękna Monique.

–A niech mnie – zachichotał Ben. – Miło jest być sławnym?

–Przyjdź na wieczorne przedstawienie – warknęła Lir. – Przekonasz się.

Ben przyszedł.

Jeden z sektorów, dokładnie naprzeciwko głównej areny, gdzie Monique przedstawiała swój numer z wchodzeniem po linie, zapełniały rozentuzjasmowane kobiety.

Lir próbowała je ignorować, szczególnie gdy Garvin im ją przedstawił. Diii zauważył, że większość kobiet jest ubrana w sposób charakterystyczny raczej dla mężczyzn z Cayle. Uznał to za bardzo zabawne i zasugerował, aby Monique objęła oficjalny patronat nad swoim fanklubem. Lir odpowiedziała mu obsceniczną piętrową wiązką, której sens streszczał się do jednego: ma przestać kłapać jadaczką.

–Nie rozumiem, czemu tak się oburzasz – rzekł pojednawczo Njangu. – Popatrz na to z innej strony. Zawsze miałaś wielu adoratorów, prawda? Teraz masz ich po prostu więcej i tyle.

Monique warknęła coś pod nosem, wspięła się na sam szczyt maszty i rozładowała złość, długo i zawzięcie bujając się na linie.

–Wypiłabym piwo – powiedziała Maev. Razem z Njangu pojechała do Pendu jako ochrona zaopatrzeniowców, którzy wybrali się po żywność.

–Dobry pomysł – odparł Yoshitaro. – Oni tam jeszcze przez godzinę będą się targować o cenę mąki, a penetracja miejscowych barów to przecież zwykłe zadanie wywiadu, nieprawdaż?

Dwie przecznice dalej znaleźli przybytek, w którym, sądząc po butelce na szyldzie, podawano coś wyskokowego.

Z zalanej słońcem ulicy weszli do mrocznego wnętrza i trwało chwilę, nim coś dostrzegli. Maev połapała się pierwsza.

–Hm...

Po chwili także Njangu zorientował się w sytuacji.

–O rany...

W lokalu siedziało tylko kilku mężczyzn i prawie trzydzieści kobiet. Wszystkie były w różnych wariacjach antycznych mundurków szkolnych. Wszystkie też uśmiechały się zapraszająco.

–Chyba już wiem, jak się czuje kawał mięsa, gdy sir Douglas rzuca go tygrysom – powiedział Njangu, cofając się do drzwi.

–Dziwna jakaś ta planeta – wykrztusiła Darod.

–Tak – zgodził się Yoshitaro i odetchnął z ulgą, gdy wyszli na ulicę. – Na pierwszy rzut oka wygląda tak niewinnie, a tu proszę...

–Swoją drogą, czy to miejscowy zwyczaj, czy też wszyscy mężczyźni marzą o tym, żeby przelecieć uczennicę? – spytała Maev.

–Ja nic o tym nie wiem. Patrz, tam jest bar z ogródkiem. W razie czego łatwiej będzie uciekać.

Njangu wypytał potem jednego z miejscowych o ów przybytek z wyrośniętymi uczennicami i dowiedział się, że przypadkiem weszli do wesołej dzielnicy, jednej z większych w Pendu.

–Można tam sobie zażyczyć dosłownie wszystkiego – pochwalił się radośnie tubylec. – Gdybyście chcieli, wystarczy zadzwonić i przyjadą. Notabene niektórzy bardzo się dziwią, że wasz cyrk nie oferuje podobnych rozrywek.

–Cóż... jesteśmy dość wstydliwi – wyjąkał Njangu.

Para karłów złapała Darod, gdy zeskoczyła z ukrytego pomostu antygravitacyjnego na grzbiet przebiegającego obok konia.

Orkiestra zmieniła tempo i koń zaczął tańczyć, stawiając małe kroczki w takt muzyki.

Darod, skoncentrowana na utrzymaniu równowagi, prawie nie widziała publiczności. Zapomniała o całym świecie, nawet o Garvinie, istniał tylko rytm i ruch.

Zapraszam pana wraz z towarzyszką na obiad oraz, następnego dnia, na zwiedzanie mojej posiadłości i zakładów. Przyjęcie odbędzie się za sześć dni. Zapewniam środki lokomocji. Lady Libnah Berta.

Proszę o potwierdzenie pod numerem 34532.

–Graav Ganeel zadziałał. Może coś z tego wyjdzie – powiedział Garvin.

–Aha – przyznał Njangu. – W porę trafia ci się prawdziwa robota. To ciągle gadanie i trzaskanie batem jest ogłupiające.

–Darod będzie zachwycona.

–No, nie... – powiedział Njangu. – Lepiej, żebyś zabrał ze sobą Kekri Katun.

–Dlaczego?

–Przetrząsnęliśmy jej rzeczy i gówno znaleźliśmy. Chcę to zrobić jeszcze raz, ale trzeba ją w tym celu zatrzymać gdzieś na dłużej.

–Nie ułatwiasz mi życia – westchnął Garvin.

–Skoro tak, to dlaczego się uśmiechasz? Przejaw masochizmu?

–Pewnie tak musiało być.

–Nigdy już nie zejdem na tę głupią planetę bez obstawy – parsknęła Monique. – Dwóch rosłych ochroniarzy. Kudłatych i bardzo męskich.

–Dlaczego? – spytała Darod. – Co się stało?

–Zgodziłam się udzielić wywiadu. Myślałam, że pomówię z normalną dziennikarką, ale okazało się, że to była ta wydra, która napisała znany ci kretyński wierszyk na mój temat.

–Aha – mruknęła Darod.

–Właśnie. Nazywa się Lan Dell. Nosi skórzaną marynarkę i kopci zrolowane liście jakiegoś śmierdzącego pod niebiosami zielska. Powiedziała, że nie lubi pracować w redakcji, poszłyśmy więc do baru. Pełnego kobiet, które powiedziały, że są moim fanklubem. Fanklubem, wyobrażasz sobie!? I tak zamiast wywiadu zrobił się więc. Dały mi mikrofon i zarzuciły pytaniami. Takimi naprawdę osobistymi, a Dell cały czas głąskała mnie pod stołem po kolanie.

–I to cię tak wkurzyło? – spytała Montagna. – Na pewno nie po raz pierwszy jakaś kobieta się w tobie zabujała.

Monique prawie że mowę odebrało.

–Tak – powiedziała w końcu. – Pewnie masz rację. Do diabła, przypominam sobie

nawet parę dziewczyn z Grupy, które martwiły się, że sypiam sama. A przecież umiem sobie radzić z mężczyznami. Pewnie to dlatego, że jesteśmy w obcym miejscu, a ja się zestarzałam... Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

–Może i dlatego, że czułam się wśród nich jak w zoo – stwierdziła powoli. – Albo w cyrku.

–Jesteś w cyrku.

–Wiem, do diabła! Nie o takim cyrku myślałam. One oczekiwały, że dostarczę im rozrywki, a potem wyjdę z tą Lan Dell i w ten sposób ich będzie na wierzchu. Chociaż może nie o to chodziło... – dodała Lir i zamilkła.

Tego wieczoru widownia była w połowie pusta. Njangu zadzwonił w parę miejsc i dowiedział się, że w mieście były zamieszki i prawie nigdzie nie dawało się dojechać.

–Pamiętasz te zamieszki na Centralnym, na które trafiliśmy jako rekruci? – spytał Garvina.

–Owszem, ale wolałbym, żebyśmy o tym nie rozmawiali.

Następnego dnia zjawił się u Garvina Froude. Przyniósł cały stos wydruków.

–Jak myślisz, długo tu jeszcze zostaniemy? – spytał.

–Nie bardzo – odparł Garvin. – Dziś wieczorem wybieram się na spotkanie, na którym mam nadzieję zdobyć te dane na temat Centralnego, po które przylecieliśmy.

–Dobrze. Im szybciej stąd znikniemy, tym zdrowiej dla nas. Sprawdziłem księgi i sprawy nie wyglądają dobrze. Tak jak w Tiborgu, i tutaj przyjmujemy miejscową walutę, żeby zamienić ją na kredyty Konfederacji. Gdyby się nie udało, będziemy korzystali z międzygwiazdowego transferu, tak?

–Oczywiście.

–Nasi księgowi zebrali całą górę ich pieniędzy i chcieli je wymienić, ale nie udało się. Oni tutaj nie mają chyba żadnych kredytów... albo wyłączyli je wszystkie z obiegu.

–Kto to zrobił?

–Niektórzy mówią, że rząd, inni – że wielka korporacja należąca do pani Berty.

–Z którą mam się dzisiaj zobaczyć – mruknął Garvin.

–Może powinieneś zdobyć klucze do jej sejfu – zasugerował Froude.

–Nie jesteśmy tu po to, żeby zarabiać pieniądze.

–Wiem o tym. Jednak lepiej się czuję na stabilniejszych światach. Przyjrzałem się nieco tutejszej ekonomii. Wiesz, że bezrobocie sięga na Cayle sześćdziesięciu pięciu procent? Większość ludzi nie szuka już roboty i żyje sobie z zasiłków. Rząd zdaje się nie mieć żadnego programu naprawczego i modli się chyba tylko, żeby pewnego dnia Konfederacja powstała z martwych, zapłaciła za te wszystkie statki i już. Wtedy znowu zapanuje ogólne szczęście. Tak więc nie jest dobrze. Jak powiedziałem, załatwmy co trzeba i ruszajmy w drogę.

Garvin spojrział przez okno limuzyny na ciągnącą się pod nim szeroką dolinę ze sporym miastem pośrodku i rozrzuconymi nad rzeką fabrykami.

Przypomniał sobie cytowany przez Njangu wiersz i pomyślał, że tutaj naprawdę wieje chłodem.

–Ale tu ciepło i przyjemnie – powiedziała Kekri Katun. Wyglądała wręcz idealnie w popielatym kostiumie i butach do kolan, chociaż Garvin wolałby, żeby dla przyzwoitości zapięła kilka górnych guzików bluzki.

–Za pięć minut lądujemy, proszę pana – dobiegł ich przez interkom głos pilota.

–Czy wszystkie te fabryki należą do korporacji Berta? – rzucił Garvin do mikrofonu.

–Cała ta dolina, włącznie z tym i czterema innymi miastami w dole rzeki, jest częścią jej majątku.

–To musi być wspaniałe życie w takim bogactwie – powiedziała Kekri. – Zawsze chciałam być bogata. Ktoś taki nie musi się niczym martwić, prawda?

–Nie wiem – mruknął Garvin. – Mogę powiedzieć tylko tyle, że lepiej mieć pieniądze, niż ich nie mieć.

Sprawdził uważnie, jak się prezentuje. Słyszał, że lady Berta jest osobą dość konserwatywną, i wolał nie wkładać tym razem białego stroju mistrza ceremonii. Wybrał granatową marynarkę, białą koszulę i ciemnobrązowe spodnie.

Limuzyna zwolniła i skręciła w lewo.

Na płaskowyżu, zaraz za miastem, wyrastała olbrzymia rezydencja – brzydki, liczący siedem kondygnacji sześcian z płaskim dachem. Architekt nie zrobił nic, aby ją uatrakcyjnić. Na dachu widać było rozmaite anteny i Garvin był pewien, że kryją się tam także wyrzutnie pocisków przeciwlotniczych. Wkoło rozpościerały się starannie zaprojektowane zadbane ogrody.

Limuzyna przyziemiała pod schodami, uniósł się dach i pilot wyskoczył z za sterów, aby pomóc Kekri wysiąść.

Otworzyły się łukowate drzwi gmaszyska i stanęła w nich kobieta, która mogła być tylko samą gospodynią. Ku zdziwieniu Garvina nie towarzyszył jej ani jeden sługa.

Libnah Berta była roślą, mierzyła z pewnością ponad dwa metry. Musiała sobie liczyć ponad osiemdziesiąt lat. Twarz miała pomarszczoną i gniewnie zaciskała usta. Siwe włosy upięła w kok. Nosila długą zieloną spódnicę z czerwonym obszyciem i dopasowany do niej żakiet włożony na białą bluzkę.

–Dobry wieczór, gafferze Jaansma... i panno Katun. – Zlustrowała Kekri od stóp do głów i zwróciła uwagę na Garvina. – Witam w moim domu.

–Jestem wdzięczny za zaproszenie.

Przez twarz Berty przebiegł cień uśmiechu.

–Graav Ganeel i ja znamy się już parę lat... Po prawdzie pamiętam, jak był berbeciem i kołysałam go na kolanie, rozmawiając z jego ojcem, królem. Gdy mu o tym przypomniałam, nieco się chyba stropił – dodała, uśmiechając się szerzej.

Nie musiała dodawać, że dzięki temu jest jej znacznie łatwiej prowadzić interesy z monarchą.

–Proszę do środka. Na powietrzu jest trochę chłodno. Zaraz każę wnieść wasze bagaże i zaprowadzić was do waszych pokoi. Gdy już się odświeżycie po podróży, zapraszam do biblioteki na aperitif.

Gdy wchodzili do wielkiego domu, Garvin zauważył, że Kekri udało się całkiem niepostrzeżenie zapiąć bluzkę.

Ich pokoje mieściły się na piątym piętrze. Były wielkie, w rokokowym stylu.

–Czuję się, jakby cofnęło mnie w czasie ze sto lat – powiedziała Kekri.

–Moim zdaniem co najmniej tysiąc – rzekł Garvin.

Na ścianach wisiały realistyczne malowidła przedstawiające bohaterów żołnierzy pozujących w staromodnych strojach. Niekiedy towarzyszyły im dziewczynki żegnające udających się na wojnę bohaterów. Zbladła już na nich farba, dopasowując się do barwy archaicznej tapety. Fotele były miękkie, stoły na wysoki połysk, lustra na ścianach oprawne w złote ramy.

A łóżce...

Kekri zachichotała.

–Co powiedziałaś, gdy potwierdzałeś przyjęcie zaproszenia?

–Nic szczególnego – odparł szczerze Garvin. – Napisali, że zapraszają mnie z towarzyszką, więc pomyślałem...

–Jedno łóżko? Wstydź się, gafferze Jaansma. Bez wątpienia zabrałeś mnie w tę dzicz tylko po to, żeby skorzystać z okazji.

–W żadnym razie – zaprzeczył Garvin, czując się jak piętnastolatek. – Zaraz porozmawiam z tym gościem, który nas przyprowadził, czy nie dałoby się znaleźć dla ciebie oddzielnego pokoju.

Kekri podeszła do niego i wzięła go pod łokcie.

–Naprawdę mi to nie przeszkadza – zamruczała. – Jestem pewna, że zachowasz się jak dżentelmen. Nie wątpię, że dwoje ludzi może spokojnie spędzić noc w jednym łóżku. Zresztą, nawet gdyby... – Przerwała i zachichotała. – Chyba powinniśmy się cieszyć, że nie wybrałeś pana Yoshitaro. Nie wiem, czy lady Berta okazałaby się aż tak wyrozumiała.

Garvin chciał się cofnąć.

–Dopóki tu jesteśmy... – zamruczała znowu Kekri, unosząc głowę, przymykając oczy i rozchylając wargi.

Jaansma musiałby być kimś więcej niż zwykłym śmiertelnikiem, żeby jej nie pocałować. Sięgnął językiem do jej ust i zawinał parę razy w środku.

Gdy się powoli odsunęła, Garvin poczuł, że kręci mu się w głowie.

–Skoro wspomniałam o twoim przyjacielu... Muszę przyznać, że trochę się go boję. Ma oczy, które zdają się przenikać człowieka na wylot.

–Chcesz usłyszeć coś jeszcze gorszego? – spytał Garvin. – Gdybyś mu to powiedziała, uznałby to za komplement.

Kekri skrzywiła się i usiadła na łóżku, żeby wypróbować materace.

–Zmieniając temat... Mięciutkie jak puch – powiedziała. – To może być ciekawe.

Garvin zrobił krok w stronę łoża.

–Nie, nie. Teraz weź torbę i idź się przebrać do łazienki. Nie wydaje mi się, aby lady Berta przesunęła z naszego powodu porę obiadu. – Znowu zachichotała. – Poza tym

będziesz miał na co wyczekiwać. Może...

Garvin zmienił buty na lekkie trzewiki, włożył nieco wymięte czarne spodnie oraz czarną marynarkę.

Kekri dla odmiany wyszła z łazienki w białej sukni i kremowym żakiecie.

–Pięknie wyglądamy – orzekła, wyciągając do niego dłoń.

Podał jej ramię i ruszyli przestronnymi korytarzami do windy, którą zjechali do olbrzymiego holu. Stamtąd przeszli do biblioteki.

Trafili na pomieszczenie pełne współczesnych nośników informacji, ale i regałów z prawdziwymi drukowanymi książkami, map innych światów i portretów pompatycznie upozowanych mężczyzn i ich dostojnych żon, bez wątpienia przodków gospodyni.

Lady Berta przywitała ich ponownie, a kelner zapytał, co wypiją. Kekri poprosiła o białe wino, Garvin o brandy z wodą i lodem. Berta nie musiała nic mówić, od razu dostała wysoką szklanicę z wielobarwną mieszanką likierów.

Zapytała ich, jakby ją to naprawdę obchodziło, czy im się podoba na Cayle, i z uśmiechem przyjęła odpowiedź, że owszem, bardzo.

Berta przyjęła jeszcze dwa imponujące drinki, Kekri ponownie wino, tylko Garvin trwał przy swojej szklaneczce. W końcu przeszli do jadalni.

–Wprawdzie niezbyt to uprzejmie rozmawiać o interesach przy jedzeniu – powiedziała Berta – jednak interesy to prawie całe moje życie, mam więc nadzieję, że mi państwo wybaczą. Poza tym jestem bardzo ciekawą waszej niezwyklej profesji.

Jej pytania były bardzo wnikliwe i wydawała się naprawdę zainteresowana życiem cyrku, a w każdym razie jego finansami.

Obiad też okazał się na poziomie. W roli przystawek wystąpiły ryby z rusztu, potem pojawiła się pieczeń w gęstym sosie z warzywami i sałatką, na koniec zaś podano płonące lody.

–Mam nadzieję, że nie jada się tu tak co wieczór – powiedziała Kekri. – Bo jeśli tak, to poproszę panią o dietę, którą pani stosuje.

–Oczywiście, że nie – odparła Berta z nieco wymuszonym śmiechem. – Moi doradcy mają mi nawet za złe, że w ogóle nic nie jadam, gdy pracuję nad jakąś ważną sprawą.

Do każdego dania podawano inne wino. Garvin ledwie próbował trunków, ale Kekri, ku radości Jaansmy, nie wylewała za kołnierz, Berta zaś czyniła pustki w swojej

piwnicy, przy czym nie wydawała się ani trochę pijana.

Po obiedzie poprowadziła ich z powrotem do biblioteki, gdzie Garvin dostał nową brandy, Kekri likier, a gospodyni kolejną szklanicę z tęczowym ulepkim.

–A teraz – powiedziała, sadowiac się w fotelu – powie mi pan, co pana do mnie sprowadza? Dlaczego zależało panu, aby graav Ganeel umówił nas ze sobą?

Garvin zastanowił się nad różnymi odpowiedziami i w końcu zdecydował się przedstawić częściową prawdę. Powiedział, że jego cyrk wybiera się na Świat Centralny i byłby bardzo wdzięczny Berta Industries za każdą informację na temat systemów obronnych dostarczonych w swoim czasie Konfederacji i rozlokowanych wokół stołecznej planety. Nie wnikając w szczegóły, nadmienił, że mają już aktualne mapy, numery seryjne i opisy poszczególnych urządzeń i umocnień.

Berta uniosła brwi.

–Widzę, że przywykł pan zmierzać prosto do celu, młody człowieku. Jednak muszę pana uświadomić, że Berta Industries słynie z tego, że zawsze dotrzymuje warunków kontraktu, w tym klauzuli tajności.

–To godne podziwu – powiedział Garvin. – Jednak od dostarczenia tych urządzeń minęło ponad dziesięć lat. Od co najmniej pięciu lat Konfederacja nie daje zaś znaku życia.

–To prawda.

–Nie jestem tak zarozumiała, aby sugerować, że nasz cyrk może przywrócić dawne porządki, ale chciałbym się choć trochę do tego przyczynić.

–Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie zbytnio, co zamierzacie, gafferze Jaansma. Jednak jestem tym zainteresowana. Cayle nie jest całkiem bezradnym światem, ale bez wątpienia podupada bez Konfederacji. Nie udało nam się nawiązać nowych kontaktów handlowych, które skompensowałyby utracone. Może zresztą zauważył pan, że mamy tu wysoką stopę bezrobocia. Sama staram się zwalniać jak najmniej pracowników, ale oczywiście nie jestem instytucją dobroczynną. Obawiam się, że niebawem obywatele zaczną tracić wiarę w nasz rząd i rozejrzą się za kimś, kto im obieca radykalne rozwiązania. Prości ludzie zwykle oczekują prostych odpowiedzi i ktoś, kto im je podsunie, może zyskać wielką popularność. Nie ma co ukrywać, że najbogatsi obywatele naszego świata chętnie wesprą taką osobę. Choćby ze strachu, że mogliby stracić to, co mają. Jeśli niepokój społeczny osiągnie pewien próg, ja też być może się do nich przyłączę. Nie wydaje mi się zatem, aby wasz cyrk mógł wiele pomóc. Nie rozwiążecie naszych problemów, co najwyżej pomożecie ludziom zapomnieć na chwilę o codziennych troskach. Jednak... to więcej niż nic. Zastanowię się nad tym przez noc i jutro dam odpowiedź.

–Pocałuj mnie tam, gdzie słońce nie dochodzi... – mruknął Njangu, patrząc na niewielkie pudełko, które znalazł w kabinie Kekri. – Albo jesteśmy do niczego, albo tego tu wcześniej nie było.

–Nie było, szefie – odpowiedział jeden z techników. – Poprzednim razem dokładnie wszystko notowałem. Kuferek z kosmetykami sprawdziliśmy jako trzeci i na pewno niczego podobnego nie przeoczyliśmy.

–To jakiś moduł łączności – stwierdził Njangu. – Zabierzcie go do labu i weźcie pod lupę.

–Tak, szefie.

–Ale uważajcie, czy nie ma w nim jakiejś niespodzianki w rodzaju ładunku samoniszczącego.

–Zawsze możemy powiedzieć, że to był wypadek – stwierdziła Kekri, skopując buty ze stóp.

–Możemy – przyznał Yoshitaro, który właśnie postanowił skorzystać z okazji i nie dbał o konsekwencje. A wiedział, że od jakichś konsekwencji na pewno się nie wywinie. – Może zapalę świeczki, które nasza staromodna gospodyni ustawiła po obu stronach łoża?

–Mógłbyś. I co dalej?

–Wyłączę światło, wrócę i cię pocałuję.

–I co dalej?

–Dalej... – mruknął Garvin. – Zdejmę ci żakiet i zsunę suknię do pasa, pocałuję cię w kark... i jeszcze w parę innych miejsc. A ty może zdejmiesz ze mnie marynarkę, a potem spodnie, jeśli zechcesz.

–Tak – westchnęła Kekri. – Jak najbardziej.

–Dzięki. Niech no zdejmę te pijące buty. A teraz zsunę z ciebie suknię do końca. O, nie masz nic pod spodem.

–Nie lubię, gdy szczegóły psują coś w ostatniej chwili.

–Wspaniały pomysł – mruknął Garvin, niosąc ją do łóżka. Położył ją i zdjął koszulę. Kekri patrzyła na to spod lekko przymkniętych powiek.

–Gdybyś uniosła nogi tak, żebym mógł cię złapać za kostki...

Chwilę potem zabrakło mu słów.

Garvin upił łyk wzmacniającej herbatki, którą polecił mu kucharz, i uśmiechnął się uprzejmie do siedzącej po drugiej stronie stołu Berty.

Przypomniał sobie radę Njangu: „Grzmoć ją, póki nam nie ulegnie”. Przyjaciel seksista przecenił jednak jego siły. I nie docenił Katun. Garvin sam czuł się jak pobity i nie wiedział, czy zdoła znieść trudy planowanej na ten dzień wycieczki. Zrobił jednak tęgą minę i pomyślał, że jakoś to będzie.

Z lekkim niesmakiem zerknął na pogrążone w radosnej konwersacji kobiety i zebrał wszystkie siły, żeby nalać sobie kolejną filiżankę herbatki.

Technik ziewnął i przetarł piekące oczy.

–To, co tutaj mamy, to mały aparat nadawczo-odbiorczy o zasięgu wewnątrzukładowym. Obecnie mało przydatny, chyba że nas śledzą, ale nie zauważyliśmy, aby ktoś nam siedział na ogonie. Działa na akumulatory ładowane byle strumyczkiem fotonów. Gustowne rozwiązanie. Cały czas jest na nasłuchu, więc jakiś statek szpiegowski mógłby wysłać kod i nasz szpieg wiedziałby, że ktoś czeka na rozmowę i zaraz będzie gotów wziąć go na pokład. Oczywiście można na tym nagrać wiadomość i puścić ją następnie skompresowaną, żeby zbyt długo przy tym nie siedzieć i nie ułatwiać nam roboty.

Njangu zastanowił się i nalał sobie herbatki pobudzającej.

–Dobrze będzie odłożyć ten drobiazg tam, gdzie go znaleźliśmy. Ale jeśli tylko w środku jest dość miejsca, proponuję dodać obwód, który powiadomi nas, gdyby ktoś próbował wywoływać Kekri.

–Już go dodałem, szefie. Przyszło mi do głowy, że będziesz chciał czegoś takiego. I jeszcze małą zagłuszkę, żeby ten, kto czeka na transmisję od naszej dziewczynki, musiał się trochę pomęczyć. Teraz musimy się jeszcze dowiedzieć, czego ona właściwie szuka.

Njangu uśmiechnął się, dopił herbatkę i sięgnął do kieszeni na piersi, gdzie trzymał kopię zaszyfrowanych notatek Kekri. Drugą kopię dostał kryptolog, który odczytał już większość zapisków.

–Jasne, ale to już nie twoje zmartwienie, przyjacielu – powiedział i wstał. – Skoro zrobiliśmy, co do nas należało, chodźmy na śniadanie. Garvin będzie miał czego słuchać, gdy wróci.

Stocznie Berty ciągnęły się bez końca. Garvina szybko zmęczyło chodzenie po olbrzymich halach montażowych między frezarkami, tokarkami i robotami mogącymi

zmajstrować coś równie wielkiego jak patrolowiec klasy Nana, działami programowania elektronicznych układów statków i po całej reszcie. Poruszał się przy tym trochę niezdarne. Nie przywykł do filmowania kamerą ukrytą w klapie marynarki.

Wszędzie kręcili się robotnicy, ale nie było ich zbyt wielu. Trudno było też nie zauważyć, że zajmują się głównie czyszczeniem i konserwacją maszyn.

W końcu dotarli do wielkiego, dość archaicznego kamiennego budynku ze szklanymi świetlikami. W pomieszczeniach stały rzędy terminali. Na zewnątrz czuwaliby uzbrojeni strażnicy, ale nie wyglądali na zbyt czujnych.

–To jest nasze archiwum – powiedziała z dumą Berta. – Mamy tu wszystko, począwszy od pierwszego tendra... używanego jako prywatny jacht. – Zbliżyła się do Garvina i dodała cicho: – Są tu także te informacje, o które mnie pan prosił. Niestety, nie mogę ich panu udostępnić. Jak wspomniałam, bezwzględnie chronimy sekrety naszych klientów. To tradycja licząca ponad trzysta lat.

Garvin spojrzał jej w oczy, ale nie znalazł tam niczego poza twardym postanowieniem. Był pewien, że ta kobieta nie dałaby się mu przekonać.

–Zatem będziemy musieli spróbować szczęścia – powiedział.

–Przykro mi – odparła Berta, uśmiechnęła się lekko i odeszła.

Ciekawe, pomyślał Garvin i uznał, że Njangu powinien być z niego zadowolony. Czyżby zabrała nas tutaj, żeby pokazać to archiwum i zagrać nam na nosie? Tylko po to? Ciekawe... Muszę się nad tym zastanowić.

Ristori podkraść się ostrożnie do miski, z której piło mleko sześć ziemskich kotów. Wsunął się między nie i zaczął pić, ale zaraz dostał łapą po nosie i odskoczył.

Dzieci wybuchnęły śmiechem.

Ristori spróbował raz jeszcze, ale znowu został odpędzony.

Usiadł i pomyślawszy chwilę, wyraźnie się rozpromienił.

Opadł na cztery kończyny i nagle zaczął poruszać się jak kot. Wyginając grzbiet, podszedł do miski i tym razem koty zrobiły mu miejsce, uznając za swego. Ristori zaczął chleptać mleko językiem.

Świetny numer, pomyślał Garvin, obserwując to spoza areny. Nie doceniłem Emtona.

Ku jego zdumieniu koty okazały się jednym z największych przebojów cyrku.

Wprawdzie nie były dla publiczności nieznanymi zwierzętami, jednak nikt sobie dotąd nie wyobrażał, że mogą robić takie rzeczy.

Ristori wstał i odsunął się, a pięć kotów oblizało się po dwakroć i położyło na grzbiecie. Szósty, na oko bez polecenia Emtona, który siedział w pobliżu, położył się na ich uniesionych łapkach, a one zaczęły go przesuwając tam i z powrotem w parodii numeru akrobatów z sąsiedniej areny.

–Dobrze bawiłeś się z naszą Kekri? – syknęła Darod Montagna, uśmiechając się do tłumu.

–To była praca – spróbował się wytłumaczyć Garvin.

–Oczywiście – powiedziała z niedowierzaniem Montagna. – Mam nadzieję, że było wam dobrze. Jeśli chcesz, możesz sprowadzić ją do siebie. Nie będę miała nic przeciwko temu.

Garvin nie wiedział, co powiedzieć.

–Ale... – wykrztusił w końcu, jednak Darod odeszła już zdecydowanym krokiem.

Nie miał najmniejszej ochoty zamieszkać z Kekri. Obawiał się, że by temu nie podołał, szczęśliwie Katun nie wydawała się zainteresowana takim rozwiązaniem, chociaż w drodze powrotnej była dla niego całkiem miła. Garvin uznał, trochę rozczarowany, że chyba nie zrobił na niej wystarczająco dobrego wrażenia, a na dodatek zepsuł to, co łączyło go z Montagna.

Ledwie przekazał Njangu informację o porażce i dowiedział się od niego, że Kekri naprawdę jest szpiegiem, gdy nadeszła pora wieczornego przedstawienia.

Zatopiony w ponurych myślach omal nie przeoczył zejścia kotów z areny. Spoza namiotu dobiegały porykiwania oczekujących na swą kolej wielkich drapieżników.

Pomocnicy wnieśli i zmontowali ogrodzenie, wyłączyli emitery antygravitacyjne.

Garvin strzelił trzy razy z bicza.

–Słyszycie już je, czujecie ich piźmową woń, a zaraz zobaczycie, jak wejdą tu z obnażonymi kłami i wysuniętymi pazurami. Proszę uważać na dzieci, gdyż to krwiożercze bestie, nad którymi ledwie można zapanować. Sam nigdy nie wejdę do ich klatki, tylko treser, niewiarygodnie odważny sir Douglas, ma dość odwagi, by to robić. Panie i panowie, powitajcie go i jego ludojady!

Monique Lir nie zwracała większej uwagi na ubranych i nagich tancerzy obu płci szalejących na scenie jednego z klubów Pendu. Słuchała Darod Montagni, z której

właśnie zaczęła wylewać się złość.

–Naprawdę chcesz z nim zerwać?

–Przede wszystkim chciałabym mu urwać kutasa – warknęła Darod. – Najchętniej przy samej brodzie.

–A zastanawiałaś się chociaż, dlaczego wziął tę lalunię ze sobą?

–No... bo chciał ją przelecieć! I... bo jest znacznie ładniejsza niż ja.

–Po kolei. Jasith Mellusin, z którą jest związany na Cumbre, też jest pewnie atrakcyjniejsza niż ty. Nie przyszło ci do głowy, że mógł być inny powód?

–Niby jaki?

–Hm, może ktoś chciał, żeby Katun zniknęła z miasta na jedną noc. Może chciał spokojnie przeszukać jej rzeczy.

–Skąd możesz to wiedzieć? – spytała Darod.

–Bo moja... to znaczy znowu nasza... kabina jest na tym samym poziomie co jej. A ja mam lekki sen. I widziałam, jak Njangu z niewinną miną łaził tam z paroma technikami w tę noc, gdy jej nie było.

–Och – cicho jęknęła Montagna.

–Poza tym, jeśli nawet ją przeleciał, co ci zostaje? Machnij na to ręką i zapomnij o wszystkim – powiedziała Monique. – Przecież świetnie wiesz, co jest grane.

–Niby tak, ale nie – ponuro mruknęła Darod i upiła drinka. – Może jestem głupia, ale uważam, że to nie jest w porządku.

–Nic nowego. Faceci już tacy są.

–I co ja mam z tym zrobić...? Udawać, że nic się nie stało?

Monique nie odpowiedziała, tylko uniosła głowę i zerknęła na tancerzy kołyszących radośnie tym, w co zależnie od płci byli wyposażeni.

–Z radością opuścę tę porąbaną planetę – mruknęła. – Cuchnie spermą i zardzewiałym żelastwem.

–Ciekawa sprawa – mruknął Njangu. – Ale dobrze, podsumujmy. Berta chciałaby lecieć z nami, chociaż sama o tym nie wie. Tęskni za prawem, porządkiem oraz tym wszystkim, co wydaje się jej ważne w życiu, i bardzo by chciała powrotu

Konfederacji. Nie przekaże nam tych informacji, ale to nie znaczy, że są one nie do zdobycia. Moglibyśmy jakoś jej pomóc uniknąć konfliktu sumienia.

–Aha – powiedział Garvin. – A kto pomoże mnie?

–Cóż... wygląda na to, że nie okazałeś się ideałem naszej Katun. A może po prostu była tylko ciekawa albo te sprawy należą do zadania, które otrzymała. Niewykluczone też, że jest reporterką i robi materiał z życia cyrku. Na razie idź kup jakieś kwiaty Montagni. Może to coś da i za paręset lat przestanie się wreszcie tak na ciebie wściekać.

–Dzięki – warknął Garvin. – Uważasz, że teraz twoja kolej?

–W żadnym razie, bracie – powiedział Njangu. – Po pierwsze, Maev starcza mi za wszystko. Po drugie, nie jestem supermanem, a Kekri chyba właśnie szuka kogoś takiego. Po trzecie, znam swoje miejsce i nie myślę uderzać do takiej wysokiej i nazbyt śmiałej blondyny.

–Ale... to ty mnie do tego namówiłeś!

–Mniejsza z tym – odparł Njangu. – Przejrzałem, co nagrałeś w zakładach Berty, i proponuję, żebyśmy poszukali jakiegoś bystrego karła, na którym można polegać.

–Bardzo dziękuję za zaproszenie – powiedziała Kekri Katun.

–To ja dziękuję, że się zgodziłaś – sapnął Ben Diii. – To naprawdę sympatyczne, że najpiękniejsza dziewczyna na statku chce mi pomóc w zakupach, chociaż jestem niemający.

Kekri uśmiechnęła się krzywo.

–Mało kto mnie gdzieś zaprasza. Czuję się tu czasem jak wyrzutek, może dlatego, że jestem z innego świata niż wy.

–Gadanie – rzucił Ben. – Nikt tak o tobie nie myśli – skłamał. – My też jesteśmy z różnych światów. Myślę, że chodzi raczej o to, jaka jesteś ładna, a to onieśmiela facetów. Zauważyłaś, że większość dziewczyn z baletu też nie ma z kim wychodzić? Nie ty jedna masz ten problem.

Kekri uśmiechnęła się i ścisnęła ramię Dilla.

–Ostrożnie, moja pani – powiedział. – Nie kombinuj z pilotem za sterami, nawet jeśli jest najlepszy w sześciu układach i prowadzi akurat tylko ślizgacz.

–A co to są za dziwne pojazdy, na których zwykle lataasz?

–Aksaie. Zbudowane przez musthów... takich jak Alikhan. To bojowe maszyny... – Ben nagle przypomniał sobie ostrzeżenie Njangu i legendę, której powinien się trzymać. – Wykorzystywali je przeciwko jednostkom Konfederacji tuż przed jej upadkiem. Poznaliśmy kogo trzeba i kupiliśmy kilka.

–Trzymacie z musthami?

–Cyrkowcy muszą trzymać ze wszystkimi – odparł Ben.

Kekri wyczuła ostrzegawczy ton, bo zmieniła temat.

–To jaki obraz chciałbyś kupić?

–Jeśli chodzi o sztukę, mam tyle wycucia, co bawół wodny – oznajmił Diii. – Jednak moja kabina wygląda trochę goło. Usłyszałem o tej imprezie urządzonej co weekend nad rzeką, która przepływa przez Pendu, i pomyślałem, że może znajdę tam dla siebie coś ciekawego.

–Jesteś pilotem. To ma być coś latającego? Widok kosmosu?

–Żadne takie. Nie chcę patrzeć u siebie w kabinie na robotę. Raczej coś abstrakcyjnego.

Kekri spojrzała na niego z szacunkiem.

–Masz więc jednak gust, potrafisz unieść tysiąc kilo, umiesz pilotować aksaia...

–I prawie wszystko inne. Nie chwaląc się.

–I prawie wszystko inne. Jakie jeszcze talenty kryjesz?

–W tajemnicy mogę powiedzieć, że jestem łysiejącym maniakiem seksualnym. Tylko skromność nie pozwala mi się z tym obnosić.

Kekri zaśmiała się i poklepała go po udzie.

–Dobra, panie skromny. Czy to nie lądowisko przed nami?

–Tak, moja pani. A teraz patrz i złap się za żołądek.

Ben przechylił ślizgacz na burtę i zanurkował prosto na małe poletko. W ostatniej chwili poderwał pojazd i łagodnie posadził go na ziemi.

–Jesteśmy – oznajmił. – Rzeka jest z prawej. Chodźmy sprawdzić, czy mają coś ciekawego.

Wysiedli i zaraz zjawił się parkingowy. Patrzył ze zdumieniem na piękną kobietę i ludzkie monstrum.

–Proszę – powiedział Ben i rzucił mu jednokredytową monetę. – Pilnuj, żeby nikt nie wydrapał na moim wozie inicjałów i nie zablokował wyjazdu.

–Tak, sir – odparł parkingowy, kłaniając się raz za razem. – Czy umyć go i wywoskować?

–Po co? Za chwilę znowu się zakurzy.

–Zrobiłem coś nie tak? – powiedział Ben, gdy oddalili się od lądowiska. – Jeszcze chwila, a zaproponowałby mi małżeństwo.

–Słyszałam, że obecnie jeden kredyt to równowartość tygodniowej płacy w miejscowej walucie – odparła Kekri. – Podobno, bo trudno znaleźć kogoś, kto byłby skłonny wymienić kredyt na te ich płacidła.

–A niech to! Do diabła ze sztuką. Najpierw poszukajmy jakiegoś kantoru!

Karzeł nazywał się Felip Mand'1, lecz przedstawiał się jako Felip Szczęściarz.

–Oczywiście Felip Szczęściarz chętnie pomoże cyrkowi, bo przecież moja umowa przewiduje, że poza normalnymi obowiązkami będę starał się być „ogólnie użyteczny”. Umiem dochować tajemnicy, chociaż od dawna przypuszczałem, że nasza trupa ma jakieś mroczne sekrety, co widać chociażby po ubiorze. Cyrkownicy tak się nie ubierają – dodał nieco podniecony nawą rolą.

–Dlaczego wybrałeś właśnie jego? – zapytał Garvin Yoshitara. – W naszym cyrku jest ponad tuzin małych ludzi.

–Rozpytałem trochę o przeszłość tego i owego – odparł Njangu.

–Ale to była pomyłka! – powiedział Mand'1. – Byłem bardzo młody, a ona piękna i przysięgała, że te klejnoty ukradł jej zazdrosny kochanek i że tylko ja mogę się wspiąć do jego apartamentu na dachu. Prawie udało mi się stamtąd uciec.

Mand'1 spojrział na pozostałą trójkę siedzącą z tyłu ślizgacza. Tak jak on i Njangu, także Penwyth, Lir i elektronik imieniem Limodo ubrani byli od stóp do głów na czarno, na głowach mieli kaptury, na czołach gogle, a na krtaniach laryngofony. Na kolanach trzymali też małe plecaki.

–Hm... zauważyłem, że macie broń. Dlaczego ja żadnej nie dostałem? – spytał Felip, starając się nie tracić ducha.

–A umiesz posługiwać się blasterem? – zagadnęła Lir.

–Niestety, nie. Znam się jednak świetnie na starej broni palnej, a to chyba niewielka różnica.

–Pewna różnica jest – powiedziała Monique. – Nie chcemy, żebyś postrzelił się w stopę.

–Aha – mruknął karzeł i zniknął za oparciem fotela.

Ślizgacz przemykał nad górami.

–Ale bohomaz – sapnął Diii, patrząc na półaktywny obraz holo prawie tak wysoki jak on sam. – Nie wiedziałem, że jest aż tyle odcieni czerwieni. Człowiek wymachujący blasterem naprawdę może wyglądać tak głupio?

–Ciszej – syknęła Kekri. – Tam chyba stoi autor.

–Przedstaw mnie. Wrzucę go do rzeki. Ktoś taki nie powinien się dłużej męczyć.

Na bulwarze przedstawiało swoje prace może i dwustu artystów. Z drugiej strony

szarej rzeki ciągnęło się wysokie na trzy metry nabrzeże z uwiązаныmi tu i ówdzie łodziami.

–Chodźmy. – Kekri pociągnęła Bena za rękę. – Dopiero zaczęliśmy.

–Jest tu gdzieś jakiś bar? Moje gusta mają związek z poziomem płynów ustrojowych. Może skromne sześć piw poprawiłoby mi optykę.

–Nigdy nie kupuj obrazów po pijaku – powiedziała Kekri. – To stare powiedzenie mojej babci.

–Tak? A co robiła szanowna babcia, że doszła do takiego wniosku?

–Zdaje się, że prowadziła burdel.

–Na bogów słońca! Muszę się ciebie trzymać! – stwierdził Ben. – Burdel to jest to, czym chcę się zająć na emeryturze. – Parsknął śmiechem.

–Dobrze, wstąpmy na to piwo – mruknęła Kekri. – Wyraźnie nie jesteś w nastroju do oglądania czegokolwiek.

–Szczególnie tego badziewia. Nie rozumiem, dlaczego nikt nie może namalować porządnego zachodu słońca prześwitującego przez wręgi rozbitego statku. Sam lepiej palcem bym to nabazgrał.

–Tam chyba jest jeden z tych ich pubów – powiedziała Katun.

–Świetnie. Niech tylko przejedzie ten konwój...

Na konwój składało się pół tuzina ciężkich ślizgaczy ze skrzyniami ładunkowymi okrytymi plandekami, które nagle opadły, ukazując mężczyzn z bronią.

–Rany! – rzucił Ben, łapiąc dziewczynę za ramię, i pociągnął ją z powrotem w ciżbę artystów. – W co myśmy wdepnęli?

–Tam. – Kekri wskazała niski most, na którym pojawiło się jeszcze dziesięć ślizgaczy.

Uzbrojeni mężczyźni z pierwszego konwoju zaczęli strzelać do drugiego, który zaraz odpowiedział ogniem. Dokoła rozległy się krzyki przerażenia i bólu.

Diii padł na chodnik i częściowo osłonił sobą Kekri. Pacykarz, który tak mu się naraził, leżał tuż obok.

–Co tu się dzieje, u diabła?! – zapytał go Ben.

Mężczyzna gwałtownie pokręcił głową.

–Pewnie znowu anarchiści się postrzelali. Nie mogą dojść do zgody, jak mają się zorganizować. – Krzyknął z bólu, gdy rykoszetujący ładunek przeorał mu plecy.

–Tu nie jest bezpiecznie – mruknął Diii, rozejrzał się i wziął pod pachę Kekri, która pisnęła zaskoczona. Pobiegł tyłem, przewracając sztalugi i klnąc, że nie jest uzbrojony. Któryś z anarchistów dostrzegł go, strzelił, ale chybił.

Nie wypuszczając Kekri, wskoczył do rzeki. Wyłynęli po chwili. Dziewczyna pluła wodą.

–Lepiej naucz się pływać – powiedział Ben.

–Umiem. Zaskoczyłeś mnie.

–Dobra. Popłyniemy teraz do tamtej łodzi, odetniemy ją i damy się ponieść z prądem na drugi brzeg.

–Świetnie – odparła Kekri i odwróciła się na plecy. – Szybko myślisz.

–Ktoś moich rozmiarów musi szybko myśleć. A teraz zamknij się i machaj kończynami.

Przepłynęli kilka metrów, gdy Diii prychnął jak mors.

–A niech to. Anarchiści próbujący się zorganizować. Co za popieprzona planeta.

–Felip Szczęściarz mógłby nawet zatańczyć gawota na tej belce – powiedział Mand’I na użytek laryngofonu, wspinając się po elementach konstrukcyjnych archiwum Berta Industrie. – Nawet na rękach.

–Nie gadaj, tylko nas wpuść – szepnął Njangu.

Felip wszedł na dach i przyklęknął obok świetlika. Włożył azbestowe rękawice, błysnął palnikiem i wyjął jeszcze miękki kawałek szkła. Sięgnął do środka, znalazł zapadkę i uniósł świetlik.

–Proszę, otwarte.

–Najpierw spuść linę – szepnęła Limodo. – Nie jestem akrobatą, do cholery.

Felip przywiązał linę i rzucił ją dziewczynie. Szybko, ręka za ręką, wspięła się po niej na dach, a pozostała trójka za nią.

Opuścili się przez świetlik i stanęli na metalowej platformie, wysoko nad bankami

danych.

Na chwilę zamarli, w ciszy rozglądając się po wnętrzu. Zwiadowcy w pewnej chwili unieśli dłonie z wyprostowanymi dwoma palcami, kciukiem i wskazującym. Nie było straży. W każdym razie nikogo nie zauważyli.

Njangu wskazał na dół. Zeszli schodami na główny poziom.

Limodo sprawdziła terminale i włączyła jeden z nich. Przez długie minuty wpatrywała się w niebieskawy ekran, co pewien czas muskając klawiaturę. W końcu pokiwała głową.

–Chyba mam – powiedziała i zaczęła właściwe poszukiwania, sprawdzając na ekraniku małego modułu pamięci numery seryjne zdobyte w Tiborgu.

Minęła jedna godzina, potem druga, ona zaś przekopywała się przez czeluści archiwum.

–Przynajmniej nie ma tu żadnych pułapek ani firewalli – oznajmiła. – Prosta droga.

–Uwaga! – szepnął Njangu, zobaczywszy dwóch ludzi podchodzących do głównych drzwi. Cała grupa zamarła, strażnicy jednak oświetlili wnętrze zwykłymi latarkami i poszli dalej.

–No to jesteśmy – powiedział Ben, dobijając do drugiego brzegu. Wyskoczył z łodzi na wysokie nabrzeże i obłożył cumę na pachołku.

–Jesteś niesamowity – zagruchała Kekri.

Diii skoczył z powrotem na pokład. Łódź zakołysała się i musiał oprzeć rękę na dachu małej kabiny.

–Możesz mnie nagrodzić całusem, pani. Zaraz znajdziemy kogoś, kto nam przyprowadzi ślizgacz, i do diabła z moimi koneserskimi ambicjami.

Kekri uniosła głowę i podała mu rozchylone usta. Przesunęła dłońmi po plecach Bena, potem po jego brzuchu i...

–O bogowie! – westchnęła.

–Hm... no cóż, jestem duży, tak więc i... – powiedział lekko zakłopotany Diii.

–Czy ta kabina jest otwarta?

–No... teraz tak – rzekł Ben, włamawszy się do niej.

–Do środka. Szybko!

–No dobrze...

–Jest już wszystko – oznajmiła Limodo, przykładając do terminala mały rejestrator.

– Pięć albo sześć minut, i będziemy to mieli. Potem jeszcze pięć na zatarcie śladów.

Siedzący pod pulpitem Felip poruszył się niecierpliwie.

–To takie proste? Oczekiwałem przygód – odezwał się rozczarowany.

–Siedź cicho – szepnął Penwyth. Razem z Lir stali z bronią gotową do strzału po obu stronach wejścia. – Nadmierna pewność siebie przynosi pecha.

–Przypomnij sobie swój pierwszy włam – dodała Lir. – Prawie uciekłeś.

–Ogony w górę, ogony w górę! – zawołali Thanon i Phanon i słonie posłuchały. Nawet mała Imp. Jeden za drugim wywędrowały z namiotu.

–I to by było na tyle, panie, panowie i dzieci – oznajmił Garvin i handlarze zajęli się wychodzącymi. – Nie zapomnijcie pamiątkowych programów, które będą wam o nas przypominać do czasu, aż kiedyś znowu tu zawitamy.

–Najwcześniej w przyszłym stuleciu – mruknęła pod nosem Lir.

Dostrzegła stojącego w pierwszym rzędzie graava Ganeela. Niemal ze smutkiem spoglądał za wychodzącymi słoniami.

Gruba Berta wystartowała dwie godziny przed świtem. Monique Lir stała na mostku i patrzyła, jak światła Pendu nikną pod chmurami.

–Ta pokręcona planeta potrzebuje powrotu Konfederacji – powiedziała do wszystkich i do nikogo, bezwiednie powtarzając słowa lady Berty. – Inaczej wpadnie w łapy jakiegoś durnia i wszyscy tu poginą albo jeszcze gorzej.

Nadprzestrzeń

–Zapewne większość z was ma ogólne rozeznanie, o co tu chodzi, ale pora na konkrety – powiedział Njangu do oficerów Legionu zebranych na mostku Grubej Berty. – Doktor Froude wyjaśni co trzeba.

–Jak dotąd udało nam się ustalić parę ciekawych rzeczy – powiedział analityk. – Mamy już... albo sądzimy, że mamy... podstawowy klucz kodów rozpoznawczych Konfederacji, który powinien uchronić nas od ostrzelania przez jej siły. Biorąc pod uwagę najbliższe nam w tej chwili punkty nawigacyjne, moglibyśmy w sześć skoków dotrzeć do Capelli. Ja jednak wytyczyłem trasę opartą na ośmiu skokach, którą widzicie tu na uproszczonym schemacie holo, a to dlatego, że pozwoli nam to zajrzeć do układów sąsiadujących z Capellą. Uważam, że dobrze będzie przeprowadzić tam rozpoznanie, nim zaryzykujemy lot na Centralny. Jakież uwagi? Pytania? Ktoś chciałby coś dodać?

Uwag nie było, Gruba Berta skoczyła zatem w nadprzestrzeń.

–Nader ciekawe – zauważył Njangu, wpatrując się w ekrany. – Tego układu, W-R-coś tam, nie ma w żadnym wykazie fortyfikacji, wszędzie wymieniany jest jako niewykorzystany. Jednak nasze detektory mówią co innego. – Włączył mikrofon. – Ben, co masz? – spytał, nie marnując czasu na wywołania kodowe.

–Wykonuję drugie okrążenie – odezwał się po chwili Diii. – Detektory wskazały na coś, co wygląda jak forteca. Całkiem nowoczesna, w większości schowana pod ziemią. Przekazuję wam obraz. Jednak co najciekawsze, ta forteca jest chyba opuszczona.

–Dlaczego tak uważasz?

–Nie odbieram żadnych transmisji. Nie ma niczego. Cisza na wszystkich zakresach, brak promieniowania mikrofalowego, podczerwonego, kompletnie nic. Widzę wrota hangarów pod kamuflażem, wszystkie otwarte. Hangary są chyba puste. Jest coś, co wygląda na wyrzutnie raketowe, ale bez pocisków na prowadnicach. Zaryzykowałem niskie przejście i też nic się nie działo.

–Czy moglibyśmy podprowadzić statek bliżej? – spytał Froude.

–Zgoda – odparł Liskeard. Obraz zamigotał barwami nadprzestrzeni i pojawiła się na nim obca planeta.

–Przepraszam, Ben – powiedział Njangu. – Zapomnieliśmy ci powiedzieć, że

skaczymy obok.

–Nic się nie stało – odparł Ben. – Właśnie widzę. Gdy wrócę, ktoś będzie musiał posprzątać w kokpicie. Zrobiło się tu raczej mało przytulnie.

Froude nie zwracał uwagi na tę gadaninę, tylko analizował obraz.

–Chyba Wielki Ben ma rację – powiedział. – Wnioskuje, że to była tajna baza Konfederacji, bo kogo innego, jak nie Konfederację, byłoby stać na budowę czegoś podobnego. Ale dlaczego została porzucona? Nie mam pojęcia.

–Dlaczego spędzamy tyle czasu w tym martwym układzie? – spytała Kekri.

–Nie wiem – skłamał Ben. – Byłem cały czas w gotowości, ale to Alikhan dzisiaj latał.

–Czy to nie dziwne, że tak czekamy, chociaż nic się nie dzieje? Garvin nic ci nie wspominał?

–Nie. Dziwniejsze jednak jest co innego. Cały dzień tylko łąziłem po próżnicy i myślałem, co zrobię, gdy wskoczymy do łóżka.

–Zaczekaj chwilę! – zaprotestowała Kekri. – Nie możemy się cały czas pieprzyć! Czasem dobrze byłoby też porozmawiać...

Nagle zapiszczała i na jakiś czas ich rozmowa uległa znaczącym zniekształceniom.

W następnym skoku bez żadnych niespodzianek przeszli przez opuszczony układ.

Sabyn/Sabyn 1

Kolejny skok okazał się znacznie bardziej owocny. Mieli trafić na trzy zamieszkane planety tworzące wraz z trzema innymi układ Sabyn. Wedle dostępnych im informacji podstawą ich gospodarki było rolnictwo i przemysł lekki. Nie znaleźli żadnej wzmianki na temat tutejszych kultur.

Rozpoznawczy przelot aksaia pozwolił ustalić, że na wszystkich trzech zamieszkałych planetach wciąż kwitnie życie, nie zaobserwowano żadnych systemów uzbrojenia ani innych zagrożeń.

Pierwszych kilka wywołań przeszło bez echa. Wysłano komunikaty na pozostałe planety, ale także bez rezultatu, Garvin wysłał więc wszystkie jednostki na zwiad.

Nie było żadnej reakcji.

–Dobra, zapowiemy się głośno i wyraźnie.

Podobnie jak na Cayle, puścili w eter oraz przez megafony zamontowane na aksaiach reklamy cyrku i zrzucili ogień sztuczny. Nadal nie było żadnego odzewu.

–Coś tu jest nie tak – powiedział Alikhan z kabiny aksaia lecącego nisko nad powierzchnią pierwszego globu. – Przekazuję obraz. To, na co patrzycie, to lądowisko, ale jak widać, kompletnie zniszczone. Ktoś rozwalił wieżę i budynki służb technicznych, całkiem jak na Salamonskim. Mam wrażenie, że wszystko to stało się już jakiś czas temu. Co najmniej jeden tutejszy rok. Ale ten świat nie został opuszczony. Widziałem mały ślizgacz, który zanurkował przede mną do lasu. Nie miałem akurat włączonego termowizora i zgubiłem go.

Oficer wachtowy zbliżył Bertę do planety i znowu czekali.

–Dwa razy ktoś zmacał nas radarem z powierzchni – zameldował dyżurny elektronik. – Komputer podaje, że to urządzenie nie pracuje na żadnej z częstotliwości używanych do namierzania celu. Teraz znowu nic.

Wszyscy spojrzeli na Garvina, czekając, co zdecyduje.

–Lądujemy i zobaczymy, co będzie – powiedział do oficera wachtowego. – Wybierz miejsce gdzieś blisko tego zniszczonego lądowiska, równe, żebyśmy mogli rozbić namiot.

–Odważne posunięcie – mruknął Njangu.

–Cały czas chcę mieć pełną osłonę powietrzną – dodał Garvin.

–Czy mogę spytać, po co mamy rozbić namiot? – spytał Penwyth.

–Bo nie wiem, jak inaczej przekonać miejscowych, że przybywamy w przyjaznych zamiarach.

Pierwszy pojawił się nieco grubo ciosany wiejski chłopak, który z kamienną twarzą zaczął słuchać jednej z dziewczyn stojących w alejce na podejściu, śpiwnie zapraszającej samotnego widza. Poczekał, aż skończy, i zapytał:

–Ile za wejście?

–Tylko pół kredytu za główny namiot. Tutaj wstęp jest wolny, chociaż za konkretne przyjemności trzeba zapłacić.

Chłopak pokiwał głową i rozglądając się ciekawie, ruszył dalej.

Garvin obserwował go z mostka.

–Głupio być tym jednym, którym wszyscy orzą – mruknął. – Tego tam też pewnie

wypchnęli naprzód.

–Może lepiej zejdziesz i z nim pogadasz? – spytał Njangu.

–Co? Ja, mistrz ceremonii?

–Tak, ty, mistrz ceremonii. Ruszaj.

Garvin posłuchał.

Mimo że bardzo się starał, chłopak nie pohamował chichotu na widok wysokiego blondyna w białym ubraniu, który stanął mu na drodze.

–Witamy w cyrku. Mam na imię Garvin. A ty?

–Jorma – odparł nastolatek.

–Dobrze się bawisz?

–Jeszcze nie wiem.

–Proszę. – Garvin podał mu bilet. – Wolny wstęp do mojego cyrku. Możesz też przyprowadzić całą rodzinę – dodał, pokazując więcej biletów.

–Tyle nie potrzebuję – powiedział Jorma. – Zostałem tylko z mamą i jedną małą siostrą.

–Od kiedy jesteście sami?

–Od czasu ostatniej wizyty Konfederacji.

Garvin spojrzał na niego uważnie.

–Czego od was chciała Konfederacja? Jesteśmy z bardzo daleka i nie słyszałem jeszcze nic o tym, co tu się dzieje.

–Dranie przylatują co parę lat – wyjaśnił Jorma. – Biorą wszystko, co ma jakąś wartość. Nasze bydło, warzywa. – Jorma przerwał, skrzywił się boleśnie, ale po chwili odzyskał panowanie nad sobą. – I wszystkich, którzy chcą z nimi lecieć. A czasem i takich, którzy nie chcą. Jak moja siostra. – Otarł oczy rękawem.

–To nie w porządku – powiedział Garvin.

Jorma spojrzał na niego ze smutkiem.

–Nie mamy się czym bronić, a oni mają okręty i działka. – Wskazał na pobliskie

ładowisko. – To ich niedawna robota. Powiedzieli, że nie chcą, abyśmy kręcili się po okolicy. Handlarz, który nas odwiedza, powiedział, że ostrzelali też mocno niektóre miasta. Sam nie widziałem. Większość z nas mieszka na wsi, bo w mieście jest niebezpiecznie. Mój tata poszedł tam kiedyś szukać pracy i nie wrócił.

–Wszyscy ci napastnicy mówią, że są z Konfederacji?

–Tak. Ale my mamy stare holo i wiemy, że Konfederacja była dla nas dobra. Kłamliwe sukinsyny! Oj... Przepraszam, proszę pana. Mama nie chce, żebym tak mówił.

–Mnie to nie przeszkadza – powiedział Garvin. – Na twoim miejscu pewnie kłąłbym jeszcze gorzej.

Chłopak uśmiechnął się słabo.

–Może nie chcecie nas okraść...

–Okraść?

–Mama mówi, że od czterech lat przylatują tu tylko tamci. Wcześniej przez jakieś sześć czy siedem lat nikt się u nas nie pojawił. A jeszcze wcześniej była inna Konfederacja, ale jej statki przywoziły nam różne dobra i nie kradły niczego. Różne przylatywały, nie tylko okręty wojenne, ale i frachtowce, nawet pasażerskie liniowce. Mama mówi, że jak miało się kredyty, można było wejść na któryś i polecieć gdzie się chciało. Ale gdy usłyszeliśmy, co mówiliście przez głośniki na tych dziwnych stateczkach, mama powiedziała, że pewnie też chcecie nas okraść.

–Niedorzeczność – powiedział Garvin. – Gdybym chciał okraść ciebie albo twoją mamę, czy sprowadzałbym tutaj te wszystkie słonie?

–To właśnie są słonie? Takie z Ziemi?

–Kiedyś, dawno temu, ich przodkowie zostali zabrani z Ziemi. Wiesz, że to stado je całe tony siana dziennie? A do tego wiadra witamin oraz owoce i warzywa z upraw hydroponicznych.

–Faktycznie, złodzieje nie zawracaliby sobie głowy czymś takim.

–Wiesz, dam ci całą rolkę biletów – zaproponował Garvin. – Jeśli ci się udaje sprzedać, zatrzymasz połowę pieniędzy.

–Dlaczego ja?

–Bo pierwszy tu przyszedłeś, co znaczy, że jesteś odważny. Poza tym nikt do nas

nawet się nie zbliży, zanim udowodnimy, że nie trzymamy z tamtymi. Już prędzej obrzucają nas kamieniami.

–Chyba tak – zgodził się chłopak.

Garvin podprowadził go do jednej z kas, wziął wielką rolkę biletów i dał ją chłopakowi.

–Jak ty zarobisz, to i my zarobimy.

Jorma pokiwał głową, zastanowił się i chyba doszedł do wniosku, że lepiej będzie nie czekać, aż Garvin się rozmyśli, bo puścił się biegiem i zniknął w krzakach.

–Podrzuciłem mu lokalizator – pisnęła słuchaweczka w uchu Garvina. – Śledzić go?

–Tak. Ale żadnej akcji bez mojej zgody.

Tego wieczoru na widowni pojawiło się dziesięć osób, włączając w to Jormę i jego sceptycznie nastawioną rodzinę. Następnego dnia było już pięćdziesięciu widzów.

Garvin utrzymywał patrole aksaiów w powietrzu, wysyłał je też na zwiady. Niektóre z większych miast rzeczywiście nosiły ślady zniszczeń, jednakże nie tak rozległe, jak utrzymywał wioskowy handlarz.

Czwartego wieczoru występowali dla trzystu widzów. Niektórzy z nich przybyli rozpadającymi się ślizgaczami albo pojazdami kołowymi.

Zaczęły napływać raporty wywiadu.

–Chłopak mówił prawdę – stwierdził Njangu. – Jacyś ludzie, którzy twierdzą, że reprezentują Konfederację, przybywają tu prawie co roku, aby wydoić tę planetę. Nie są głupi, nie zabierają nigdy tyle, aby mieszkańcom zagroził głód czy upadła gospodarka. Wielu odlatuje z nimi dobrowolnie, ale inni, jak siostra Jormy... Pewnie mają na nich swoje sposoby.

–Ciekawe, ile jeszcze światów odwiedzają ci fałszywi konfederaci – mruknął Garvin.

–Nie mam pojęcia. Ale wiesz, co bardziej nie daje mi spokoju? Czy przyszło ci do głowy, że to może robota prawdziwej Konfederacji?

Garvin zacisnął wargi i nic nie odpowiedział.

–Kolejna ciekawostka – podjął Njangu. – Jak dotąd w cyrku nie pokazał się nikt z ich władz. Jedyni oficjele, jakich zauważyliśmy, to wioskowa starszyzna, czy jak ich tutaj nazywają. To by znaczyło, że góra albo ukrywa się przed nami wystraszona, że możemy być w zmowie z tymi rabusiami i porywaczami, albo naprawdę nie mają tu

żadnych władz poza samorządem lokalnym.

–Moim zdaniem to niemożliwe. Ludzie nie kochają anarchii.

–Jednak fakty pozostają faktami. Pytaliśmy kogo się dało i nikt, ale to nikt nie powiedział, że ten czy tamten jest, na przykład, totumfackim premiera.

–Co za dyskrecja – mruknął Garvin.

–Albo strach.

–Nikt nie powinien żyć w takim strachu.

–Nie gadaj – parsknął Njangu. – Wielu z nas wyrosło w czymś takim.

–Nas?

–Tak, do cholery – powiedział z goryczą Yoshitaro. – Pamiętaj, że póki nie trafiłem do armii, nie znałem innego życia niż na ulicy i byłem święcie przekonany, że wszędzie polega ono na przegryzaniu gardel słabszym. Swoją drogą, wszystko stanęło na głowie, skoro trzeba aż wskoczyć w kamasze, aby odkryć, że istnieją jakieś ludzkie zasady. Ten cholerny wszechświat zwariował. Może zresztą nie powinniśmy mu w tym przeszkadzać, tylko wrócić do domu i niech się dzieje co chce.

Garvin przyjrzał mu się uważnie. Njangu zmusił się do uśmiechu i wzruszył ramionami.

–Przepraszam. Ostatnio chyba jestem trochę przemęczony. Właśnie, jeszcze jedno. Ludzie pytają, ile jeszcze będziemy tu występować. Wszyscy widzą, że tu się nie da zarobić, a Sopi ze zmartwienia jeszcze bardziej wyłysiał.

–Jeszcze ze cztery, pięć dni – powiedział Garvin. – Mam miękkie serce. Miło widzieć, jak publika przychodzi do nas cała spięta, a wychodzi z uśmiechem.

–Tak, niewątpliwie – zgodził się Njangu. – Ale to nie serce masz miękkie. Cierpisz na rozmiękczenie mózgu.

Mais

Następny skok wyprowadził ich w pustkę międzygwiazdną, kolejny zaś do układu Mais z dwoma zamieszkanymi planetami. Każda miała z pół tuzina księżyców. Pozostałe leżały daleko od słońca typu G i określano je jako „nadające się do eksploatacji górniczej”.

Wstępny rekonesans niewiele wykazał poza tym, że obie planety wciąż są

zamieszkane. Gruba Berta wyszła z nadprzestrzeni w obrębie układu, podeszła do najbliższej z zamieszkałych planet i nagle znalazła się w kleszczach dwóch miejscowych okrętów. Katalog Janes zidentyfikował je jako lekkie krążowniki klasy Langnes, „słabo uzbrojone, ale z bogatym wyposażeniem radioelektronicznym, lekko opancerzone i bardzo zwrotne”.

Kapitan Liskeard spojrział na ciemny ekran i raz jeszcze wysłuchał anonimowego głosu żądającego pozostania na obecnej orbicie i przyjęcia na pokład zespołu inspekcyjnego. Spojrział na Garvina w oczekiwaniu na rozkazy, ale żadnych nie otrzymał.

–Tutaj statek cyrkowy Gruba Berta – rzucił do mikrofonu. – Zamierzamy lądować na Mais II.

–Nie próbujcie lądować bez pozwolenia – zabrzmiała odpowiedź. – I sprowadźcie obie wasze jednostki zwiadowcze na pokład. W przeciwnym razie zostaną ostrzelane.

–Hm... – mruknął Njangu.

–Sir? – odezwał się technik i dał na ekran obraz planety wraz z księżycami. Obok globów widniały różne kolorowe oznaczenia.

–Mam wrażenie, że oni nie blefują – powiedział Liskeard. – Proszę spojrzeć. – Wskazał palcem na jeden z księżyców, potem na drugi. – Oba są ufortyfikowane. Gdyby te krążowniki nas nie dopadły, mogą strzelać stamtąd i idę o zakład, że wtedy poczęstowaliby nas czymś, co weszłoby za nami w nadprzestrzeń i tam załatwiło.

–Hm... – powtórzył Njangu.

–Właśnie – zgodził się Liskeard. – Szczególnie że nawet nie wspomnieli, że mają placówki na księżycach, spryciarze. Co robimy, sir?

Garvin uśmiechnął się krzywo i spojrział na kobietę przy pulpicie łączności.

–Zapowiedz wszystkim, że przyjmujemy kontrolerów na pokład i niech nikt nie kombinuje niczego bez rozkazu. Ukryć kobiety i alkohol – dodał. – Zaczynają się kłopoty.

Jeden z luków krążownika otworzył się i wypuścił kuter inspekcyjny, który łukiem podleciał do Grubej Berty. Nie wszedł do hangaru, tylko przycumował na magnetycznych przyłgach do kadłuba. Po chwili wyłoniły się z niego postaci w pancernych kombinezonach. Nawet hełmy miały zaślepione, z kamerami zamiast wizjerów.

Kuter odzepił się i odsunął na kilka metrów, bez wątpienia w gotowości bojowej.

–Zamykamy służbę, sir? – spytał wachtowy.

–Jasne. Będziemy wiedzieli, jeśli im się to nie spodoba, bo zaczną strzelać.

Przybysze jednak zachowywali się spokojnie. Wielkie wrota zamknęły się, służa została napełniona powietrzem, uchylił się wewnętrzny właz. Do ładowni weszło sześć opancerzonych osób.

Garvin ruszył ku nim z Njangu i Penwythem po bokach.

–Witajcie na Grubej Bercie – powiedział. – Nasz cel to Mais II.

–Wasza planeta macierzysta? – rozległo się z głośniczka jednego z hełmów.

–Grimaldi.

Na chwilę zapadła cisza.

–Nie mamy jej w wykazach. Wasze ostatnie lądowanie?

–Sabyn.

–W jakim celu tam lądowaliście?

–Aby trochę zarobić, dać parę przedstawień, trochę się rozerwać – odparł Garvin. – Z tego samego powodu chcemy lądować na Mais II.

–Planowany czas wizyty?

–Zapewne ze dwa miejscowe tygodnie. Mniej, jeśli nie przyciągniemy tłumów.

–Zgodnie z przepisami Konfederacji, ustawa numer trzy tysiące sto sześćdziesiąt jeden, jako jej przedstawiciele mamy prawo sprawdzić, czy na waszym statku nie są przewożone nielegalne materiały i kontrabanda.

–Należycie do sił Konfederacji? – spytał Garvin, pełen obaw, że ma przed sobą drani napadających na Sabyn.

–Tak. Czy zgłaszacie jakieś obiekcje wobec wymogu inspekcji?

–Nawet gdybyśmy zgłaszali, to co z tego? To wy trzymacie broń i rozdajecie karty.

Indagująca Garvina postać odwróciła się i powiedziała coś do stojącego tuż za nią towarzysza. Grupa inspekcyjna zaczęła się rozchodzić po statku.

–Chyba lepiej będzie, jeśli poproszę moich ludzi, żeby was oprowadzili –

zapropował Garvin, siłąc się na przyjazny ton. – Nasz statek jest trochę nietypowy.

Postać rozejrzała się wkoło, uniosła głowę.

–Chyba rzeczywiście – przyznała niemal ludzkim głosem. – Niemniej odradzam jakiegokolwiek próby oszustwa.

–Wszystko jest tu takie, jak widzicie – powiedział Garvin i sięgnął po komunikator. – Diii, Montagna, Froude, Lir, zameldujcie się zaraz w głównej ładowni. – Zwrócił się znów do dowódcy zespołu inspekcyjnego. – Gdyby wasi ludzie zdjęli skafandry, byłoby im o wiele wygodniej.

Zapadła cisza i opancerzona postać dotknęła zapięć na szyi, po czym uniosła hełm. Okazała się kobietą z krótko przyciętymi kasztanowymi włosami. Gdyby nie służbisty wyraz twarzy, byłaby nawet ładna.

Pozostali przybysze poszli za jej przykładem.

–Reszty nie będziemy zdejmować – wyjaśniła. – Wymogi bezpieczeństwa.

–Jak uważacie – powiedział Garvin. – Przy okazji, nazywam się Garvin Jaansma, jestem tutaj gafferem.

–Komandor Betna Israfel, trzydziesty czwarty dywizjon ósmego pułku gwardii Konfederacji.

Garvin przedstawił jej Erika, Njangu i resztę, gdy tylko zeszli do ładowni. Potem ruszył na obchód z panią komandor.

–Zechce pani zajrzeć na mostek? – spytał.

Israfel zastanowiła się i pokiwała głową.

–Jasne. Chociaż muszę przyznać, że zdajecie się niczego nie ukrywać.

–Jedyne nasze sekrety dotyczą samej sztuki cyrkowej – powiedział Garvin i zaserwował jej jedną z kwestii naganiaczy o cudach z dalekich światów.

Israfel spojrzała na niego dziwnie, ale chyba uznała, że gospodarz żartuje, i lekko się uśmiechnęła. Garvin odniósł wrażenie, że pani komandor nie ma w nadmiarze poczucia humoru.

Na mostku odmówiła poczęstunku, rozejrzała się po lśniących przyrządach, zerknęła na czysto ubraną wachtę.

–Dbacie tu o porządek – zauważyła.

–Dziękuję. Rodzice starali się, żebym nie wyrósł na świnię – powiedział Garvin w nadziei, że ujdzie dzięki temu za nieszkodliwego kmiotka.

–Sprawdziłam przed przylotem, co to takiego cyrk. Wiele ich lata po galaktyce?

–Statków cyrkowych jest całkiem sporo, bywają nawet całe konwoje – odparł Garvin. – Ale nie latają od czasu, gdy Konfederacja wyparowała, że tak powiem, bez obrazy, mam nadzieję.

–Co prawda, to prawda.

–Ale słyszałem, że to wy jesteście Konfederacją!

–Tylko małą placówką – powiedziała Israfel. – Dbamy o bezpieczeństwo układu Mais i tyle. Co się dzieje poza nim... sami pewnie wiecie lepiej. Staramy się nie upowszechniać tych informacji, chociaż zapewne ludzie z czasem i tak się dowiedzą. Miejscowi raczej nie spojrzą na nas potem łaskawszym okiem.

Garvin poczuł pewną sympatię do tych żołnierzy, którzy znaleźli się w tej samej sytuacji co Grupa, chociaż ich posterunek leżał znacznie bliżej serca zaginionej Konfederacji.

–W układzie Sabyn słyszeliśmy, że regularnie zjawiają się tam rabusie, którzy łupią miejscowych w imieniu, jak twierdzą, Konfederacji.

–Tak, ci piraci już trzy razy próbowali i nas atakować. Odpieramy ich, ale...

Nie musiała kończyć. Garvin wiedział, jak trudno utrzymać złożone systemy bojowe w gotowości bez dopływu części i przy braku ciężkiego przemysłu.

Grupa miała szczęście, że znalazła się właśnie na Cumbre, choć był to przecież świat pogranicza.

–Nie domyślcie się, skąd przylatują ci farbowani konfederaci?

Israfel pokręciła głową i odwróciła spojrzenie. Garvin zrozumiał, że usłyszał już od niej wszystko, co mogła powiedzieć.

Pożałował, że będą musieli zostać tu aż tydzień. Wiedział, że będzie to dla nich zmarnowany czas.

Mais/Mais II

Sześć dni później jeszcze bardziej utwierdził się w tej opinii. Nikt nie wiedział, skąd

przybywają piraci, mimo że wszyscy powtarzali, że zjawili się w układzie już trzy razy i zostali odpędzeni, chociaż kosztem sporych strat. Na miejsce rannych i poległych siły Konfederacji przyjęły rekrutów z Mais I i Mais II, jedną z fabryk przestawiono na produkcję zbrojeniową, żeby uzupełnić zapas pocisków. Jednak straconych okrętów nie było czym zastąpić.

Z tego samego powodu podjęto tylko jedną próbę dotarcia do Świata Centralnego. Zespół składający się z krążownika w eskorcie dwóch niszczycieli nie wrócił i nikt się nie palił, żeby posyłać tam kolejne jednostki.

–Gdybyśmy nie musieli przestrzegać pewnych zasad, chętnie zarekwirowałabym wasze patrolowce i te lekkie maszyny zwiadowcze – powiedziała Israfel, rozmawiając z Penwythem.

–Nauka pilotażu aksaia musi trochę potrwać – odparł zgodnie z prawdą Erik. – Jednak doceniam szczerść.

Penwyth i Israfel co rusz pokazywali się gdzieś razem, chociaż Erik przysięgał, że łączy ich tylko lekka sympatia.

Cyrk odniósł spory sukces i Garvin, Njangu oraz inni oficerowie dwa razy gościli w kasynie garnizonu. Garvin wziął też ze sobą Dilla, nie tyle ze względu na jego famę siłacza, ile po to, żeby pokazać wszystkim Kekri.

Natychmiast zakochał się w niej szereg różnych szarż płci obojga, co Garvin uznał za bardzo zabawne. Kekri przylgnęła jednak do Bena, jakby poza nim świata nie widziała. Garvin ściągnął też kilka tancerek i innych artystów.

Dowodząca siłami Konfederacji w układzie komandor Israfel zrobiła na nim wielkie wrażenie. Utrzymywała wysoką dyscyplinę i nie pozwalała na jakiegokolwiek domysły, że poza nią nie ma już żadnej innej władzy. Wszystkie rozkazy wydawała zawsze „w imieniu Konfederacji”, a rozmowy z cywilami prowadziła tak, jakby co rusz składała meldunki na Centralny i czekała na decyzje parlamentu.

Garvin zaczął nawet sporządzać notatki na wypadek, gdyby i on kiedyś znalazł się w takiej sytuacji. Jednak po namyśle uznał, że nie ma tyle cywilnej odwagi i zdecydowania co pani komandor i na jej miejscu, uciekłby po prostu gdzie pieprz rośnie.

Zdarzyło się też jednak coś miłego. Montagna, która miała oko na to, co się dzieje między Kekri a Benem, zapukała pewnego wieczoru do kabiny Garvina i spytała, czy nie miałby nic przeciwko jej towarzystwu. Poruszony zaprosił ją i została na noc. Miał nadzieję, że być może dziewczyna zamierza mu wybaczyć.

Podniesieni na duchu pobytem na Mais wystartowali po tygodniu i wykonali

następny skok.

Trafili na raj.

W każdym razie z początku tak to wyglądało.

Netumbo/Netumbo II

Netumbo okazało się przepiękną planetą z niewielkimi górzystymi kontynentami leżącymi głównie w strefie umiarkowanej i w tropikach.

Nie wiedzieli, czy ten świat jest skolonizowany, jednak pierwszy aksai, który wszedł do układu, odebrał szereg transmisji nadawanych na standardowych częstotliwościach.

Przelot rozpoznawczy nie przyniósł powodów do niepokoju, Gruba Berta podeszła więc do lądowania.

Garvina zaczynały bawić dziwne reakcje na ich próby nawiązania łączności. I tutaj zapadła cisza, gdy obwieścił przybycie cyrku. Po jakimś czasie miejscowi zdecydowali się zapytać, co to takiego cyrk. A potem się zaczęło.

Dostali zgodę na lądowanie i jak zwykle siedli na przedmieściach stolicy. Było to raczej niewielkie miasto wzniesione na wzgórzach niewielkiego półwyspu wyrastającego z porośniętego lasami kontynentu.

Miasto było zadbane, nie dostrzegli w nim dzielnic nędzy, domy wyglądały sztywnie, a większe rezydencje zostały tak zaprojektowane, aby zapewnić maksimum prywatności.

Do czasu, gdy Garvin rozkazał otworzyć luki, wokół statku zebrał się spory tłum.

–Na oko mili ludzie – zauważył Sopi, radośnie zacierając ręce. – Zdrowo wyglądają, dobrze ubrani, chyba mają czym płacić.

Midt miał rację – zebrani rzeczywiście robili wrażenie dobrze sytuowanych i zadowolonych z życia. Slizgacze, na których przybyli, wyprodukowano przed dziesięciu – dwudziestu laty, były więc raczej nowe. Nie widziało się wśród nich poobijanych gratów.

Tu i ówdzie stali ludzie w granatowych mundurach, jednak nie było ich wielu.

Garvin kazał rozbić namiot i ekipa wzięła się do pracy.

Do tej pory trupa nabrała już sporo doświadczenia. Przedstawienia przebiegały bez zakłóceń, jeśli czas pozwalał, jedni pomagali drugim.

Mimo to o mało nie doszło do tragedii. Matka zgubiła z oczu syna, trzylatka. Zarządzono wielkie poszukiwania, aż w końcu go znaleziono. Jakimś cudem otworzył

klatkę Muldoona i siedział w niej, gapiąc się na drapieżnika, który nie pozostawał mu dłużny.

Sir Douglas wszedł do klatki i wyniósł berbecia, zanim ktokolwiek zaczął się zastanawiać, co tu zrobić i czy kot zachowa się przyjaźnie, czy też właśnie oblicza, w ilu kęsach połknąć dzieciaka.

Garvin po wszystkim zrobił dla trupy szkolenie z zakresu bezpieczeństwa i higieny pracy, Njangu zaś zarządził, aby dwóch ludzi pilnowało klatek. Obaj podkreślili, że nic podobnego nie ma prawa nigdy, przenigdy się powtórzyć.

Niemniej to było jedyne zmartwienie.

Poniekąd.

Njangu ustalił szybko, dlaczego Netumbo nie figuruje w ich bazie danych. Jeszcze przed rozpadem Konfederacji zostało wybrane na planetę letniskową dla samej góry władzy, która postawiła tu sobie dache. To tłumaczyło nader ekologiczną zabudowę i niewielką populację, która na dodatek zamieszkiwała w sporym rozproszeniu. Poza tym władzy nie zależało specjalnie na rozpowszechnianiu informacji, gdzie można kogo znaleźć podczas wakacji.

Po utracie łączności ze Światem Centralnym zostały tu ponad dwa miliony wczasowiczów wraz z obsługą i chodzącą w granatowych mundurach ochroną. Oraz ich rodzinami.

Niektórym brakowało starych dobrych czasów, ale większość po prostu zaczęła nowe życie. Kobiety przewyższały liczebnie mężczyzn w proporcji sześć do jednego.

–Sielanka – powiedział Garvin. – Za mało ludzi, żeby zniszczyć ten świat, masa forsy i niemal pełna automatyzacja.

–Tak. Istny raj – mruknął Njangu.

–O co chodzi? Przecież gdzieś musi być w końcu dobrze, prawda?

–Może. Ale stawiam każde pieniądze, że my tam nie trafimy.

Dawali przedstawienia przez tydzień. Garvin nie zdradzał w żaden sposób, że chciałby odlecieć, przesiadywał w swoim gabinecie zajęty planowaniem trasy albo zwiedzał pobliskie miasto.

Njangu uznał, że przyjaciel musi chyba prowadzić jakieś śledztwo, o którym nie chce na razie mówić, a ogólnie wydawał mu się jakiś nieswój.

Garvin stał przed Grubą Bertą i słuchał nawoływań ludzi naciągających poluzowane płótno namiotu.

Wieczorny wiatr niósł zwykle zapachy: woń steków z kantyny, kociego moczu z klatek, popcornu, dymu z grilla i tak dalej.

Zamarzyło mu się, aby tak było zawsze, nie tylko w tym krótkim okresie, kiedy oderwał się od armii. Nad głową widział nie znane mu konstelacje. Pomyślał, żeby nadać im nazwy w rodzaju Wielki Namiot, Woltyżerka czy Siłacz, co przypomniało mu, że jest gwiazda, która dostała nazwę na cześć Dilla.

Pierwszą skazę dostrzegł Fleam, który jako węzlarz kierował zespołem od stawiania i zwijania namiotu.

Jadąc alejką małym ślizgaczem, zatrzymał się żeby przepuścić młodą, ale bardzo dobrze ubraną kobietę idącą z bliźniaczkami w wieku około dwunastu lat i dwoma granatowymi ochroniarzami.

Z jakiegoś powodu obejrzał się i zauważył, jak jeden z mundurowych zanurza rękę w szortach dziewczynki i gładzi ją pieśczośliwie po pośladku. Mała wzdrygnęła się, ale nie odsunęła się ani nic nie powiedziała.

Fleam otworzył szeroko usta, ale zdziwił się jeszcze bardziej, gdy matka spojrzała na córkę i widząc, co się dzieje, szybko odwróciła głowę.

Fleam, który miał opinię oprycha, nie był zbyt wrażliwy, ale coś takiego przyprawiało go o mdłości. Zastanowił się, co można by zrobić, uznał, że to nie jego ani cyrku sprawa, ale mimo wszystko nie zawadzi, jeśli wspomni o tym Njangu.

–Wiesz, czasem, gdy trafimy w takie miejsce, mam ochotę rzucić mundur... – powiedział Garvin, patrząc na światła miasta nad oceanem.

–A co byś w ten sposób osiągnął? – spytał Njangu.

Siedzieli na balkonie rezydencji, do której zostali zaproszeni po przedstawieniu. Obaj byli lekko pijani, między nimi stała w połowie pusta butelka świetnej brandy.

–To, co już znamy – odparł Garvin. – Mamy dobry cyrk i moglibyśmy zestarzeć się, bawiąc ludzi i odwiedzając podobne miejsca.

–Ciekawe, co powiedzieliby na to Froude i Diii. Albo Lir. Ma bardzo rozwinięte poczucie obowiązku i pewnie by się jej nie spodobało.

Garvin mruknął coś pod nosem i upił brandy.

–Niemniej pamiętam – powiedział – że zaciągnęliśmy się z twardym postanowieniem, że pobawimy się trochę i pryskamy przy pierwszej okazji, a wojsko i cała Konfederacja mogą nas pocałować. No i co z tego wyszło?

–Ryzykujemy dupy, żeby się dostać na Centralny i udowodnić, jacy to z nas patrioci – odrzekł Njangu.

–No właśnie. Ale cały czas marzą mi się światy w rodzaju tego tutaj... Tylko jak namówić Lir do dezercji?

Darod również ujrzała coś niepokojącego. Wyszła po przedstawieniu przed namiot, aby nieco ochłoniąć, i zwróciła uwagę, że do luksusowej limuzyny wsiadają dwie kobiety z szoferem w granatowym uniformie.

Jedna z kobiet coś do niego powiedziała. Zmarszczył brwi. Druga też się odezwała. Darod nie słyszała co, dotarł do niej tylko gniewny ton.

Szofer uderzył tę drugą otwartą dłonią i wepchnął obie do pojazdu. Zatrzasnął drzwi i chciał już usiąść za sterami, gdy dostrzegł Montagnę. Przeszył ją spojrzeniem.

Darod poczuła, że wzbiera w niej adrenalina, i ruszyła w stronę ochroniarza. Odruchowo przyjęła postawę jak do walki.

Mężczyzna zawahał się, wsiadł do limuzyny i czym prędzej wystartował.

Montagna powiedziała o tym Garwinowi, który również uznał zachowanie szofera za niepokojące i przekazał informację Njangu.

–Jesteśmy zachwyceni, że nas odwiedziliście – powiedział do Njangu mężczyzna, który przedstawił się jako Chauda. Był w średnim wieku, miał ostre rysy i nosił jasnoniebieski mundur, a na epoletach miał jakieś złote symbole. Njangu zorientował się, że to wysoki rangą glina, zanim jeszcze usłyszał, że ma do czynienia z szefem służb porządkowych na Netumbo.

–Dziękuję – odpowiedział, zastanawiając się, dlaczego ciągle czuje się niepewnie w obecności policjantów.

–Szkoda, że nie dajecie się przekonać, aby pozostać tu cały rok – stwierdził Chauda.

–Przez tak długi czas znudzilibyście się nami i przestalibyśmy zarabiać.

–Może tak, może nie. Problem polega na tym, że nieco się tu dusimy. Wnieśliście świeży powiew.

–Kiedyś ludzie mieszkali na jednym i tym samym świecie przez tysiąclecia i jakoś sobie radzili – zauważył Yoshitaro.

–Naprawdę? Czytałem o wojnach, powstaniach i zamieszkach na Ziemi. Jeśli nawet jakoś sobie radzili, to dlatego, że nie wiedzieli jeszcze, że można żyć inaczej.

–Niemniej i tak nie sędzę, żeby nasz dłuższy pobyt coś przyniósł – powiedział Njangu. – A co do tamtej kwestii, nie wydaje mi się, aby podróże międzygwiazdne znacząco zmniejszyły liczbę wojen.

–Cóż, po pierwsze macie wielu utalentowanych artystów, którzy mogliby wyszkolić nasz własny cyrk. Nie za darmo, oczywiście. Poza tym, skoro jesteście doświadczonymi podróżnikami, może moglibyśmy was wynajmować do wypraw na inne światy po nowych wykonawców.

–Ciekawy pomysł. Porozmawiam o tym z gafferem. Gdyby był zainteresowany, do kogo powinien się zwrócić? Paru waszych polityków odwiedziło nasz cyrk, ale z żadnym nie zawarliśmy bliższej znajomości.

–Tym proszę się nie martwić – powiedział beztrosko Chauda. – Sam mogę wszystko zorganizować. To naprawdę żaden problem.

Krótko potem Njangu streścił tę rozmowę Garwinowi.

Również tutaj koty Emtona okazały się przebojem. Obecnie znały o wiele więcej sztuczek, począwszy od toczenia pod sobą piłki, przez chodzenie po linie (w specjalnie uszytych skarpetkach), po cierpliwe noszenie ptaków na grzbietach.

Gdy Garvin spytał Emtona o ten ostatni numer, usłyszał, że kociambry zagryzły tylko trzynaście ptaków, zanim udało im się wytłumaczyć, że to nie przekąska.

Wielkie koty też miały swoich wielbicieli. Przed ich klatkami sterczał zawsze tłumek milczących granatowych.

Sir Douglas poskarżył się Garwinowi, że wcale mu się te typy nie podobają.

–Mają miny zbyt podobne to tego, co widzę na pysku tygrysa, który dostaje świeże mięso – powiedział. – Chociaż nie, obrażam moje zwierzaki. Nawet Muldoon, gdy je, ma w oczach więcej inteligencji niż oni.

Trzeci zauważył coś Alikhan. Leciał na aksaiu wzdłuż wybrzeża, gdy ze dwa kilometry dalej na szczycie urwiska dostrzegł jakieś poruszające się kropeczki.

Z czystej ciekawości wszedł na wyższy pułap i włączył kamery.

Na ekranie zobaczył kilkanaście osób skutych razem zapiętym w pasie łańcuchem. Z przodu i z tyłu szli granatowi z Masterami.

Alikhan skręcił nad morze i zwolnił, żeby nikt go nie dostrzegł ani nie usłyszał.

I oczywiście przekazał nagranie Garwinowi.

–Być może przez te wszystkie lata oszukiwaliśmy się i naprawdę nie ma czegoś takiego jak Coando – powiedział ze smutkiem Sunya Thanon. – Może, jak nasi przodkowie, uwierzyliśmy w legendę i trwamy przy niej uparcie, bo otacza nas tyle krwi i bólu.

–Nie – stwierdził Phraphas Phanon, obejmując Thanona. – Ona na pewno gdzieś tam jest. Nie możemy ustawać w poszukiwaniach.

–Jesteś pewny?

–Całkowicie – odparł Phanon, skrywając wątpliwości.

Njangu podszedł do mężczyzny w kombinezonie, który prowadził małą uliczną zamiatarkę.

–Dobry wieczór, sir – powiedział zamiatacz tępym głosem. – Mogę w czymś pomóc? Zgubił pan drogę?

–Owszem, może pan. Chciałbym zamienić kilka słów gdzieś, gdzie nie zobaczą nas ludzie w granatowych mundurach.

Njangu pokazał mu banknot. Mężczyzna jakby go nie zauważył, Yoshitaro dodał więc drugi, potem trzeci i czwarty.

–Piąty dał mu do myślenia – oznajmił Njangu. – Tak mi się zdawało, że wystarczy pójść z forszą między zwykłych ludzi i znajdzie się ktoś, kto chętnie z tobą pogada. Ci na samym szczycie i na samym dole mają ze sobą wiele wspólnego: jest im tak dobrze, albo tak źle, że mogą sobie pozwolić na szczerłość. Ten gość nie był inny. Wcześniej pracował na uniwerku. Potem zaczęły się tu kłopoty i przez jakiś czas było niespokojnie. Napisałem to wszystko w raporcie, ale pewnie chciałbyś już teraz usłyszeć trochę prawdy o naszym raj. Tak więc po zerwaniu kontaktu z Konfederacją doszło do rozruchów, ludzie całkiem poszaleli i ostatecznie bezpieka przejęła władzę. Ten gość, Chauda, który mi truł, żebyśmy zostali, to chyba najważniejszy z nich. Układ był prosty i nikt nie próbował dyskutować. Sprawy wrócą do takiego stanu, jaki panował przed zniknięciem Konfederacji, i wszyscy będą mogli udawać, że nic się nie stało. W zamian granatowi dostali całą władzę. Reszta robi wszystko, czego zażądają. Dosłownie wszystko. Przypuszczam, że Chauda jest na tyle sprytny, że nie daje swoim ludziom całkowitej swobody. Pozwala im na wiele, ale

nie na wszystko. Ludzie godzą się na to, bo nie mają wyboru. A w każdym razie tak im się obecnie wydaje, bo na pewno ten stan nie będzie trwał wiecznie. Na razie jednak, jeśli ktoś się sprzeciwi, może narazić rodzinę, wylądować na ulicy, jak ten zmiatacz, albo nawet w głębokim lesie jako drwal. A nawet pójść w łańcuchy. Nie wykluczam też, że niektórych wywożą daleko w morze i udzielają im lekcji nurkowania bez akwalungu.

Garvin aż zgarbił się za biurkiem.

–Rany... a wyglądało tak ładnie.

–Pozłota, a pod nią gówno – mruknął rozgoryczony Njangu. – Nikt nie lubi przyznawać otwarcie, w jakim szambie żyje. Stwarza pozory. Tutaj trochę farby, tam dezodorant... – Yoshitaro nie dokończył.

–Zatem najlepsze, co możemy zrobić, to zwinąć namiot zaraz po dzisiejszym przedstawieniu i odlecieć – powiedział Garvin. – Czuję się jak idiota. O wschodzie słońca zostanie tu po nas tylko wydeptana trawa...

–A masz lepszy pomysł? – spytał Njangu. – Przecież nie zmienimy tego świata. Nawet jeśli są tu jacyś malkontenci, nie mamy czasu organizować im rewolucji. Trudno. Odlecimy i miejmy nadzieję, że jeśli Konfederacja kiedyś się odrodzi, nadejdzie czas zapłaty.

Nadprzestrzeń

–Mam coś dziwnego, szefie – powiedział technik do przełożonego.

–Mianowicie?

–Sprawdzałem odsłuchy, aby się upewnić, że nie siejemy żadnymi falami, i tuż przed ostatnim skokiem złapałem krótki sygnał. Przyjrzałem mu się i mam wrażenie, że jego źródłem nie był nasz sprzęt.

–Dziwne.

–Co jeszcze dziwniejsze, przeszukałem wcześniejsze odsłuchy i znowu go znalazłem. Pojawiał się przy każdym skoku, który wykonaliśmy od czasu startu z Cayle IV. Przy wejściu i wyjściu z nadprzestrzeni. Dwie wachty zmarnowałem, żeby znaleźć nadajnik, ale bez rezultatu.

–Nie podoba mi się to – stwierdził oficer. – Chyba lepiej zamelduję o tym wyżej. A ty pilnuj tej częstotliwości i spróbuj nagrać następny taki sygnał.

–Rozmyślałam – powiedziała Maev Stiofan.

–Tak? – spytał ostrożnie Njangu.

–O tym, jak będzie, gdy wrócimy.

–Naprawdę? – spytał jeszcze bardziej czujny Njangu.

–I o tych pokręconych światach, na których byliśmy. Nie mówiąc o Cumbre. I wiesz?

–Wyszło ci, że ludzie są pokręcenii?

–Jasne... ale nie wiem dlaczego. No bo tak. Był jakiś rząd, który chyba się sprawdzał. W każdym razie tak mówią.

–Bo przecież nikt nigdy nie kłamie...

–Przestań – powiedziała Maev. – Kłamią przede wszystkim wtedy, gdy chcą wyboru na następną kadencję.

–To prawda – zgodził się Njangu.

–A potem pojawiła się Konfederacja i kto żywa do niej przystąpił i tak się jakoś toczyło przez tysiąc lat.

–O ile wiem, nawet sporo więcej.

–Ostatecznie jednak Konfederacja zniknęła i wszyscy dostali nagle amoku, jakby zapomnieli, że można mieć własny rząd. No, może poza Grimaldim.

–Rozumiem – mruknął Njangu. – Ale gdzie puenta?

–Gdy wrócimy... jeśli wrócimy z tych poszukiwań Centralnego, znowu weźmiemy broń do ręki i zaczniemy składać to wszystko do kupy, tak?

–Takie są nasze wzniosłe intencje.

–Może wtedy ktoś powinien pomyśleć, jaki rodzaj rządów byłby najlepszy? – spytała Maev.

–To nie nasza sprawa – uciął Njangu. – Żołnierze nie sprawdzają się w tej roli. Wszyscy to wiedzą.

–Ale ktoś powinien jednak myśleć o przyszłości – upierała się Stiofan. – Może gdyby przestudiował historię tego wszystkiego, co już było, wpadłby na jakiś pomysł.

–Myślisz o sobie?

–A dlaczego nie ja?

Njangu już chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Dotąd żadne z nich nie wybiegało myślą zbyt daleko i nie próbowało urządzić drugiej stronie przyszłości.

Mohi/Mohi II

Garvin spojrział ze złością na odległy o niecałe pięć kilometrów pancernik. Próbował ignorować wyświetlane przez komputer dane o uzbrojeniu i wyposażeniu tej jednostki, która osiem lat temu była najnowszym osiągnięciem inżynierii militarnej Konfederacji. Tak w każdym razie twierdził ich Jane's.

Pancernik nie chciał jakoś zmaleć, tak jak dwie jego bliźniacze jednostki, który zajęły miejsca po obu burtach Berty. Chociaż ich statek należał do największych, w towarzystwie takich okrętów wydawał się niepozorny. Każdy z opływowych pancerników był ponad dwa razy dłuższy i szerszy niż Berła.

Znaleźli się w pułapce między nimi, ledwie cztery skoki od Centralnego. Weszli do układu, Alikhan zameldował, że w zasięgu detektorów nie ma jakichkolwiek jednostek i że cztery z dziesięciu planet są zamieszkałe. Jednak ledwie Berta wyszła z nadprzestrzeni, wyskoczyły stamtąd również te pancerniki z licznymi jednostkami eskorty. Albo zaczęli działać zbyt rutynowo, albo wielkie okręty miały lepsze czujniki.

–Mam transmisję na częstotliwości standardowej – zameldował łącznościowiec.

–Daj na głośniki – polecił Liskeard.

–Nie zidentyfikowany statek, mówi dowódca floty Protektoratu Konfederacji, Kin. Odpowiedzcie natychmiast albo zostaniecie zniszczeni.

–Mówi statek cyrkowy Gruba Berta. Kierujemy się na Desman II w celu prowadzenia działalności rozrywkowej.

–Mówi Kin. Poprawcie wasze zapiski. Dawny układ Desman nazywa się teraz Mohi. Zostaniecie doprowadzeni pod eskortą do lądowania, potem przeszukamy wasz statek i zdecydujemy, co z wami zrobić. Nie stawiajcie oporu albo...

–...albo zostaniecie zniszczeni – dokończył pod nosem Njangu. – Szefie, chyba znaleźliśmy tych piratów.

–Protektorat Konfederacji, tak? – parsknął Garvin. – Teraz naprawdę żałuję, że nie mamy na pokładzie dyplomaty.

Liskeard zażądał podejścia po łuku orbity. Oficjalnie dla oszczędności paliwa, w rzeczywistości, żeby przyjrzeć się Mohi II.

–Odmawiamy – usłyszał w odpowiedzi. – Podejście bezpośrednie od razu nad port

kosmiczny. Albo zostaniecie zniszczeni.

–Są dość konsekwentni, prawda? – zauważył Njangu.

–Ale nie traktują nas poważnie – odparł Garvin. – Zostawili z nami tylko jeden pancernik i pół tuzina eskorty. Kto może, niech siada do obserwacji powierzchni! – zawołał do wachtowego. – Chcę wiedzieć, w jak głębokie szambo wpadliśmy.

Nowiny nie były pomyślne. Mohi II, dawniej Desman II, okazała się planetą garnizonową. Gdziekolwiek spojrzeć, ciągnęły się wielkie lądowiska, w większości nowe. Poza tym widać było liczne koszary i fabryki.

–Przypuszczam, że obawiają się kłopotów – mruknął Diii.

–Obawiają się czy chcą je sprawić innym? – spytała Boursier.

Diii wskazał na wiszący ciągle nad nimi pancernik, co starczyło za całą odpowiedź.

Ledwie wylądowali, otoczyły ich ślizgacze z działkami w otwartych wieżyczkach, za nimi zajęła stanowiska piechota.

–Ależ my jesteśmy niebezpieczni – powiedział Ben Diii.

–Teraz musimy ich przekonać, że się mylą i że jesteśmy równie groźni jak ślepe kocięta – rzuciła Lir z krzywym uśmiechem. – A gdy już nam uwierzą, to ich pozabijamy.

Gruba Berta została dokładnie przeszukana przez pięcioosobowe zespoły, które dały sobie na to aż półtora dnia. Tak jak bywało wcześniej, Garvin wraz z oficerami „pomagali” ile sił, aby intruzi nie znaleźli niczego trefnego i przymknęli oko na uzbrojenie. Żołnierze Protektoratu byli realistami i rozumieli, że każdy statek wypuszczający się poza własny układ potrzebuje w tych czasach jakiejś broni, co bardzo ułatwiło sprawę.

Oprowadzona przez Garvina kobieta oficer przystanęła i spojrzała z obrzydzeniem na Alikhana, który rozłożył się na koi, pod którą mieścił się podręczny magazyn broni. Odruchowo dotknęła swojego blastera.

–Czy on nie jest niebezpieczny? Nie powinien przebywać w klatce?

–Nie stwarza żadnego zagrożenia – odparł Garvin. – Jeśli, naturalnie, zachować trochę ostrożności.

–Gdyby był mój, trzymałabym go w zamknięciu – powiedziała pani oficer.

Garvin uśmiechnął się i ruszył dalej „pomagać”.

Żołnierz rozejrzał się po mostku.

–Wszystko działa.

–Oczywiście – odparł spokojnie Froude. – Gdyby nie działało, nie stałoby tutaj. – Nagle zrozumiał, o co może chodzić pytającemu. – A co wy robicie, gdy się coś zepsuje na jednym z waszych okrętów?

–Oczywiście wymieniamy tę część na nową z magazynów zbudowanych w czasach Konfederacji.

–A jeśli nie macie tej części?

–To włączamy systemy rezerwowe i modlimy się, żeby magazynierzy dokopali się do czegoś, czym można ją zastąpić.

–Nie naprawiacie niczego sami?

Żołnierz zacisnął usta, jakby doszedł do wniosku, że powiedział już za wiele, i poszedł dalej.

Muldoon leżał spokojnie w swojej klatce i głośno mruczał.

Zespół przeszukujący tylko zerknął na wielkiego kota i przyspieszył kroku.

Muldoon popatrzył za nimi. Wciąż mrużąc, zaczął rytmicznie ugniatać matę, która służyła za wyściółkę klatki.

–Stwierdzamy, że na waszym statku nie ma zabronionych materiałów ani kontrabandy – powiedział młody oficer. – Pozostańcie na pokładzie, aż otrzymacie dalsze instrukcje.

Pół dnia później przyszedł komunikat: „Kapitan statku Gruba Berta oraz wyżsi oficerowie i kierownictwo tak zwanego cyrku mają stawić się następnego dnia przed kurilem. Podstawimy środki transportu”.

Garvin starannie wybrał członków grupy: on i Njangu, bo jak by inaczej, dalej Alikhan, który nawet w oporządzeniu bojowym nie powinien zostać rozpoznany jako żołnierz, doktor Froude w stroju kłowna, sir Douglas z całkiem spokojnym oswojonym gepardem, Monique Lir i Ben z uwagi na jego mięśnie, chociaż Garvin miał nadzieję, że nie będzie musiał ich używać.

Kekri miała pretensje do Bena, że nie została wybrana.

–Myślałam, że Garvin weźmie chociaż jedną dziewczynę z zespołu, żeby zrobić dobre wrażenie na kurilu. A ja byłabym w tym najlepsza.

–Pewnie dlatego cię nie wybrał – powiedział Diii. – Co by było, gdyby ten kurii zapalał do ciebie uczuciem?

–No wiem... Ale co z Lir? Ona też jest bardzo ładna.

Ben zastanowił się, jak wyjaśnić, że Monique może być ładna, ale przede wszystkim jest śmiertelnie groźna, ale uznał, że lepiej poniechać tematu.

–Nie wiem. Pewnie dlatego nie ja jestem tu gafferem.

Poprowadzono ich między rzędami żołnierzy zastygłych w pozycji „prezentuj broń”. Za nimi stały wojskowe ślizgacze, którymi przylecieli.

–To chyba mówi wszystko o tym całym Protektoracie – szepnął do Njangu rozglądający się uważnie Froude.

–Może. Ale uśmiechaj się.

Wielki kamienny budynek z kolumnami w stylu antycznej świątyni wedle na wpół zatartego napisu był kiedyś „Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Eisbergu”.

–Ciekawe, co zrobili z obrazami? – mruknął Ben.

–Zapewne tarcze na strzelnicy – odpowiedziała Monique.

Oficer prowadzący ich przez oblicze kurila obejrzał się i zmarszczył czoło. Nie podobał mu się ten brak szacunku dla sił zbrojnych Protektoratu.

Njangu pomyślał, że chociaż kurii Jagasti wygląda tak, jak na dyktatora przystało. Szczególnie w zestawieniu z protektorem Lariksa i Kury, niejakim Alena Redruthem, człowiekiem o prezencji gryziopórka.

Jagasti był wysoki, miał szramy na szyi i złamany nos. Nosił długie i proste siwe włosy i spoglądał przenikliwie niczym orzeł, którego Njangu widział kiedyś na holo. Możliwe zresztą, że było to skutkiem jakiejś poważnej wady wzroku.

Jego tron stał w największej sali byłego muzeum. Został zrobiony z polerowanej stali, przy czym celowo nie zeszlifowano spawów. Siedzenie obito czarną skórą.

Świta Jagastiego nosiła broń z rozmaitych epok, od współczesnych blasterów po szable i noże.

Protektor przez chwilę mierzył wzrokiem przybyłych. W końcu, oszczędziwszy sobie powitania, zapytał, w jakim celu się zjawili. Odpowiedź wyraźnie go zdziwiła.

–Rozrywka? Nie jestem pewien, czy rozumiem, o czym mowa. Chyba że chodzi o

zabijanie wroga, widok jego cierpienia, słuchanie trzasku płomieni trawiących jego miasta oraz zawodzenia kobiet i jęków jego żołnierzy.

Garvin skinął głową sir Douglasowi, który rzucił piłkę do swego geparda. Froude zaraz zaczął przeszkadzać zwierzakowi, próbując odebrać mu zabawkę. Całkiem udanie naśladował przy tym jego ruchy.

Jagasti patrzył na to z kamienną twarzą.

Garvin skinął na Bena, która ustawił się stabilnie i splótłszy dłonie, opuścił ramiona. Monique wybiła się z nich, zrobiła potrójne salto i wylądowała na równych nogach.

–A... – mruknął dyktator. – Chodzi o sztuczki.

–Sztuczki, jakich ta galaktyka jeszcze nie widziała – powiedział Garvin. – Z prawdziwymi ziemskimi końmi, słoniami, strasznymi bestiami, przedziwnymi obcymi, kobietami i mężczyznami szybującymi wysoko nad głowami publiczności, grami losowymi i zręcznościowymi, kłownami, którzy...

–Dość! – warknął Jagasti. – Nie zamierzam kupić waszego cyrku.

Njangu pomyślał, że dyktator ma wolny przewód myślowy albo jakieś problemy ze słuchem.

Z tłumku dworzan wyszedł nagle mężczyzna z bujną brodą.

–Zastanawiam się, czy nie warto by wysłać tych ludzi do naszych jednostek, żeby podnieśli morale – powiedział.

–Na ich morale najlepiej podziała widok mego zdradzieckiego brata leżącego na marach – odrzekł Jagasti, chociaż niezbyt pewnym tonem.

–Mam lepszy pomysł – odezwał się kolejny wojownik, mężczyzna koło czterdziestki, nigdyś chyba mocno zbudowany, teraz raczej otyły. – Mężczyzn pošlemy do pracy, zwierzęta damy do klatek albo do rzeźni, a kobiety... – Zamilkł i spojrzał na Lir.

–Jest to jakieś rozwiązanie – przyznał Jagasti.

Garvin pohamował złość.

–Myślę, że każdy, kto występuje w imieniu Konfederacji – wtrącił – przyjmie życzliwie wędrowców, szczególnie takich, którym też zależy na powrocie ładu i porządku.

–Konfederacja powróci – powiedział Jagasti. – Tak obiecał mój zgasły ojciec.

Co ciekawe, na wzmiankę o ojcu dyktatora wszyscy skłonili głowy. Garvin pospiesznie zrobił to samo, a za nim reszta jego grupy. Tylko Alikhan bez mrugnięcia okiem nadal wpatrywał się w dyktatora.

–Powróci – powtórzył Jagasti. – Na moich warunkach. Mój brat i ja ślubowaliśmy to samo co ojciec i gdyby nie pewne nieprzewidziane... niedawne zajścia, podbiliśmy już Świat Centralny.

Garvin rozejrzał się ciekaw, czy ktokolwiek zareaguje na wzmiankę o bracie, na przykład pusząc się z dumy. Po chwili zauważył, że jakiś mężczyzna, może dziesięć lat młodszy niż Jagasti, zacisnął wargi i pospiesznie skinął głową. Nieustannie wpatrywał się w dyktatora, ale trudno było wyczytać mu coś z oczu.

Njangu też tego nie przeoczył i odnotował to w pamięci.

–To oczywiste, że do tego dojdzie – powiedział otyły mężczyzna. – Tak jak to, że twój zdradziecki brat zostanie niebawem pokonany. Jednak zastanówmy się, co zrobić z tymi obcymi. Mnie, na przykład, interesuje ta kobieta. Bez wątplenia z takimi muskułami byłaby świetnym towarzystwem na wieczór i nie wątpię, że w tym ich cyrku są jeszcze inne w jej typie... – Uśmiechnął się obleśnie i ruszył ku Monique Lir.

Garvin zagroził mu drogę i nagle w dłoni mężczyzny pojawił się blaster.

–Odsuń się – rozkazał. Garvin spojrzał w stronę tronu.

–Pozwoli pan na takie traktowanie gości, Jagasti?

–Jeszcze nie zdecydowałem, czy jesteście moimi gośćmi, czy może raczej więźniami. Sugeruję jednak posłuchać Toby. Jest dość porywczy i zabił więcej ludzi, niż powinien.

Garvin zawahał się, ale odsunął się na bok.

–Wyraży współczucia, sir – mruknął pod nosem. Tobą uśmiechnął się, zrobił kilka kroków i sięgnął wolną ręką do piersi Monique.

Lir uniosła nogę i kopnęła go w nadgarstek ręki z bronią. Blaster poleciał na podłogę. Zanim Tobą zdążył zareagować, Lir obróciła się i drugą nogą kopnęła go w twarz. Mężczyzna zaskrzeczał z bólu i upadł.

Gdy usiadł, Lir kopnęła go jeszcze raz. Uniósł rękę do ust, zobaczył krew, splunął wybitymi zębami i zemdłał.

Alikhan sięgnął łapą do granatu ze zjadliwymi owadami. Gotów był w każdej chwili wyrwać zawleczkę i rzucić go w pierś Jagastiego, który umarłby błyskawicznie, ale

bynajmniej nie bezboleśnie. Diii przesunął się nieco, żeby mieć miejsce do walki.

Njangu uznał, że raczej nie uda się uciec, więc trzeba zginąć z honorem.

Ku zdumieniu przybyszów, Jagasti zaniósł się śmiechem.

–Dobre! To było bardzo dobre! Tobą zawsze myślał, że może dostać wszystko, czego chce. Teraz nazwiemy go Szczerbol. Witajcie, obcy, czujcie się moimi gośćmi. Jest w was coś więcej niż to, co widać na pierwszy rzut oka. Chyba przynajmniej niektórzy z was są wojownikami, a nie tylko sługami, jakich wielu już pokonaliśmy. Być może wasze przedstawienia rzeczywiście podbudują morale moich wojsk.

–Szefie?

–Jakiś problem, Ben? – spytał Garvin.

–Kekri i ja... a właściwie sama Kekri... musi z tobą porozmawiać. Na osobności.

–Jasne.

–To chyba długo nie potrwa.

–Wejdźcie – powiedział Garvin, zapraszając oboje do gabinetu. Zauważył, że Kekri przyniosła małą skrzynkę. – Zatem o co chodzi? – spytał, zamknąwszy drzwi.

–Ja... ja jestem szpiegiem! – powiedziała Kekri i zalała się łzami.

–Niech mnie – mruknął Njangu. – Pełna spowiedź. Była agentką...

–...dyrektora Fena Bertla z Tiborgu – dokończył Garvin. – Tak jak myślałeś.

–Zamierzałem zająć się nią, zanim... ile jeszcze czasu zostało do chwili, gdy ta machina piekielna podrzucona przez Lir i Montagnę zrobi tam porządek?

–Sam powinieneś to pamiętać. Ale sprawdziłem. Około dwóch standardowych miesięcy, czyli wedle tutejszej miary dwa miesiące i tydzień.

–Powiedziała nam wszystko, co wiedziała?

–Jeszcze mówi. Sądzę jednak, że niczego nie zamierza ukrywać.

–Czego szukała?

–Bertl nie miał dla niej szczegółowych poleceń. Kazał tylko meldować o wszystkim, co uzna za ciekawe, szczególnie o tym, skąd naprawdę jesteśmy i co naprawdę zamierzamy. Chyba nie całkiem jej ufał. I jeszcze jedno. Miała przekazać wszystkie informacje, gdy odbierze sygnał, że człowiek Bertla jest na nasłuchu. Obiecał jej ponadto, że będą o niej pamiętać i ją stąd zabiorą. Nie wiem, czy mówił prawdę, jednak ona mu uwierzyła. Ale nie traktuję tego poważnie, bo nie wyobrażam sobie, w jaki sposób Bertl mógłby nas śledzić.

–Cholera – mruknął Njangu. – Wszystko się zazębia. Ale teraz już się nie przekonamy, jak miało być. Ben aż za dobrze zrobił swoje i nasza agentka nie będzie miała ochoty wracać do domu.

–Właśnie, jeszcze jedno – powiedział Garvin. – Mówi, że jest po uszy zakochana i ma nadzieję, że potraktujemy całą tę sprawę jak żart. Chyba rzeczywiście byłaby bardzo rozczarowana, gdybyśmy chcieli wyciągnąć wobec niej jakieś konsekwencje.

–Tak?

–Ben chyba też. Nigdy jeszcze nie widziałem go w takim stanie.

–I ja – zgodził się Garvin. – Może więc lepiej wyrzucić akta Kekri do kosza? Również ze względu na mnie i pewną osobę.

–No i ze względu na Bena. Ale tę jej radiostację zatrzymamy. Może nam się jeszcze przydać – dodał Njangu i pokręcił głową. – Cholera, niby wszystko poszło dobrze, a dalej nic nie wiemy.

–Ale wracając do Tiborgu... Czy aby nie przesadziliśmy?

Njangu zastanowił się.

–Moim zdaniem nie. Politycy to najgorszy rodzaj szumowin. Żeby dopiąć swego, rozdepczą każdego, kto stanie im na drodze. Dobrze będzie ich zobaczyć w proszku.

Garvin chciał się odezwać, ale Njangu uniósł dłoń.

–To moje prywatne zdanie – powiedział. – Jednak teraz, gdy jesteśmy już daleko i miałem czas nieco ochłonać... Może... Z jednej strony ludzie, którzy nie wahają się zabijać, nie powinni być dopuszczani do polityki. Niemniej... Mieszkańcy Tiborgu sami wpakowali się w to bagno i sami powinni się z niego wydostać. Nie możemy wciąż wyciągać innych z kłopotów.

–A czy całe te nasze poszukiwania Konfederacji nie są czymś takim?

–Do cholery, Garvin, nie mieszaj mi w głowie. I tak mam w niej mętlik. A co do twojego pytania... Gdybym mógł się cofnąć w czasie, nie sądzę, abym postąpił tak samo. W każdym razie nie zachęcałbym cię do tego.

–Chcesz, żebyśmy po uwolnieniu się od tych idiotów wrócili na Deltę i zdemontowali ten ładunek?

–Sam w sobie byłby to niezły numer – odparł Njangu. – Ale nie. Tę bandę trzeba lekko przetrzebić. Nie mówiąc o tym, że gdybyśmy znowu się tam zjawili, zapewne nie uszlibyśmy z życiem. Tak więc lepiej o tym zapomnieć. Tutaj mamy dość problemów, a oni już nas nie powinni niepokoić, szczególnie teraz, gdy Kekri przeszła na naszą stronę.

–Dziękuję, moje panie, że zechciałyście poświęcić mi parę chwil – powiedział Njangu. – Czy wszystkie macie drinki albo inhalatory?

Zwracał się do dziesięciu girls, które wybrał starannie, kierując się ich konduita. Zależało mu na tych, które lekko się prowadziły.

–Być może zauważyłyście już, że ludzie, wśród których się znaleźliśmy, nieco różnią się od tych, których spotykaliśmy dotąd. Są jakby mniej skomplikowani...

–To prostytutki! – powiedziała jedna z dziewczyn. – Gdy na ostatnim przedstawieniu odwróciłam się tyłem do takich dwóch, próbowali dla draki zerwać ze mnie koszulę! Dobrze, że tańczymy na statku, a nie pod namiotem.

–Kiedyś mówili na takich „barbarzyńcy”! – dodała inna.

Njangu podrapał się po brodzie i poczekał, aż kobiety ucichną.

–Mimo to chcielibyśmy zostać jeszcze jakiś czas w tym układzie, a potem ruszyć już prosto na Centralny – powiedział. – Jagastiemu jednak nie podoba się ten pomysł.

–Dlaczego? – spytała jedna z kobiet.

–Chyba ma własne plany wobec pozostałości Konfederacji.

–I myślisz, że my moglibyśmy im zagrozić? Njangu uniósł ręce.

–Na to wygląda.

–Dureń! – warknęła kolejna dziewczyna.

–Całkiem możliwe – zgodził się Njangu. – I stąd moja propozycja. Szukam ochotniczek, które mimo wszystko gotowe byłyby zaprzyjaźnić się z tubylcami. Mimo wszystko.

–Z oficerami?

–Obawiam się, że byle ciura nie miałby nic ciekawego do powiedzenia.

Niejaka Delot Eibar, na którą Njangu zwrócił uwagę nieco wcześniej niż na pozostałe, spojrzała na niego sceptycznie.

–Chodzi o pogaduchy do poduchy?

–Niekoniecznie – odparł Njangu, czując, że stąpa po kruchym lodzie, jak zawsze, gdy w grę wchodzi sprawy łózkowe. – Wystarczy, jeśli w ogóle będą chcieli rozmawiać.

–Ale tego nie wykluczacie?

Njangu nie odpowiedział.

–I mamy wam mówić, gdybyśmy usłyszały coś ciekawego?

Njangu uśmiechnął się blado.

–Jest pani bardzo domyślna – powiedział.

–Może. Ale gdybym przystała na tę propozycję, to wybór musiałby należeć do mnie. Nie chcę być zmuszana do kontaktów z jakimś capem, który od roku się nie kąpał.

–Zgoda.

–A teraz, skoro wiemy już, o co chodzi, czy mogę spytać, ile za to dostaniemy?

–Każda, która się zgłosi, otrzyma podwójną stawkę przewidzianą w kontrakcie.

Dziewczyny zaszemrały. Njangu wstał.

–Porozmawiajcie o tym. Obiecuję, że gdyby cokolwiek się działo, otrzymacie pomoc. Damy wam mikronadajniki i zapewnimy obstawę, która na pierwszy sygnał uwolni was od kłopotów.

–Obstawa – mruknęła Eibar. – Taka w stylu Bena Dilla?

–Przykro mi, ale Ben jest tylko naszym siłaczem.

–Jasne... – rzuciła sceptycznie Eibar. – Ale mniejsza z tym, bo Kekri nie rozstanie się z kluczykami od jego pasa cnoty. W każdym razie świetnie rozumiem, na czym wam zależy.

Njangu spojrzał na Eibar.

–Trochę mnie to przeraża – stwierdził.

Monique Lir zakołysała się, spojrzała uwodzicielsko i skinęła na smutnolicego Froudego, który zerknął na nią ze swojej grzędę i omal nie spadł.

Lir znów na niego pokiwała i tym razem Froude zauważył tyczkę pomagającą utrzymać równowagę na linie. Mimo że z obu jej końców uczepliły się karły, Froude

wziął rekwizyt, jakby wcale ich nie zauważył, wszedł na linę i pomaszerował do Monique.

Raz noga mu się omsknęła i omal nie spadł. Mali ludzie zakołysali się razem z nim, publiczność zarechotała.

Monique, która stała na swoim kawałku liny równie pewnie jak na promenadzie, spojrzała z góry na upakowane sektory. Mieli nadkomplet, zajęte były nawet dostawki i przejścia. Tak było już od siedmiu przedstawień, ale Lir wcale nie była z tego zadowolona.

Wszyscy widzowie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, nosili mundury. Nie było dzieci ani osób starszych.

Froude stracił równowagę, lecz jakimś cudem nie spadł, tylko zrobił pełen obrót i pomagając sobie tyczką z karłami, znowu stanął prosto. Rozległy się grzmiące oklaski. Froude wyglądał na lekko wstrząśniętego. Choć ubezpieczony przez ludzi z antygravami i czuwającego na górze ra'felana, spociał się ze strachu. Ten numer wykonywał dopiero trzeci raz, chociaż wcześniej ćwiczył go bez końca tuż nad pokładem.

Lir zastanawiała się, czy uda im się uwolnić od tych drani i dotrzeć wreszcie do Centralnego. Miała coraz większą ochotę wskoczyć w mundur, skrzyknąć ludzi i porządnie dołożyć tym troglodytom siedzącym na widowni.

Njangu, Dal et Eibar i Bayanti, młodszy brat Jagastiego, patrzyli na rozpościerający się w dole cyrk. Ku zadowoleniu Yoshitara Bayanti co chwila zerkał na dziewczynę. Zwykle wtedy, gdy mu się zdawało, że Njangu na niego nie patrzy.

–Naprawdę tak żyjecie? – spytał. – Zawsze w drodze?

–Takie życie wybraliśmy – powiedział Njangu.

–Lubimy... przygody – dodała dwuznacznie Dalet.

–To nie są bezpieczne czasy dla wędrowców – zauważył młodzieniec.

–I dlatego staramy się żyć dobrze ze wszystkimi – z uśmiechem powiedziała Dalet.

Njangu pomyślał, że czas zostawić ich samych. Dotknął jednego z sensorów przy komunikatorze i zaraz rozległ się głośny brzęczyk wezwania na mostek. Przeprosił Bayantiego, polecił Dalet, żeby oprowadziła gościa po cyrku, i zniknął.

Eibar zaś wyjaśniła, że nic jej nie łączy z Njangu i że tak naprawdę nie ma chłopaka, ale bardzo chciałaby poznać kogoś, kto by jej pokazał tę fascynującą planetę, na

której wylądowali.

Njangu zaś powiedział sobie, że musi poprawić jedną z rubryk w kontrakcie Dalet.

–Myślę, że kiedyś byłeś żołnierzem – powiedział Phraphas Phanon do Alikhana.

Musth zastanowił się i uznał, że nie zaszkodzi, jeśli powie prawdę.

–Owszem.

–Chcielibyśmy, żebyś nas czegoś nauczył. Oczywiście zapłacimy – oznajmił Phanon, a Thanon gorliwie pokiwał głową.

–Wystarczy, jeśli poprosicie. Chętnie się rozerwę. Jestem już znudzony widokiem tych krótko przystrzyżonych idiotów, którzy uważają mnie za potwora.

–Chcemy, żebyś nauczył nas posługiwać się bronią. Alikhan aż pokręcił głową ze zdumienia i uniósł łapy.

–A to dlaczego? – spytał.

–Mamy ciężkie czasy – wyjaśnił Phanon – i boimy się o naszych wielkich przyjaciół.

–Rozumiem – rzekł Alikhan. – Ale dlaczego przyszliście z tym właśnie do mnie?

–Bo ty najbardziej ze wszystkich wyglądasz nam na byłego żołnierza – powiedział Thanon. – Chociaż przypuszczamy, że pan Yoshitaro i pan Diii też mają wojskową przeszłość.

–Nie wiem. Wydaje mi się, że Diii jest za gruby jak na żołnierza – stwierdził Alikhan, dumny, że wymyślił żart w ludzkim stylu. Już nie mógł się doczekać, aby powtórzyć go Benowi. – Tylko że – podjął – wam chyba chodzi o ludzką broń, a nie o moją. Niestety, możemy mieć z tym kłopoty. Miejscowym chyba by się nie spodobało, gdybyśmy wyszli ze statku z blasterami i zaczęli strzelać po okolicy.

–Pomyśleliśmy o tym. Może na początek nauczyłybyś nas ładować, celować i tak dalej, a strzelanie poćwiczylibyśmy później, w dogodniejszych warunkach?

–Racja – odparł Alikhan po zastanowieniu. – Tak będzie lepiej. A... czy mogę poprosić was o coś w zamian?

–Cokolwiek mamy, należy do ciebie.

–Chciałbym, żebyście poznali mnie z którymś z waszych słoni. Jeśli nie będzie się mnie bał, chętnie bym się na nim przejechał.

Muldoon zeskokczył z podium dla słonia tuż obok czekającego lwa, który ryknął rozdzierająco. Lampart podwinął ogon, ale lew pacnął go łapą, aż poleciał na tygrysa, a ten pchnął intruza na kolejnego kota, omal nie potrącając przy tym sir Douglasa, który strzelił ostrzegawczo z bata i pogroził całej kociarni palcem.

Publika przez chwilę siedziała cicho, pełna podziwu, po czym zagrzmiały oklaski.

Muldoon ziewnął zadowolony i oblizał łapę.

–Bardzo dobrze – powiedział Garvin. – Lubię, jak ludzie czerpią nawzajem ze swoich numerów.

–To znaczy podkradają to i owo? – spytał z uśmiechem sir Douglas.

–Ja tego nie powiedziałem. Gratulacje. To naprawdę wyglądało groźnie.

–Gdy ja jestem obok, nikomu nic nie grozi – zapewnił spokojnie treser.

Garvin uśmiechnął się i wrócił na opuszczoną przez koty główną arenę.

–Nie powiem gafferowi, że skrzyżowałeś palce, gdy mu mówiłeś, że nic nikomu nie grozi – szepnęła Darod Montagna.

–Dziękuję – powiedział sir Douglas.

–Maev, mogłabyś zająć się drzwiami? – poprosił Njangu.

Dziewczyna pokiwała głową i ze sterczącym z kieszeni pistoletem wyszła z małej salki konferencyjnej w głębi modułu dowodzenia Grubej Berty.

Siedzieli w niej żołnierze Legionu oraz Froude i Ristori.

–Zamierzamy przedstawić wam pokrótce historię Protektoratu – powiedział Garvin – dzięki czemu może łatwiej wpadniemy na jakiś pomysł, co robić dalej. Ponieważ spośród nas wszystkich doktor Froude chyba najlepiej potrafi kojarzyć różnorodne fakty, poprosiłem go, aby to on powiedział nam, co wywnioskował z materiałów zdobytych i wyszperanych przez naszych ludzi. Doktorze?

Froude rozparł się w fotelu i zaczął mówić.

Około dwudziestu standardowych lat wcześniej Konfederacja zaczęła zatrudniać całe ludy, głównie takie, w których panowała kultura wojowników, do zadań obronnych. Tworzyła z nich zwarte jednostki zastępujące tradycyjne formacje w rodzaju grup uderzeniowych marynarki czy Legionu.

Nikt ze słuchaczy nigdy wcześniej o tym nie słyszał, nikt też nie rozumiał, jak można

było wprowadzić takie prymitywne i wręcz niebezpieczne praktyki.

–Szkoda, że nie ma z nami kogoś starszego stażem – powiedział Garvin. – Może caud Williams albo Rao wiedzą coś o takich formacjach i o tym, dlaczego po nie sięgnięto.

–Mogę się tylko domyślać, że chodziło o pieniądze – wtrącił Yoshitaro. – Ci nowi brali sobie część żołąd w łupach wojennych.

Rozległy się śmiechy.

–To wcale nie jest śmieszne – powiedział Njangu i śmiechy ucichły.

–Monique – odezwał się Garvin – ty jesteś z nas najstarsza stażem. Słyszałaś jakiegokolwiek pogłoski na ten temat?

–Nie. Chociaż... Zanim jeszcze się zaciągnęłam i pracowałam w balecie, jedna dziewczyna wspomniała kiedyś, że bardzo się cieszy, że miejscowe wojsko to regularna armia, bo ma już dość tych małych na kontraktach. Nie przypominam sobie, żeby mówiła coś jeszcze.

–Ciekawe – powiedział Froude i podjął wykład.

Ci, którzy później utworzyli Protektorat, byli przenoszani coraz bliżej Świata Centralnego. Zapewne miało to związek z pogłębiającym się kryzysem.

Ojciec trzech braci, którzy obecnie prowadzili ten interes, któregoś dnia doszedł do wniosku, że dość urósł w siłę, aby opanować Świat Centralny i stamtąd dyktować swoje warunki.

Jego zdaniem Konfederacja powinna rozwiązać parlament i „wybrać” silnego przywódcę, który przywróci ład i porządek, nie pozwalając żadnemu układowi ogłosić niepodległości i niszcząc światy wrogię członkom Konfederacji.

Był jednak dość ostrożny, bo najpierw uderzył w całkiem innym kierunku i przejął kontrolę nad układami w rodzaju Sabyn albo ustanowił marionetkowe rządy, jak w Mais. W końcu opanował co najmniej dwadzieścia układów.

Protektorat kierował się zasadą, aby nie dopuszczać do zbytniego osłabienia wykorzystywanych światów czy takiego rozpalenia nastrojów, które groziłyby otwartą rewoltą. Niemniej czasem dochodziło do krwawo tłumionych buntów. Istniały dowody na to, że przynajmniej na dwie zrewoltowane planety zrzucono ładunki nuklearne.

Nie ustalono, kiedy ojciec Jagastiego zamierzał uderzyć na Centralny, chociaż udało

się dotrzeć do wzmianek o tym, że wysłano tam jednostki rozpoznawcze, które nie powróciły. Zostały zapewne zniszczone przez jeszcze sprawne okręty Konfederacji albo automatyczne systemy obronne otaczające Capellę.

–Wszystko jednak szło jak najlepiej, gdy stary nagle umarł – powiedział Froude. – Przejadł się węgorzami czy coś w tym rodzaju, nie udało mi się tego dokładnie ustalić, bo wszystkie źródła mówią praktycznie tylko o wielkim jublu z okazji pogrzebu. Nie sądzę jednak, aby chodziło tu o przyspieszenie sukcesji, chociaż rzeczywiście pierwsze przychodzi na myśl to, że któryś z jego synów wlał mu do ucha truciznę.

Tak czy owak, starszy pan odszedł i kurilem okrzyknięto Jagastiego, który cieszył się reputacją wielkiego wojownika, chociaż nigdzie nie ma nawet wzmianki o tym, w jakich to niby wojnach brał udział.

Nie dorównywał jednak ojcu w umiejętności panowania nad otoczeniem i niebawem syn numer dwa, który najwyraźniej uważał się za wielkiego wodza, także ogłosił się kurilem i wraz ze swymi zwolennikami zajął dwa układy, Degasten i Khon.

–A co z trzecim synem? – spytał Garvin. – Był nie tak dawno w cyrku.

–Interesujemy się nim od pewnego czasu – powiedział Njangu, starając się zbytnio nie nadymać. – Bayanti jest ambitny, ale na razie nie myśli o tym, żeby urwać coś dla siebie. Uważam jednak, że z czasem uda się nam rozbudzić jego apetyty.

–I to byłoby na tyle, jeśli chodzi o zarys dziejów Protektoratu – zakończył wykład Froude. – Jeśli kogoś interesują szczegóły, proszę do mnie. Teraz powinniśmy się zastanowić, co robimy. Nie wydaje mi się, aby ten paranoiczny Protektorat patrzył łaskawym okiem na nasz odlot na Centralny.

–Z tego, co wiem, Jagasti i jego ekipa mają o nas coraz lepsze zdanie – oznajmił Njangu. – Z jednej strony daje nam to pewną swobodę, z drugiej jednak może spowodować, że kurii nie będzie chciał się z nami rozstać.

–W takim razie zostaje nam jedno – powiedział z namysłem Garvin. – Musimy doprowadzić do wrzenia w tym kotle i skorzystać z zamieszania.

Uczestnicy narady spojrzeli po sobie. Nikt nie wyglądał na takiego, który by wiedział, jak to zrobić.

Njangu błędził ustami po wewnętrznej stronie uda Maev, gdy nagle przerwał to miłe zajęcie i usiadł prosto.

–A niech mnie gęś kopnie! – zawołał uradowany.

–Aha, szczególnie jeśli nie wrócisz do tego, co właśnie robiłeś – powiedziała z westchnieniem Maev.

Yoshitaro jednak nie zwrócił uwagi na tę sugestię i sięgnął po komunikator.

–Mam nadzieję, że to coś ważnego, Njangu – rozległ się w słuchawce lekko zdyszany głos Garvina. – Jest pora na dzwonienie i jest pora...

–Szefie, mam pomysł – oznajmił z dumą Njangu.

–Proponuję doprowadzić do pogorszenia stosunków – powiedział Njangu.

–Czyich? – spytał rozbawiony Froude. Garvin tylko ziewnął i nic nie powiedział. Zebrali się we trzech w kabinie Jaansmy i czekali właśnie na jakiś rozbudzający napitek.

–Na pewno nie naszych – odparł Yoshitaro. – Przypomnijcie sobie, jaką tu mamy sytuację. Trzech synów o barbarzyńskiej mentalności. Przynajmniej dwóch z nich nie przejawia skłonności do współpracy. Każdy chciałby zgarnąć całą pulę, ale w odróżnieniu od ich ojca, żaden nie wydaje się gotowy do wielkiego skoku na Centralny. Przypuszczam nawet, że Gegen, który uciekł z wszystkimi, których zdołał przekabacić, na Degasten, tylko czeka, aż Jagasti ruszy na wojnę i nie wróci.

–Trudno zaprzeczyć – powiedział Froude.

–Proponuję więc zagotować w ich kotle – rzucił Njangu.

–O tym była już mowa – zaczął Garvin, ale przerwał, gdy w kabinie zjawił się steward z tacą. – Tylko jak to zrobić? – spytał, gdy znowu zostali sami.

–Przede wszystkim zasiejemy trochę podejrzliwości. Zamierzam przekonać każdego z tych trzech troglodytów, że ktoś szykuje zamach na jego życie.

–Dobrze. Kto będzie głową tego spisku?

–Jak to kto? Ja, oczywiście.

–Wszystkich trzech?

–A czy ja potrafię żonglować? – zapytał retorycznie Njangu, siorbiąc kawę.

Zamiłowanie Jagastiego do sportu sprowadzało się do śledzenia zespołowych rozgrywek ślizgaczy, z których jeden, niosący flagę, miał za zadanie przedostać się do bramki, pozostałe zaś dziesięć maszyn drużyny starało się mu w tym pomóc, broniąc go przed atakami przeciwników.

Na ile Njangu zdołał się zorientować, nie było w tej grze żadnych reguł, poza tym, że przeciwnicy musieli wycofywać się na swoje strony pola, gdy ambulanse zbierały ofiary wypadków, i nie wolno było używać blasterów.

–Ciekawy sport, kurilu – powiedział Yoshitaro.

–Tak! To jest coś dla prawdziwych mężczyzn! Podobno niegdyś dosiadano przy

tym zwierząt, ale tak jest szybciej! – stwierdził Jagasti.

–I tracimy przez to wielu naszych najlepszych pilotów – dodał Bayanti.

–Życie jest oczekiwaniem na śmierć – zachnął się dyktator. – Mężczyzna, który nie poddaje się wciąż nowym próbom, niewieścieje.

Bayanti chciał jeszcze coś powiedzieć, gdy w górze przemknęły dwa ślizgacze i zanurkowały na tego z flagą. Pierwszy uderzył weń, aż maszyna zaczęła koziółkować, a flaga uleciała z wiatrem. Drugi przejął ją w locie i na pełnej szybkości, klucząc to w lewo, to w prawo, przeleciał przez bramkę.

Jagasti zerwał się z krzesła, bijąc brawo, i obiecał nagrody dla zwycięskiej załogi.

Bayanti spojrzał dziwnie na Njangu i odwrócił głowę.

Dyktator opadł na obciążnione płótnem krzesło z metalowych rurek.

–Tak, Bayanti – powiedział. – Idź pogratulować pilotom i przekaz im... przekaz im, że pozwalam im dołączyć do Pierwszej Imperialnej. Yoshitaro ma ze mną coś do obgadania na osobności.

–Coś, czego nawet twój brat nie powinien słyszeć?

–Ja o tym decyduję – stwierdził Jagasti. – Zobaczymy się później.

Bayanti wstał i zszedł z prowizorycznej trybuny.

–Bracia! – parsknął Jagasti. – Czy masz jakieś rodzeństwo, Yoshitaro?

–Nie miałem tyle szczęścia.

–Nie, właśnie, że miałeś szczęście – stwierdził kurii. – To musi być wspaniałe życie bez obawy, że któryś braciszek podłoży ci nogę. Albo że nagle okrzyknie cię uzurpatorem i będzie chciał zrzucić ze stołka. Nie wiesz, jak to jest, gdy zdradza cię własny brat.

Njangu czekał na ciąg dalszy.

–Ale mniejsza z tym. Moje kłopoty to moja sprawa. Powiedz, dlaczego chciałeś widzieć się ze mną na osobności.

–Gotowi jesteśmy przejąć część brzemienia pańskich kłopotów – powiedział z namysłem Yoshitaro.

–Co przez to rozumiesz?

–Jak się pan niewątpliwie zorientował, Cyrk Jaansma to coś więcej, niż mogłoby się wydawać.

–Wiedziałem! Wiedziałem! – zakrzyknął Jagasti. – Tylko głupcy ryzykowaliby w tych czasach dalekie podróże tylko po to, żeby pokazywać sztuczki. No mów. Czym jeszcze się trudnicie?

–To zależy. Zwykle poprzestajemy na przedstawieniach. Czasem jednak, gdy spotkamy właściwych ludzi i możemy się spodziewać sporej nagrody, świadczymy pewne usługi.

–Przestań kręcić.

–Zatem konkrety. Za stawkę, którą uzgodnimy z góry, moglibyśmy uwolnić pana od brata, Gegena, i otworzyć drogę do Centralnego.

Oczy dyktatora zapłonęły nagle żółtym blaskiem, jaki Njangu widywał czasem w ślepiach Muldoona, gdy wielki kot próbował zamachnąć się na kogoś pazurzastą łapą.

–Za duży dystans – poskarżyła się Montagna. – I stanowisko się chwieje...

Darod leżała za bronią, która przypominała zabawkę złożoną z elementów zestawu dla młodych fizyków eksperymentatorów. Niemniej w odróżnieniu od typowych Masterów, ten rzeczywiście eksperymentalny karabin strzelał klasycznymi pociskami kinetycznymi.

Kaliber miał zdumiewająco wielki, aż osiemnaście milimetrów. Sam pocisk był chroniony przed oddziaływaniem wiatru i siły grawitacji przez umieszczony w nim miniaturowy antygrav. Dzięki temu na odcinku pierwszych sześciu kilometrów tor jego lotu był idealnie płaski.

Magazynek mieścił trzy naboje, przy czym sam pocisk ważył prawie sto siedemdziesiąt gramów, a jego prędkość początkowa wynosiła dwa tysiące metrów na sekundę. Broń była wyposażona w celownik optyczny dający zmienne powiększenie od dwóch do dwustu razy.

Karabin został specjalnie obciążony, żeby był stabilny podczas strzału, i ważył ponad osiem kilogramów. Oczywiście nie nadawał się do prowadzenia ognia „z ręki”, toteż ustawiało się go na zamontowanym pod łożem dwójnogu i regulowanej podpórce z tyłu kolby. Żeby zbyt mocno nie kopał, został wyposażony w sprężynowy oporopowrotnik o skoku wynoszącym prawie dziesięć centymetrów, całkiem jak w antycznych działach. Mimo to strzelanie z niego było bolesne.

Montagna miała rację co do stanowiska – leżała na pokładzie unoszącego się na

pułapie dwóch tysięcy metrów ślizgacza towarowego, lufa zaś wystawała przez uchyloną tylną rampę.

–Przestań narzekać – mruknęła Lir, pakując długie na jakieś piętnaście centymetrów naboje do magazynka. – Przecież masz chybić drania, zapomniałaś?

–Tak. Ale na tyle blisko, by nie wątpił, że chodziło o niego.

Montagna nosiła obcisły ubiór strzelecki z automatycznym ściągaczem połączonym z bronią. Nie było możliwe, aby karabin wymknął się jej z rąk.

Ślizgacz kołysał się na wietrze i Lir co chwila mruczała do automatycznego pilota polecenia, żeby się tym zajął. Automat robił co mógł, próbując ustabilizować maszynę. Korzystał przy tym z trzech punktów odniesienia: dziobu ledwie widocznej w odległości dwunastu kilometrów Grubej Berty, drugiego księżycy Mohi II stojącego niemal dokładnie nad nimi oraz jednego ze szczytów wyrastających na horyzoncie gór.

Montagna westchnęła i spojrzała przez celownik na lśniąca we wschodzącym słońcu fasadę posiadłości. Znalazła odległe o pięć kilometrów schody, oczekującą limuzynę i przesunęła punkt celowania na główne wejście. Dała maksymalne powiększenie i uznała, że teraz może już tylko czekać.

Lir lustrowała ten sam budynek przez stabilizowaną lornetkę.

Czekały. Montagna czuła omiatający ją wiatr.

–Szofer się ruszył – uprzedziła Lir. – Chyba zaraz wyjdzie.

Montagna zobaczyła, że otwierają się drzwi. Wciągnęła powietrze w płuca, wypuściła je powoli, wstrzymała oddech i dotknęła staromodnego języka spustowego.

W polu widzenia pojawił się mężczyzna, niewątpliwie Bayanti. Mówił coś z ożywieniem.

Montagna ściągnęła język spustowy i mimo nowoczesnego tłumika karabin huknął jak armata.

Ingnorując odruchowe rozczarowanie, że chybiła, Montagna naprowadziła celownik z powrotem na cel. Chciała zobaczyć, co się stanie. Nim odszukała to samo miejsce, pocisk dotarł już do posiadłości i wyłupał całkiem porządną dziurę w kamieniach metr od głowy Bayantiego, który został natychmiast rzucony na schody i nakryty ciałem przez ochroniarza na wypadek, gdyby snajper chciał spróbować drugiego strzału.

–Chyba się udało – powiedziała Lir.

–Chyba tak – mruknęła Darod, pocierając ramię. – Cholera, ale to kopie.

–Dobry strzał – pochwaliła Monique. – Teraz zbierajmy się do domu. Zobaczymy, ile udało się namieszać.

Zamieszanie było imponujące.

Jagasti wezwał Njangu jeszcze tego samego dnia.

–Ktoś próbował zabić mojego najmłodszego brata – powiedział lodowatym tonem. – Dziś rano.

Njangu udał zdumienie.

–Zauważyłem, że coś się dzieje. Dwa razy zawracano mnie w drodze do miasta.

–Miałeś szczęście, że cię nie ostrzelali – powiedział Jagasti. – Moi ludzie byli wstrząśnięci i tylko szukali dogodnych celów. W tej sytuacji zlecam ci zadanie, o którym wspominałeś. Masz zająć się moim bratem Gegenem.

–Powiedziałem, że mogę spróbować.

–Zrób to – warknął Jagasti. – Nie ma mowy o porażce, szczególnie że jesteś obcy i zgłosiłeś się na ochotnika. Możesz korzystać do woli z naszych zasobów, pieniądze też nie są problemem. Wykonać!

Degasten/Ogdai

Njangu żałował, że na Grubej Bercie brakło miejsca, aby ukryć jakiś mały niszczyciel albo, jeszcze lepiej, velva musthów. Jednak tajne operacje są jak wycieczki z plecakiem – zawsze okazuje się, że nie sposób zabrać wszystkiego, co by się chciało. Musiał więc skorzystać z nany, którą pancernik Protektoratu dowiózł na odległość jednego skoku od układu Degasten, gdzie rezydował Gegen ze swoimi zwolennikami.

Njangu zabrał ze sobą cztery osoby: Bena Dilla jako pilota, Monique Lir, Alikhana, bo obcy z wielkimi uszami mógł się okazać użyteczny, oraz Danfina Froudego w roli handlarza.

Ogdai była najludniejszą planetą układu. Gdy tylko wyszli z nadprzestrzeni, Diii wprowadził patrolowiec na orbitę wokół niej. Wcześniej, zaraz za punktem nawigacyjnym, zostawili w próżni jeden drobiazg.

Nie zdziwili się, gdy wkrótce dołączyły do nich dwa ciężkie krążowniki i anonimowy

głos kazał im się przygotować na przyjęcie zespołu inspekcyjnego. Jak zwykle Njangu miał poukrywane w zakamarkach statku różne skarby. Zaczynał rozumieć Garvina, który wspominał kiedyś, że zawodowy przemytnik zawsze jest nieco przed celnikami.

Njangu oznajmił, że przybywa w forpoczcie cyrku, żeby zbadać teren. Ich nana została odstawiona pod eskortą na odległe od siedzib ludzkich, puste lądowisko.

Njangu poinformował po kolei czterech coraz ważniejszych funkcjonariuszy, że jest przedstawicielem Cyrku Jaansma, który chce dawać przedstawienia na Ogdai i innych planetach układu. Wszyscy oni byli kompletnie zaskoczeni, gdy się dowiedzieli, że obecnie cyrk przebywa na Mohi II. Ostatni usłyszał ponadto, że Yoshitaro prosi o audiencję u kurila Gegeną.

Oficer spojrzął ze złością na Njangu.

–Nasz kurii akurat nie ma się czym zajmować, jak tylko grupą komediantów, którzy chcą przylecieć do naszego układu.

–Oczywiście, na pewno ma pilniejsze sprawy na głowie – zgodził się Njangu. – Jednak może będzie zainteresowany czymś, co dotyczy jego brata.

–Jagastiego? Równie dobrze ja mogę cię wysłuchać.. Przekażę wszystko kurilowi Gegenowi.

Njangu uśmiechnął się i nie odpowiedział. Oficer wpatrywał się w niego jeszcze przez chwilę i zniknął.

Dwa dni później przyszło wezwanie. Njangu ma być gotowy następnego dnia rano. Sam.

–Nie przypuszczam, żeby udało mi się przemycić jakąś broń – powiedział do Bena.

–Możesz spróbować, ale najpewniej skończysz w lochu – odparł Diii. – Nie wynaleziono jeszcze takiej broni, która przeszłaby przez wszystkie czujniki. Jeśli nie potrafisz pozbyć się morderczych myśli, załatw go gołymi rękami.

Njangu tylko mruknął coś pod nosem i rano zastał go spacerującego tam i z powrotem przed statkiem.

Niebawem na płycie lądowiska usiadł pękaty ślizgacz ubezpieczony przez czekające wyżej dwa niszczyciele. Njangu został zagoniony na pokład, gdzie bezceremonialnie kazano mu się rozebrać. Dał do zrozumienia, że czuje się urażony, lecz wykonał polecenie, po czym dwaj sanitariusze odprowadzili go do pustej kabiny i powiedzieli, że ma czekać.

Mam nadzieję, że ich skanery wciąż są sprawne, pomyślał. Z takimi barbarzyńcami nigdy nic nie wiadomo. Jeśli aparatura padła, mogą sięgnąć po stare sposoby, jak na przykład wodę z mydłem... Nie miał najmniejszej ochoty ani na lewatywę, ani na przymusowe wymioty.

Niemniej z techniką musiało tu nie być najgorzej, bo niebawem kazano mu się ubrać i wreszcie przestał marznąć.

Wylądowali mniej więcej po dwóch godzinach lotu. Yoshitaro został zaraz wyprowadzony ze ślizgacza i przejęło go czterech mundurowych pod komendą uśmiechniętego młodego mężczyzny, który przedstawił się jako maj Kars. Njangu zauważył, że jego uśmiech nie przenosi się na oczy, jednak przypomniał sobie, że jemu też czasami wypominano, że ma zimne spojrzenie.

–Przepraszam za te środki bezpieczeństwa – powiedział Kars. – Uznaliśmy jednak, że będą wskazane, skoro miał pan ostatnio coś wspólnego z Jagastim.

–Rozumiem – odparł Njangu.

Platforma lądowiska znajdowała się na szczycie wielkiej kamiennej fortecy, która musiała liczyć chyba z tysiąc lat. Wznosiła się nad rozległym miastem i do niedawna była zapewne tylko zabytkiem, została jednak dostosowana do współczesnych potrzeb i naszpikowana najnowszą bronią, przy czym nie wykazano większej troski o takie detale jak architektoniczna czy historyczna wartość zabytku.

Kars wskazał Njangu otwarte drzwi i cała szóstka weszła do windy, która opadała przez długą chwilę. Yoshitaro skłonny był przypuszczać, że zjechali na dobre trzydzieści metrów poniżej poziomu gruntu, zanim kolejne przemieszczenie się żołądka dało znać, że winda staje.

Poprowadzono go długim korytarzem, w którym nie było strażników, co znaczyło zapewne tyle, że Gegen trzyma swoją ochronę tam, gdzie może okazać się najbardziej przydatna – tuż pod ręką.

Kars otworzył podwójne drzwi, skłonił się i Njangu bez wątpienia stanął przed Gegenem, kurilem Degastenu i Kohnu.

Trzeci z braci także był ucieleśnieniem nowoczesnego barbarzyńcy. Niewysoki, ale solidnie zbudowany, musiał najpewniej uprawiać kiedyś kulturystykę, jednak z czasem zaniedbał ćwiczeń i zaczął tyć. Nosił krótko przyciętą brodę, w której pojawiły się już pierwsze siwe nitki.

W odróżnieniu od Jagastiego cenił sobie prostotę i nosił niewymyślny szary mundur ściągnięty pasem z pistoletem i nożem. Oparty o fotel stał ciężki blaster, model używany przez Konfederację, tyle że z długą lufą, laserowym celownikiem i

dwójnogiem.

Njangu rzuciło się w oczy jeszcze jedno: między drzwiami a kurilem Gegenem zamontowano przezroczystą ścianę, bez wątplenia wytrzymałą ogień z broni strzeleckiej i silne eksplozje. Gospodarz był naprawdę bardzo ostrożny.

Kars zasalutował jak z podręcznika, Njangu oddał honory, dotykając czoła tak niezgrabnie, jakby naprawdę był cywilem.

–Rozumiem, że przybył pan w dwóch sprawach – powiedział Gegen, nie siląc się na żadne wstępy. Głos miał niski i chropawy, ale miły.

–Zgadza się, proszę pana.

–Naprawdę uważa pan, że mój brat pozwoli, aby pański... cyrk? tak to się nazywa? ... aby pański cyrk przeniósł się od niego tutaj?

–Jeszcze nie wiem. Może tak, może nie.

–Co chciał mi pan powiedzieć na temat mojego brata?

–Że wcale nie musi być pańskim wrogiem. Gegen parsknął.

–Prędsiej wiatr słoneczny uda się namówić, żeby przestał wiać, a ludzi, by przestali pożądać rzeczy bliźniego swego. Albo entropię ubłagać, by przestała rosnać.

–Nie mówiłem nic o błaganiu – zauważył Njangu.

–Być może źle zrozumiałem, czym jest cyrk – powiedział Gegen. – Zajrzałem do encyklopedii, ale nie wspomniano tam, żeby zajmował się negocjacjami.

–Czasem naprawdę niewiele trzeba, aby zmienić człowieka. Bywa, że wystarczy ulokowany we właściwym miejscu kawałek stali bądź ołowiu. Takie właśnie zlecenie dał mi pański brat.

Kars syknął i sięgnął po broń. Njangu zupełnie go zignorował. Gegen machnął ręką i Kars znieruchomiał.

–Ma więc pan nadzieję, że uzyska u mnie wyższą cenę za śmierć Jagastiego? – spytał rozbawiony Gegen.

–Właśnie – odparł Njangu, pokazując zęby w uśmiechu.

–Udało się panu zyskać jego zaufanie, nie przechodząc testów lojalności?

–Co w tym dziwnego? Nie ma nic do stracenia. Jeśli mi się nie uda, jego sejf

pozostanie pełny. Jeśli zaś mi się uda... – Njangu rozłożył ręce.

–Chce pan powiedzieć, że nie zażądał pan zapłaty z góry?

–Nie.

–Hm. Jest pan pewien swego.

–Nie, sir. Kompetentny. Gegen uśmiechnął się przelotnie.

–Jak zamierzałby pan wykonać takie zadanie? Njangu pokręcił głową.

–W naszym cyrku jest pewien magik. Powiedział mi kiedyś, że objaśnia swoje sztuczki zawsze po, nigdy przed, gdyż ludzie pragną złudzeń i nie należy ich tego pozbawiać.

–Czego oczekuje pan ode mnie? – spytał Gegen. – Trudno mi uwierzyć, że zaryzykuje pan niepowodzenie, nie mając żadnej zaliczki w garści.

–Jestem pewien swoich umiejętności.

–Muszę to przemyśleć – powiedział Gegen, marszcząc czoło.

–A czy mógłby się pan tymczasem zgodzić, żeby ta grupka, którą przywiozłem ze sobą, pokazała, co potrafi? Może przed wskazanymi przez pana wyższymi szarżami?

–Nie. Nie ufam panu, Yoshitaro. Nie zamierzam stwarzać wam okazji do zdziesiątkowania moich ludzi. Ale możecie przygotować przedstawienie dla moich młodszych oficerów. Możliwe, że im się spodoba.

Njangu zastanowił się nad swoim planem, poczynił szybkie poprawki i uznał, że może być. Wstał i uklonił się.

–Jest pan bardzo ostrożny.

–Tylko dzięki temu nie umarłem młodo, mieszkając pod jednym dachem z tym potworem, moim starszym bratem.

Widzów nie było wielu, ledwie pół setki, ale zdawali się dobrze bawić. Njangu przypuszczał, że przyjdą głównie członkowie bezpośredniej straży Gegena, jako że ludzie stojący najbliżej tronu zwykle mają największy dostęp do rozmaitych dóbr. Niemniej jego plan i tak mógł zadziałać.

Była szansa, że i tutaj zdoła chociaż trochę zamieszać.

Diii pokazał się jako siłacz, potem Monique wykorzystwała go jako konia z łąkami i

pokazała nieco akrobacji, Froude zaś wyprowadził z klatki straszego Alikhana i kazał mu wykonywać podstawowe sztuczki.

Żołnierze z uwagą przyglądali się potworowi, musth zaś robił co mógł, żeby wyglądać na dziką bestię.

Froude zagonił go z powrotem do klatki i z pomocą Njangu zaczął pokazywać sztuczki karciane. Oraz nieco magii.

Widocznie prestidigitatorzy nie pojawiali się tu zbyt często, gdyż oficerowie byli pod wrażeniem.

Obcy przyciągnęli powszechną uwagę. O potworze chwilowo zapomniano.

Alikhan opuścił tymczasem klatkę ukrytymi drzwiczkami, wyjął ze schowka w pobliżu śluzy awaryjnej niewielką paczkę, wymknął się na zewnątrz i przyczepił ją elektromagnetycznymi przylgami do burty jednego z patrolowców, którym przylecieli widzowie. Mechanizm zegarowy został ustawiony już wcześniej.

Przedstawienie dobiegło końca, rozległy się okrzyki i oklaski, po czym żołnierze odlecieli.

Trwało to jakiś kwadrans.

Godzinę i trzy kwadranse później mechanizm zegarowy przerwał obwód i pakunek odpadł od burty nad gęstym lasem niedaleko od fortecy Gegena.

–Działa – zameldował Alikhan, patrząc na panel kontrolny.

Pakunek rozwinął się i ze środka wyrzało coś na trzech długich, składanych nogach. Na szczycie znajdowała się długa tuba, która zaczęła emitować rozmaite sygnały radiowe na różnych częstotliwościach.

–Przesyłka w drodze – powiedział Diii, zauważywszy, że rozbłysnęło kolejne światełko na wyświetlaczu.

To, co zostawili w próżni zaraz po wejściu do układu, nagle ożyło. Był to pocisk raketowy typu Shrike z dodatkowym zbiornikiem paliwa. Już wcześniej został nastawiony na pewien konkretny cel, którym była cyrkowa nana.

–Teraz musimy zmienić koordynaty – powiedział Njangu. – Nie podoba mi się, że coś takiego we mnie mierzy.

Froude postukał paznokciem o zęby.

–Zobaczmy... zakładając, że nasza zabawka odpadła od burty wtedy, gdy powinna,

to zapewne leży teraz gdzieś tutaj – powiedział, wskazując punkt na ekranie. – Kwatera Gegena jest tu... wycelujemy więc w ten punkt. Akurat dość blisko, żeby obudzić poranną zmianę kucharzy.

–Nie gadajcie tyle, pracujcie – warknęła Monique. – Tak jak Njangu nie lubię podobnych sytuacji.

–Chwilę... jeszcze trochę... dobrze. Jest, moja pani – powiedział Froude z ukłonem.
– Za chwilę wejdzie w atmosferę.

I rzeczywiście. Pocisk minął atmosferyczny pojazd zwiadowczy i z prędkością, będącą całkiem sporym procentem szybkości światła, runął jako ledwo widoczna kometa ledwie trzy kilometry od zamku.

Miał małą główicę, ale dzięki impetowi zostawił po sobie spory radioaktywny lej. W zamku obudził nie tylko kucharzy, ale i całe otoczenie Gegena.

Urządzenie na trójnogu błysnęło nagle, jednak „nieszczęśliwym trafem” ładunek niszczący nie zadziałał tak jak powinien i zostało dość szczątków, aby ekipy poszukiwawcze trafiły rano na ślad promieniowania modułu zasilającego i miejsca, z którego zamachowiec sterował rakieta. Nie potrafiły jednak powiedzieć, kto był owym zamachowcem.

Njangu poruszył się przez sen. Być może poczuł eksplozję, która wprawiała w drgania skały planety, obrócił się jednak na drugi bok i dalej śnił o pieniądzach.

–Mogę spytać, dlaczego zmienił pan zdanie i postanowił mnie wynająć? – spytał Njangu Gegena.

–Nie. Gdybym nie nakazał bacznej obserwacji waszego statku, podszedłbym do sprawy inaczej, ale wiem, że to niemożliwe. Powiedzmy więc tylko, że znalazł się dowód potwierdzający pańskie słowa. Mój brat rzeczywiście zaczął wcielać w życie plany pozbycia się mnie. Oczekuję zatem, że zajmie się pan nim. Jeśli się uda, będzie pan mógł podać wysokość wynagrodzenia. Oczywiście w granicach rozsądku.

Zadowolona z siebie po nieudanym ataku ekipa Njangu została podjęta przez pancernik Jagastiego i w dwóch nadprzestrzennych skokach wróciła na Mohi II.

Limuzyna dyktatora zniżyła lot nad niegdysiejszym muzeum. Z wysokiego pułapu strzegły jej dwa pancerniki. Gdy zeszła poniżej tysiąca metrów, czujnik zadziałał. Ładunek eksplodował, roznosząc całą lewą burtę pojazdu.

Ochrona od razu wypadła na zewnątrz, Jagasti zaś złapał się na chwilę fotela i zdążył uruchomić spadak. Dopiero potem odbił się i gładko wyskoczył z wraku.

Moduł antygravitacyjny zadziałał, spowalniając upadek dyktatora, tak że Jagasti odniósł jedynie lekkie obrażenia: złamał nogę w kostce, lądując niefortunnie na jednym z posągów, które kazał usunąć z byłego muzeum.

–Co zrobili? – spytał Njangu.

–Podłożyli bombę w jego limuzynie – powiedział Garvin. – Nie mam pojęcia, jakim cudem im się nie udało.

–Niech to diabli – powiedział powoli Njangu.

–Rozumiem, że nie była to nasza robota – mruknął Jaansma.

–Nie. Ktoś jeszcze miesza w tym kotle. Niech to diabli!

Tiborg/Tiborg Alfa Delta

Pałac Władzy był pełen ludzi. Zgodnie ze zwyczajem, za kilka minut, wraz z nadejściem nowego roku, Konstytucjoniści mieli przekazać władzę Dornowi Filemu i jego Socjaldemokratom.

Fen Bertl siedział wraz z innymi dyrektorami nad głównym podium i uśmiechał się do wszystkich promiennie.

Z nadejściem nowego reżimu to i owo rzeczywiście miało się zmienić, jednak zasada pozostawała ta sama: Tiborg czekało kolejne kilka lat ostrożnych, oszczędnie i rozsądnie sprawowanych rządów, a władza miała pozostać w rękach tych, którzy na nią zasłużyli.

Bertl podziękował Bogu, w którego nie wierzył, że zamieszanie związane z cyrkiem i, poniekąd, nadmiernie wybujałymi ambicjami Filego skończyło się na długo przed dniem, gdy wyborcy poszli do urn. Dzięki temu głosowali jak zwykle, tak jak ich nauczono.

Spojrzał w dół, gdzie gromadziła się elita obu partii wraz z ustępującym premierem, potem na widownię wypełnioną w większości działaczami Socjaldemokratów. Byli cali szczęśliwi. Gdy tylko Fili uściśnie dłoń kontrkandydata i wypowie uświęconą tradycją formułę „Dla dobra narodu przejmuję”, zaczną tańczyć, skakać i krzyczeć i tak będzie aż do świtu, kiedy na kolejne sześć lat zapanuje ta sama, szara rzeczywistość.

Bertl zastanowił się jeszcze nad sprawą tego cyrku i kobiety szpiega, której kazał się do niego wkręcić. Nie pamiętał nawet, jak się nazywała.

Uznał, że chyba przesadził z ostrożnością. Ten znacznik, który miał wskazać drogę trupy do układu Capelli, o ile naprawdę tam się udawała, i ta kobieta... Przypomniawszy sobie, że miała na imię Kekri.

Najlepiej będzie o tym zapomnieć, pomyślał. Mniejsza o napływające co jakiś czas sygnały. Nie warto marnować kredytów na tę sprawę.

Bardzo wątpił, czy opłaca się wysłać własną wyprawę śladem tych cyrkowców.

A co do tej kobiety... Bertl uśmiechnął się. Niezależnie od tego, czy pozostanie z cyrkiem, czy pójdzie swoją drogą, da sobie radę. Nawet jeśli ją zdemaskują, też na pewno jakoś się wywinie, pomyślał. Taki typ. Jeśli zaś spróbują... Nie. To bez sensu.

Orkiestra zagrała tusz.

Stary premier wstał, uśmiechnął się ciepło, niemal szczerze, i spojrzał na Filego.

Dorn wszedł na podium razem z Sam'lem Brekiem, swoim asystentem. Bertl zmarszczył brwi. Breka nie powinno tu być, mimo jego zasług dla nowego premiera. Powinien otrzymać swoją działkę razem z resztą partyjnej góry, ale dopiero rano, w blasku dnia, a nie w świetle punktowych reflektorów.

Ustępujący premier podał rękę elektowi. Fili uścisnął ją i obaj spojrzeli na odmierzający ostatnie sekundy zegar.

–Dla dobra...

Zapalnik ładunku podłożonego przez Lir i Montagnę zadziałał o czasie. Sto kilogramów teleksu umieszczonych pod podium i ucharakteryzowanych na jeden z masywnych wsporników eksplodowało zgodnie z planem.

Ukierunkowana fala uderzeniowa pobiegła ku górze i Fili, Brek oraz ustępujący premier zmienili się w czerwonawą mgiełkę. Podobny los spotkał większość funkcjonariuszy obu partii.

Odlamki podium i kawałki muru zdziesiątkowały Dyrektoriat i wiernych działaczy.

Bertl poleciał do tyłu, roztrącając ludzi oraz krzesła, i padł na plecy.

Ogłuszony i w szoku usiadł i rozejrzał się wkoło. Nie czuł na razie, że w dwóch miejscach ma złamaną rękę. Ku swemu przerażeniu stwierdził, że na kolana spadła mu oderwana głowa innego dyrektora, ciągle jeszcze z uśmiechem na twarzy. Z arterii wciąż sączyła się krew.

Wiedział, dobrze wiedział, kto to zrobił. Nikt inny nie wchodził w grę. Poprzysiągł sobie, że nie puści mu tego płazem.

Koniec końców nawet on, dyrektor Fen Bertl, był człowiekiem, nade wszystko zapragnął więc zemsty. Za siebie, za partię, za Dyrektoriat, za Tiborg!

Mohi/Mohi II

Njangu Yoshitaro miał już tego dość. Szczególnie że sam wpakował się w tę sytuację.

Od powrotu z Degastenu minął prawie standardowy miesiąc, a kurii Jagasti męczył go niemal co dnia o jedno i to samo: Kiedy zabierze się do Gegena? Co to będzie? Njangu obiecał mu bardzo wiele, ale jak dotąd nic z tego nie wynikło.

Jagasti miał rację.

Njangu spodziewał się, że symulowany zamach wystarczy, ale wedle agentów Jagastiego wynikło z tego tylko to, że Gegen schronił się jeszcze głębiej w czeluściach fortecy i czekał nie wiadomo na co, bo nic się nie działo.

Istniała też taka możliwość, że Gegen chowa coś jeszcze w zanadrzu, i że to on jest odpowiedzialny za wybuch bomby w limuzynie Jagastiego.

Ale czy nie wspomniałby o tym podczas niedawnej rozmowy?

Mogło to znaczyć, że wysłał dwie niezależne ekipy zabójców. Subtelne posunięcie jak na barbarzyńcę...

Drugim kandydatem na zamachowca był najmłodszy brat dyktatora, Bayanti. Tylko co miałyby go skłonić do takiego posunięcia? Wcześniejszy niecelny strzał oddany przez anonimowego snajpera? Czyżby uznał odruchowo, że musi za tym stać Jagasti?

Jednak kontakty obu braci wyglądały na w miarę poprawne. W każdym razie Bayanti nie powiedział Eibar nic, co świadczyłoby, że jest inaczej.

No i kwestia zasadnicza: co dałoby mu śmierć Jagastiego? Nie zdradzał zainteresowania manewrami i rozbudową sił zbrojnych. Nie wypowiadał się na ten temat publicznie.

Njangu nie skreślał młodszego brata całkowicie, uważał jednak, że to nie on stał za zamachem.

Zatem kto? Ktoś, kto uznał, że dość już tyranii i pora coś zrobić? Jednak miejscowi byli zastraszeni i brakowało im środków do przeprowadzenia takiej akcji. Odpadali w przedbiegach.

Sprawę pogarszało jeszcze to, że Jagasti wydawał co tydzień bankiet, podczas

którego głośno wychwalał tych nielicznych, z których akurat był zadowolony, innych zaś ganił za porażki. To ostatnie dotyczyło oczywiście także Njangu, tyle że w jego wypadku Jagasti nie mógł powiedzieć wprost, o co chodzi, wypominał mu zatem jedynie obce pochodzenie, pyszałkowatość i ignorancję. Oraz to, że potrafi tylko fikać koziołki i pokazywać sztuczki.

Kilku ochroniarzy dyktatora uznało to za czytelny sygnał, że gość popada w niełaskę, i postanowiło zacząć się na Njangu po przyjęciu.

Yoshitaro poradził sobie z nimi bez trudu i nie próbował nawet zacierać za sobą śladów. Gdy spytano go o tę sprawę, przyznał, że zabił obu. Nie miał wyboru, skoro kurii nie potrafi zapanować nad swoimi ludźmi.

Niewiele to jednak zmieniło, jeśli nie liczyć tego, że narobił sobie wrogów.

Tymczasem cyrk wciąż występował dla wojska i stawał się coraz bardziej popularny.

Dotyczyło to przede wszystkim drobnej Jia Yin Fong. Matka uszyła jej maleńki mundur żołnierza Protektoratu. Dziewczynka szalała w nim rozchichotana po całym namiocie, nawet na trapezach z ra'felanem i Lir. Wojsko uznało ją za swoją maskotkę.

Njangu spojrział ponuro na plany fortecy Gegena. Cholera. Angara powinien być się zgodzić, żeby zabrali ładunki nuklearne. Może jednak dałoby się je jakoś ukryć. Zrzuciłby je teraz w samo serce zamku, wpakował do windy...

Nie mieli jednak na Bercie nic takiego.

Sprawdził, kiedy przypadają najbliższe święta wojskowe. Gdyby Gegen wyszedł ze swojej nory, żeby dokonać przeglądu wojsk, Montagna mogłaby go zdjąć z daleka.

Jednak młodszy brat dyktatora ciągle siedział pod ziemią, jakby na coś czekał.

Njangu wiedział na co: na wiadomość o śmierci Jagastiego.

Owszem, obecnie bez większych problemów mógłby przemycić jakąś broń do pałacu i dorobić kurilowi trzecie oko. Tylko co potem? Njangu nie palił się do samobójczej misji.

W takiej sytuacji narzucało się inne rozwiązanie: zamach bombowy, ale po incydencie z limuzyną dyktator kazał dwa razy sprawdzać każde miejsce, w którym się pojawiał. Co gorsza, wszystkie te komplikacje wynikły z nadmiernej skuteczności wywiadowczych działań Njangu.

Garvin nie mógł się zdecydować, czy to wszystko bardziej go śmieszy, czy martwi.

Poszedł zatem na kompromis, nakazując żołnierzom Legionu, żeby byli gotowi na każdą ewentualność, i poświęcił sporo czasu na rozmowy z Yoshitarem w nadziei, że może w końcu coś wymyślą.

Sprawa jednak rozwiązała się sama.

Maev, która chodziła z Njangu na bankiety bardziej ze współczucia niż przekonania, że potrzebuje on ochrony, któregoś dnia zauważyła coś niezwykłego.

Tym razem stół bankietowy ustawiono w dawnej sali muzealnej restauracji. Ciągnął się przez całe pomieszczenie, pod kątem dziewięćdziesięciu stopni dostawiono do niego mniejsze stoły.

–Tylne drzwi nie są zamknięte – szepnęła do Njangu. – Chyba jest dostęp do klatki schodowej, przy wejściu tylko jeden wartownik.

Nowe było jeszcze jedno: przy drzwiach za krzesłem Jagastiego ustawiono straż.

Njangu pokiwał głową. Zastanawiał się, co mógłby zrobić, żeby wyjść z tego cało.

Usiadł. Sala wypełniała się z wolna. Mrugnął do Dalet Eibar, która weszła z Bayantim i usiadła obok niego.

Jak zwykle ostatni zjawił się Jagasti w otoczeniu czterech gwardzistów.

Usiadł u szczytu stołu, zdjął pas z bronią i powiesił go na oparciu krzesła. Nalał sobie szklankę lodowatej wody i wychylił ją duszkiem.

Ze stukiem odstawił naczynie, sięgnął po karafkę z lekkim, prawie bezalkoholowym winem, które lubił najbardziej, i napełnił kieliszek. Na razie wszystko przebiegało całkiem normalnie.

–Witam was, goście i przyjaciele – powiedział.

Wszyscy napełnili sobie kielichy i unieśli je gotowi do toastu.

–Za protektorat, za Konfederację, której służymy, i za to, byśmy odbudowali ją w pełnej chwale! – Kurii wypił, a reszta zgodnie poszła w jego ślady.

Teraz Jagasti powinien odstawić kieliszek, powitać tych, którzy zjawili się na bankiecie pierwszy raz, usiąść i poczekać na przystawki. Zamiast tego jednak opuścił rękę ze szkłem i zakaszłał. Z początku jakby nieśmiało, po chwili jednak zaczął się krztusić.

Kielich wypadł mu z palców i rozbił się na podłodze. Twarz dyktatora nabierała coraz ciemniejszych odcieni czerwieni. Jagasti otworzył szeroko usta, oczy wyszły

mu z orbit. Sięgnął obiema dłońmi do gardła, obrócił się, runął na stół i zsunął się z niego, zrzucając przy tym część zastawy.

Bayanti już klęczał przy bracie. Jęknął i wziął go w ramiona.

–Bracie, powiedz coś! Odezwij się! Nie umieraj! Proszę, nie umieraj...

Jagasti zacharczał, jakby zebrało mu się na wymioty, zadrżał i znieruchomiał.

Cała sala zamarła.

Bayanti położył ciało brata na podłodze, wstał i nie wiadomo skąd wydobył broń.

–Straż! – krzyknął. – Do mnie!

Z trzaskiem otworzyły się drzwi i do sali wbiegli żołnierze w szarych mundurach, z blasterami gotowymi do strzału. Część ponurych typów obstawiła drzwi, reszta stanęła między Bayantim a gośćmi.

–Zamordowano go! – krzyknął bez tchu Bayanti. – To było podle morderstwo! Ktoś go otruł! Ktoś z kuchni! Ty! – zwrócił się do dowódcy straży. – Weź paru ludzi i aresztujcie tam wszystkich! Zamknijcie ich dobrze i przygotujcie do przesłuchania!

Oficer zasalutował i wyznaczył paru podkomendnych, którzy zaraz wybiegli. Po chwili z kuchni zaczęły dolatywać krzyki i piski.

–Mój brat... mój brat nie żyje – powiedział załamującym się głosem Bayanti. – Teraz... teraz ja będę musiał przejąć jego posłannictwo. Postaram się je wypełnić, chociaż nie jestem godzien jego pamięci. Ale podejmę się tego, Jagasti. Obiecuję i wszystkich obecnych biorę na świadków, że odrodzę Konfederację. Nie wolno nam z tym czekać. Nie wolno nam zwlekać, dość gier wojennych i zawodów sportowych, w których giną najlepsi. Ruszamy od razu. Ogłaszam początek Operacji „Jagasti”. Najpierw skremujemy ciało mojego brata, jak sobie życzył, ale prochy zatrzymamy, żeby rozrzucić je nad Centralnym. Przedtem jednak zniszczymy tego zdrajcę Gegen, który odpowiada za ten podły mord. Rozkazuję, aby w ciągu tygodnia moja armia była gotowa do ataku. Gegen zapłaci życiem za bratobójstwo i to samo spotka każdego, kto ośmieli się stanąć u jego boku. Proszę was, żołnierze, mężowie stanu i... – tutaj spojrzął na Njangu -...i wy, którzy dotąd nas jedynie zabawialiście, stańcie do walki! Nadszedł czas. Bitwa już bliska. Oto początek wojny, która odrodzi Konfederację, i żałuję tylko, że mój brat nie ujrzy naszego zwycięstwa!

Maev pochyliła się do Njangu.

–Całkiem nieźle. Mógłby jeszcze uronić łzę, żeby dopełnić efektu, ale i tak mu się udało. Jagasti pójdzie z dymem, kucharze trafią do piachu i nic już nie powstrzyma

Bayantiego!

Jakiś żołnierz, który usłyszał tylko ostatnią część jej wypowiedzi i nie wyczuł sarkazmu, z aprobatą pokiwał głową i siąknął nosem.

–To chyba był jedyny sposób, żeby coś zaczęło się dziać – mruknął Njangu. – Szkoda tylko, że tak ryzykowny dla nas. Możemy mieć spore kłopoty.

W następnych dniach Bayanti zadał kłam twierdzeniu, że młodszy bracia zawsze idą w ślady starszych. Dalet Eibar z trudem znajdowała czas, żeby przekazywać meldunki, Bayanti był bowiem w ciągłym ruchu. Latał z jednego świata Protektoratu na drugi, wizytował bazy floty, sztaby i stocznie.

Nie przesadzał, zapowiadając, że w nadchodzącej wojnie wezmą udział wszyscy. Formowane jednostki uznano za gotowe do walki i włączono je do oddziałów liniowych. Statki handlowe otrzymały uzbrojenie, chociaż często była to tylko para wyrzutni pocisków raketowych przyspawanych pospiesznie do burty i mały komp kierowania ogniem zamontowany na mostku.

Tym, którzy obawiali się, że za inwazję na Degasten trzeba będzie drogo zapłacić, powiedział krótko:

–Owszem, stracimy część ludzi, którzy mogliby wziąć udział w ataku na Centralny, jednak zastąpią ich ci, którzy teraz służą Gegenowi. Gdy go pokonamy, jego żołnierze będą mieli możliwość odkupienia zdrady.

Garvin nie był szczególnie zdziwiony, gdy Bayanti wezwał go, aby wydać rozkazy dotyczące udziału cyrku w inwazji.

–Postanowiłem zrobić to sam, gdyż jesteście tu obcy i niewiele wiecie o naszej taktyce. Ponadto... – z lekkim rumieńcem spojrzał na Eibar, która siedziała skromnie obok niego – to dzięki waszemu cyrkowi poznałem tę kobietę, która chyba przyniosła mi szczęście. Czuję, że jestem wam coś winien.

–Nie, kurilu – odparł Garvin. – Nic nie jest nam pan winien.

Poza jednym, pomyślał: pozwoleniem, aby Gruba Berta ruszyła w dalszą drogę. Nie wiedział jednak, jak o to poprosić. Zresztą chyba było już na to za późno.

–Jestem, jestem, będziecie więc mogli wziąć udział w moim triumfie, potem zaś ty i cały twój cyrk zostanieie wynagrodzeni. Zamierzam włączyć wasz statek do ostatniej fali desantu na Degasten, gdy strefa lądowania zostanie już oczyszczona i zabezpieczona. Wasz zespół zapewni moim żołnierzom rozrywkę po walce.

Garwinowi pozostało tylko ukłonić się i odejść. Starał się nie spoglądać na Eibar, która ledwie powstrzymywała się od śmiechu.

Niebawem na Grubą Bertę przybyło pięćdziesięciu żołnierzy pod dowództwem taina Kaidu, który wyglądał na całkiem kompetentnego, zaprawionego w bojach oficera. Wyjaśnił, że on i jego ludzie mają pilnować, żeby nie doszło do buntu cyrkowców

przeciwko udziałowi w operacji.

–Znam cywilów i wiem, że z jakiegoś powodu bardzo nie lubią, gdy kierują nimi żołnierze. Gafferze Jaansma, proszę mnie traktować jako kogoś w rodzaju pańskiej prawej ręki.

Garvin przyjrzał mu się uważnie, ale nie dostrzegł ani śladu ironii.

–I co teraz? – spytał Njangu, gdy zamknęli się z Garvinem w jego kajucie.

–Każemy ludziom zaprzyjaźnić się z tymi żołnierzami i czekać na właściwą chwilę, aby pozbyć się całej ekipy.

–Właśnie, skoro mowa o przyjaźni... – westchnął Njangu. – Nie musimy się już martwić, jak wyciągnąć Dalet. Dostałem od niej wiadomość. – Podał Garwinowi pasek papieru. Widniało na nim:

Może on jest sukinsynem, ale to mój sukinsyn.

–No i pięknie – rzucił z sarkazmem Garvin. – Teraz nie musimy się już martwić o nią, tylko o to, czy nie wyśpiewa mu wszystkiego o nas. Kto by pomyślał, że Eibar naprawdę się zakocha.

–Aha – przyznał Njangu. – Może jednak nie skala własnego gniazda.

Ale na wszelki wypadek skrzyżował palce.

–Dwadzieścia siedem sekund do startu, sir – oznajmił oficer wachtowy.

–Tak... czy ktoś już policzył to wszystko dokoła? – spytał Liskeard.

Zapadał już zmrok, ale wzdłuż całego horyzontu rysowały się sylwetki startujących jednostek.

Garvin stracił rachubę przy osiemdziesięciu dwóch.

Tain Kaidu, który stał obok, patrzył rozszerzonymi oczami na armadę Protektoratu ruszającą przeciwko Degastenowi.

–Trzy sekundy do startu.

Liskeard położył dłoń na odpowiednim sensorze.

–Odliczam... cztery... trzy... dwa... jeden... start! Gruba Berta zadrżała i uniosła się nad lądowisko. Zawisła na chwilę nieruchomo i zaczęła się wznosić.

–Nareszcie – westchnął wzruszony Kaidu. – Cieszę się, że dożyłem tego dnia.

Nadprzestrzeń

–Kiedy się nimi zajmiemy? – spytała Kekri Katun.

–Słucham?

–Nie udawaj niewiniątka, Benjaminie. Pamiętaj, jestem szpiegiem, który przeniknął wszystkie tajemnice.

–Niekoniecznie wszystkie – mruknął Ben. – Są tajemnice przenikalne i nieprzenikalne.

–Na przykład?

–Jak to, kiedy się nimi zajmiemy. Na razie nikt mi tego nie powiedział. Naprawdę. Zapewne wtedy, gdy najmniej będą się tego spodziewali.

–Jaka bystra analiza – rzuciła Kekri. – Idę do sali gimnastycznej. Chcę być w formie, gdy przyjdzie na nas pora.

–Na nas?

–A z kim mam trzymać, skoro straciłam poprzedniego pracodawcę?

–Też racja – stwierdził Diii. – A nie moglibyśmy pogimnastykować się trochę tutaj?

–Niby jak?

Ben szepnął jej coś do ucha i Kekri krzyknęła:

–Później!

–Później mogę nie być w formie.

–To już będzie twój pech.

–Postanowiłem zarekwirować całą broń na pokładzie – powiedział tain Kaidu. – Przetrzymamy ją, póki nie będzie potrzebna.

–Nie wiem, czy to dobry pomysł – stwierdził Njangu. – Chociaż oczywiście zastosujemy się. Proszę jednak pamiętać, że większość naszej broni służy do obrony przed dzikimi zwierzętami. Na wypadek, gdyby któreś wyrwało się z klatki...

–Gdyby do tego doszło, moi żołnierze natychmiast zareagują.

–Dzień dobry, panowie – rzucił radośnie Froude, wchodząc wraz z Fleamem i jeszcze dwoma ludźmi w kombinezonach do długiego pomieszczenia oddanego żołnierzom Protektoratu.

–O co chodzi? – warknął podoficer.

–Wentylacja nie wyrabia przy tylu osobach. Dodajemy jeszcze jeden przewód.

–A... Dobrze, że ktoś o tym pomyślał – stwierdził podoficer.

–Trudno, żeby nie, jak komuś nogi śmierdzą na cały statek! – zawołał jeden z żołnierzy do kolegi.

Przed końcem dnia na obu ścianach sali pojawiły się nowe rury biegnące na korytarz, a dalej do innego, o wiele mniejszego pomieszczenia, gdzie zamontowano pompę nie mającą nic wspólnego z systemem wentylacyjnym statku.

Żołnierzom oddano łącznie ponad dwadzieścia sztuk broni, w tym cztery archaiczne pistolety i rewolwery oraz kilka straszaków. Resztę stanowiły zwykłe blastery, które – jak zapewnił Njangu – zabrali na wypadek lądowania na nie zbadanej planecie.

Oczywiście na statku w odpornych na przeszukanie skrytkach leżało o wiele więcej broni.

Kaidu, który uważał się za rozsądnego człowieka, powiedział Njangu, że oczywiście nie ma żadnych zastrzeżeń do wyrzutni raketowych i działek zamontowanych na jednostkach patrolowych i aksaiach.

–Dbam tylko o bezpieczeństwo moich ludzi – wyjaśnił.

–To zrozumiałe – odparł Yoshitaro.

–Nie rozumiem, o co chodzi z tymi pistoletami – spytał Sunya Thanon. – Zagadnąłem o to Alikhana, ale powiedział, że to jest coś, co tylko inny człowiek potrafi mi wyjaśnić, bo musthowie zawsze chodzą uzbrojeni.

–A dokładnie o co chcesz zapytać? – mruknął Ben.

–Ci z Protektoratu zabrali naszą broń i mają nas teraz w swojej władzy, prawda?

–Prawda.

–Ale czy nie jest prawdą, że w społeczeństwie, gdzie wszyscy są równi, człowiek powinien mieć broń, aby w razie czego móc bronić siebie i rodziny?

–No... – Ben zawahał się, przypominając sobie wielu ludzi, którzy nigdy nie powinni

dostać do rąk żadnej broni. – Może i tak.

–Zatem każdy, kto zakazuje posiadania broni, jest tyranem i powinien zostać zgładzony?

–Chyba wyciągasz za daleko idące wnioski – rzekł Ben. – Powiem ci coś. Jestem tylko zwykłym siłaczem, podnoszę ciężary. Może spytamy o to kogoś inteligentnego, jak doktor Froude?

–Dobrze – odparł rezolutnie Thanon. – Chodźmy do niego.

Jednak Froude też nie znalazł satysfakcjonującej ich odpowiedzi.

Felip Mand'1 ukrył się za przewodem wentylacyjnym i odprowadził spojrzeniem czterech przechodzących żołnierzy. Nie dostrzegli go, ale też do głowy im nie przyszło, że ktoś tak mały, że może się schować za niegrubą rurą, zdołałby się wspiąć pod sam sufit.

Gdy zniknęli, Felip sprawdził, która godzina, zszedł po linie z węzłami na pokład i pobiegł zameldować się u Maev Stiofan, która pełniła akurat wachtę bezpieczeństwa.

Żołnierz podał kawałek owocu młodszej z dwóch małych słończek. Loti, z natury uprzejma, zwinęła trąbę i tak jak ją uczono, podeszła do człowieka, wzięła kąsek i połknęła go.

Chwilę potem pisnęła boleśnie, gdy obficie posypany pieprzem kęs trafił jej do gardła.

Żołnierz ryknął śmiechem, gdy pojękująca słończka potuptała do matki. Rechocząc, obrócił się i napotkał spojrzenie Sunyi Thanona.

Rechot zamarł mu w gardle. Zdjął blaster z ramienia. Thanon jednak wciąż tylko patrzył mu w oczy. Żołnierz cofnął się i uciekł korytarzem.

–A co takiego chcecie podać naszym gościom przez te rury? – zapytał Froude.

–Nie wiem – odparł Njangu, unikając spojrzenia Danfina. – Coś, co szybko działa.

–Logika podpowiada, że najlepszy byłby gaz bojowy – podsunął Froude, lekko się krzywiąc. – To oszczędziłoby nam późniejszych kłopotów.

–Tak. I wszyscy w cyrku uznaliby mnie za masowego mordercę.

–W rzeczy samej – zgodził się Froude. – Ale nie przejmuj się, bo niektórzy już i tak mają cię za kogoś takiego. Poza tym gaz bojowy łatwiej zsyntetyzować niż na przykład usypiający.

–Nie wiedziałem.

–No to pomyśl o tym – powiedział Froude.

–Wiesz, przyszło mi do głowy coś strasznego – wyszeptał Sunya Thanon.

–To pocałuj mnie i strachy odejdą. Thanon posłuchał.

–Nie odeszły.

–Więc powiedz, o co chodzi.

–Być może ta Coando, której szukamy... gdzie ludzie i słonie są przyjaciółmi... w ogóle nie istnieje.

–Wiem, że istnieje – odparł stanowczo Phraphas. – Tak jak jestem pewien, że ją znajdziemy.

–Ale... może jest tak, że już ją znaleźliśmy... tutaj, wśród tych ludzi, na tym statku... tylko o tym nie wiemy i nie wiemy, jak wielkie szczęście nas spotkało.

–Nie myśl tak, kochany.

–Dobrze – odparł niepewnie Sunya. – Postaram się.

–Chyba mam już dość przygód – powiedział Garvin.

–Zamierzasz wrócić do domu i schować się pod łóżkiem? – spytała kpiąco Darod.

–No nie... – mruknął Garvin, przypominając sobie o Jasith. – Niezupełnie.

–Mam wrażenie, że wasze morale coś podupada, żołnierzu.

–Tak myślisz?

–Aha. – Darod zrzuciła koszulę nocną. – Potrzebujesz tylko porządnego pieprzenia, a wszystko będzie dobrze.

–Na pewno nie zawadzi – zgodził się Garvin.

Emton wyszedł z za rogu i zmartwił. Szukał właśnie jednej ze swoich kotek i cały czas miał nadzieję, że ta idiotka nie poszła do pomieszczeń drapieżników, ale niestety, pomylił się.

Tia przycupnęła przed klatką lampartów. Jeden z nich, zapewne ten czarny diabeł Muldoon, leżał bardzo blisko prętów.

Tia wstała i przysunęła się tanecznym krokiem bliżej. Muldoon zamachnął się łapą.

–Tia! Chodź tutaj! – Emtton ledwie powstrzymał się od krzyku.

Czarna kotka spojrzała tylko na opiekuna, miauknęła i znowu zbliżywszy się do Muldoona, uniknęła kolejnego ciosu.

Emtton nie wytrzymał. Podbiegł i złapał Tię.

–Głupia! – jęknął. – Wielkie koty nie lubią swoich małych krewniaków. Chcesz, żeby ten potwór zjadł cię na obiad?

Tia spojrzała niewinnie na Emttona i zaniósła się mruzeniem.

–Może ci się przydać – powiedział Ristori, wciskając Garwinowi klucz.

–Do czego to?

–Do kabiny z kontrabandą powierzoną tainowi Kaidu.

–Skąd go masz?

–Zwinąłem. To zresztą jest kopia, oryginał z powrotem podrzuciłem tainowi. Niczego nie zauważył. Przypuszczam, że tamta broń wkrótce może nam się przydać.

–Dobra – powiedział Njangu do Maev. – Bardziej gotowi już chyba nie będziemy. Teraz musimy tylko zająć czymś strażę... Bardzo by się nam przydała jakaś porządna bitwa kosmiczna.

Degasten/Ogdai

Wedle pewnej teorii powstałej, zanim jeszcze człowiek wyruszył w przestrzeń kosmiczną, atakujący planetę jest w lepszej sytuacji z uwagi na „studnię grawitacyjną”, która powoduje, że obrońcy muszą wydatkować więcej energii, aby wysłać myśliwce czy pociski przeciwko znajdującemu się w górze przeciwnikowi.

Była to projekcja doświadczeń z dawnych wojen, kiedy to z urwiska albo z zamkowych murów ciskano różne ciężkie przedmioty na atakujących.

Wojny kosmiczne wyglądały jednak inaczej. Głosiciele teorii „studni grawitacyjnej” nie wzięli po uwagę, że jednostka, która chciałaby zbombardować planetę, musi się poruszać po możliwej do przewidzenia orbicie. Obrońcom wystarcza zatem wyliczyć tę orbitę i wysłać na nią rój pocisków. I choć czasem stare powiedzenie „bombowce zawsze się przedrą” okazywało się prawdą, nie działało się to za często.

Z pewnością zaś nie udało się to siłom Bayantiego atakującym silnie bronioną Ogdai.

Jego flota zebrała się jakieś trzy jednostki astronomiczne od planety. Wysłano pierwszą falę okrętów uderzeniowych, które miały wejść na orbity geosynchroniczne i zniszczyć fortece Gegen uderzeniami z próżni. Inne okręty powinny okrążyć planetę i wyszukiwać cele na własną rękę albo wykonywać zadania wyznaczone przez dowództwo.

Bayanti planował, że zmieniawszy fortece w stosy gruzów, przeprowadzi lądowanie.

Oczywiście żadna strona nie przejmowała się losem mieszkańców Ogdai, chociaż nie zamierzano korzystać z ładunków nuklearnych, ponieważ Baynati chciał mieć co okupować.

Gegen nie był głupi i starannie przygotował plany obrony, uwzględniając w nich miejsce dla zdalnie sterowanych satelitów z różnorodnym uzbrojeniem oraz fortów rozmieszczonych na wszystkich trzech księżycach planety.

Gdy tylko napastnicy weszli do układu, na ich spotkanie poleciał rój jednostek zwiadowczych. Połowa głównych sił floty już wcześniej znalazła się w próżni.

Gegen odczekał, aż pierwsza fala dotrze do celu, i uderzył dopiero wtedy, gdy miał już orbity wrogich okrętów. Rozmieszczone na planecie wyrzutnie plunęły pociskami raketowymi, satelity rozpoczęły wyszukiwanie celów.

Niebo nad Ogdai wypełniły rozbłyśki eksplozji i szczątki okrętów. Na granicy atmosfery dochodziło do chaotycznych walk myśliwców.

Pół planetarnego dnia później resztki pierwszej fali floty inwazyjnej zawróciły ku głównym siłom, a jednostki obrońców wylądowały w bazach, żeby uzupełnić amunicję. I czekały.

Bayanti miotał się na mostku okrętu flagowego i groził dowódcom dymisją i rozstrzelaniem, oskarżał ich o tchórzostwo i zdradę.

–Teraz? – szepnął Garvin do ucha Froudego. Znajdowali się na mostku Grubej Berty. Tain Kaidu spoglądał trwoźnie na główny ekran, podobnie jak dwóch jego żołnierzy stojących zaraz za nim.

Na tyłach pomieszczenia kręcili się Lir, Njangu, Maev i Ben Diii.

–Poczekajmy, aż będzie jeszcze gorzej – szepnął Froude.

Bayanti pchnął drugą falę, która wyciągnęła obrońców w przestrzeń, i wtedy ruszyły desantowce. Statki podeszły do lądowania pod osłoną pancerników i twardo przyziemiły. Opadły rampy i wysypała się po nich albo wyjechała piechota, gnając ile sił w nogach i maszynach, żeby znaleźć się jak najdalej od strefy lądowania, bo padał już na nią deszcz pocisków.

Zamiast jednak atakować, żołnierze Bayantiego przypadli do ziemi w typowo obronnym ugrupowaniu. Możliwe, że dowódca grupy zginął i nikt nie przejął po nim komendy.

Oddziały Bayantiego topniały w oczach pod ogniem nieprzyjaciela, dyktator zaś gorączkował się na mostku.

Przypadł do ekranu taktycznego, starając się znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. W końcu zdecydował. Rozkazał, aby wszystkie, ale to wszystkie okręty ruszyły do ataku. Miały zmasowanymi nalotami sparaliżować obronę i zniszczyć każdy cel, który uda im się wypatrzyć.

Uzbrojone transportowce, eskortowce i patrolowce zanurkowały w atmosferę, pod ogień systemów obrony przeciwlotniczej. Większość jednostek idących na czele została zestrzelona, ale za nimi nadlatywały następne.

Forteca Gegena wyglądała jak krater czynnego wulkanu, teren wkoło pełen był lejów po pociskach i wraków, jednak jej obrońcy walczyli ciągle z tą samą zaciętością.

–Teraz? – spytał znowu Garvin.

–Chyba tak – powiedział Froude. Garvin strzelił palcami.

Tain Kaidu błyskawicznie się odwrócił i ujrzał zmierzające w jego kierunku złączone stopy Njangu...

Padł z przetrąconym karkiem.

Jeden z żołnierzy Kaidu wyciągnął pistolet, lecz zanim uniósł lufę, Maev go zastrzeliła. Drugi zdjął Master z ramienia, ale nóż Lir przebiegł mu po gardle.

–Nic dla mnie nie zostało? – spytał żałośnie Diii.

–Zamknij się! – warknął Garvin. – Liskeard, zabieraj nas stąd!

Kapitan natychmiast wybrał nowy kurs.

Na chwilę przed tym, jak Gruba Berta skoczyła w nadprzestrzeń, Garvin dostrzegł małą kropkę nurkującą pionowo na fortecę Gegena. W rzeczywistości był to pancernik Bayantiego.

–Cholera! – mruknął Ben, widząc ten samobójczy atak. – Co się stało? Myślicie, że dopadli Gegena?

**–Nie wiem – rzucił Garvin w chwili, gdy ekrany pokryły się szarością nadprzestrzeni.
– Nie obchodzi mnie to. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.**

Nadprzestrzeń

Żaden z tuzina żołnierzy, którzy byli akurat w pomieszczeniu wyposażonym ostatnio w „dodatkową instalację wentylacyjną” nie usłyszał cichego syku. W zasadzie powinno ich być tu więcej, ale kiepsko przebiegający atak na planetę nie pozwalał niektórym na spokojny wypoczynek.

Gaz nie należał do trujących. Njangu, który o tym zdecydował, został wprawdzie oskarżony przez Bena i Alikhana o miękkie serce i braki w pomyślunku, lecz wyśmiał ich posądzenia o sentymentalizm i stwierdził, że tylko obawia się o przecieki w prowizorycznej instalacji. Nie chciałby, aby zginął ktoś ze swoich.

–Chociaż dla was zrobiłbym wyjątek – mruknął pod nosem.

Tylko jeden żołnierz zauważył coś, zanim stracił przytomność. Po paru minutach ludzie w skafandrach sprawdzili salę, z zadowoleniem pokiwali głowami i zostawili bezwładne ciała do późniejszego wyniesienia.

Dwóch żołnierzy biegło korytarzem z blasterami w rękach. Patrzyli przed siebie, nie dostrzegli więc Szczęściarza przycupniętego za przewodem wentylacyjnym. Celując starannie z małego pistoletu, który jeszcze ojciec jego ojca nosił dla obrony przed złośliwymi dużymi ludźmi, Filip strzelił im po kolei w głowę i parsknął na wspomnienie, jak to Lir nie chciała go uzbroić na Cayle IV.

Zeskoczył na jedno z ciał i poszedł szukać nowych celów.

Biegący Niedźwiedź wydawał pospiesznie broń z otwartego magazynku. Bez większego zdziwienia zauważył, że w kolejce większość stanowią autentyczni cyrkowcy.

Siedmiu w szarych mundurach próbowało przebiec przez pomieszczenie z klatkami. Nagle usłyszeli jakieś warczenie. Obrócili się. Szły na nich dwa niedźwiedzie z uniesionymi i rozpostartymi przednimi łapami.

Zaczęli strzelać, jednak zwierzęta kroczyły dalej jakby nigdy nic. Były tuż przy nich, już otwierały paszcze...

Jedyny żołnierz, który trzymał się na nogach, chciał uciekać, ale wpadł na ścianę. Oparł się o nią plecami i znowu strzelił.

Niedźwiedź był coraz bliżej, krew kapła mu z pyska.

Oszalały z przerażenia żołnierz obrócił blaster i strzelił sobie w usta.

Operator robota, który widział to z bliska na ekranie, czym prędzej odwrócił się od pulpitu.

Na całym statku grzmiał Marsz pokoju. Członkowie trupy ruszyli szukać broni.

Żołnierz cofał się korytarzem, przed sobą miał plecy jednego z kompanów. Nie dosłyszał, jak obok otworzył się właz.

–Pamiętasz mnie? – spytał ktoś cicho.

Obrócił się. Przed nim stał Sunya Thanon z nożem ogrodniczym w ręku. Zakrzywiona lśniąca klinga zagłębiła się w oku mężczyzny. Ranny, zwijając się z bólu, upadł na podłogę. Thanon przykląkł i przejechał sierpowatym ostrzem po gardle żołnierza.

–Smakuje? – syknął.

Drugi żołnierz obrócił się i uniósł blaster, ale Phraphas Phanon strzelił do niego przez otwarty właz.

–Dobrze – powiedział Thanon. – To było za wszystkie okrucieństwa, które popełnił.

Phanon pokręcił głową.

–Nie powinienes, ale rozumiem...

Jakimś sposobem konie wyrwały się z zagrody i ganiały teraz w panice po centralnej arenie.

Rudi Kwiek wraz z żonami próbował zagonić je z powrotem, między innymi pukając ze straszaka.

Jakiś żołnierz zobaczył broń w ręku Kwieka i strzelił. Chybił, jednak odłamki stalowego pokładu zraniły Roma w nogę. Krzyknął z bólu i upadł.

Żołnierz skierował lufę na rannego.

Leżąca wysoko w górze, na tyłach kapsuły dowodzenia, Montagna tylko raz ściągnęła język spustowy. Żołnierz obrócił się i martwy runął na pokład.

Darod uśmiechnęła się ponuro i poszukała innego celu.

Grupa żołnierzy schowała się za prowizoryczną barykadą. Nagle usłyszeli warczenie i prychnanie, po czym ujrzeli Alikhana w towarzystwie Bena Dilla.

Ktoś strzelił i obaj legionieści poszukali ukrycia.

Nagle uchylił się włącz w suficie i Monique Lir zasypała żołnierzy ogniem z ciężkiego blastera.

Jeden poderwał się zza barykady i Alikhan trafił go kwasem, wypalając mu sporą dziurę w piersi.

Ben Diii rozejrzył się za jakimś przeciwnikiem, ale zobaczył tylko ciała.

–I znowu nic dla mnie nie zostało! – warknął.

Erik Penwyth strzelił kolejno do dwóch, uznał ich za martwych, przeskoczył przez ciała i pobiegł dalej.

Jeden z postrzelonych poruszył się, sięgnął do broni, złożył się i trafił Erika w bok. Penwyth zwinął się z bólu, odruchowo odczepił granat od pasa i cisnął nim w przeciwnika.

–Lekarza! – jęknął. – Lekarza, do cholery!

Żołnierz uciekał jak najdalej od tego potwora, który pozbawił życia trzech jego kolegów, mężczyzny z twarzą i piersią pomalowaną w białe i czarne pasy, który miał na sobie tylko skórzaną przepaskę i legginsy. Dwóch zastrzelił z małego pistoletu, trzeciemu rozłupał głowę małą siekierką.

Żołnierz uciekał, jakby w nadziei, że znajdzie gdzieś wyjście z tego statku. Jak najdalej od tego koszmaru.

Nagle ujrzał jakieś zwierzę, nie większe niż jego ramię, które przebiegło mu drogę i przemknęło tuż obok prętów jakiejś klatki. Odruchowo skręcił za nim i uniósł blaster, żeby je zabić, gdy spomiędzy prętów wystrzeliła czarna pazurzasta łapa, rozdarła mu mundur i przycisnęła do krat.

Chwilę później Muldoon rozdarł mężczyźnie szyję. Trysnęła krew.

Tia wyjrzała zza rogu, zobaczyła ciało i rozmruczała się głośno. Muldoon zawtórował jej, oblizując zakrwawioną łapę.

Żołnierz przykucnął za wózkiem kłownów na centralnej arenie. Chciał ustrzelić kryjącą się w górze Darod, nie dostrzegł jednak macki raTelana, która nagle objęła go w pasie. Chciał się obrócić, strzelić do ośmiornicowatego, ale ten z rozmachem zmiądzzył go o grodz.

Ra'felan zastanowił się przelotnie, czy ma coś przeciwko zabijaniu, uznał, że w tej

sytuacji nie, i wrócił na pomost, aby zaczekać na kolejnego żołnierza.

Korytarzami niesły się krzyki głośniejsze niż Marsz pokoju.

–Dalej kmiotki, wylazić!

–Nie chować się!

Cała trupa przeszukiwała statek. Niektórzy z Masterami, inni tylko z tym, co pierwsze wpadło im w ręce.

Dwóch cyrkowców było rannych, pięcioro zginęło, ale wszyscy żołnierze zostali unieszkodliwieni.

–No i dobrze – powiedział Garvin. – Załatwione. Załadujmy tych śpiących rycerzy do szalupy i wystrzelmy w zwykłą przestrzeń. Nie obchodzi mnie, co się z nimi stanie.

–Jakie rozkazy, sir? – spytał Liskeard.

–Pora na pierwszy skok w kierunku Centralnego – stwierdził Garvin i przebiegło mu przez głowę, że oto być może wypowiada historyczne słowa.

–Tak jest – odparł Liskeard, ale nagle coś go zastanowiło. – Sir, czy moglibyśmy z tym chwilę poczekać? Muszę coś sprawdzić z moimi elektronikami.

Garvin uniósł brwi. Historyczną chwilę diabli wzięli.

–Jasne.

Liskeard połączył się z kimś, wysłuchał go i pokiwał głową.

–Przepraszam, że wcześniej o tym nie meldowałem, sir, ale nasi ludzie złapali jakiś dziwny przekaz.

–Skąd?

–Z naszego statku. Próbowali wysledzić źródło, ale się nie udało.

Garvin zamrugał.

–Dokąd był skierowany?

–Tego też nie wiemy. Wysłano go jednak, gdy skoczyliśmy, i ponownie, gdy wyszliśmy z nadprzestrzeni.

–Chcę pełen meldunek – powiedział Garvin. – Natychmiast. I wstrzymać skok.

Yoshitara, Ristoriego i Froudego na mostek. Natychmiast.

–Gdyby to nie było mało prawdopodobne, powiedziałbym, że ktoś podrzucił nam pluskwę na Cayle IV – stwierdził Froude.

–Ktoś i owszem, zrobił to – powiedział Njangu i przypomniał o nadajniku Kekri. – Jednak sprawdziłem rejestrator i jestem pewny, że ani razu nie był używany. Niemniej Bertl obiecał jej, że zabiorą ją od nas w stosownym czasie. Może nie kłamał.

–Ciekawe, coraz ciekawsze – mruknął Ristori. – Czy mogę coś zaproponować?

–Oczywiście.

–Załóżmy na razie, że jednak coś nam podrzucono. Czy nie dałoby się przesunąć tamtego skoku, a tymczasem udać się gdzie indziej? Wylądujemy w jakimś nie zamieszkanym układzie i porządnie przeszukajmy statek.

Garvin zastanowił się. Njangu pokiwał głową.

–W tej sytuacji nie ma co żałować czasu – orzekł po chwili.

Nieznany świat

Erik Penwyth patrzył ponuro na ekran, podczas gdy Berta podchodziła do lądowania.

–Pięknie i zielono, mnóstwo wody i żadnych mieszkańców?

–Jeśli są, to dobrze się kryją i nie korzystają z żadnej znanej nam częstotliwości – odparł Garvin.

–Tak... Ani chybi prawdziwy Eden.

–Oczywiście – powiedział Njangu. – Ten układ chyba nie ma żadnej nazwy, więc może być. Eden IV.

–A potem okaże się, że pod każdym krzakiem czai się jakiś potwór.

–No dobrze – mruknął Njangu. – Żeby cię uszczęśliwić, nazwiemy układ Eden, a tę planetę Lonrod, na cześć twojej ukochanej. Może być?

Penwyth zastanawiał się przez chwilę.

–Chyba tak, skoro Karo i ja nie zamierzamy się nigdy rozstawać... – odrzekł i znowu się zamyślił. – Chociaż nie. Może jednak wrócimy do pomysłu z Edenem IV?

Ostatecznie okazało się, że potworów pod krzakami nie ma, Garvin zezwolił więc na wyprowadzenie zwierząt, żeby sobie pobiegały na świeżym powietrzu, niemal identycznym z tym, do którego przywykli ludzie. Załodze też pozwolił wyjść na zewnątrz, jednak pod warunkiem, że każdy weźmie broń i nikt nie będzie się zbytnio oddalał od statku.

Poza tym skierował wszystkich, którzy mieli jakieś pojęcie o elektronice, do poszukiwania źródła sygnału. Niestety, nikt nie wiedział, co go wyzwoliło, sprawa więc wydawała się przegrana. Chyba żeby wykonali następny skok...

Technicy przeszukali całe spektrum fal radiowych, jednak bez rezultatu. Njangu włączył dwa razy nadajnik Katun, ale i z tego nic nie wynikło.

W coraz paskudniej szym humorze pracowali całymi godzinami, które rozciągnęły się w końcu do czterech miejscowych dni.

Na darmo.

Podobnie jak jego podopieczni, Emtton wstawał bardzo wcześnie. Razem witali świt i po całym dniu razem wracali spać.

Przeprowadził sześć ziewających kotów przez zagrody zwierząt. Tia znowu udała po drodze atak na klatkę Muldoona. Gdy wyszli na trap, jeden z kotów stanął na tylnych łapach i zasalutował przednią. Tak, jak go nauczył Emtton. Wartownicy skrzywili się, ale oddali salut.

Zeszli na pokrytą rosą trawę, akurat gdy znad horyzontu wyrżał rąbek tarczy słonecznej.

Koty zajęły się swoimi naturalnymi potrzebami. Chwilę potem Tia spróbowała zaczepić innego kota, dostała dwa razy łapą, ruszyła więc przez trawę w poszukiwaniu kłopotów. Nie natrafiwszy na nic dość ciekawego, wróciła pod statek i zainteresowała się jednym z wielkich wsporników ładowniczych Berty.

Tak jak w poprzednich dniach, obwąchała metalową konstrukcję, aż znalazła miejsce, które wprawdzie nie pachniało za dobrze, lecz idealnie nadawało się do innych celów.

Głośno mruczając, wzięła się do ostrzenia pazurów. Z początku wolno, potem coraz szybciej, zostawiając coraz głębsze ślady.

Emtton podszedł do niej.

–O Boże... – jęknął. – Tia, zostaw! Niszczysz nam statek!

Kotka raz jeszcze przejechała łapą po nowym drapak, żeby pokazać, kto tu rządzi. Emtton trącił ją lekko palcem w okolice ogona.

–Boże – powtórzył, patrząc na poorly pazurami osłone, spod której wyglądały poszarpane obwody. – Boże... Lepiej będzie komuś o tym powiedzieć.

–Niech mnie... – mruknął Garvin, wpatrując się w dzieło Tri. Dookoła wspornika zebrał się już tłum.

–Przepraszam, sir. Tia nie chciała nic złego...

Garvin dopiero teraz zwrócił uwagę na Emttona i całe zgromadzenie.

–Panie Emtton, mam wrażenie, że wyświadczył nam pan wielką przysługę – powiedział oficjalnym tonem. – Jeśli potwierdzą się moje przypuszczenia, będzie pan mógł liczyć na sporą premię, gdy wrócimy do domu.

Emtton zamrugał zdumiony. Garvin spojrzał na Njangu.

–Mógłbyś usunąć osoby postronne?

–Jasne. – Njangu zawołał swoich ludzi i kazał im pogonić gapiów.

–Czy to jest to, co myślę? – spytał Garvin przyglądającego się znalezisku elektronika.

–Hmm, statki kosmiczne są zwykle odporne na kocie pazury. – Elektronik przyklęknął i przesunął palcem po rozdarciu. – Widzi pan, jak mało wystaje to poza obrys kadłuba? Przypuszczam, że przymocowano to albo na magnesy albo jakimś superklejem.

–Zatem tak mogli nas śledzić. Przywiązali nam znacznik do ogona – zauważył Garvin, po czym odprowadził Froudego i Ristoriego na bok. – Myślicie, że tego właśnie szukaliśmy?

–Na to wygląda – powiedział Ristori.

–Ale jak toto kontaktowało się z tymi, którzy je tu umieścili?

–Może przez sieć sond szpiegowskich podobnych do tych, które wykorzystaliśmy przeciwko Redruthowi – odparł Froude. – Albo za pomocą samonaprowadzających się rakiet rozpoznawczych. Jeśli założymy, że przyczepiono nam to na Cayle IV, co wydaje się logiczne, mogło być tak, że gdy startowaliśmy, odpalili pierwszą raketę, która weszła za nami w nadprzestrzeń i tam wyłapała drugi sygnał. Potem wróciła do normalnej przestrzeni, przekazała namiar drugiej rakiecie, a ta skoczyła za nami, gdy opuszczaliśmy układ. Tak zatem rakiety, czy może raczej sondy, były zapewne dwie i nieustannie przekazywały sobie namiary, aż dotarły za nami tutaj. Byłby to dość zaawansowany system, lepszy od naszego, co każe mi przypuszczać, że nie wymyślono go na Cayle IV. Może został dostarczony przez Konfederację albo przez któryś ze światów naukowych. Tak czy owak, zamierzam go skopiować, gdy już wrócimy na Cumbre.

Njangu, który tymczasem podszedł do nich, usłyszał większą część wywodów Froudego.

–Można więc oczekiwać, że za jakiś czas pojawi się w tym układzie kolejna taka sonda? – zapytał.

–Właśnie. A my musimy ją odszukać. Igła w stogu siana. To zajmie nam trochę czasu...

–Możliwie, że nigdy jej nie znajdziemy – wtrącił Ristori.

–Chyba że zamiast sondy zjawi się parę okrętów wojennych – powiedział Njangu.

–A to dlaczego? – spytał Froude.

–Powiedzmy, że za sprawą czegoś, co zdarzyło się na Cayle IV już po naszym odlocie – wyjaśnił Njangu.

–Cholera... – mruknął Garvin, przypominając sobie o bombie.

–Oczekiwałbym najgorszego... albo zgoła nic, o ile trafiliśmy właściwe osoby – powiedział Njangu. – Myślę jednak, że nie zaszkodzi, jeśli pošlemy patrol na skraj atmosfery. Niech tam czekają z włączonymi czujnikami.

–Chaka i jego ludzie potrzebują treningu.

–Dobry pomysł – zgodził się Garvin. – A teraz odczepmy to cudeńko i zobaczmy, co takiego ma w środku. Tylko ostrożnie, może w nim być mina pułapka na ciekawskich.

Na zewnątrz panował półmrok, na pokładzie dobiegała końca pierwsza psia wachta. Erik Penwyth z utęsknieniem czekał na zmianę. Był głodny, a nie zagojony do końca bok wciąż go bolał.

Wokół Berty nic się nie działo. Większość ludzi jeszcze kończyła śniadanie.

Nagle Erik złowił kątem oka jakiś błysk. Wciąż niepewny, czy ta planeta jednak nie kryje jakichś niespodzianek, cofnął się do śluzy po lornetkę.

Na skraju niskiego lasu stały dwie postaci. Obie były ciemnoskóre i bardzo włochate, jakby porośnięte futrem. Trzymały się niemal prosto. Na szyi jednej z nich coś błyszczało – kamyk na rzemieniu?

Potem obie nagle zniknęły.

Penwyth zastanowił się nad nazwą, którą nadał układowi oraz planecie, i skrzywił się ponuro. Może i tak. A może nie.

Dwa dni później jeden z patrołowców klasy Nana zameldował, że coś się pojawiło. Dokładnie rzecz biorąc, trzy krążowniki liniowe z dawnej floty Konfederacji.

Garvin nakazał patrołowcom wyjść poza atmosferę i czekać w ukryciu.

Kilka minut później radyjko Kekri ożyło i odebrało kilka wiadomości. Njangu oczekiwał czegoś takiego.

Wcześniej złamali już szyfr, którym posługiwało się urządzenie. W odpowiedzi przeciwnik otrzymał zniekształcony przez szumy statyczne pełen zestaw danych na temat głównego napędu Berty.

Yoshitaro spodziewał się, że zajmie to na jakiś czas łącznościowców na krążownikach.

–Po raz pierwszy chcą danych z tego nadajnika – powiedział Garvin swojemu sztabowi. – Jeśli jeszcze wziąć pod uwagę to, co się stało niedawno na Cayle IV, przyszła niewątpliwie pora na działanie. Mam dość roli zwierzyny – dodał z ponurym uśmiechem.

Z ładowni Berty wyleciały trzy aksaie. Powoli zaczęły nabierać wysokości. Przebiły grubą warstwę deszczowych chmur i skierowały się nad atmosferę. Za ich sterami siedzieli Diii, Boursier i Alikhan.

Piloci nie rwali przesadnie do przodu. Powód był prosty: pod skrzydłami maszyn wisały po dwa wyciągnięte z tajnych zbójowni Berty pociski rakietowe typu Goddard, długie na sześć metrów cylindry o średnicy sześćdziesięciu centymetrów.

Liskeard miał nadzieję, że wachtowi na pokładach krążowników okażą się raczej niedbali i widząc, że statek się nie porusza, nie będą zwracać przesadnej uwagi na odczyty radarów. To był kolejny powód, że aksaie nie rozwijały pełnej szybkości: czujniki zbliżeniowe wrogich okrętów mogły być nastawione na wykrywanie celów nadlatujących ze znaczną prędkością.

Krążowniki wisały na orbicie geosynchronicznej dokładnie nad Grubą Bertą, w połowie drogi między Edenem IV a samotnym księżycem planety.

Aksaie wyszły z atmosfery, odczekały, aż planeta znajdzie się między nimi a krążownikami, i z pełną szybkością ruszyły w próżnię.

Gdy dotarli w pobliże księżyca Edenu IV, zmieniły kurs i „spadły” na wrogie krążowniki.

Ben Diii wpatrywał się w rosnące na ekranie sylwetki.

–Siedzą spokojnie i czekają... biedactwa – mruknął pod nosem i włączył mikrofon. – Tu Diii jeden... atakujemy zgodnie z planem.

Byli ledwie tysiąc kilometrów od przeciwnika, gdy uaktywnili systemy naprowadzania goddardów. Chwilę później podwójne piśnienie oznajmiło, że oba pociski „widzą” cel, którym był najbliższy z krążowników.

–Diii jeden... podchodzę. Cel namierzony. Odpalam jedynekę... odpalam dwójkę. Wycofuję się.

–Tu Alikhan... mierzę w środkową jednostkę. Pierwszy goddard poszedł. Drugi poszedł.

–Boursier. Biorę ostatniego. Jedyńka poszła. Dwójka poszła.

Wydawało się, że na krążownikach aż do końca nie ogłoszono alarmu. Po chwili potężne jednostki zmieniły się w trzy kule rozżarzonego gazu. Wszystkie rakiety trafiły w cel.

–Berta, mówi ukochany syn pani Diii. Wracamy z miotłą na maszcie. Załatwiliśmy ich na czysto.

–Dobra, skoro nikt nam już nie siedzi na ogonie, lecimy na Centralny – oznajmił Garvin.

–Start za trzydzieści sekund – powiedział Liskeard.

Nadajnik Kekri, jak i lokalizator, zostawili na planecie. Ot tak, na wszelki wypadek, gdyby kryło się w nich coś jeszcze.

Zaraz potem Berta wystartowała i zniknęła w chmurach.

Dwa dni później do osobliwych przedmiotów podeszła ta sama para naczelnych, którą zdarzyło się dostrzec Penwythowi. W końcu zebrali się na odwagę.

Samica nosiła na szyi rzemyk z nanizanym kawałkiem lśniącej miki.

Dotknęła ostrożnie nadajnika, który pisnął w odpowiedzi.

Samica krzyknęła i rzuciła się do ucieczki. Samiec pobiegł za nią.

Nigdy już nie wrócili w to przeklęte miejsce.

Nieznany układ

Njangu i Garvin wcisnęli się na zatłoczony mostek i znaleźli sobie miejsce z boku.

Na ekranach wirowały barwy nadprzestrzeni.

Njangu dostrzegł, że oficer łączności pociąga nosem, jakby chciał zidentyfikować unoszący się w powietrzu zapach. Yoshitaro mógłby mu powiedzieć, że to woń strachu stojących wokół ludzi, niepewnych, co ich spotka w tym układzie, ale zmilczał. Był pewien, że mężczyzna sam szybko to zrozumie.

Garvin wymienił spojrzenie z Liskeardem i skinął głową.

–Mamy wprowadzone dane z Cayle? – spytał kapitan oficera siedzącego przed głównym ekranem.

–Tak. Wszystko gotowe.

Liskeard włączył mikrofon.

–Pogotowie bojowe na wszystkich stanowiskach – rozkazał. – Uszczelnić pomieszczenia, meldować stan na bieżąco.

–Wszystkie grodzie zamknięte, sir.

–Przygotować się do wyjścia z nadprzestrzeni... na mój znak... już!

Ekrany pociemniały. Gruba Berta znalazła się w normalnej przestrzeni, całkiem niedaleko otoczonej pierścieniami planety.

–Odbieram sygnał na częstotliwości patrolowej. Treść: N... N... N... Źródło mieści się na jednym z dwóch księżyców widocznych na ekranie dwa A.

–Mamy kolejny sygnał. C-dziewięć-osiem-A-R-dwa.

–Chwilę. Odpowiedzcie cztery-I-X-dwa-dwa.

–Sygnał wysłany. Czekamy. Jest odpowiedź C-C-C.

–To zgoda na przejście.

Rozległo się powszechne westchnienie ulgi.

–Przygotować się do następnego skoku – rozkazał Liskeard. – Dwadzieścia sekund...

–Aktywność na powierzchni planety!

–Identyfikacja?

–Statki... kilka statków startuje. Poprawka. To pociski raketowe.

–Zostaliśmy namierzeni.

–Uaktywnić osłonę.

–Osłona aktywna. Próbujemy przejąć kontrolę nad pociskami.

–Dwanaście sekund do skoku.

–Pociski dojdą za... trzydzieści sekund. Idzie ich na nas dziesięć. Poprawka. Cztery skoczyły w nadprzestrzeń. Brak zamiaru. Sześć w normalnej przestrzeni. Zostały im dwadzieścia cztery sekundy.

–Sześć sekund do skoku.

–Cztery pociski wyszły z nadprzestrzeni. Namierzają nas.

–Dwa przejęte. Trzy zbite z kursu.

–Trzy sekundy do skoku.

–Jeden pocisk wciąż trzyma namiar. Trafienie za cztery sekundy.

–Skok!

Świat wkoło zawirował.

–Zaraz okaże się, czy nas zgubił... Przez kilka sekund panowała cisza.

–Zgubił.

–No.

–Dlaczego, u diabła, zaczęli do nas strzelać?! – wybuchnął Liskeard. – Przecież podaliśmy prawidłowe kody?

–Też mi się tak zdawało – przytaknął Garvin.

–Może kupili system u innego dostawcy?

–Może. Albo rdza tak im wszystko przeżarła, że samo zaczęło strzelać.

–Jeszcze jeden skok, potem Centralny.

–Nie wybiegaj za daleko.

–Cisza na mostku poza tym, co niezbędne.

Njangu zauważył, że przykry zapach się nasilił.

Nieznany układ

Ekranu ukazywały gromadkę drobnych planet skupionych na ciasnych orbitach wkoło słońca i kilka gazowych gigantów na obrzeżach układu. Punkt wyjścia z nadprzestrzeni znajdował się w pasie asteroid.

–Szereg metalowych obiektów! – zameldował radarzysta. – Kierują się na nas.

–Odpalenie z jednej z asteroid. Łącznie dwadzieścia siedem pocisków...

–Jakieś jednostki nadlatują od strony planet wewnętrznych. Chyba automatyczne myśliwce przechwytyjące.

–Nieznany obiekt kieruje się na statek. Prawdopodobnie kinetyczny satelita zderzeniowy. Dojdzie za trzydzieści pięć sekund.

–Metalowe obiekty, zapewne aktywne miny. Wysłać sygnał neutralizujący trzy-cztery-Q-Q-Q-trzy.

–Potwierdzam trzy-cztery-Q-Q-Q-trzy.

–Osłona przeciwrakietowa, przesłać pociskom sześć-sześć-siedem-osiemdziesiąt-dziewięć-zero.

–Przesyłam sześć-sześć-siedem-dziewięć-dziewięć-zero.

–Myśliwce przechwytyjące zniknęły w nadprzestrzeni.

–Przekazać im sygnał kodowy WAVEN.

–Potwierdzam WAVEN, czekam, aż ponownie się pojawią.

–Aktywność min ustała, sygnał zadziałał.

–Pociski dokonały samozniszczenia.

–Myśliwce w normalnej przestrzeni. Przekazuję WA-VEN. Bez efektu.

–Usiłujemy przejąć kontrolę nad myśliwcami. Nie widać skutku.

–Antyrakiety gotowe do odpalenia na rozkaz – poleciał Liskeard.

–Myśliwce wracają do nadprzestrzeni, otrzymałem sygnał RAFET, powtarzam, RAFET.

–RAFET oznacza przyjęcie polecenia. Wracają do bazy.

–Coś jeszcze chce się do nas dobrać?

Po chwili ciszy wszystkie stanowiska zameldowały, że dokoła panuje spokój.

–Nie obijać się – powiedział Liskeard. – Siedem minut do następnego skoku.

Capella

–Przygotować się do wyjścia z nadprzestrzeni – rozkazał Liskeard. – Jeśli cokolwiek wyleci za nami, spróbujemy kolejnego skoku. Ostatnim razem było o wiele za blisko.

–Cztery... dwa... jesteśmy!

Wyszli w układzie z jednym słońcem średniej wielkości i pięcioma planetami okrążającymi je na orbitach umożliwiających zasiedlenie przez ludzi. Czwarta krążyła zbyt blisko, trzy znajdowały się znacznie dalej.

–Capella – szepnął ktoś. Garvin miał wrażenie, że to jemu się wypsnęło.

–Macie coś? – zapytał.

Usłyszał szereg zaprzeczeń.

–Ktoś powinien pilnować tego układu – powiedział Liskeard.

–Może wolą zachować niespodzianki do czasu, aż wylądujemy – mruknął Njangu. Gardło miał wyschnięte na rzemień.

Capella/Świat Centralny

Niepokój Njangu nie uchował się długo.

Gdy zbliżyli się do Centralnego, łącznościowiec poprosił na standardowej częstotliwości o zgodę na lądowanie i normalne w takiej sytuacji instrukcje.

Musiał chyba kogoś obudzić, bo kontrola obszaru odpowiedziała dopiero po trzecim wywołaniu, polecając Bercie wejść na orbitę parkingową i czekać na „instrukcjowanie”.

Froude lekko się wzdrygnął.

–Instrukcjowanie? Cokolwiek tam się stało, nie uchowało się tam wielu nauczycieli wspólnego.

–Tak czy owak, lepiej będzie się przygotować – powiedział Njangu do Garvina.

Włożyli na siebie, co mieli najlepszego, ale pośpiech okazał się niepotrzebny, bo następne polecenia nadeszły dopiero po trzech godzinach. Kontrola obszaru kazała im się przygotować do przyjęcia na pokład drużyny inspekcyjnej.

Nie udało się zidentyfikować okrętu, który krótko potem ruszył w ich kierunku, co zdaniem Njangu musiało znaczyć, że został on zbudowany mniej niż osiem lat temu, kiedy to otrzymali ostatnie wydanie aktualizowanego niegdyś co roku katalogu flot.

–Wygląda na niszczyciel – powiedział Liskeard. – Przybliżcie go, jeśli możecie.

Technik powiększył obraz jednostki tak bardzo, że wydawała się odległa ledwie o pół kilometra.

–Ciekawe – mruknął Liskeard. – Wygląda na to, że wiele czasu spędza na dole, i to pod gołym niebem, nie w hangarze. Popatrzcie tylko na ślady korozji poszycia. Od dawna nie był w doku. Mało budujący widok.

Niszczyciel wyłączył napęd i wszedł na równoległą orbitę w odległości prawie dwóch tysięcy metrów od Grubej Berty, po czym wystrzelił dwa ściągacze magnetyczne. Jeden chybił, drugi przylgnął do kadłuba i zaczął przyciągać obie jednostki do siebie.

–Kiepscy są – sapnął Liskeard. – Ja bym takiej fuszerki nie odstawił.

W próżni pojawili się ludzie w skafandrach, którzy popłynęli ku głównej śluzie.

Tuzin przybyszów skierowano czym prędzej do głównej ładowni, gdzie czekali już na nich Garvin, Njangu, wystrojona stosownie do okazji Monique Lir, Froude (ale nie w stroju kłowna), Alikhan i Ben Diii (w efektownym stroju siłacza, na oko całkiem jednak niegroźny).

Ekipa inspekcyjna nie sprawdziła składu atmosfery na pokładzie. Wyraźnie uznała, że skoro gospodarze przypominają ludzi, muszą oddychać tym samym powietrzem, i niemal natychmiast zdjęła hełmy.

–Ale wielki statek! – powiedział głośno młodzieniec, który musiał dopiero co przejść mutację.

Monique zmarszczyła czoło na taki brak dyscypliny, ale czym prędzej się opanowała.

–Jestem haut Fenfer z Thermidora – odezwała się długowłosa kobieta, która wystąpiła przed grupę inspekcyjną. – Witajcie w Ludowej Konfederacji.

Garvin odnotował w myślach zmianę nazwy.

–Garvin Jaansma z Cyrku Jaansma – powiedział. – A to jest moja ekipa.

–Skąd przybywacie?

Garvin zdecydował, że nie wspomni ani słowem o Cumbre.

–Z Grimaldiego – skłamał.

–Nie słyszałam o tym układzie – stwierdziła Fenfer i ktoś za jej plecami parsknął z cicha.

–Wasz cel przybycia do Konfederacji?

–Chcemy zabawiać ludzi na Centralnym i innych światach układu.

Fenfer zawahała się.

–Musicie mi wybaczyć... to pierwszy statek, który inspekcjuję.

Njangu z trudem zachował pokerową twarz.

–Mieście jakieś problemy z dotarciem do Capelli? – spytała Fenfer.

–Żadnych – powiedział Garvin. Fenfer spojrzała na niego zdumiona:

–To dobrze. Czy macie jakąś kontrabandę?

–Po raz pierwszy odwiedzamy Capellę – wyjaśnił Garvin. – Nie wiemy, co jest tutaj kontrabandą.

Fenfer wyjęła z torby listę i zaczęła czytać:

–Broń strzelecka i pochodna, wywrotowe materiały propagandowe, narkotyki nie aprobowane przez Konfederację... – Lista była bardzo długa, ale Garvin przy każdej pozycji kręcił głową.

–Nie mamy nic takiego. Poza niebezpiecznymi zwierzętami, które biorą udział w przedstawieniu, ale przebywają w klatkach i zawsze są należycie strzeżone.

–Jest pan pewien?

–Oczywiście.

–Sądzę, że obecność zwierząt nie stworzy problemu – stwierdziła Fenfer. – Nie ma pan nic przeciwko temu, że trochę się rozejrzymy?

–Oczywiście, że nie. Moi ludzie chętnie oprowadzą was po całym statku.

–Bardzo dobrze – rzekła Fenfer i odwróciła się do swojej drużyny. – Postępować zgodnie z instrukcjami. – Znów spojrzała na gospodarzy. – Zakładając, że nie będzie żadnych kłopotów, mam polecenie doprowadzić pana, gafferze Jaansma, jako osobę odpowiedzialną za ten statek i ludzi na jego pokładzie, przed danta Romolo, naszego dowódcę floty, który jest obecnie na jednostce flagowej.

–To będzie dla mnie zaszczyt – powiedział Garvin. – Czy możemy ruszać natychmiast? Nie chciałbym, żeby dant Romolo na nas czekał.

Fenfer kiwnęła głową i zrobiwszy w tył zwrot, przeszła z obojętnym uśmiechem tuż obok Monique Lir.

Lir z uprzejmości nie zmarszczyła nosa.

Miałyby powód, chociaż trudno było orzec, czy to skafander Fenfer nie był długo w pralni, czy też jego właścicielka omijała łazienkę.

Okręt Fenfer, niszczyciel Thermidor, też nie świecił czystością. Grodzie i pokłady były wprawdzie umyte, jednak nader pobieżnie. Podobnie było z załogą, która na dodatek w dużej części nosiła do mundurów cywilne elementy garderoby.

Yoshitaro nie przywiązywał wagi do wypolerowanego obuwia i zaprasowanych na kant mundurów, co dla wielu było miarą wojskowego ducha, jednak potrafił poznać, czy ma do czynienia z dobrze wyszkolonymi i pewnymi swoich umiejętności

żołnierzami.

Załoga tego niszczyciela zachowywała się zaś niczym marynarze na dwa tygodnie przed zejściem na ląd i chyba tak naprawdę na niczym innym jej nie zależało.

Garvin zdumiał się, że dowódca Thermidora nie zszedł z mostka i nie zajrzał do pomieszczenia obok śluzy, w którym go ulokowano. Naprawdę nie był ciekaw, kto przyleciał?

Zagadnął strażnika, dość przyjaźnie nastawionego deca z kwatermistrzostwa. Okazał się on bardzo ciekaw cyrku, lecz stwierdził z żalem, że nie wie, czy dostanie przepustkę na czas jego występów.

Garvm obiecał decowi, że jeśli tylko dopisze mu szczęście, sam oprowadzi go po całym cyrku, po czym spytał, dlaczego dowódca okrętu nie przyszedł przywitać gościa.

Kwatermistrz spojrzał niespokojnie na ścienny głośnik i odparł przyciszonym głosem:

–Nie wie jeszcze, co o was myśleć.

–To dlaczego nie przyjdzie porozmawiać? Wyrobiłby sobie zdanie.

–Nie, nie o to chodzi – powiedział dec. – Jeszcze nie dostał instrukcji, co ma o was myśleć.

Mimo nalegań nie chciał wyjawic, od kogo miałyby przyjść wspomniane instrukcje, i odetchnął z ulgą, gdy z głośnika rozległ się komunikat, iż za siedem minut zacumują u burty jednostki flagowej.

Pancernik Corsica mierzył ponad dwa kilometry długości i nawet jak na swoją klasę był bardzo ciężko uzbrojony. Pokrywy wyrzutni pocisków raketowych przeplatały się ze stanowiskami artylerii obrony bezpośredniej.

Wszystko na nim lśniło, załoga nosiła idealnie czyste mundury i salutowała jak z podręcznika, przed śluzą zaś wisiało zmieniane zapewne co jakiś czas hasło.

To akurat głosiło: „Wiele potu na ćwiczeniach to mniej krwi w boju”. Było to jedno z większych oszustw, z jakimi zetknął się Njangu. Jego zdaniem prawda była nieco inna: „Wiele potu na ćwiczeniach to wiele krwi w boju. Mało potu na ćwiczeniach to jeszcze więcej krwi w boju”.

Po dłuższej chwili doszedł do wniosku, że na pokładzie pancernika jest aż za porządnie.

Adiutant, który w ogóle się nie przedstawił, przeprowadził ich przez sekretariat ze strasznie zajęтым młodszym oficerem i zastukał do gabinetu dowódcy. Pomieszczenie urządzone było raczej skromnie, urozmaicono je kilkoma dość chaotycznie rozrzuconymi na ścianach projekcjami komputerowymi i jednym holo przedstawiającym raczej mało atrakcyjną kobietę.

Dant Romolo był niski, miał okrągłą twarz i przerzedzone włosy. Widać nie był dość próżny, żeby przywrócić sobie młodzieńczą czuprynę. Miał też pierwsze oznaki typowej dla wieku średniego otyłości. Nie znaczyło to wszakże, aby robił wrażenie mało zdecydowanego. Pomarszczona przedwcześnie twarz była stanowcza, oczy spoglądały wręcz zimno. Njangu kojarzył się on z nieświętej pamięci Redruthem i wcale mu się to nie podobało. – Witam w Ludowej Konfederacji – powiedział dant z lekkim naciskiem na „Ludowej”. Być może krył się w tym nawet pewien sarkazm. – Pochodzicie z Grimaldiego?

–Tak, sir – odparł Garvin.

–Z moich rejestrów wynika, że to ledwie co skolonizowany układ.

Garvin nie krył zdumienia.

–Został zasiedlony z czterysta lat temu. Jest bazą wędrownych cyrków, takich jak mój.

–No cóż – powiedział Romolo – podczas ostatnich... zmian w Konfederacji straciliśmy wiele zapisów, czy to przypadkiem, czy wskutek różnych błędów. Wielu nie udało się do dzisiaj odtworzyć.

–Zmian w Konfederacji, sir? – zagadnął Garvin. – Nic o tym nie wiemy. Na światach, na których ostatnimi czasy lądowaliśmy, słyszeliśmy tylko tyle, że wszyscy stracili kontakt z Konfederacją. Nie spotkaliśmy też żadnych jednostek wojskowych, które miałyby łączność z Centralnym – dodał nieco ryzykownie, jednak tonem, w którym pobrzmiwała szczerza troska. – Co się stało, sir?

Romolo ostrożnie zaczerpnął powietrza.

–Parlament Konfederacji przeszedł szereg szybkich przemian wywołanych długim okresem napięcia. Doszło do tego kilka lat temu. Nowi parlamentarzyści są bardzo zajęci odbudową ojczystych światów i zaprowadzaniem porządku, tak że niestety nie zdołali jeszcze wyłonić nowego rządu, który zadbałby o sprawy stanu. To przykre, ale mamy nadzieję, że sytuacja zmieni się w najbliższych latach.

Garvin wiedział, że nie powinien podejmować tematu, ale nie mógł się powstrzymać, by nie zaczerpnąć informacji z takiego źródła.

–Sir, to, co widzieliśmy po drodze na Centralny... co było zresztą moim wielkim marzeniem... najlepiej można opisać jako kompletny chaos. Wszyscy bardzo potrzebujemy Konfederacji.

Romolo zacisnął wargi i energicznie pokiwał głową.

–Wcale mnie to nie dziwi. Jeśli można, chciałbym o coś spytać... Czy mieliście jakieś kłopoty z dotarciem na Capellę?

–Musieliśmy wymykać się ludziom, którzy twierdzili, że są obrońcami Konfederacji. Ostatni raz ledwie kilka skoków stąd. Poza tym część światów, na których chcieliśmy występować, okazała się mało przyjazna.

–Ale nic więcej?

–W zasadzie nie, ale co pan dokładnie ma na myśli?

Romolo nie odpowiedział. Zastanawiał się.

–To ciekawe – rzekł w końcu. – Bardzo ciekawe. Mam wrażenie, że najlepiej będzie, jeśli przejrzymy wasz dziennik pokładowy.

–Z przyjemnością go udostępnię, sir.

–Ale to później. Jestem pewien, że chcielibyście jak najszybciej wylądować.

–Mamy za sobą długą serię skoków, sir.

–Z chęcią dam wam zgodę na lądowanie w miejscu wyznaczonym przez Ludowy Parlament i zarekomenduję, żebyście otrzymali pozwolenie na występy i swobodne poruszanie się po Centralnym. W ciągu doby dostaniecie pilota, który pomoże wam przy lądowaniu.

–Dziękuję, sir. Mam nadzieję, że znajdzie pan czas, aby zawitać do nas w gości.

–To mało prawdopodobne – odparł Romolo. – Moje obowiązki tutaj, z dala od Centralnego, nie zostawiają mi ani jednej wolnej chwili – wyjaśnił, jednak wcale nie wydawał się tym przygnębiony. – Chociaż pamiętam, jak matka wzięła mnie kiedyś do cyrku – powiedział, usiłując zapewne ukazać się od bardziej ludzkiej strony. – Pamiętam różne zwierzęta i ludzi, którzy robili zdumiewające, naprawdę zdumiewające rzeczy – dodał i uznawszy chyba, że już starczy tego sentymentalizmu, rzucił: – To wszystko. Życzę powodzenia.

–Czy mógłbym spytać o jeden ze światów pogranicza...? – odezwał się Yoshitaro. – Od dawna nic mi o nim nie wiadomo, a mam tam brata, który służy w siłach

zbrojnych Konfederacji. – Tym razem Njangu starał się wyglądać jak ktoś szczerze zaniepokojony.

–Moi pisarze w sekretariacie mają dostęp do wszystkich zapisów Konfederacji – powiedział Romolo, lekko zdziwiony, że ktoś może okazywać tak wielką braterską troskę. – Proszę spytać kogoś, zanim wróci pan na swój statek.

Niewiele brakowało, by Garvin uniósł dłoń do salutów, wykonał sprężyste w tył zwrot i z przytupem wymaszerował z admirałkiej kabiny.

–Może pan powtórzyć, jak nazywał się ten świat? – spytała kobieta przy komputerze.

–Cumbre – odparł Njangu. – Cumbre D. Brat pisał, że wszystkie planety w tamtym układzie są opisane literami.

Kobieta wpisała nazwę i pokręciła głową.

–W głównym banku danych Konfederacji nic o nim nie ma, podobnie jak na naszych mapach gwiazdnych. A jak nazywała się jednostka, do której trafił pański brat?

–O ile pamiętam, Grupa Uderzeniowa „Szybka Lanca”. Jej dowódca nazywał się Williams.

–Przykro mi, ale o niej też niczego nie mam. Być może źle zapamiętał pan nazwę jednostki. Radzę sprawdzić w zapisach armii na dole.

–Cholera – mruknął Garvin, zdejmując hełm w słuzie Berty.

–Nie przeczę – zgodził się Njangu.

–Trzeba coś wypić.

–Jak najbardziej. I pogadać z Froudem i Ristorim.

–Lęgnie mi się w głowie kilka ciekawych teorii – powiedział Froude. – A tobie, Jabish?

–Takoż, chociaż moje nazwałbym zdumiewającymi albo wręcz absurdalnymi – odparł Ristori. – Naprawdę nie macie nic lepszego do picia?

–Niestety – mruknął Njangu. – Ale chcę poznać wszystko, co tylko wam się roi. Nie wydaje mi się, żebyście doszli do dziwniejszych wniosków niż te, które nam już się nasunęły.

–No to słuchamy, gafferze Jaansma – powiedział Froude. – Ty tu dowodzisz, więc

zagajaj.

–Dobrze. Po pierwsze, ten okres napięć, o którym wspomniał Romolo... Domyślam się, że musiało chodzić o zamieszki. Słyszeliśmy o nich, gdy byliśmy krótko na Centralnym jako rekruci.

–Nie wykluczałbym nawet jakiejś rewolucji – wtrącił Njangu. – Możliwe też, że zamieszki nie ustały do dzisiaj.

Froude spojrział na Ristoriego i obaj pokiwali głowami.

–Zatem gdy wszystko się posypało – ciągnął Njangu – była to prawdziwa katastrofa. Nie mam pojęcia, czym jest obecna Ludowa Konfederacja czy jak działa Ludowy Parlament, ale to, że utracono tak wiele danych, każe mi przypuszczać, iż chodziło o coś na wielką skalę. Skoro zostały zniszczone nawet archiwa wojskowe...

–To mało prawdopodobne – powiedział Ristori.

–Poza tym zawsze są rezerwowe banki pamięci – dodał Garvin.

–Mimo to doszło do czegoś poważnego – odparł Njangu. – Możliwe, że poza zniszczeniem centralnego archiwum, o co całkiem łatwo podczas rozruchów, stracono także zapisy na innych światach. Albo nikt nie potrafi ich teraz odszukać. Dowodem może być to, że nazwa Cumbre nic dla nich obecnie nie znaczy...

–A na temat Grimaldiego mają tylko dane sprzed paruset lat – dopowiedział Garvin.

–Właśnie. Nie rozumiem, jakim cudem mogli zapomnieć o paru tysiącach ludzi z naszej Grupy Uderzeniowej.

–No dobrze – powiedział Froude, kręcąc głową. – Ale skoro tak, dlaczego nie wysłali nikogo, żeby nawiązał kontakt z takimi placówkami jak nasza?

–Odpowiedź może być całkiem prosta – rzekł Njangu. – Albo trudna do przyjęcia, zależy jak na to patrzeć. Prosta to taka, że gdy na Centralnym zapanował chaos, wszyscy przedstawiciele władz zaczęli kombinować tylko na jeden temat: jak nie znaleźć się po niewłaściwej stronie plutonu egzekucyjnego. Pomyśl tylko, Danfin. Wszyscy, którzy zajmowali się polityką poza Centralnym, zgodnie twierdzili, że już wcześniej byli w coraz większym stopniu ignorowani. W niektórych wypadkach chodziło o pięć lat, w innych o dwadzieścia, czasem nawet więcej.

–To prawda – przytaknął Froude. – Pamiętam, jak próbowałem skontaktować się z kolegami z innych planet, autorami ciekawych artykułów. Od dawna miałem z tym wielkie kłopoty.

–Ja też – odezwał się Ristori. – Jeszcze nim wyruszyłem w drogę, co rusz słyszałem na różnych konferencjach, że całe prowincje Konfederacji stały się niedostępne. Przepadło przez to mnóstwo cennych studiów socjologicznych, zapewne bezpowrotnie.

Njangu pokiwał głową.

–Pozwólcie, że coś wam opowiem. Tylko dopiję to, co mam, i przyniosę coś lepszego.

Gdy zrobił, jak obiecał, usiadł w fotelu, pociągnął solidny łyk ze szklanki i powiedział:

–Gdy byłem jeszcze bardzo młody, w mojej okolicy kręcili się goście, którym bardzo się nudziło. Byłem za mały, żeby się do nich przyłączyć, i dobrze, bo ich w końcu zapuszczowano i wszyscy przeszli uwarunkowanie. Wcześniej jednak rozrabiali na całego, dość głupio zresztą, bo kradli w najbliższym sąsiedztwie. Była to biedna dzielnica i nikogo nie było tam stać na systemy antywłamaniowe, ludzie zaczęli więc montować kraty. W oknach i w drzwiach. Jasne, kraty można przeciąć, ale trochę to zwykle trwa i wymaga wysiłku, więc zniechęca złodziei. Jednak nie to jest najważniejsze. Był na naszej ulicy pewien mężczyzna, który mieszkał z dwójką dzieci. Żona go zostawiła. Też zamontował kraty, jednak pewnej nocy w jego mieszkaniu wybuchł pożar.

–I pewnie nie znalazł na czas kluczy do krat?

–Spalił się?

–Na węgiel – odparł Njangu. – I jego dzieciaki też. Garvin pierwszy zrozumiał, o co chodzi.

–Chcesz powiedzieć, że te wszystkie automatyczne systemy obronne, które musieliśmy oszukiwać po drodze, mogą być jak te kraty?

–Właśnie. Konfederacja zbudowała sobie niezdobytą fortecę, która po utracie planów i kodów stała się jej więzieniem.

–To dlatego Romolo i ta pani oficer z niszczyciela byli tacy ciekawi, czy nie mieliśmy jakichś kłopotów w drodze na Capellę. I stąd mają chrapkę na nasz dziennik pokładowy, który zresztą sfalszują, jak tylko kac mi przejdzie.

–Hmm... brzmi to nawet prawdopodobnie – powiedział Froude. – O ile uznamy, że naprawdę stracili wszystkie zapisy. Jednak chyba próbowaliby się wydostać?

–Ale po co? Mają dość kłopotów u siebie. A co do prób... Jak myślisz, ile okrętów

można poświęcić? Może i próbowali, ale w końcu dali spokój.

Garvin poszedł za przykładem Njangu i nalał sobie kolejnego drinka.

–Wygląda na to, że mamy wyjaśnienie sprawy – stwierdził. – Przynajmniej częściowe. Świat Centralny naprawdę może być teraz bardzo ciekawym miejscem...

–Ciekawym, a nawet niebezpiecznym – dodał Yoshitaro.

Jako pilota dostali zasuszoną kobietę imieniem Chokio. Miała coś mądrego w oczach. Liskeard powiedział jej, że Gruba Berta nie ma dość silnej konstrukcji, aby wytrzymać znacznie większe napięcia towarzyszące gwałtownemu wejściu w pole grawitacyjne, co było kompletnym kłamstwem, ale uzyskał dzięki temu zgodę na łagodne podejście, które rzecz jasna musiało potrwać dłuższą chwilę.

–Oczywiście, kapitanie – odparła Chokio. – Poza tym dzięki temu będziecie mieli okazję przyjrzeć się Centralnemu. Byliście tu już kiedyś?

–Nie – odparł zgodnie z prawdą Liskeard.

Garvin, który właśnie wszedł na mostek, też usłyszał pytanie i niezgodnie z prawdą pokręcił głową. Uznał, że nie ma co liczyć przelotnego postoju w czasie, gdy był jeszcze rekrutem.

–Zobaczycie ślady chwały upadłego Rzymu – mruknęła kobieta. – I jak teraz wszystko się pokręciło... Przepraszam. Chciałam powiedzieć: jak wiele może się zmienić w tak krótkim czasie.

Gdy podeszli do planety, wskazała jakiś punkt na głównym ekranie.

W powiększeniu ujrzeli całe rzędy jednostek kosmicznych dryfujących na orbicie i połączonych długimi na kilometr linami.

–To jest flota Konfederacji... wszystko, co nie zostało przyłapano na ziemi i zniszczone podczas... zmian. Albo nie zostało gdzieś w kosmosie czy nie przepadło przy próbach późniejszych wypraw.

–Jak to było, gdy doszło do tych... zmian? – spytał Garvin.

–Paskudnie. Szczególnie dla wszystkich, którzy nosili jakiś mundur. Ludziom nie robiło różnicy, czy wieszają żołnierza, czy listonosza. Ja miałam szczęście, bo pracowałam wtedy na księżycu jako operatorka holownika, ale przyjaciele na dole mówili później, że było bardzo źle. Nie, żeby nie było po temu powodów – dodała pospiesznie. – Cholerni biurokraci Konfederacji i ich kumple zbyt długo zwodzili ludzi, którzy mieli już dość. No i zaczęli się miotać... – Wzruszyła ramionami i udała, że sprawdza na ekranie, pod jakim kątem Berta wchodzi w atmosferę.

–Szkoda, że wasz statek nie przypomina tych dawnych, z cienkim poszyciem, przez które było słycać gwizd atmosfery – powiedziała po chwili. – I tych, które miały tak marne wymienniki ciepła, że rozgrzewały się do czerwoności. Wtedy podróże kosmiczne były czymś romantycznym. Nie tak dawno sprowadzałam zresztą jeden

taki na Centralny. Stary statek zwiadowczy. Pewnie mieli nadzieję, że znajdą w jego kompach ciekawe dane. Nigdy więcej o nim nie słyszałam.

Gruba Berta skończyła pierwsze okrążenie. Schodziła bardzo powoli. Przy wszystkich ekranach i bulajach panował ścisk. Im niżej byli, tym lepiej widzieli „zmiany”.

Njangu oglądał to w swojej kabinie, razem z ludźmi z wywiadu, którzy porównywali to, co widzieli, z mapami kupionymi od Frerona.

–Widzicie, co się stało z parkami? – spytała Chokio. – Mało tam zieleni, prawda? A przecież stworzono je nie tylko dla ozdoby, ale przede wszystkim po to, żeby regenerowały powietrze. Gdy jednak doszło do najgorszego i zabrakło prądu, różni głupcy ruszyli z piłami na drzewa. Nie chcieli nikogo słuchać. Gdy ktoś próbował mówić im, że zabraknie tlenu, uznawali, że broni starego porządku, i brali go na cel. W końcu Milicja Ludowa zarządziła, że za ścięcie drzewa grozi kara śmierci. Nie wprowadzono kontroli urodzin, chociaż należałoby to zrobić, póki zieleń się nie odrodzi. Wszystko, co naukowe, stało się przejawem starego myślenia. – Pokręciła głową.

Statek był już dość nisko. Przelatywał na szeregiem wypalonych ruin.

–To były koszary oddziałów porządkowych. Zapłonęły jak pochodnie pierwszego dnia powstania. Podobno nikt stamtąd nie przeżył nocy, co było jedyną korzyścią z całego tego wariactwa. Ale chyba za dużo mówię. Mam was sprowadzić do głównego portu. Pewnie władze same chcą was obejrzeć. Do diabła, też jestem ciekawa. Mam tylko nadzieję, że mobilowie zaakceptują wasz cyrk. Jeśli tak, wszystko pójdzie gładko.

–Kim są mobilowie? – spytał Garvin.

–Partia Mobilizacji. Skrajni zwolennicy zmian. W każdym razie sami tak o sobie mówią i chyba w to wierzą. Oni... a właściwie ich przywódca... dbają o to, żeby wszystko podążało we właściwym kierunku.

–Kto jest ich przywódcą? Może warto stanąć po jego stronie?

–Wszystko się zmienia, jak to mówią – mruknęła Chokio. – Ale ktoś zawsze jest na szczycie. Rok temu mieliśmy Partię Wolności i Abię Cornovila, który interesował się nowościami. Teraz są mobilowie. Za rok... – Wzruszyła ramionami. – Kto to wie? Niemniej obecnym liderem mobilów jest Fove Gadu. To jeden z tych, którzy zawsze wiedzą, co jest dla ciebie najlepsze, a jeśli ktoś się nie zgadza, to tym gorzej dla niego.

Abia Cornovil był roslym mężczyzną w średnim wieku, dobrze umięśnionym, choć

już lekko przybierającym na wadze. Ubierał się prosto, włosy sięgały mu niemal do ramion. Na innej planecie można by go wziąć za byłego rolnika. Potem dowiedzieli się, że z wykształcenia jest statystykiem, jednak miał chyba wśród niedawnych przodków i takich, którzy machali łopatą czy motyką, bo zawzięcie chronił to, co zostało jeszcze z parków.

Jako nastolatek musiał mieć kłopoty z cerą i nigdy nie zrobił z tym porządku, co mogło dziwić na planecie, gdzie nie brakowało specjalistów od takich spraw.

Głos miał niski, a jego tubalny śmiech niesło daleko po korytarzach Grubej Berty.

Cornovil chciał poznać dokładnie wszystkich na statku, fascynował go każdy szczegół, począwszy od tego, jak konie znosiły podróż w nadprzestrzeni, po metody utylizacji odchodów wielkich drapieżników.

Robił wrażenie wesołego i przyjaznego. Yoshitaro i Froude co chwila zapominali, że ktoś, kto utrzymał się tyle lat na szczycie ogarniętego spazmami anarchii społeczeństwa, musi być kimś więcej niż tylko miłym kompanem.

Chciał nawet wypić z Garvinem i jego ludźmi. Diabłem podszyty Jaansma podał trunek z siłowni.

Cornovil spurpurowiał, ale się nie zakrztusił.

–Bogowie – powiedział. – Nic dziwnego, że tak was nosi po galaktyce. Czy ten trunek zyskuje z latami?

–Czyimi? Jego czy pańskimi? – spytał Froude. – Ja prawie już do niego przywykłem.

–Przyślę wam trochę brandy produkowanej na Drugim – obiecał Cornovil. – Jeśli chcecie zabawiać mobilów, nie możecie się tak truć.

–Mam pytanie – odezwał się Froude. – Słyszeliśmy, że Partia Mobilizacji ma wielką władzę, i zaciekało nas, jak właściwie działa Ludowa Konfederacja od strony politycznej.

–Szczерze mówiąc, ciągle nad tym pracujemy, podobnie jak na razie tylko obiecujemy, że z czasem otoczemy inne światy wystarczającą opieką, aby powstały warunki do normalnych kontaktów i wolnego handlu. Podstawą jest Parlament Tysiąca, w założeniu wyłaniamy w wyborach powszechnych. Każdy może się starać o roczną kadencję, przy czym wymianie podlega jedna trzecia posłów. Wystarcza zwykła większość głosów. Niemniej, choć mamy dziesiątki partii, mobilowie rzeczywiście cieszą się teraz największym poparciem i każdy, kto chce wejść do parlamentu, nawiązuje jakoś do ich programu. Moja partia, Liga Wolności, ma własny, ale pozostałe... – Wzruszył ramionami. – I cały czas powstają nowe, stare

zaś upadają, często zdemaskowane jako ugrupowania kryptozwolenników starej Konfederacji.

–Jak rzetelne są wybory? – spytał Njangu.

–Ciekawe pytanie jak na kogoś tak młodego – zauważył Cornovil. – Czy cyrk potrzebuje eksperta od polityki?

–Gdy bywa się na wielu światach i chce się ze wszystkimi żyć w zgodzie, trudno nie interesować się polityką – powiedział Froude.

–No tak... – mruknął Cornovil. – Wybory przebiegają różnie. Podczas ostatnich trzech pojawiły się liczne oskarżenia o fałszerstwa, ale cóż... Wszystkie skierowane były pod adresem Partii Mobilizacji, kontrolującej akurat milicję, która zareagowała dość ostro. Powiedziałbym nawet, że bardzo ostro.

Njangu miał dość rozumu, żeby nie pytać o szczegóły, zwłaszcza że w oczach Cornovila błysnęło coś, co widywał już w spojrzeniu innych ludzi władzy, którzy nie cofali się przed niczym, aby utrzymać się na górze.

Niemniej trzy dni później dostarczono na statek dwie beczułki brandy. Cornovil dotrzymał słowa.

Mężczyzna z czarną szarfą, co oznaczało, że jest oficerem Ludowej Milicji, przekazał Garwinowi wiadomość, że cyrk otrzymał zgodę na zajęcie Stadionu Centralnego, zarówno na kwatery, jak i na występy, i że milicja jest gotowa pomóc im w przeprowadzce.

–Wcale mi się to nie podoba – powiedział Garvin, spotkawszy Njangu.

–Mnie też nie. Cały ten świat wygląda tak, jakby zaraz miał się zawalić. Wolałbym nie oddalać się za bardzo od statku.

–Przyszło ci na myśl, jak się od tego wykręcić?

–Nie.

–Trudno. Szykujemy paradę. Ale niech wszyscy wezmą broń. A statek ma być w każdej chwili gotowy do startu. I dobrze byłoby się pomodlić, jeśli wiesz, jak to się robi.

Cały cyrk ze słoniami, kotami, końmi, kłownami, karłami i akrobatami ruszył w kierunku stadionu. Ulice po obu stronach obstał zwarty tłum.

Dziwny tłum. Garvin nie rozumiał, o co mogło chodzić. Miejscami ludzie milczeli i

patrzyli na nich niemal wrogo, kilka przecnic dalej zaś wiwatowali na ich cześć.

Uznał, że będzie się tym martwił potem.

Zamaskowane schowki w podwoziach ślizgaczy wypełnili bronią, ale nawet to nie mogło uspokoić Jaansmy.

Na trasie parady pospiesznie rozwieszano plakaty Cyrku Jaansma. Garvin zauważył z rozbawieniem, że na jednym z budynków wiszą one do góry nogami.

Musiała to być robota ludzi z kompanii zwiadu, którzy liznęli już trochę cyrkowych zwyczajów. Odwrotne naklejenie plakatu oznaczało zwykle ostatnie występy przed udaniem się do domu na przerwę zimową.

Cumbre. Czy jeszcze kiedyś tam wrócą?

Dotarli do stadionu. Był wielki, starczyłby na trzy albo cztery cyrki.

Fleam kręcił się już po arenie i planował, gdzie co ustawić. Za nim podążali lekko zdyszani robotnicy. Inni penetrowali część użytkową i decydowali, gdzie kogo ulokują.

Wkoło zalaływało stęchlizną. Wszystkim, łącznie ze zwierzętami, zrobiło się nieswojo.

Nie mieli jednak wyboru.

–Z całą pewnością postaram się pojawić dziś wieczorem na waszym pierwszym przedstawieniu – powiedział Fove Gadu do Garvina i jego ekipy.

O ile Abia Cornovil czasem zdradzał błyskiem oka, że bywa megalomanem, Fove Gadu wręcz emanował megalomańskim samouwielbieniem. Był chudy, rozczochrany i niedokładnie ogolony. Ubranie miał w zasadzie czyste, ale robił wrażenie, jakby nie dość często się kąpał.

–Słyszałem, że Abia Cornovil już was odwiedził – powiedział niewinnym tonem. – I jakie wrażenia?

–Wydawał się sympatyczny – odparł Garvin. – Niestety, był zbyt krótko, żebym zdążył wyrobić sobie zdanie.

–Rozumiem. Czy sugerował cokolwiek w kwestii miejsca waszych występów?

–Nie, wspomniał tylko, że chciałby obejrzeć nasze przedstawienie, i zwiedził cyrk od kulis.

–Tak? I co powiedział?

–Och, był zachwycony.

Gadu zmienił temat i zadał szereg pytań na temat przelotu Grubej Berty na Centralny. Najwidoczniej chodziło o blokadę, którą Capella niechętnie sama sobie zapewniła. W końcu poczuł się chyba usatysfakcjonowany, bo wykrzywił usta w coś, co zapewne uważał za uśmiech, i opuścił stadion.

–Uff... – sapnął Garvin. – Cornovil przyprawia mnie o dreszcze, ale ten... ten sprawia, że ręce mi opadają.

–Mnie wszystko przy nim opada – powiedział Njangu. – A tobie, Monique?

–Przypomina mi takich dwóch, na których się kiedyś natknęłam – odparła Lir. – Szczęśliwie obu nie ma już wśród żywych.

–Za czyją sprawą?

Lir tylko się uśmiechnęła.

Zaraz po zjeździe z areny Darod zeskoczyła z konia i wylądowała na równych nogach.

Rudi Kwiek podkuśtykał do niej z opatrunkiem na nodze.

–I co? – spytał.

–Co co?

–Jak oceniasz miejscowych? Nie mogę podejść dość blisko, żeby samemu im się przyjrzeć.

Darod wzdrygnęła się, bynajmniej nie z zimna, i objęła tułów rękami.

–Nie mogę ich wyczuć – powiedziała po namyśle. – Gdy w jednym sektorze krzyczą jak szaleni, w innym patrzą wilkiem, jakby chcieli wpakować mi nóż pod żebro.

–Nie podoba mi się to – mruknął Kwiek. – Sopi mówił, że na zewnątrz też jest dziwnie. Do gier hazardowych są kolejki, ale nikogo nie interesują te, w których można wygrać tylko pluszowe niedźwiadki.

–Może połapali się, że wszystko tam jest podkręcone – zasugerowała Darod.

Kwiek parsknął śmiechem.

–Oni? Gdyby byli tacy bystrzy, sami pracowaliby w cyrku.

–To jedyne wytłumaczenie, które przychodzi mi do głowy.

–Ja zaś ci powiem, że będziemy mieli cholerne szczęście, jeśli uda nam się stąd uciec – powiedział Kwiek. – Chcę mieć pewność, że będziesz na siebie uważała.

–Zawsze na siebie uważam – stwierdziła Montagna.

–Ale ta wielka flinta, dzięki której ocalałaś mi życie, tutaj nie przyda się na wiele. – Sięgnął do kieszeni workowatych spodni i wyjął mały pistolet. – Proszę. Midt znalazł źródółko tych zabawek po dwadzieścia kredytów sztuka. Chyba ktoś podprowadził je z muzeum. Strzela zwykłymi pociskami. Noś go ze sobą. To prezent dla kogoś, kto za kilkadziesiąt lat może być bardzo dobrym jeźdźcem.

–A niby gdzie mam go nosić? – spytała Montagna z uśmiechem i zrobiła piruet. Pod swoim kostiumem nie ukryłaby nawet scyzoryka.

–Znajdź jakieś miejsce, Darod – powiedział Kwiek. – Czuję przez skórę, że szykują się kłopoty, od których nie da się wykręcić uśmiechem.

Narada wojenna na niemal całkiem opustoszałej Bercie przebiegała w ponurej atmosferze. Ściągnięto na nią dwóch ludzi, którzy dotąd nie bywali na takich spotkaniach: Chakę i Liskearda. Nie wiedzieli, po co zostali zaproszeni, siedli więc z tyłu, za Garvinem, Njangu, Lir, Froudem i Ristorim.

Garvin wyglądał na bardzo zmęczonego.

–Dobra, załatwmy to szybko. Jutro mamy kolejne przedstawienie i lepiej, żebyśmy wrócili, zanim zaczną nas szukać – powiedział. – Przybyliśmy tu prawie rok temu, szukając odpowiedzi na pytanie, co się stało z Konfederacją. Mieliśmy też nadzieję, że uda się nam coś naprawić, by powróciły stare czasy. Tymczasem otworzyliśmy puszkę Pandory. – Spojrzał na Njangu, który przejął głos.

–Powinniśmy się byli domyślić, że upadek Konfederacji był bardzo złożonym procesem. Przede wszystkim pozwolono na utratę kontaktu z całymi prowincjami, co zaczęło się ponad dwadzieścia lat temu. Potem zaczęło się przerzucanie sił zbrojnych, zwykle chaotyczne. Dotyczyło to zarówno regularnego wojska, jak i najemników w rodzaju tych, których spotkaliśmy po drodze. Nie muszę chyba dodawać, że kontrola nad nimi słabła, aż stała się iluzoryczna. Tak więc Konfederacja rozpadała się już od dłuższego czasu, znacznie dłuższego, niż ktokolwiek był skłonny przyznać.

Froude i Ristori smętnie pokiwali głowami.

–Gdy byliśmy tu z Garvinem przed laty, zamieszki dopiero się zaczynały. Potem musiało się zrobić jeszcze gorzej, bo doszło do całkowitej zapaści systemu, z czego wykluła się w końcu ta Ludowa Konfederacja.

Froude wstał.

–Jeśli można, chciałbym coś doprecyzować. Krążyłem trochę tu i ówdzie w poszukiwaniu uczonych, którzy nie stracili głowy podczas tej zapaści, i zebrałem nieco informacji, które pozwalają na wyciągnięcie pewnych wniosków.

Pierwsze zamieszki wybuchły chyba spontanicznie. Nikt nie wie tego na pewno, ale zdaje się, że zachowanie tłumu wymknęło się spod kontroli. Myślę przede wszystkim o zmasakrowaniu sił porządkowych. Potem zapanowała anarchia. Wtedy też zostały zniszczone różne bazy danych, włącznie z centralnym archiwum wojskowym. Przy okazji zginęła większość tych, którzy się nimi zajmowali. W końcu jednak pewni ludzie zaczęli organizować motłoch, zapewne w celu zagarnięcia władzy, która chwilowo leżała na ulicy. Szybko znaleźli zwolenników i starczyło ich, aby ktoś mógł stworzyć nowy rząd.

Wówczas zdarzyło się coś interesującego. Ugrupowanie, które zdobyło władzę, zaczęło zmieniać barwy na konserwatywne. Ogłosiło, że odtąd dość już rewolucji.

Jednak ludzie nie mieli jej dość. Szybko powstała nowa partia, na lewo od tej pierwszej, i zaczęła pokrzykiwać, że pierwsza partia to lokaje Konfederacji i pora, żeby kilka głów potoczyło się po bruku. I rzeczywiście, głowy spadły, ale gdy druga partia dorwała się do władzy, też powiedziała, że dość już rewolucji.

Ulica jednak wciąż miała odmienne zdanie. Z początku nie zorganizowana, stworzyła w końcu trzecie ugrupowanie, które pokonało drugie i też przez jakiś czas rządziło. Tak się składa, że była to Partia Wolności, której głową jest znany nam Abia Cornovil.

Masy i tym razem nie poczuły się usatysfakcjonowane. Skupiły się wokół Fove'a Gadu, który powołał niebawem Partię Mobilizacji.

Co ciekawe, oficjalnie powstała ona po to, aby Ludowa Konfederacja sięgnęła gwiazd i odzyskała wpływy swej poprzedniczki. Wysłano kilka ekspedycji, które zostały ostrzelane przez własne systemy obronne. Nie udało się ich rozbroić, Partia Mobilizacji poszukała więc sobie innego celu. Mam wrażenie, że obecnie szykuje ona jakiś zamach. Możliwe, że przybyliśmy na krótko przed kolejną zawieruchą – dodał i ciężko klapnął na krzesło.

–Tyle analiz – powiedział Garvin. – Czy możemy uznać, że wiemy, co się stało?

Zebrani pokiwali głowami.

–Czy zatem pora zakończyć już tę przydługą misję zwiadowczą?

Wszyscy ponownie się zgodzili.

–Możemy więc... o ile nam się uda... zmiatać stąd do domu, zameldować o wszystkim dantowi Angarze i niech on już zdecyduje, co robić dalej. Dla mnie to za duża sprawa.

–Jak opuścimy Centralny? – zapytała Lir.

–Nie wiem.

–Nawet jeśli uda nam się spakować w spokoju i wystartować – powiedział Chaka – zostaje ten cały Romolo. Przypuszczam, że nie pozwoliliby nam zejść chyłkiem ze sceny, a ma do dyspozycji w pełni sprawny pancernik, który nigdy nie oddała się za bardzo od Centralnego. Nie mamy szans przed nim uciec, o pokonaniu go nie wspominając.

–Może jednak moglibyśmy coś zrobić – odezwał się Liskeard. – Mam pomysł, który powinien zwiększyć nasze, a zmniejszyć jego szanse. Nie widzę jednak żadnego sposobu, jak zwinąć cyrk i wystartować, nie uruchamiając wszystkich dzwonek alarmowych.

–Ja też nie – przyznał Garvin.

–Możliwe, że będziemy musieli pogodzić się z pewnymi stratami, aby dopiąć swego – zasugerował Ristori.

–Żołnierze godzą się ze stratami – powiedział Froude, starając się zachować spokój. – Tyle że ponad połowa ludzi na tym stadionie to cywile.

Ristori bezradnie rozłożył ręce.

–Przenieśliśmy już na stadion niemal całą naszą broń ręczną – przypomniała Monique. – Ale nie wiem, jak sprowadzić trupę na statek. Może gdyby przewozić ich stopniowo, powiedzmy po dziesięciu...

–Może, ale nie zapominajcie, że żaden opiekun nie zostawi swoich zwierząt – rzekł ponurym głosem Njangu. – Takie fortele wiele nam więc nie dadzą.

–Czyli mamy związane ręce – stwierdził Garvin. – Musimy poczekać, aż źli chłopcy zaczną pierwsi. Dobra. A teraz wracamy do siebie i śledzimy rozwój sytuacji.

–Moglibyśmy coś zrobić razem z Chaką – odezwał się Liskeard. – Coś, co nam się przyda, gdy zrobi się gorąco.

–Co takiego?

–Spróbujemy dać dantowi Romolo to, o czym tak marzy: posadę dyktatora.

Czterech ludzi unosiło się w przestrzeni kosmicznej. Pomiędzy nimi wisiały dwie antyrakiety typu Shadow częściowo schowane w półkolistej wyrzutni. I jeden pocisk raketowy typu Goddard, z lekkim wybrzuszeniem w okolicy modułu naprowadzania. Zamigotała małeńka spawarka. Zgasła i znowu zapłonęła.

–Gotowe – powiedział technik, chowając ją do kieszeni u pasa.

–W życiu nie widziałem większej prowizorki – mruknął Chaka.

–Nie przesadzaj – odparł Liskeard. – Myślę, że to dobry pomysł. Szczególnie, jeśli zadziała, w co za bardzo nie wierzę. Ale lepiej zbierajmy się stąd, bo jesteśmy dopiero w połowie roboty.

Dysze silniczków manewrowych w skafandrach błysnęły bielą i grupa wróciła do odległej o trzydzieści metrów nany.

Jakieś trzy kilometry dalej unosiła się w próżni nafaszerowana naftaliną flota Konfederacji.

Dant Romolo przyjął ich na mostku Corsiki. Ledwie przed nim stanęli, wyciągnął ręce po paczkę, którą przynieśli.

–Czy w waszych zapiskach może być jeszcze coś przydatnego? – spytał.

–Bez obrazy, sir – powiedział Chaka – ale nie wiemy dokładnie, co z naszego dziennika pokładowego może pana zainteresować, a bez tego trudno odpowiedzieć na pańskie pytanie. Przekazaliśmy panu wszystko, łącznie z zapisami rejestratorów przyrządów pokładowych.

–Dobrze – odparł Romolo. – Jestem pewien, że okaże się to użyteczne zarówno dla mnie, jak i dla Ludowej Konfederacji.

I tym razem słowo „Ludowa” wypowiedział jakby z przekąsem.

Chaka, który o mało nie zasalutował, skinął głową i zeszli z mostka.

–Teraz zobaczymy, czy twoja twórczość go uszczęśliwi – powiedział, gdy opuścili pancernik.

–Na pewno zajmie go na jakiś czas – odparł Liskeard. – W każdym razie taką mam nadzieję. Na razie mamy większe zmartwienia. Godzinę temu dostaliśmy wiadomość ze statku. Ten Gadu, o którym nam wspominali, wystąpił w tutejszym parlamencie z ognistą mową. Nazwał w niej Cornovila zdrajcą Ludowej Konfederacji, który uległ

obcym wpływom. Ponieważ jesteśmy tu obecnie jedynymi obcymi, chyba będziemy mieli kłopoty. Zapowiedział też, że jutro wystąpi ponownie. Z jakąś większą odezwą. Chyba powinniśmy wracać do domu.

Garwinowi przyszło do głowy, że już zawsze będzie kojarzył gadaninę polityków ze stęchłymi woniami stadionu.

Zielony pokój pełen był ludzi, w połowie cyrkowców, w połowie legionistów. Pośrodku ustawiono holo. Obraz przedstawiał Gadu stojącego pośrodku dużej sali z drewnianymi panelami na ścianach i staromodnym umeblowaniem. Gadu zdecydowanie nie pasował do tej scenerii: coraz bardziej się zaperzał i Garvin gotów był przysiąc, że widzi ślinę przyskającą z jego ust.

–...ten potwór, ten zdrajca, człowiek, który był niegdyś najlepszym z nas, Abia Cornovil zdeprawował się do tego stopnia, że zdradził Ludową Konfederację z tymi cudzoziemcami!

I ja, i moi koledzy nie wierzyliśmy własnym oczom – ciągnął Gadu – gdy otrzymaliśmy pierwsze dowody jego zdrady, która wydałaby cały układ Capelli w ręce wrogów, zwierząt bez sumienia i obcych, gotowych zniszczyć tysiącletnią wiarę ludzi w potęgę Konfederacji!

Jednak dowody są przytłaczające, tak więc z wielkim żalem, ale i z determinacją, nadzwyczajne plenum, które zebrało się ostatniej nocy, nałożyło areszt na Cornovila, żeby mógł go osądzić lud Centralnego i innych planet, występujący w osobach wchodzących w skład tego tu parlamentu.

Niestety, Abia Cornovil chciał uciec. Podczas próby zatrzymania go doszło do wymiany ognia. Jego ślizgacz został zestrzelony, on sam zaś zginął.

Tak samo zginą wszyscy wrogowie Centralnego!

Jednak nasze zadanie jeszcze nie jest skończone. Obcy, o których mówiłem, ciągle są tutaj, w sercu naszej planety, i kto wie, jakie jeszcze zło nam szykują w imię...

–Pieprzyć go! – warknęła Lir i wyłączyła odbiornik.

–Hmm – mruknął Garvin i wstał. – Słyszeliście, co ten gnojek powiedział. Przyjdą po nas. Nie możemy ich rozczarować.

Minęło jeszcze kilka godzin, zanim mobilowie zaczęli się zbierać pod stadionem. W tym czasie cyrkowcy zabarykadowali wszystkie wejścia, jakie znaleźli, strzelcy zajęli pozycje.

Garvin i Njangu patrzyli, jak przylegające do stadionu ulice wypełniają się tłumem wykrzykującym różne, proste z reguły, hasła.

Włączyli nagłośnienie stadionu, które obejmowało też megafony na zewnątrz.

–Uwaga! Uprzedzamy, że przeciwstawimy się wszelkim próbom wtargnięcia na teren tego obiektu. W razie konieczności użyjemy środków mogących spowodować uszkodzenia ciała albo i coś gorszego. Powtarzam, przeciwstawimy się...

Tłum zawahał się, jednak z jakiegoś budynku w głębi ulicy odezwały się co najmniej cztery blastery. Głośniki zachrypiały i ucichły.

–Nieźle strzelają jak na spontanicznie zgromadzony tłum – zauważył Njangu.

–Owszem – zgodził się Garvin. – Ile stawiasz, że mają wsparcie milicji?

Zbrojmistrze na pokładzie Berty klęli głośno, zdejmując z podwieszek aksaiów rakiety i montując zamiast nich szybkostrzelne działka.

–Kilka zostawcie – doradził podoficer. – Tamci mogą mieć w pobliżu jakieś patrolowce.

Sterczący na mostku Liskeard spojrział ponownie na ekran ukazujący stadion i też zaklął. Jego ludzie nie mieli drogi ucieczki. Najbliższe miejsce, które nadawało się na prowizoryczne lądowisko, leżało aż pięć przecznic dalej. Był to mały park. Być może zmieściliby się tam... Liskeard jednak wolałby coś bliższego. Zaczął uważniej przepatrywać okolicę.

Tuż obok stadionu widać było ruiny jakiegoś budynku, które jednak straszyły wyrastającymi tu i ówdzie resztkami murów. Lądowanie na nich byłoby czystym hazardem.

–Załatwią nas tutaj – mruknął. – Żadnych szans.

Wciąż jednak spoglądał na gruzowisko.

Ktoś kryjący się w ruinach domu w alejce prowadzącej na stadion wystrzelił w jego kierunku trzy serie. Darod Montagna wybiła okno i ustawiła broń na stole w głębi pokoju, dość daleko od światła, żeby nie było odblasku od celownika.

Dostrzegła kogoś z blasterem i zastrzeliła go... nie, ją. Trudno. Poszukała kolejnego celu.

–Wiesz, jest i taka możliwość, że Benowi się nie uda – powiedział Diii. – Głupio tylko, że w tym betonowym mauzoleum, a nie w aksaiu.

–Nie strasz mnie – odpowiedziała Kekri. Stała obok niego i tuliła blaster do piersi.

–Nie straszę. Jestem tylko realistą. I jeszcze jedno... Gdyby coś się zdarzyło... chcę, byś wiedziała, że chyba cię kocham.

–Chyba?

–Przepraszam. Kocham cię. Katun uśmiechnęła się do niego.

–I ja cię kocham.

Ben pochylił się i pocałował dziewczynę, spojrzał na nią zdumiony.

–Wiesz, chyba nikt nigdy jeszcze mi tego nie mówił – odezwał się. – W każdym razie ostatnio...

Kekri szepnęła mu coś do ucha i oczy Dilla wyraźnie się rozszerzyły.

–Nie pamiętam też, żeby ktokolwiek kiedykolwiek proponował mi coś takiego.

–No to trzymaj się, chłopie – powiedziała Katun. – Jest jeszcze wiele rzeczy, których nie robiłeś.

–Teraz to na pewno nie dam się zabić...

Njangu i Maev zbiegali po schodach na poziom murawy, gdy głośniki znowu ożyły. Nad stadionem zagrzmiął Marsz pokoju.

–Bebechy mi się wywracają od tej melodyjki – mruknął Njangu.

Jabish Ristori leżał na brzuchu i celował z blastera przez wybite nogą okno.

Obok siedział oparty o ścianę Froude. Zżymał się, że nie zdążył sobie znaleźć żadnej pukawki.

Dwa piętra niżej mobilowie zdzierali gardła, niszczyli budy przed stadionem i rzucali kamieniami. Czasem huknął strzał z blastera, niekiedy klasyczna kula rykoszetowała na betonie.

–Tam – powiedział Froude, wskazując palcem. – Ten mężczyzna na rogu. Ma jakąś

broń. Zabij go.

Ristori nerwowo skinął głową, naprowadził celownik na uzbrojonego mobila i położył palec na języku spustowym.

–No? – odezwał się Froude.

Ristori trząsał się spazmatycznie.

Froude odsunął go od okna i wyjął mu z ręki blaster. Wycelował uważnie i strzelił.

Ładunek trafił w ścianę tuż nad mężczyzną, który wziął nogi za pas i gdzieś zniknął.

–Przynajmniej go wystraszyłem – mruknął Froude.

Pociski uderzyły w szklane drzwi głównej bramy stadionu i dwóch legionistów upadło, jęcząc. Ciężki blaster został bez obsługi.

Nie na długo. Filip Mand’l podbiegł do niego i skulił się za bronią. Wcześniej przyglądał się strzelcom, gdy po kolei eliminowali wybrane cele.

–Chyba wiem, o co tu chodzi – mruknął pod nosem i wycelował w tłum. Wystrzelił od razu połowę taśmy. Ciała wylatywały w górę, rozległy się krzyki, ludzie zaczęli uciekać w panice.

–O rany – powiedział.

Obok pojawiło się dwóch cyrkowców w maskach kłownów. Przynieśli skrzynki z amunicją. Jeden z nich założył nową taśmę.

–Zwolnij trochę – powiedział, wskazując na dymiącą lufę. – Jeszcze się spali.

Felip Szczęściarz pokiwał głową i wypuścił kolejną serię w tłum.

–Pieprzcie się, dranie!

Dwóch ludzi naparło na drzwi. Nie chciały się poddać.

Jakiś bardzo rosyły mężczyzna z wielkim młotem przepchnął się przez ciżbę i odsunął innych od drzwi.

Młot opadł raz i drugi. Drzwi wpadły do środka.

Wyjął jak sto diabłów, mobilowie wdarli się na stadion.

Njangu usłyszał wrzaski i zrozumiał, co się dzieje. Krzyknął do swoich ludzi, żeby

rozproszyli się i poszukali ukrycia. Jeszcze chwila, a zaskoczyliby ich od tyłu.

Garvin, siedzący piętro wyżej na stanowisku obserwacyjnym, też to słyszał.

–Chodź – spokojnie powiedział do niego Alikhan. – Mamy robotę na dole.

Złapali broń i zbiegli po schodach na poziom areny.

RaTelan wspinał się na maszt, gdy zobaczył, że na arenę wbiegają ludzie z bronią. Jeden z nich dostrzegł poruszenie w górze, przyklęknął i wycelował.

Schowana za słupem Lir prawie że przecięła go serią na pół. Uśmiechnęła się krzywo, poszukała następnego celu i ściągnęła spust. Metodycznie kontynuowała rzeź.

Sopi Midt wybiegł z czerwonego namiotu ze sporą czerwoną skrzynką pod pachą.

Nagle ujrzał przed sobą kobietę z pistoletem.

–Nie! – krzyknął. – Podzielę się... nie trzeba...!

Kobieta, która nie miała najmniejszego pojęcia, o co chodzi Sopiemu, strzeliła mu w pierś. Midt zalał się krwią i dostał drugą kulę.

Padając, upuścił pudło. Otworzyło się i na ziemię wysypały się kredyty.

Kobieta rzuciła broń i zaczęła zgarniać pieniądze. Lir zabiła ją z góry. Trzy inne osoby rzuciły się zbierać gotówkę. Monique cisnęła między nie granat.

Potem nikt nie próbował połazczyć się na rozrzucone wśród ciał monety i banknoty.

–Chodź, Ticonderoga – prosił Emtton. – Chodź do nas, poszukamy jakiegoś bezpiecznego miejsca, gdzie nikt nam nic nie zrobi.

Kotka, schowana pod podium dla orkiestry, udała, że nie słyszy. Zawinęła dziko ogonem i spojrzała w innym kierunku.

Pozostałe pięć zwierzaków siedziało już w kontenerku na kółkach.

–Chodź, ty mały potworze – jęknął Emtton. Usłyszał jakiś hałas i podniósł głowę. W jego kierunku biegło dwóch wyszczerzonych mobilów, jeden z pałką, drugi z drągiem zakończonym jakimś hakiem.

–Och, odejdźcie stąd! – zawołał, wyciągając z kieszeni mały pistolet, który dostał od świętej pamięci Sopiiego. Nakierwał go w stronę obu mężczyzn, zamknął oczy i dwa

razy ściągnął spust.

Usłyszał krzyk, potem łomot. Otworzył oczy. Jeden z mężczyzn leżał bez ruchu, drugi zwił się, przyciskając ręce do brzucha.

Emton wstał, chwiejnie podszedł do rannego, przystawił mu lufę do głowy, znowu zamknął oczy i strzelił.

Gdy wrócił do podium, Ticonderoga była już w kontenerze, razem z resztą kociarni.

Konie Rudiego Kwieka rzucały się na liny utrzymujące je w dużej sali, w której urządzono stajnię. W końcu liny pękły pod ich naporem i zwierzęta wybiegły na wolność.

Kwiek z żonami omal nie zostali stratowani.

Jakiś mobil zobaczył Kwieka wybiegającego za vrai na arenę i strzelił do niego.

Mahim zobaczyła, że Kwiek pada. Najpierw zastrzeliła napastnika, potem podbiegła do Roma i złapawszy go za kołnierz bufiastej koszuli, wciągnęła go z powrotem do sali, gdzie czekał Fleam z bronią w ręku.

–Jeśli któryś z tych gnojków podejdzie... – wycedziła przez zęby.

Fleam uśmiechnął się.

–Nawet się nie zbliżają.

Mahim otworzyła torbę i rozdarła koszulę na piersi Kwieka. Skrzywiła się, widząc ranę w piersi, blisko serca. Kręcąc głową, wymacała na plecach ranę wylotową. Nie dostał w płuca, pomyślała z nadzieją.

Kwiek otworzył oczy, uśmiechnął się do niej spokojnie, zadrżał i umarł.

Mahim doprowadziła jego koszulę do porządku i obejrzała się na żony Kwieka, które zaczęły już zawodzić. Na razie wyrzuciła je z myśli i popęzła wzdłuż ściany, żeby zająć się kolejną ofiarą.

Kilkunastu mobilów zamarło, gdy zza rogu wybiegł na nich Alikhan. W jednej łapie trzymał granat z insektoidami, w drugiej wielkokalibrowy pistolet na żywe, zjadliwe pociski. Zastrzelił dwóch ludzi, między resztę rzucił granat.

Wrzasnęli, gdy granat się rozpęknął i rzuciły się na nich z żądlami rozjuszony owady.

Alikhan strzelił jeszcze dwa razy i reszta wpadła w panikę, widząc, jak z pocisków dużego kalibru wysypują się dziwne robaki, które zaraz zaczynają pożerać

trafionych.

Jednak nikt z uciekających nie dobiegł do drugiego końca korytarza, gdzie były schody, którymi tu przyszli.

Biegący Niedźwiedź, tym razem rozsądnie odziany w bojowy kombinezon, biegł na czele piętnastu legionistów. Mieli zamiar zaskoczyć mobilów od tyłu.

Udało im się. Niedźwiedź zastrzelił kobietę z zakrwawionym rzeźnickim nożem i nagle zdał sobie sprawę, że krzyczy coś do swoich ludzi.

Ku jego wstydu, nie był to żaden z pradawnych okrzyków bojowych jego ludu, ale cyrkowe zawołanie „Wszyscy na arenę!”

Maev podbiegła do stanowiska sterowniczego niedźwiedzi i zobaczyła, że oba roboty stoją nieruchomo z rozpostartymi łapami.

–Sukinsyny – mruknęła, odciągając ciało operatora. Nałożyła hełm i siadła za pulpitem.

–Chyba pamiętam, jak to się robi – mruknęła i Li'l Doni ożyła.

Dziewczyna nakierowała robota na gromadkę mobilów pochylonych nad kilkoma nieszczęśnikami, którzy wpadli im w ręce.

Jeden z mężczyzn odwrócił się, ujrzał kroczącego ku niemu zwierza i krzyknął. Jakaś kobieta strzeliła do niedźwiedzia, lecz kula nie wyrządziła robotowi żadnej szkody. Chwilę potem pazury rozdarły kobiecie gardło.

Motłoch rozbiegł się we wszystkich kierunkach.

Niewielu uciekło.

–A teraz poszukamy nowego towarzystwa do zabawy – powiedziała Maev i Li'l Doni posłusznie ruszyła przed siebie.

–Pytanie tylko, czy zdołamy je później zapędzić gdzie trzeba – spytał rzeczowo sir Douglas.

–Mam nadzieję, że tak – odparł Njangu, stojący obok z uniesionym blasterem. Znowu przypomniał sobie opowieść Garvina o wielkich kotach wypuszczonych podczas pożaru na tłum podpalaczy.

–Cóż, spróbujemy – westchnął sir Douglas i zaczął otwierać ustawione na ślizgaczu klatki.

Zwierzęta nie były pewne, co robić. Treser podszedł do klatek od tyłu i zaczął strzelać w powietrze.

–Dalej – powiedział. – Pomóż mi.

Njangu przejechał kolbą po prętach.

Koty niechętnie wyszły z klatek i ruszyły przejściem na arenę.

–Proponuję, żebyśmy na razie się gdzieś schowali – rzekł sir Douglas.

Njangu uznał to za bardzo dobry pomysł.

Rozzłoszczone koty wyszły na arenę między mobilów, pod którymi ugięły się nogi.

Gdyby rzucili się na koty, mieliby jakieś szanse, oni jednak zareagowali najgorzej, jak tylko można. Część zastygła w bezruchu, część próbowała uciekać, co dla drapieżników było aż nadto znajomym zachowaniem ofiary.

Porykując i warcząc, wielkie koty miały się to tu, to tam i bezlitośnie zabijały jednego człowieka za drugim.

Tylko nielicznym starczyło odwagi, żeby użyć broni, ale zbyt trzęsły im się ręce, by mogli trafić. Poza jednym, który osmalił futro lwu i zaraz zginął, gdy wielka łapa oderwała mu głowę.

Reszta ile sił w nogach uciekała do wyjścia.

–Chyba pora poprosić moich podopiecznych, żeby wrócili do klatek – powiedział z wahaniem sir Douglas.

–Jeden... trzy... pięć startów – meldował dyżurny. – Może więcej. Jakies jednostki patrolowe. Średnich rozmiarów.

Liskeard stał na mostku i rozważał, jaki ma wybór. Nie miał żadnego.

–Boursier gotowa do startu?

Dyżurny powiedział coś do mikrofonu.

–Sir, Boursier jeden gotowa.

–Niech startuje! – rozkazał Liskeard. – Ma zapewnić wsparcie naszym na stadionie i zająć się każdym patrolowcem, który wejdzie jej w drogę.

Aksai odpadł od przyłg magnetycznych, zakołysał się na antygravach i wypłynął

przez otwarty luk ładowni. Liskeard wziął głęboki oddech i podjął decyzję.

–Zamknąć włazy, przygotować się do startu.

Na schodach tłoczył się motłoch przepychający się ku wyjściu. Mobile chcieli już tylko jednego: opuścić to przerażające miejsce.

Njangu pojawił się na podeście powyżej z jakimś niedużym workiem w jednej dłoni.

–Wy tam! – krzyknął.

Tylko kilku usłyszało go we wrzawie i uniosło głowy.

Njangu odbezpieczył jeden z grzechoczących w worku granatów i cisnąwszy pakunek na głowy tłumu, zanurkował w najbliższe drzwi. Nie miał ochoty oglądać tego, co miało się zdarzyć na dole za cztery... nie, trzy sekundy.

Mobilowie wysypali się na ulicę w chwili, gdy Jacqueline Boursier wolno nadleciała nad stadion. Robiła, co mogła, aby utrzymać w powietrzu chybotający się myśliwiec, który nie został zaprojektowany jako maszyna szturmowa.

Ujrzała uciekających ludzi, którzy zaczęli nawet do niej strzelać. Dotknęła przełącznika broni.

Seria z działek kalibru trzydzieści pięć milimetrów strzelających pociskami ze zubożonego uranu przeorała ulicę.

Na końcu alei Boursier wykonała klasycznego immelmana. Starła się nie patrzeć na migające kilka metrów od skrzydeł domy.

Garvin pomagał Knoxowi uspokoić bliskie hysterii dziewczyny, gdy zabrzączał jego komunikator:

–Gaffer, tu Gruba Berta. Przygotować się do podjęcia. Garvin zapomniał o kobietach i ile sił w nogach pobiegł do wyjścia.

Gruba Berta, znacznie większa niż stadion, większa niż dowolny budynek w mieście, sunęła wolno nad ulicami. Nagle lekko uniosła dziób.

–On nie może tego zrobić – powiedział Froude.

–On to robi – odpowiedział Ristori.

I rzeczywiście. Liskeard kierował lecącą na pomocniczym napędzie Bertę w kierunku placu pozostałego po zburzonym domu. Wsporniki ładownicze, a potem sam kadłub zetknęły się ze sterczącymi w górę pozostałościami murów.

Najpierw zawaliły się resztki osmalonej fasady, potem poddała się stalowa konstrukcja nośna. Berta wylądowała szczęśliwie, choć stanęła trochę krzywo.

Niektórzy mobilowicze próbowali do niej strzelać, ale z kadłuba wyrzuciła zaraz para szybkostrzelnych działek, których pociski przechodziły przez ściany domów jak przez karton.

–Dobre kotki – powiedział sir Douglas, gdy tygrys i dwa lwy przeszły obok nich do klatek.

–Dobre kotki – powtórzył nerwowo Njangu.

–Jeszcze tylko jeden – stwierdził sir Douglas.

–Idzie – mruknął Njangu.

Przejściem nadciągał Muldoon. Na jego czarnej sierści widać było wilgotne plamy. Przystanął, spojrzał z namysłem na Njangu, oblizał zakrwawione szczęki i wszedł do klatki.

–Dobrze – odetchnął sir Douglas. – Teraz zabierajmy je stąd.

Zatrzasnął drzwi i Njangu znowu zaczął oddychać.

Głośniki na stadionie ożyły z chrypieniem.

–Gruba Berta przyleciała! Wszyscy do głównego wyjścia! Przygotować się do załadunku. Bez paniki – instruował podwładnych Garvin. – Mamy masę czasu. Nikogo nie zostawimy.

Pierwsi zameldowali się na rampie Jiang Fong z żoną i dzieckiem, za nimi pojawili się pozostali akrobaci.

–Nazwiska, szybko! – zawołał Erik Penwyth. Fong odpowiedział i Erik odhaczył ich na liście. Następne przybiegły konie gnane przez Darod i wdowy po Kwieku.

Gdy zwierzęta były już w środku, Montagna zawróciła i sięgnęła po blaster.

–Ty masz tu zostać! – zawołał Erik.

–Nie wyrównałam jeszcze wszystkich rachunków – rzuciła Darod i pobiegła na stadion.

–Ogony w górę! Ogony w górę! – zawołali Sunya Thanon i Phraphas Phanon, a słonie posłusznie wykonały polecenie i ustawivszy się jeden za drugim, ruszyły w ślad za kocimi klatkami.

Jeden otarł się o budę kasy biletowej i przewrócił ją.

Thanon i Phanon szli przodem, obaj z blasterami w dłoniach.

Thanon pierwszy zobaczył mężczyznę z karabinem, strzelił do niego, ale chybił. Tamten odpowiedział ogniem i Thanon, krzyknąwszy, opadł na kolana.

Phanon pochylił się nad nim. Thanon spojrzał na niego, jakby go nie poznawał.

–Chciałbym... – zaczął. – Chciałbym... – Zakaszał krwią. – Może już jestem w drodze do Coando. Będę tam na ciebie czekał.

Phanon przez łzy patrzył na umierającego kochanka.

Podniósł głowę. Tuż obok niego upadła butelka z płonąca szmatą wetkniętą do szyjki. Pękła i płomień ogarnęły Phanona. Próbował je ugasić, ale skóra już mu czerniała. Z przedśmiertnym krzykiem padł na ciało Thanona.

Słonie zbiły się ciasno. Imp żałośnie piszcziała. Płonący płyn z koktajlu Mołotowa lekko ją poparzył.

Dwie kobiety z metalowymi prętami podbiegły do samców słoni. Jeden z nich wyrwał pierwszej broń, potem wymachem trąby zmiażdżył jej czaszkę. Druga kobieta już brała nogi za pas, gdy nagle ją coś uniosło i cisnęło na ścianę budynku.

Alikhan wybiegł ze stadionu z oczami płonącymi wściekłością. Strzelał bez opamiętania, aż nagle nie było już kogo zabijać.

–Ogony w górę! Ogony w górę! – zawołał. Słonie zawahały się, ale w końcu zastosowały się do komendy, chociaż wypowiedzianej obcym głosem. Posłusznie stanęły w szeregu i ruszyły za Alikhanem. Imp i Loti nawet się do niego przysunęły. Razem przeszli przez ulicę, do rampy statku.

Alikhan odstawił zwierzęta do ich pomieszczeń i poczuł żal, że nie ma czasu ich uspokoić. Chwilowo miał ważniejsze obowiązki.

Wjechał windą na samą górę, do ładowni, gdzie zobaczył, że Ben usiłuje się wcisnąć do kabiny aksaia. Kekri próbowała mu pomagać.

–Ruszaj, Alikhan – rzucił Diii. – Chcę krwi.

–Ja też – syknął musth i otworzył owiewkę kokpitu swojego myśliwca. – Na beczki, na cysterny.

Fove Gadu był w studiu holo na drugim końcu miasta. Właśnie przemawiał.

–Nasza Partia Mobilizacji odkryła, że nie tylko Abia Cornovil dał się złapać na lep obcych. Mamy już nazwiska ponad stu osób zajmujących wysokie stanowiska, które sprzymierzyły się z tymi potworami.

Mimo że bohaterscy członkowie naszej partii likwidują jeszcze zagrożenie, które wciąż stwarzają obcy, wysyłamy oddziały Milicji Ludowej, aby wytropiła tych zdrajców. Postawimy ich przed obliczem ludowej sprawiedliwości...

Dyżurny łącznościowiec pomachał do Liskearda. Na ekranie widać było Gadu uderzającego pięścią w mównicę.

–Sir, mam na niego idealny namiar.

–Jesteś pewien, że to nie odbicie?

–Na sto procent.

Liskeard uśmiechnął się szeroko.

–Szybciej, moje panie! – wołał Knox, zaganiając girlsy pomiędzy ślizgaczami czekającymi przed rampą. – Bez paniki, nie rozmazać makijażu, a daję słowo, że gaffer przyzna premię za ten zwariowany dzień!

Jedna z dziewcząt krzyknęła rozdzierająco, gdy tuż nad jej głową, jak jej się zdawało, przemknęły dwa aksaie.

Darod Montagna zastrzeliła trzech mobilów, którzy schowali się zaraz przy bramie. Obróciła się, gdy w chodnik obok niej uderzyły pociski.

Zerwała się na nogi i skoczyła za częściowo zniszczoną budę kasy. Snajper jednak nie popuszczał.

–Ale mnie przyspilił – mruknęła. – Dobrze, że ma zeza.

Usłyszała ryk silników i przypadła do ziemi, gdy nad nią pojawiła się maszyna o nieznanej sylwetce. Przeleciała na wysokości dwudziestu metrów i zawróciła. Na końcach jej krótkich skrzydeł pojawiły się ogniki wystrzałów.

Pociski padały coraz bliżej. Montagna odtoczyła się na bok. Nagle obok niej pojawił się Garvin.

–Cześć – powiedziała.

–Cześć – wykrztusił. – Co ty tu robisz?

–A ty? Trzymają mnie pod ogniem. Już dawno przydałbyś się jako wybawca.

–Przepraszam, ale dopiero zobaczyłem, gdzie jesteś. Niestety, nie mam pod ręką zhuków. Prawdę mówiąc, mam tylko siebie.

–Normalka. Ale...

Nieznana maszyna znowu zawracała, ale tym razem już z Boursier na ogonie. Ktoś strzelił z ziemi i trafił jej aksaią w skrzydło. Boursier walczyła przez chwilę o utrzymanie stateczności. Aksai omal nie przepadł, na chwilę przeszedł na plecy, wyrównał, zwolnił i schował się w ładowni Berty.

–Mam nadzieję, że ktoś go w końcu załatwi – powiedziała Darod.

–Jacqueline chyba mu dołożyła... chociaż nie, znowu nadlatuje. Chyba jesteśmy jego jedynym celem!

–Poszukaj sobie kogoś własnych rozmiarów, dupku! – krzyknęła Darod do pilota obcej maszyny, który skręcił posłusznie w stronę Grubej Berty.

Oficer ogniowy na statku wystrzelił dwa pociski typu Shrike, które w mgnieniu oka dopadły napastliwego szturmowca i rozbiły go na drobne kawałeczki.

Wokół Darod i Garvina opadł deszcz płonących szczątków.

–Bez kawałów! – warknęła Montagna. – Jeszcze tylko tego brakuje, żebyśmy oberwali od swoich.

Garvin dostrzegł jakieś poruszenie przed sobą. Strzelił. Spokój.

–Bardzo wątpliwe – rzucił pod adresem Darod. – Za dużo tu złych gości, którzy próbują nas ustrzelić. Oni mają większe szanse.

Pięć patrolowców z Centralnego zanurkowało ku odległemu kadłubowi Grubej Berty. Na żadnym z nich nie dostrzeżono dwóch siedzących im na ogonie aksaiów i pary szykujących się do ataku jednostek klasy Nana, póki pierwsze dwie maszyny nie eksplodowały.

Pozostałe trzy skręciły gwałtownie, a jedna z nich na pełnej szybkości rzuciła się do ucieczki.

–No chodź – mruknął Ben, widząc, jak jego sylwetka tańczy mu w celowniku. Shrike bipnął, że widzi cel. Ben odpalił pocisk i natychmiast wszedł na ogon drugiego patrolowca.

Wroga maszyna nagle wykonała przewrót i zanurkowała. Diii pomknął za nią. Kątem oka dostrzegł, jak patrolowiec, któremu już posłał raketę, bucha płomieniami i spada

na szeroką aleję, zostawiając za sobą ognisty ślad.

Jego cel wciąż kluczył. Diii złapał go w końcu w celownik i odpalił raketę, nie czekając, aż jej układ naprowadzania zamelduje gotowość.

Pocisk eksplodował jakieś dwadzieścia metrów od patrolowca, który zaczął koziółkować w powietrzu. Chwilę potem uderzył w jakiś wysoki, zapewne rządowy budynek.

Diii zawrócił, wszedł na wyższy pułap i poczekał, aż trochę mu się uspokoi oddech.

–Alikhan jeden, mówi Diii jeden. Potrzebujesz pomocy?

–Alikhan... niewykluczone... chociaż nie. Sam nadstawił mi się pod pocisk. Widzisz jeszcze jakichś bandytów?

Ben spojrzał na ekran.

–Ani jednego. Wracajmy nad mamuszkę.

–Wolę jeszcze poszukać czegoś na ziemi – odpowiedział Alikhan.

Nad głowami Garvina i Darod przemykały ładunki z blasterów. W końcu przybyła odsiecz: czterech legionistów, w tym Njangu.

Po dłuższej wymianie ognia przeciwnicy przestali odpowiadać.

–Chyba załatwiliśmy ostatnich dzielnych mobilów – skomentował to Njangu. – Czy bylibyście tak uprzejmi pozbierać dupy i udać się tam, gdzie powinniście teraz być?

Garvin pozbierał się i pomógł wstać Darod.

–Dobra – mruknął. – Ale powiem ci coś, młody Yoshitaro. Zupełnie się nie nadajesz na wybawcę.

–Może pokażesz, jak to się robi?

–...chwila zwycięstwa jest już bliska – ciągnął Gadu. – Poinstruowałem moich przyjaciół, żeby brali jeńców, abyśmy mogli ustalić, kto stał za tym spiskiem, i doprowadzić wszystkich zdrajców... – Urwał, widząc za dźwiękoszczelnym oknem czarny, brzydki patrolowiec klasy Nana wiszący dwadzieścia metrów od ściany budynku.

Chaka uruchomił działko. Strumień pocisków rozniósł na strzępy całe studio razem z Fove Gadu.

–Nie wiem, czy się przyczyniłem do nastania pokoju, ale na pewno czuję się teraz o wiele lepiej – powiedział Chaka do mikrofonu.

Orkiestra spokojnie opuściła stadion, grając Marsz pokoju. W połowie drogi Aterton podał nowy numer i przeszli na Hymn Konfederacji.

Nagle jakiś odłamek trafił w nogę muzyka grającego na kotle. Jego podtrzymywany spadkiem instrument potoczył się na ulicę, głośno akcentując każde uderzenie.

Orkiestra wbiegła po rampie i szybko przeszła przez służę.

Zaraz potem dwa aksaie wróciły do ładowni.

–Masz już wszystkich? – spytał Garvin.

–Dwa razy sprawdzałem – odparł Erik. – Wszyscy na pokładzie, włącznie z rannymi.

–Na pewno wszyscy – dodał zmęczonym głosem Njangu. – Sam przeszukałem stadion, zanim tu przybiegłem.

Garvin uniósł komunikator.

–Dobra, zabieramy się stąd – rzucił Liskeard.

–Cztery jednostki na kursie zbliżeniowym – zameldował wachtowy, gdy Gruba Berta wyszła ponad stratosferę. – Czas podejścia... w przybliżeniu czterdzieści trzy minuty. Odległość... około dwóch parseków.

–Możesz je zidentyfikować?

–Też tylko w przybliżeniu. To jedna wielka jednostka w eskorcie trzech niszczycieli. Zapewne Corsica.

Liskeard pochylił się nad oficerem ogniowym.

–Jak blisko są od tej niespodzianki, którą zostawiliśmy obok floty rezerwowej?

–Jeden pięć. Zbliżają się bardzo szybko.

–Gdy będzie jeden zero, odpalić goddarda.

–Zrozumiałem, jeden zero, sir.

Na mostku zapadła cisza przerywana tylko zwykłymi rozmowami wachty.

Oficer ogniowy wpatrywał się w ekran radaru.

–Jeden jeden... jeden zero... rybka w drodze.

Pół średnicy układu dalej nieco zmodyfikowany goddard ożył i ruszył z miejsca.

Corsica leciała na pełnej szybkości za trzema ciągnącymi w szyku V niszczycielami. Kierowała się na Centralny.

Dant Romolo patrzył z niedowierzaniem na ekrany ukazujące to, co działo się na planecie.

–Cholerni cywile – powiedział pod nosem. – Nigdy nie powinni byli do tego dopuścić!

Rozejrzał się po przestronnym mostku. Wszystko przebiegało spokojnie, jak powinno. Na głównym ekranie ujrzął przepływające „w dole” symbole oznaczające odstawione do rezerwy jednostki. Pomyślał, że niebawem będzie można wreszcie przywrócić je do służby.

–Sir – odezwał się dyżurny radarowiec. – Nie zidentyfikowana jednostka opuszcza Centralny.

–To bez wątplenia ten statek cyrkowy – powiedział Romolo. – Nie powinniśmy mieć problemów z przechwyceniem go, zanim wejdzie w nadprzestrzeń.

Nadlatujący goddard był ledwie widoczny na ekranie i długo nikt nie zwracał na niego uwagi, aż w końcu dyżurny dał zbliżenie.

–Sir – odezwał się spokojnie do oficera wachtowego. – Mam nie zidentyfikowany obiekt. Zbliża się bardzo szybko... idzie kursem kolizyjnym.

Wachtowy zamrugał zaskoczony.

–Co to jest?

–Brak identyfikacji, sir.

Oficer zastanowił się.

–Da się go sprawdzić? – spytał kobietę siedzącą przy stanowisku walki radioelektronicznej.

–Nie, sir. Jest za mały. To chyba jakiś pocisk... zdalnie sterowany, chociaż nie mogę złapać jego częstotliwości.

–Uszczelnić przedziały!

–Wykonane, sir.

Na całym pancerniku rozdzwoniły się alarmy.

–Wszystkie stanowiska meldować gotowość!

Z głośnika rozległ się gwar głosów.

–Centrala ogniowa, zamiar na nadlatujący pocisk – powiedział całkiem spokojnie Romolo.

–Tak jest, sir. Namierzamy. Jest zamiar. Pierwsza poszła! Druga poszła!

Dwie antyrakiety ruszyły na goddarda, podczas gdy oficer wachtowy rugał dowódców niszczycieli, żeby się obudzili i wzięli do roboty.

Podrasowany goddard „zobaczył” oba odpalenia. Jego kontroler na pokładzie Berty wystrzelił z kolei dwa pociski typu Shrike.

Cała czwórka spotkała się niemal w połowie drogi i eksplodowała.

–Trafienie! Jednak nie, pocisk ciągle nadlatuje. Zderzenie za pięć... cztery...

–Strzelać, durnie!

–Tak jest, bierzemy zamiar...

Goddard wbił się w siłownię pancernika i eksplodował. Na rufie wielkiego okrętu pojawiła się kula ognia, która zaraz rozplynęła się w próżni.

Wstrząs rzucił Romolo najpierw na jedną, potem na drugą konsolę. Wszędzie wyły syreny, świdrująco brzęczały dzwonki alarmów.

Dant pozbierał się i sprawdził, czy nie połamał kości. Miał nadzieję, że obcy statek, który tak łatwo wyprowadził ich wszystkich w pole, poczynił na Centralnym duże zniszczenia.

Romolo bardzo czegoś takiego potrzebował.

–Świetnie, załatwione – powiedział Garvin. – Kapitanie Liskeard, czy byłby pan uprzejmy zabrać nas teraz do domu?

Cumbre/Cumbre D

–Od jak dawna to trwa? – spytał Garvin Jaansma, z krzywą miną patrząc na wypowiadającego się w holo dość przystojnego młodego mężczyznę.

–Pięć, może sześć miesięcy – odparła Jasith Mellusin drżącym głosem. Kamienny spokój Garvina napełniał ją strachem. – Nie było cię bardzo długo. Ponad rok, dobrze wiesz.

–Wiem – powiedział Garvin, myśląc o Darod, a potem o Kekri. – Kto to jest?

–Jeden z moich dyrektorów. Bawiliśmy się razem w dzieciństwie. Chyba był wtedy moją sympatią. Proszę, nie złość się na mnie.

–Nie złoszczę się na nikogo.

Poczuł się nagle bardzo zmęczony. Chciał tylko opuścić tę posiadłość i sam, nawet bez Darod, udać się na bezludną wyspę, gdzie nie musiałby robić nic poza jedzeniem i spaniem.

–Przyślę kogoś po moje rzeczy – powiedział i ruszył do drzwi.

–Garvin! – zawołała Jasith. – Czy moglibyśmy zostać...?

Drzwi zamknęły się, zanim skończyła.

Garvin zbiegł po szerokich schodach. Już drugi raz w podobnych okolicznościach, tyle że teraz nie miał złamanego serca.

Wsiadł do ślizgacza, włączył silnik i odleciał.

Operacja „Centrum” została uznana za sukces. Grubą Bertę powitano ze wszystkimi honorami. Każdy, kto przyleciał na jej pokładzie, otrzymał obywatelstwo Cumbre. Niektórzy, w sumie całkiem spora grupa, postanowili skorzystać z okazji i założyli cyrk, zamierzając występować na miejscu oraz w innych układach, gdy będzie to możliwe. Dołączył do nich Fleam, który odnalazł się w tym fachu i czym prędzej wykupił się z armii.

Liskeard został w pełni zrehabilitowany specjalnym rozkazem danta Angary, chociaż sam nie wiedział, czy tego chce. W końcu zebrał tych legionistów, którzy też chcieli wrócić na Grimaldiego, i odlecieli, bogaci dzięki temu, co wypłaciła im Grupa, oraz niespodziewanym premiom przyznanym przez Mellusin Mining.

Co do Njangu... On i Maev rozeszli się po cichu. Maev wykupiła się z Grupy i oznajmiła, że wraca na studia.

Njangu, ku zdumieniu Garvina, powiedział, że wybiera się na ryby do małej wioski nad morzem. Zaprosił Jaansmę do towarzystwa, dodając tajemniczo:

–Deira na pewno ma jakąś wolną przyjaciółkę. Albo nawet kilka. A nawet gdyby wszystkie powychodziły za męża, nie byłby to żaden problem.

Garvin wzruszył ramionami.

Wizja bezludnej wyspy wydawała się znacznie atrakcyjniejsza.

Garvin zrozumiał, że bardzo się zmienił, nawet zestarzał, co było dość melodramatyczną refleksją u kogoś, kto nie ma jeszcze trzydziestu lat. I kto niemal zrósł się z armią. Nie wiedział jeszcze, czy podobają mu się te zmiany.

Uniósł głowę. Przez dach ślizgacza przeświecały gwiazdy.

Gdzieś tam leżały strzepy dawnej Konfederacji, rozrzucone niczym układanka. Ciągnęło go do nich. Ciągnęło tak bardzo jak nic, z czym się zetknął w całym życiu.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-17

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/